

Camp Candace

Żona dla hrabiego

PROLOG

Londyn, 1807

Drzwi frontowe trzasnęły z hukiem. W mieszczącej się na piętrze bibliotece lady Irene Wyngate drgnęła przestraszona, książka wypadła jej z dłoni. Było już dobrze po północy, domownicy dawno leżeli w łóżkach, śpiąc snem sprawiedliwego. Ona również udała się na spoczynek, ale ponieważ nie mogła zasnąć, zdecydowała pójść do biblioteki, aby poszukać książki do czytania. Nikt nie powinien kręcić się po domu o tej porze, a już zwłaszcza trzaskać drzwiami!

Nasłuchiwała chwilę, stojąc nieruchomo. Ciszę zmącił głośny rumor i równie głośne przekleństwo. Irene skrzywiła się z niesmakiem. Nie uspokoiło jej wcale to, że zyskała pewność, kto hałasuje na dole. Lord Wyngate, jej ojciec, jak zwykle pijany powrócił w domowe pielesze.

Pochyliła się, podniosła książkę, która upadła jej na podłogę, wzięła do ręki lichtarz ze świecą i bezszelestnie podeszła do drzwi. Miała dopiero szesnaście lat, mimo to jedynie ona potrafiła stawić czoło ojcu. Często zdarzało się, że broniła matki lub brata, bo zwykle przeciwko nim obojgu kierował agresję. Miała jednak wystarczająco dużo rozsądku, by nie prowokować ojca i schodzić mu z drogi, zwłaszcza gdy wracał pijany, szukając awantury.

Przeszła pospiesznie przez hol na piętrze, licząc na to, że zdoła wejść po schodach i schronić się w swojej sypialni, zanim ojciec pokona obie kondygnacje. Z dołu rozległ się podniesiony, przepełniony złością głos, ktoś

inny odpowiedział równie nieprzyjaźnie. Irene przystanąła i zmarszczywszy czoło, zaczęła się zastanawiać, kto mógł towarzyszyć ojcu. A potem doszedł ją charakterystyczny odgłos wymierzonego otwartą dłonią ciosu i brzęk rozbijanego naczynia.

Irene podeszła szybko do poręczy schodów i wychyliła się, by spojrzeć na dół. Pierwsza kondygnacja klatki schodowej zasłaniała jej częściowo widok, mimo to zdołała dostrzec ojca, leżącego na plecach na wyściełającym podłogę perskim dywanie, a wokół niego skorupy potłuczonej wazy. Niemodna pudrowana peruka, którą upierał się nosić, przekrzywiła się na jedną stronę głowy, do złudzenia przypominając kudłate zwierzątko, wczepione z furią w łysinę. Z nosa spływała strużka krwi.

Irene zamarła. W jej polu widzenia pojawił się jakiś mężczyzna i stawiając wielkie kroki, podszedł do lorda Wyngate'a. Był do niej odwrócony plecami; wysoki, ubrany tak samo jak ojciec w wieczorowy strój, nie nosił jednak niemodnej peruki. Pochylił się, schwycił za wyłogi fraka i postawił na równe nogi lorda Wyngate'a, który przyłożył sobie dłonie do piersi napastnika, bezskutecznie starając się go odepchnąć.

- Ty gnojku - powiedział piskliwym głosem - nie ośmielisz się.

- Ośmielę, i to na wiele więcej - odpowiedział czarnowłosy mężczyzna, cofając zaciśniętą w pięść dłoń, gotów do wymierzenia ciosu.

Irene ocknęła się i pobiegła do gabinetu ojca. Dopadła stojącej przy ścianie oszklonej gabloty, wysunęła szufladę i wyjęła z niej spore pudło. Na wyściełającym wnętrze czerwonym aksamicie leżała para pistoletów. Ojciec trzymał je zawsze naładowane, wiedziała to, sprawdziła jednak dla pewności, a potem wybiegła z gabinetu, trzymając po jednym w każdej ręce. Krzyki i odgłosy walki rosły, w miarę jak zbliżała się do schodów.

Nie wiadomo kiedy znalazła się na podeście pierwszej kondygnacji i wtedy zobaczyła ich u podnóża schodów. Napastnik zdołał się oswobodzić i wymierzył

lordowi cios w żołądek. Wyngate zgiął się wpół i wtedy przeciwnik uderzył go pięścią w podbródek, po czym lord zwałił na podłogę.

- Przestańcie! - wykrzyknęła Irene. - Natychmiast przestańcie!

Nawet nie spojrzeli w jej stronę. Nieznajomy pochylił się nad lordem Wyngate'em, najwyraźniej zamierzając postawić go z powrotem na nogi i zacząć okładać od początku.

- Dość - wykrzyknęła na całe gardło Irene, a ponieważ nie zareagowali w żaden sposób, uniosła pistolet i wystrzeliła w powietrze.

Kula musnęła wiszący u sufitu żyrandol, kilka kryształowych wisiorów spadło, rozbijając się na podłodze. Nieznajomy wyprostował się i odwrócił głowę, aby spojrzeć na Irene. Oceniała, że jest wysoki i postawny. W blasku kinkietów lśniły czarne włosy. Twarz o wyrazistych rysach zastygła w grymasie złości. Było w nim coś pospolitego, nieokrzesanego, co go różniło od dżentelmenów, z którymi Irene miała dotąd do czynienia. Poczuli się nieswojo, ogarnęło ją uczucie, którego nie potrafiłaby nazwać.

- Irene? - wychrypiął lord Wyngate, podnosząc się z trudem.

- Tak, Irene - odparła z irytacją. - A ktoś jeszcze miałby to być?

- Moja córeczka - powiedział Wyngate z pijackim rozczuleniem, chwiejąc się na nogach. - Zawsze można na niej polegać.

Odkąd sięgała pamięcią, ojciec przysparzał domownikom kłopotów i wprowadzał zamęt w ich życie. Obawiali się jego nieopanowanych wybuchów gniewu i lękali o to, w jakie wpadnie tarapaty, przebierając miarkę w picciu. Gdy była dzieckiem, widziała, jak boją się go służący i jak matka przez niego płacze.

Kiedy dorosła na tyle, by rozumieć więcej, odkryła inne jego słabości - zamiłowanie do hazardu i rozpusty nieodłącznie związane z nadużywaniem alkoholu. Żaden wzgląd nie hamował lorda Wyngate'a przed trwonieniem rodzinnej fortuny i zażywaniem cielesnych uciech. Był przy tym człowiekiem pełnym okrucieństwa, którego cieszyła świadomość, że inni czują przed nim strach.

Irene zdawała sobie sprawę, że nie jest wystarczająco szlachetną osobą, żeby mu wybaczyć i kochać ponad wszystko, jak jej matka. Nie była nawet na tyle przyzwoita jak jej brat, Humphrey, który rzeczywiście darzył ojca szacunkiem i okazywał mu synowskie przywiązanie, jak tego po nim oczekiwano.

- Nie uważasz, że pora nie jest stosowna, żeby wyczyniać takie brewerie w domu? - zapytała zjadliwym tonem, co, jak wiedziała z doświadczenia, odnosiło znakomity skutek, gdy ojciec był pijany.

Lord Wyngate obciągnął frak i z przesadną starannością, charakterystyczną dla osób w stanie nietrzeźwym, wygładził wyłogi. Przesunął dłonią po twarzy, a potem spojrzał z wyraźnym zdumieniem na ślady krwi.

- Cholera... Złamałeś mi nos, ty gówniany szulerze! - oburzył się, wbijając w nieznanego gniewne spojrzenie.

Czego tamten w ogóle nie zauważył, wpatrując się uparcie w Irene.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, jak wygląda. Nie zaprzętała sobie głowy szukaniem szlafroka i poszła do biblioteki w nocnej koszuli. Stała boso, gęste, kręjące się jasne włosy spływały w nieładzie na ramiona i plecy. Światło padające z kinkietów z pewnością przeświecało przez cienki materiał koszuli, ujawniając kształty jej ciała. Irene zaczerwieniła się po cebulki włosów. Dlaczego nie odwrócił wzroku? Pozbawiony manier wieśniak!

Spiorunowała go wzrokiem. Niech wie, że nie zdołał wprawić jej w zakłopotanie! Kątem oka dostrzegła, że ojciec daje chwiejny krok do tyłu i obejmuje dłonią stojący na postumencie niewielki posązek.

- Nie! - zawołała, kierując na rodzica pistolet trzymany w lewej ręce. - Natychmiast odstaw to na miejsce!

Nieznajomy skrzywił wargi z pogardą, patrząc na lorda Wyngate'a, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Irene i skłonił się przed nią.

- Dziękuję, milady.

Głos miał niski, lekko ochrypli, sposób wymowy zdradzał, że nie jest dżentelmenem.

- Nie życzę sobie więcej plam krwi na tym perskim dywanie - oznajmiła Irene. - Trudno go oczyścić.

Lord Wyngate oparł się o ścianę z obrażoną miną, demonstracyjnie odwracając od Irene głowę. Nieznajomy natomiast, nie kryjąc zdziwienia, roześmiał się głośno.

- Nie rozumiem, jakim cudem ten stary cap może mieć taką córkę.

- Sądzę, że powinien pan nas opuścić. Nie chciałabym wzywać służby, aby pana wyprowadziła.

Uniósł lekko brwi ze sceptyczną miną, dając do zrozumienia, że nie bardzo przestraszyła go jej groźba.

- Oczywiście, milady. Nie będę dłużej zakłócać pani spokoju. - Podeszedł do lorda Wyngate'a, złapał go za wyłogi fraka i pochylając się, powiedział cichym, złowieszczym głosem: - Jak dowiem się, że znowu napastujesz Dorę, to porachuję ci wszystkie kości. Zrozumiałeś?

Wyngate poczerwieniał, ale w milczeniu skinął głową.

- Nie waż się u mnie więcej pokazać.

Nieznajomy pomaszerował w stronę drzwi. W progu odwrócił się i spojrzał na stojącą na podeście schodów Irene.

- Dobranoc, milady - powiedział z leciutkim uśmiechem. - To była prawdziwa przyjemność poznać panią. - Ukłonił się i zniknął.

Irene odprężyła się, dopiero teraz zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo była spięta. Nogi pod nią zadrżały, ręka z pistoletem opadła bezwładnie.

- Kto to był? - zapytała.

- Nikt - odparł ojciec, podchodząc chwiejnym krokiem do schodów. Potknął się i byłby się wywrócił, gdyby w porę nie złapał za poręcz. - Zwykła łajza... Ma czelność przemawiać do mnie w ten sposób... Powinienem się z nim

porachować... - Na zmienionej alkoholem twarzy pojawił się chytry wyraz. - Daj mi pistolet.

- Przestań - powiedziała Irene, czując nagle niezwykle znużenie - bo zacznę żałować, że nie pozwoliłam mu ciebie zabić. - Odwróciła się i zaczęła wspinać się na schody. Najlepiej będzie, jeśli zabiorę pistolety do swojej sypialni, pomyślała, na wszelki wypadek.

- Córka nigdy nie powinna odzywać się tak do ojca! - zagrzemiał lord Wyngate. - Masz odnosić się do mnie z szacunkiem!

- Zacznę, jeśli sobie na to zasłużysz.

- Jesteś karykaturą porządnej córki! - Oczy zwęziły mu się niebezpiecznie. - Tylko tak dalej, a żaden mężczyzna nie będzie chciał cię pojąć za żonę. I co wtedy, moja panno?

- Nie będę płakać. Z tego, co widzę, życie w małżeństwie może być dla kobiety większym nieszczęściem. Ja, ojczy, nigdy nie wyjdę za mąż.

Z satysfakcją patrzyła, jak na jego twarzy pojawia się wyraz osłupienia. Nie odezwał się, wyraźnie nie wiedząc, co ma jej na to odpowiedzieć. Odwróciła się i lekkim krokiem pokonała resztę schodów.

Rozdział pierwszy

Londyn, 1816

Irene stłumiła ziewnięcie, usiłując ukryć, że nudzi ją słuchanie wywodów bratowej opisującej z detalami suknię, którą wczoraj kupiła. Temat sam w sobie nie musiał być nużący; choć niechętnie się do tego przyznawała, jak wszystkie kobiety lubiła pogawędki o obowiązującej modzie. To Maura sprawiała, że rozmawiając z nią, a raczej słuchając jej monologu, Irene czuła się znudzona.

Spojrzała po twarzach trzech kobiet, siedzących razem z nią i bratową w salonie. Ciekawe, pomyślała, czy ja też przybrałam wyraz uprzejmego zaciekawienia jak one? Dobrze wychowane damy od dziecka były ćwiczone w

sztuce ukrywania prawdziwych uczuć, a okazywanie zainteresowania rozmówcy należało do żelaznych zasad towarzyskiej etykiety.

Lady Claire, matka Irene, słuchała synowej nie tylko z zainteresowaniem, ale i szczerą przyjemnością. Była dobrze wychowaną damą i z pewnością uważała za niegrzeczne okazanie znudzenia ale Irene wiedziała, że nie tylko wzgląd na maniery odgrywa rolę. Matka bała się okazać synowej niezadowolenie czy nawet brak zaciekawienia. Humphrey poślubił Maurę rok temu i odkąd przywiózł ją do Wyngate House, lady Claire coraz boleśniej przekonywała się, że synowa potrafi zademonstrować że teraz to ona sprawuje władzę w rodzinie.

Co do Irene, była zdania, że uważanie na każdy grymas Maury i schodzenie jej z drogi jest bardziej męczące niż awantury, które bratowa wszczynala. Nie sądziła też, by Humphrey okazał się na tyle słaby, niegodziwy, żeby wyrzucić matkę i siostrę z domu. Niemniej miał prawo to zrobić i nikt by się za nimi nie ujął, a co do Maury, nie wątpiła że powodowana egoizmem mogłaby z podobną propozycją wystąpić.

Lord Wyngate zmarł trzy lata temu na skutek fatalnego upadku z konia, którego dosiadł kompletnie pijany. Utrata ojca przepełniła Irene szczerym żalem, co ją samą dość zaskoczyło. Lata karczemnych awantur i pogarda, jaką dla niego miała najwyraźniej nie zdławiły uczucia miłości do rodzica. Jednocześnie była na tyle uczciwa wobec siebie by przyznać, że doznała również ulgi, zresztą jak wszyscy poddani jego tyranii.

Krótko po śmierci ojca Irene usłyszała, jak dziewczyna polerująca meble nuci cichutko wesołą piosenkę, i wtedy uderzyło ją, jak nienaturalna cisza panowała w ich domu za jego życia. Atmosfera wyraźnie zelżała, mimo że do frontowych drzwi, przywieszono posępny żałobny wieniec, a portret lorda Wyngate'a przesłonięto kirem.

Humphrey, poważny, nieśmiały młodzieniec, odziedziczył tytuł i majątek, na który składały się posiadłości rodowe, dom w Londynie i masa długów.

Wdowa i córka nie dostały nic. Na szczęście Humphrey był kochającym synem i bratem, nie miał więc nic przeciwko temu, by utrzymywać matkę i siostrę. Dwa lata młodszy od Irene, przyzwyczał się na niej polegać i w istocie, nie kto inny, tylko ona chroniła go w dzieciństwie przed razami ojca.

Postawił sobie za zadanie spłacenienie długów i odbudowanie rodowej fortuny, zostawiając prowadzenie domu Irene, co już od jakiegoś czasu czyniła, wyręczając matkę. Życie toczyło się w miarę beztrosko przez cały okres żałoby, a gdy minęła, mogli sobie pozwolić na bywanie w towarzystwie. Wierzyciele zostali w znacznej części spłaceni i choć wciąż pozostał olbrzymi dług hipoteczny zaciągnięty pod zastaw rodowych ziem, ich sytuacja finansowa poprawiła się na tyle, że stać ich było na kupno nowych strojów i zaczęli przyjmować zaproszenia na rauty i bale.

Irene wiedziała, że londyńskie towarzystwo, szczerze czy nie, jednak jej współczuje - miała dwadzieścia pięć lat, wciąż była niezamężna, czekał ją los starej panny. Nie dbała o to, czując się całkiem szczęśliwa i potrzebna rodzinie. Nie należała kobiet, o których żywiła w cichości ducha przekonanie, że nie są najmądrzejsze, uważających, że ich życie nabiera sensu tylko wtedy, jeśli stoi u ich boku mężczyzna. Była przekonana, że przypadł jej znacznie szczęśliwszy los niż większości mężatek, dopóki Humphrey nie pojechał z przyjacielem na polowa me do północnej Anglii. Został tam tydzień, potem drugi, a pod koniec trzeciego wrócił do domu promieniejąc szczęściem, z wiadomością, że się zaręczył z Maurą Ponsonby, córką tamtejszego właściciela ziemskiego.

Kiedy ją zobaczyły, szybko zrozumiały, dlaczego Humphrey się w niej zakochał. Była ładna, okazywała mu uczucie. Szybko też odkryły, że nim manipuluje, na przemian urocza, schlebająca to znów zimna i niedostępna, kiedy nie postępował wedle jej życzenia.

Uśmiechy, grzeczności, pełna szacunku postawa wobec lady Claire skończyły się jak nożem uciął zaraz po weselu. Nowa lady Wyngate natychmiast dała wszystkim odczuć, kto tu teraz rządzi. Dla Irene było

oczywiste, że przekaże bratowej pieczę nad domem, ale nie zdążyła. Maura zaczęła pobyt w Wyngate House od poinformowania gospodyni i lokaja, że teraz ona jest tu panią, jej mają słuchać i do niej zwracać się ze wszystkimi sprawami.

Wykorzystywała skrupulatnie każdą okoliczność, aby to okazać. Jeśli ktoś obok niej toczył rozmowę, natychmiast się wtrącała, lokajowi oświadczyła, że to ona decyduje o tym, kto będzie przyjmowany w domu, a kto nie, a wszelkie wizyty zależą od tego, czy ona ma ochotę je przyjąć.

I posunęła się nawet do tego, że samowolnie decydowała, które z napływających do lady Claire i Irene zaproszeń zostaną przez nie przyjęte. Lady Claire podporządkowała się bez szemrania, w przeciwieństwie do Irene. W rezultacie dochodziło do ciągłych utarczek między nią a bratową.

Wyczuwając brak zainteresowania ze strony Irene, Maura przerwała w pół słowa i z przechyloną lekko na bok głową i wszystkowiedzącym uśmiechem powiedziała:

- Och, wyraźnie zanudziłyśmy biedną Irene naszym paplaniem o wstążkach, taśmach, aplikacjach, czyż nie tak, moja droga? Bo nasza Irene - zwróciła się do pozostałych kobiet - nie interesuje się zbytnio modą. Za nic nie chce się zgodzić, bym kupiła jej cokolwiek z garderoby.

- Bardzo to szlachetnie, lady Wyngate - oświadczyła pani Littlebridge.

- Całkiem wystarcza mi to, co mam - stwierdziła chłodno Irene.

Lady Claire, jak zwykle, pospieszyła, by zażegnać konflikt.

- Panno Cantwell, czy nie zechciałaby pani opowiedzieć o weselu w Redfield? Sądzę, że wszystkie chętnie posłuchamy.

Nie mogła bardziej szczęśliwie zmienić tematu. Ślub wicehrabiego Leighton z Constance Woodley był wydarzeniem roku, a tych, którzy dostali zaproszenia do posiadłości Leightonów i mogli tydzień temu uczestniczyć w ceremonii, teraz dosłownie rozrywano, prosząc o zdanie relacji.

- Och tak - zgodziła się natychmiast pani Littlebridge. Usilnie starała się wejść do ścisłego londyńskiego towarzystwa i żadna była wszelkich plotek, które mogłaby dalej przekazać, sprawiając wrażenie lepiej poinformowanej, niż była w rzeczywistości. - Czy panna młoda wyglądała olśniewająco?

- Można się zgodzić, że jest bardzo ładna - przyznała cierpko panna Cantwell - ale co do jej rodziny... Panuje powszechne przekonanie, że wicehrabia obniżył loty.

- To prawda. - z miną osoby wszechwiedzącej pani Littlebridge pokiwała głową. - Prowincjuszka, z tego, co słyszałam.

- Otóż to. - Panna Cantwell obdarzyła panią Littlebridge skąpym uśmiechem. - Ale też Leighton zawsze zachowywał się nieco... hm... niekonwencjonalnie.

Wicehrabia Leighton stanowił pożądaną partię i Irene była pewna, że opinia panny Cantwell o nim jako dziwaku wypływała z faktu, że nie okazał jej najmniejszego zainteresowania.

- Mnie panna Woodley... to znaczy, powinnam raczej powiedzieć lady Leighton, bardzo się podobała. Jest ujmującą, bezpretensjonalną osobą - powiedziała.

- Nie dziwi mnie, że akurat tobie wydała się czarująca - zauważyła Maura. - Niewiele przychodzi mi na myśl osób, które bardziej niż ty ceniłyby brak wyrafinowania.

- Podobno lady Leighton przyjaźniła się z siostrą wicehrabiego - wtrąciła pospiesznie lady Claire.

- Tak, to prawda. Lady Haughston traktowała ją jak swoją podopieczną - powiedziała pani Littlebridge. - To ona przedstawiła ją bratu.

- Tyle że zanim to się stało, musiała się nad nią nieźle napracować - oświadczyła cierpko panna Cantwell. - Constance Woodley była istną gęsią i dopiero lady Haughston przemieniła ją w łabędzia.

- Trzeba przyznać, że ma do tego wyjątkowy talent - orzekła lady Claire. -
W zeszłym sezonie córka Bainboroughów, wcześniej panna Everhart. Obie
zrobiły świetne partie.

- Tak. - Panna Cantwell pokiwała głową. - Lady Haughston jest jak wróżka.
Wszyscy wiedzą, że dziewczyna, którą ona się zajmie, prędzej czy później
świetnie wyjdzie za mąż.

- Skoro tak, Irene - odezwała się z ożywieniem Maura - może powinniśmy
poprosić lady Haughston, żeby pomogła znaleźć ci męża.

- Dziękuję ci, ale nie szukam męża - odparła Irene chłodno, patrząc
bratowej prosto w oczy.

- Nie szukam męża? - powtórzyła pani Littlebridge. - Która młoda
dziewczyna nie szuka męża?

- Na przykład ja - odparła spokojnie Irene.

Pani Littlebridge zmarszczyła czoło, robiąc zaskoczoną i niedowierzającą
minę.

- Przemawia przez ciebie duma, Irene. - Mówiąc to, Maura spojrzała po
pozostałych kobietach z porozumiewawczym uśmiechem. - Jesteś wśród
przyjaciółek. Wszystkie wiemy, że prawdziwym powołaniem kobiety jest
małżeństwo. Bo inaczej jaką ma przed sobą przyszłość? Żyć na garnuszku w
domu innej kobiety?

Umilkła na chwilę, a potem dodała, wpatrując się w Irene:

- Oczywiście ja i lord Wyngate będziemy uszczęśliwieni, mogąc cieszyć się
twoim towarzystwem do końca życia. Jednak nie myślę o naszym szczęściu,
tylko o twoim. Stanowczo powinnaś porozmawiać z lady Haughston. To twoja
przyjaciółka, prawda?

W głosie bratowej zabrzmiała nuta goryczy i Irene dobrze wiedziała
dlaczego. Maura pochodziła ze szlacheckiej rodziny, otrzymała staranne
wychowanie, ale jednak na prowincji. Bolało ją, że nie mogła tak jak Irene od

wczesnej młodości bywać w najlepszym londyńskim towarzystwie i w konsekwencji jej domu nie odwiedzały żadne osobistości ze śmietanki Londynu.

- Rzeczywiście znam lady Haughston. Nie łączy nas jednak zażyłość. Nie odważyłabym się mówić że jest moją przyjaciółką.

- Chyba o niewielu osobach dałoby się to powiedzieć - oświadczyła Maura. Cisza zapadła po tej uwadze i Maura zrobiła zakłopotaną minę.

- Och, mój Boże, jak to musiało zabrzmieć. Z pewnością dałoby się ich wielu znaleźć, prawda, lady Claire? - Rzuciła teściowej wymowne spojrzenie, jakby błagała ją o pomoc.

- W istocie - przyznała lady Claire. - Na przykład panna Livermore.

- Właśnie, panna Livermore - powtórzyła Maura i westchnęła z ulgą. - Żona pastora też za tobą przepada. Wiesz przecież, że jesteś dla mnie jak siostra i pragnę tylko twojego dobra. Wszyscy chcielibyśmy, abyś była szczęśliwa, prawda, lady Claire?

- Naturalnie - potwierdziła z budzącym współczucie wyrazem twarzy starsza pani.

- Jestem szczęśliwa - skłamała Irene. - Jakże mogłoby być inaczej - zwróciła się do bratowej - skoro mieszkam z tobą pod jednym dachem, droga... siostró.

- Bardzo chciałabym ci pomóc - kontynuowała tonem szczerego zatroskania Maura. - Sprawić, żebyś miała lepsze życie. Jestem pewna, że to wiesz. Niestety, nie wszyscy znają cię tak dobrze jak ja. Oceniają cię tylko na podstawie tego, jak się zachowujesz. Nawet jeśli chcą poznać cię bliżej, zniechęca ich twój cięty język i nieliczenie się z wymogami grzeczności. Twój sposób bycia nie przyciąga do ciebie mężczyzn. - Spojrzała po obecnych w salonie kobietach, szukając w ich twarzach potwierdzenia. - Mężczyzna nie pragnie żony, która będzie go pouczać albo zmywać mu głowę. Czyż nie mam racji?

- Twoje intencje są szlachetne i szczerze, w to nie wątpię - odrzekła zimno Irene. - Niemniej zadałaś sobie daremny trud. Jak powiedziałam, nie szukam męża.

- No nie... - zaczęła ze współczującym uśmiechem panna Cantwell.

Irene odwróciła się do niej z takim wyrazem twarzy, że tamta zachowała dla siebie to, co zamierzała powiedzieć.

- Nie życzę sobie, żeby jakiś mężczyzna sprawował nade mną władzę. Nie chcę być jego własnością ani postępować zgodnie z oczekiwaniami kogoś, kto wcale nie musi być ode mnie mądrzejszy... - Urwała i zacisnęła wargi, zdając sobie sprawę, że dała się sprowokować i odkryła karty.

Maura roześmiała się ironicznie i rzuciwszy pozostałym kobietom rozbawione, porozumiewawcze spojrzenie, powiedziała:

- Zamążpójście wcale nie oznacza, że kobieta jest pod obcasem mężczyzny, moja droga. Rozsądna kobieta pozwala wierzyć mężowi, że ma nad nią władzę. Nietrudno nauczyć się, jak spowodować, by mężczyzna robił to, co chcesz. Wystarczy go przekonać, że to jego wola.

Panie się roześmiały.

- W istocie, lady Wyngate, na tym to polega - zgodziła się pani Littlebridge.

- Nie wydaje mi się, żeby pociągały mnie takie sztuczki i udawanie - oświadczyła Irene. - Wolę zostać starą panną, niż posuwać się do pochlebstwa i oszustwa, aby uzyskać jakieś prawa.

Maura zacmokała kilka razy, robiąc współczującą minę.

- Naprawdę niczego nie rozumiesz, moja droga. Nie doradzałam ci oszukiwania kogokolwiek. Chodzi o twój wygląd i... No cóż, ujmijmy to tak: o pewne cechy charakteru. Przede wszystkim to, jak się ubierasz. - Pokazała gestem suknię Irene, robiąc pełną niesmaku minę. - Dlaczego wybrałaś akurat taki nieciekawy, zgaszony brąz? I czy musi być zapięta pod samą szyję? Co jest złego w dyskretnym odsłonięciu ramion i dekoltu? Nawet twoje wieczorowe suknie są takie proste i surowe. Doprawdy, wcale się nie dziwię, że mężczyźni

tak rzadko proszą cię do tańca. Czy nie wystarczy, że jesteś taka wysoka, musisz jeszcze chodzić wyprostowana i ukrywać swoje kształty?

Mówiła słodkim tonem, z ubolewaniem i troską, ale powoli w jej głosie zaczynały pobrzmiwać nuty irytacji. Mogła pozbyć się Irene z Wyngate House, tylko wydając ją za mąż lub mordując. Humphrey pozostawał pod władzą i urokiem żony, lecz nie zgodziłby się usunąć Irene z domu. Maura zresztą też by się na to nie odważyła, obawiając się potępienia londyńskiego towarzystwa. Miała zatem bratową na karku.

- A twoje włosy - ciągnęła bezlitośnie Maura. - Nie skłamię, jeśli powiem: niesforne i w nieładzie. Kolor, muszę przyznać, mają przyjemny. Rzęsy masz długie i na szczęście brązowe, a nie całkiem jasne, co sprawia, że blondynki wyglądają na ogół tak bezbarwnie.

- Dziękuję ci - powiedziała sucho Irene. - Twoje komplementy naprawdę robią na mnie duże wrażenie.

- Mówię tylko, co mogłabyś zrobić, żeby wyglądać nieco atrakcyjniej - odcięła się Maura. - Powinnaś choć trochę się postarać. Można by pomyśleć, że wolisz odpychać od siebie mężczyzn, zamiast ich przyciągać.

- Tak jest w istocie.

Panna Cantwell, zaśmiaawszy się nerwowo, powiedziała:

- Lady Irene! Ktoś może wziąć to na serio!

Nie zadała sobie trudu, by jej odpowiedzieć.

Ani ona, ani żadna z dam siedzących w salonie nie uwierzyłyby, że Irene rzeczywiście nie chce wychodzić za mąż. Od zawsze uważano, że życiowym celem kobiety jest małżeństwo. Matki panien na wydaniu obmyślały strategie niczym generałowie przed bitwą. Placem boju były sale balowe i loże w operach, drobne potyczki staczano podczas przejazdów otwartymi powozami po Hyde Parku. Szykowano suknie, dekolty i loki, rzucano zalotne spojrzenia i uśmiechy. Ustrzelenie odpowiedniego kawalera oznaczało zwycięstwo, prawie

nikt nie zastanawiał się, jak będą wyglądały lata spędzone u boku męża, liczyła się tylko obrączka na palcu.

Panna Cantwell i jej matka toczyły właśnie batalię o zdobycie męża, nic zatem dziwnego, że wszystko, co Irene miała do powiedzenia na temat małżeństwa, złożyły na karb urażonej ambicji zgorzkniałej panny, która straciła szansę i teraz była zdana na łaskę rodziny. Irene westchnęła mimowolnie. Nie z zazdrości na myśl o ewentualnym mariażu panny Cantwell, ale ponieważ zdała sobie sprawę, jak bardzo będzie musiała panować nad emocjami, mieszkając do końca życia pod jednym dachem z bratową. Maura pochyliła się ku niej i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Nie wzdychaj tak ciężko. Sytuacja nie jest beznadziejna. Znajdziemy ci męża. Stanowczo powinniśmy złożyć wizytę lady Haughston.

Irene skrzywiła się, zła na siebie, że zdradziła się przed bratową ze swoim niezadowoleniem z panującej sytuacji.

- Nie żartuj - odparła stanowczym tonem. - Powiedziałam, że nie szukam męża i tak jest. A nawet gdybym szukała, nie zwróciłabym się o pomoc do Loby tak lekkomyślnej jak Francesca Haughston. - Wstała, nie dbając o to, że okaże złe maniery. - Zechcą mi panie wybaczyć, zaczyna mnie nękać migrena - Odwróciła się i nie czekając na odpowiedź, wyszła z salonu.

O kilka przecznic dalej kobieta, o której rozmawiano w Wynagate House, siedziała samotnie w małym saloniku. Był to ulubiony pokój lady Franceski Haughston, znacznie mniejszy i przytulniejszy niż duży salon, i skromnie umeblowany, utrzymany w słonecznych żółciach. Podniszczone fotele były wygodne i budziły w lady Francesce przyjemne wspomnienia, nic dziwnego więc, że przesiadywała tu najchętniej, zwłaszcza jesienią i zimą gdy taniej było ogrzać ten pokój, niż duży dom.

Była połowa sierpnia i ten wzgląd nie grał roli, mimo to zaszyła się tutaj jak zawsze, gdy była w domu sama. Sezon dawno się skończył, większość londyńskiego towarzystwa rozjechała się do wiejskich posiadłości i lady

Haughston odwiedzali z rzadka tylko najbliżsi przyjaciele. Główny salon został zamknięty.

Usadowiona przy niewielkim sekretarzyku w pobliżu okna miała przed sobą otwarte księgi. Ołówek leżał porzucony na wypełnionych rzędami cyfr stronicach, które przed chwilą Francesca uważnie studiowała. Utkwiła wzrok w widok za oknem i zapatrzyła się na kwitnące róże.

Problemem jak zwykle były pieniądze, a raczej ich niedostatek. Mąż lady Franceski okazał się rozrzutnikiem, na domiar złego inwestował nierozważnie i w rezultacie kiedy zmarł, okazało się że zostały jej w całym majątku modne suknie i biżuteria. Rodowy majątek przeszedł na następnego w kolejce do sukcesji spadkobiercę, zatrzymała jedynie dom w Londynie, który Andrew kupił z własnych środków i mógł zapisać jej w testamencie. Zamknęła na stałe jedno skrzydło domu, z zalem zwolniła większość służby zatrzymując tylko niezbędne osoby i zaczęła ograniczać wydatki. Mimo to z trudem utrzymywała się na powierzchni. Najłatwiejszym sposobem na wydobycie się z kłopotów finansowych byłoby zawarcie kolejnego małżeństwa, jednak lady Francesca odrzuciła tę możliwość. Jej sytuacja musiałaby się dramatycznie pogorszyć, aby zdecydowała się powtórnie wyjść za mąż.

Odwróciła głowę na dźwięk pukania. Maisie osobista pokojówka, stała z niepewną miną w drzwiach. Lady Francesca uśmiechnęła się i zachęciła gestem służącą, aby weszła.

- Milady, przykro mi panią niepokoić, ale przyszedł rzeźnik i natarczywie domaga się zapłaty. Zagroził kucharce, że nie sprzeda jej nic więcej, dopóki nie dostanie pieniędzy.

- Tak, dobrze. - Francesca otworzyła szufladkę i wyjęła sakiewkę. Wręczyła pokojówce złotą monetę. - Powinno wystarczyć, żeby się uspokoił.

Maisie stała dalej pośrodku saloniku, wyraźnie zatroskana.

- Mogłabym wziąć coś do sprzedania. Może tę bransoletkę?

Przez wszystkie lata po śmierci męża Francesca utrzymywała dom i siebie, wyprzedając co cenniejsze dobra oraz biżuterię. To Maisie zanosila jej klejnoty i zastawę do złotnika. Francesca ufała jej całkowicie. O kilka lat od niej starsza, służyła jej od dnia ślubu z lordem Haughstonem. Znała swoją panią jak nikt inny i trwała przy niej wiernie. Była jedyną osobą, która nigdy nie udzieliła Francesce ani w otwarty, ani w zawołany sposób rady, by rozwiązała swoje kłopoty, przyjmując oświadczyzny któregoś z licznych adoratorów.

Lady Haughston natura hojnie obdarzyła; miała doskonałą figurę, piękne złociste włosy i ciemnoniebieskie oczy, więc łatwo przychodziło jej elegancko się prezentować. Co istotne, wywodziła się z rodziny legitymującej się długą linią szlachećnie urodzonych antenatów. Wygląd i pochodzenie stanowiły oczywiście poważny atut, ale w wyższych sferach, w których się obracała, przede wszystkim liczyła się osobowość i wyczucie stylu.

Miała bystry umysł i ze swobodą dyskutowała na niemal każdy temat, bez trudu też wywoływała uśmiech na wargach rozmówcy. Nie pamiętano, by kiedykolwiek pojawiła się ubrana niestosownie do okazji, a dzięki znakomitemu wyczuciu koloru i stylu prezentowała się olśniewająco, lecz nigdy przesadnie. W towarzystwie czuła się jak ryba w wodzie, wydawane przez nią przyjęcia nieodmiennie były udane, nieodmiennie też pożądaną jej obecności, ponieważ potrafiła ożywić najnudniejsze nawet zgromadzenie.

Z radością pomogła córce jednego z krewnych jej zmarłego męża przebrnąć przez rafy londyńskiego sezonu, co w konsekwencji zaowocowało zawarciem korzystnego małżeństwa. W dowód wdzięczności rodzice panny młodej podarowali jej olbrzymią srebrną paterę i Francesca zrozumiała, że znalazła źródło dochodu, nie tracąc jednocześnie pozycji. Gdyby przyjęła pieniądze, w londyńskim towarzystwie byłaby skończona jako osoba, która zarabia.

Ze sprzedaży patery uzyskała wystarczające środki na wypłacenie pensji służącym i uregulowanie domowych rachunków. Postarała się wobec tego zbliżyć do matek, których córki nie miały wzięcia, i wkrótce rozeszła się

szeptana wieść o jej talencie do wydawania panien za mąż. W rezultacie nie musiała szukać chętnych do skorzystania z jej umiejętności.

Ostatnie przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem w sposób dość niezamierzony. Książę Rochford założył się z nią, obiecując podarować cenną bransoletkę, jeśli przegra. W zamian zażądał, aby złożyła wraz z nim wizytę jego ciotecznej babce, lady Odelii, damie, która swoim sposobem bycia wzbudzała popłoch w londyńskim towarzystwie. Francesca uznała te warunki za absurdalne ale ostatecznie przyjęła wyzwanie i cała rzecz zakończyła się raczej niespodziewanie; jej brat zakochał się i poślubił pannę Constance Woodley. Choć Francesca zupełnie nie brała pod uwagę takiej możliwości, cieszyła się wraz z nimi, uważając, że sprawy potoczyły się jak najlepiej.

Książę wywiązał się z obietnicy. Bransoletka z pięknych ciemnoniebieskich szafirów połączonych brylantami o niezwykle czystej barwie została umieszczona w szkatułce obok pary szafirowych kolczyków.

Francesca spojrzała na Maisie, która przyglądała się jej bacznie.

- Nie - powiedziała, potrząsając głową. - Nie chcę jej jeszcze sprzedawać. A zresztą zawsze trzeba mieć coś w rezerwie.

- Oczywiście, milady. - Pokojówka schowała monetę do kieszeni. Zanim zamknęła za sobą drzwi, rzuciła jeszcze jedno badawcze spojrzenie na swoją panią.

Nie umknęło to uwagi Franceski. Maisie musiała być trochę zdziwiona, ale nie zwykła dopytywać się natarczywie o powody decyzji chlebodawczyni. Najlepiej nie myśleć o bransoletce i o Rochfordzie, uznała Francesca. Powinna się skupić na tym, jak przetrwać do następnego sezonu, czyli do kwietnia przyszłego roku, kiedy to panny zadebiutują u dworu, zaczną się bale, rauty, wieczorki i znów rodzice zaprezentują młode dziewczęta dojrzałe do małżeńskiego stanu, rozglądając się pilnie za stosownymi do ich pozycji kawalerami.

Od września do listopada, gdy wszyscy spragnieni nieco bardziej wyrafinowanych niż wiejskie rozrywek zjeżdżali do Londynu, życie towarzyskie nie zamierało, ale trudno było to porównać z sezonem. Pojawiało się znacznie mniej dziewcząt, kandydatów na mężów również. Francesca doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że szanse na podreperowanie finansów są w tym okresie znikome.

Mogłaby oczywiście zamknąć dom i pojechać do domu rodzinnego w Redfield. Zarówno jej brat Dominie, jak i jego świeżo poślubiona żona przywitaliby ją ciepło, ale nie pociągała jej perspektywa narzucania się młodej parze, która dopiero co wróciła z podróży poślubnej. Wystarczającą niedogodnością była bliskość rodziców, mieszkających w dworze położonym ledwie kilka mil od nich. Pojawi się tam dopiero w okolicy Gwiazdki i spędzi miesiąc, nie więcej.

Zastanowiła się, czy nie wziąć przykładu ze swojego przyjaciela, sir Luciena. Ilekroć uznał że brak funduszy daje mu się zbyt w znaki uzyskiwał psim swędem zaproszenie do posiadłości któregoś ze znajomych. Co prawda, nie było to może takie trudne w jego przypadku - przystojny, uwielbiający się bawić kawaler zawsze był mile widziany na towarzyskich imprezach, na których dziwnym trafem panie były w lekkiej przewadze.

To zbyt upokarzające uzyskiwać podstępem zaproszenia, uznała Francesca. Lepiej wybrać się w odwiedziny do krewnych. Do ciotki Lucindy i jej przeraźliwie bezbarwnej córki Maribel. Nie będą miały nic przeciwko temu, aby dotrzymała im towarzystwa w ich domu w Sussex. Potem mogłaby pojechać do Adelaide, mieszkającej w wielkim, dziwacznym domiszczu w Norfolk. Zawsze z radosną witała gości w nadziei, że wyręcą ją choć trochę w doglądaniu gromady dzieci.

Chociaż... Właściwie czy byłoby to takie niestosowne, gdyby napisała do kilku przyjaciół i wspomniała, jakie nudne jest o tej porze roku miasto, skoro wszyscy się rozjechali... Te rozmyślenia przerwała pokojówka.

- Milady, ma pani gości - powiedziała, stając w drzwiach. Rzuciła przez ramię niepewne spojrzenie i dodała pospiesznie: - Prosiłam o pozwolenie sprawdzenia, czy pani przyjmuje.

- Nonsens - rozbrzmiał donośnie energiczny kobiecy głos. - Nie potrzebuję pytać, czy lady Francesca mnie przyjmie.

Znała ten głos. Zerwała się na równe nogi, przeczuwając, że na nic dobrego się nie zanoszą.

Wysoka, otyła kobieta odziana w purpurę weszła zamasyżycie do saloniku. Miała suknię skrojoną według mody sprzed dziesięciu lat, ale na pierwszy rzut oka widać było, że nie z powodu braku pieniędzy. Uszył ją znakomity krawiec z drogiego aksamitu o doskonałej jakości. Lady Odelia Pencully demonstrowała w ten sposób, że nie zamierza liczyć się ze zdaniem modniarek. Nie liczyła się zresztą ze zdaniem nikogo, kto ośmielił się sprzeciwić.

- Lady Odelia - powitała ją Francesca i dała krok w kierunku gościa, czując się tak, jakby miała nogi z ołowiu. - Ja nie... Cóż za przyjemna niespodzianka.

Marsza pani parsknęła donośnie.

- Nie ma co udawać, moja droga. Dobrze wiem że mój widok cię przeraził - oświadczyła, a ton jej głosu bynajmniej nie wskazywał, że odczuwa przykrość z tego powodu.

Francesca skierowała wzrok ponad ramieniem lady Odellii na towarzyszącego jej mężczyznę. Wysoki, przystojny i jak zwykle nieskazitelny - kruczoczarne włosy były nienagannie ułożone, buty od Westona połyskiwały jak lustro. Wyraz twarzy miał oczywiście uprzejmy i nieprzenikniony, ale Francesca przysięgłaby, że dostrzegła w jego oczach błysk rozbawienia niczym u psotnego chłopca.

- Książę Rochford - powitała go zabarwionym irytacją tonem. - Niezwykle to uprzejmie z pana strony że skłonił pan lady Odelię, aby mnie odwiedziła.

Kąciki ust drgnęły mu lekko, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

- Lady Haughston - powiedział, skłaniając się przed nią. - Jak zwykle z przyjemnością panią widzę.

- Dziękuję. Maisie - zwróciła się Francesca do pokojówki. - Przynieś nam, proszę, herbaty.

Dziewczyna wyszła, wyraźnie uspokojona że nie zaniedbała swoich obowiązków. Lady Odelia podeszła do sofy. Francesca nachyliła się ku księciu i szepnęła:

- Jak pan mógł?

Rochford pozwolił sobie na skąpy uśmiezek i odparł cichym głosem:

- Zapewniam, że nie miałem wyboru.

- Nie obwiniaj go, moja droga - zagrzmiała lady Odelia, sadowiac się na sofie. - Poinformowałam go, że zjawię się tutaj z nim czy bez niego. Podejrzewam, że przyszedł głównie z tego powodu, aby próbować mnie utemperować.

- Ciociu droga, nigdy nie pozwoliłbym sobie na taką zuchwałość - zapewnił ją książę.

- Użyłam słowa próbować, chyba zauważyłeś.

- Tak. Zauważyłem. - Rochford pochylił z szacunkiem głowę.

- Usiądź wreszcie, dziewczyno - zakomenderowała lady Odelia, wskazując na krzesło. - Nie trzymaj go dłużej na nogach.

- Tak, oczywiście.

Francesca pospiesznie zajęła najbliższe stojące krzesło, a książę usiadł obok ciotki na sofie. Zawsze czuła się niezbyt komfortowo w obecności lady Odellii, jakby znów miała szesnaście lat. Była pewna, że starsza dama natychmiast zakonotowała, iż Francesca nosi starą suknię, i że nie zwiody jej przeróbki, których dokonała, aby nadać zgodny z obowiązującą modą styl. Zauważyła też niewątpliwie wyblakłe zasłony i odrapaną nogę stołu.

- Muszę przyznać, że zaskoczył mnie pani widok, lady Odellio. Mówiono mi, że pani przestała przyjeżdżać do Londynu.

- Bo przestałam i nie zjawiłabym się, gdybym nie musiała. Będę z tobą szczerą, dziewczyno. Nigdy bym nie przypuszczała, że poproszę cię o pomoc. Zawsze uważałam cię za płochą osobę.

- Ach tak... - Uśmiech Franceski stał się jeszcze bardziej wymuszony.

- Ciociu - zaprotestował książę, poruszywszy się niespokojnie.

- Nie bądź głupi - skarciła go stara dama . - Nie ma potrzeby się jeżyć. Zawsze miałam słabość do tej dziewczyny. Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

Rochford zacisnął wargi, skrywając uśmiech. Starannie unikał wzroku Franceski.

- Ona doskonale o tym wie - kontynuowała lady Odelia, wskazując głową. - Rzecz w tym, że naprawdę potrzebuję pomocy. Przyszłam cię poprosić o przysługę.

- Tak, oczywiście - powiedziała niewyraźnie Francesca, zastanawiając się, jakie to nieprzyjemne zadanie ma dla niej lady Odelia.

- Najlepiej wyłożę kawę na ławę. Muszę znaleźć żonę dla mojego ciotecznego wnuka.

Rozdział drugi

W saloniku zapadła na chwilę martwa cisza. Francesca spojrzała z niedowierzaniem na starszą damę, a potem skierowała wzrok na Rochforda.

- Ja... - Odchrząknęła, czując, że rumieniec wypełza jej na policzki.

- Nie, nie dla niego! - wykrzyknęła lady Odelia i roześmiała się hałaśliwie. - Piętnaście lat zmarnowałam na wyszukiwanie dla niego najlepszych partii. Nawet ja się poddałam. Nie, linia Lilles wygasłaby, gdyby to od tego głuptasa zależało - orzekła.

- Bardzo przepraszam, ale obawiam się, że nie rozumiem.

- Mam na myśli wnuka mojej siostry.

- Ach tak... Ja... Nie znam chyba siostry milady.

- Pansy - wyjaśniła lady Odelia. - Było nas czworo, nie licząc oczywiście trojga, które zmarło w dzieciństwie. Ja byłam najstarsza, potem urodził się mój brat, który odziedziczył tytuł księcia. To dziadek Rochforda. Potem siostra Mary i wreszcie najmłodsza Pansy. Poślubiła hrabiego Radbourne'a. Gladiusa... cóż za idiotyczne imię! Chodzi o wnuka Pansy, syna lorda Cecila.

- Och! - Francesca wreszcie połapała się w tym wszystkim. - Hrabiego Radbourne'a.

- Założę się, że teraz mnie rozumiesz. Musiałaś słyszeć plotki.

- Cóż... - zaczęła z ociąganiem Francesca.

- Nie ma co zaprzeczać. Śmietanka towarzyska o niczym innym nie rozprawiała przez kilka ostatnich miesięcy.

Lady Odelia miała rację. Niemal cały Londyn o tym plotkował. Dawno temu Gideon Bankes, dziedzic tytułu i majątku Radbourne'ów, jako czterolatek został uprowadzony wraz z matką. Wszelki ślad po obojgu zaginął. Po latach, kiedy uznano go za zaginionego, Gideon Bankes nagle się pojawił. Każdy miał własną teorię na temat tego, jak świeżo odnaleziony dziedzic Radbourne'ów wygląda, co robił przez minione lata, a przede wszystkim - czy nie jest uzurpatorem.

- Jestem przekonana, że to, co doszło do twoich uszu, jest w większości nieprawdą - zauważyła lady Odelia. - Lepiej będzie, jeśli sama ci o wszystkim opowiem.

- Sądzę, że to nie jest konieczne - powiedziała Francesca, niepewna, czy bardziej trawi ją ciekawość, czy pragnienie, aby lady Odelia jak najszybciej opuściła jej dom.

- Nonsens. Musisz poznać prawdę.

- Lepiej będzie pozwolić jej opowiedzieć - doradził lord Rochford. - Znacznie przyspieszy to całą sprawę.

- Nie bądź bezczelny, Sinclair - upomniała wnuka starsza pani. - Z pewnością nie pamiętasz tego, moja droga, bo byłaś maleńkim dzieckiem, ale

dwadzieścia pięć lat temu żona i syn mojego siostrzeńca Cecila zostali uprowadzeni. Przyszedł list z żądaniem okupu. Porywacze domagali się kolii z rubinów i brylantów, która od wieków należała do rodziny. Legenda głosiła, że po wstąpieniu na tron królowa Elżbieta podarowała rodowi kolie w dowód wdzięczności za zasługi. Cecil dał porywaczom, czego chcieli, ale żona z synem nie wrócili do domu. Cecil wierzył, że któregoś dnia się odnajdą. Lata minęły, zanim ożenił się powtórnie. Oczywiście najpierw wszczął całą stosowną procedurę sądową, aby uznać Selenę - tak nazywała się jego żona - za zmarłą. Czekał z tym około dwudziestu lat. Nie podjął jednak żadnych kroków co do chłopca. Sądzę, że nie dopuszczał do siebie myśli o śmierci dziecka. Rok temu Cecil zmarł. Druga żona Cecila, Teresa, dała mu syna Timothy'ego, który by dziedziczył, gdyby uznać Gideona za zmarłego. Zanim wszczęliśmy sądową procedurę, kazałam Rochfordowi wywiedzieć się, czy rzeczywiście po Gideonie wszelki śluch zaginął.

- Zatem... to księżę go odszukał?

- Przypisuje mi się taką zasługę - odparł Rochford. - Zrobiłem tyle, że wynająłem detektywa. To on znalazł Gideona w Londynie. Występował jako Gideon Cooper i udało mu się zbić całkiem niezłą fortunę. Nie miał pojęcia o swoim pochodzeniu.

- Niczego nie pamiętał? - zapytała zdumiona Francesca.

- Niczego oprócz imienia, które mu nadano. Miał cztery lata, kiedy oddzielono go od rodziny. Nie pamięta niczego do momentu, gdy został londyńskim ulicznikiem.

- Przecież ktoś musiał się nim zaopiekować - zaprotestowała Francesca. - Ten ktoś musiał coś wiedzieć o jego pochodzeniu.

- A skąd! - Lady Odelia zaprzeczyła z wyraźnym niesmakiem. - Twierdzi, że nikt się nim nie opiekował, że wychowywał się z gromadą takich jak on uliczników, żyjących w podejrzanych rejonach na East Endzie. Syn księcia, w

którego żyłach płynęła krew rodów Lilles i Bankes, mieszkał w pobliżu domów rozpusty, przestając z nie wiadomo kim!

- Ale skąd właściwie wiadomo, że to rzeczywiście Gideon? - dopytywała się zaciekawiona Francesca. - Skoro on sam nic nie pamięta i nie można znaleźć nikogo, kto go wychowywał...

- Z pewnością to on. - Sądząc po tonie głosu, lady Odelia nie była zachwycona tym faktem. - Ma znamię tuż pod lewą łopatką, niewielką malinową plamkę. Dokładnie taką samą jak mały Gideon. Pansy i ja dobrze ją pamiętamy: przypomina nachylony na jedną stronę brylant. Poza tym on wygląda jak potomek Bankesów. Ma też włosy i zarys podbródka po rodzinie Lilles.

- Nie jestem pewna... - zwróciła się Francesca do lady Odelii. - Nie rozumiem, do czego potrzebna jest moja pomoc w znalezieniu odpowiedniej żony dla hrabiego Radbourne'a. Milady, zna pani wszystkich, i to dużo lepiej niż ja.

- Nie mówimy o znalezieniu odpowiedniej kandydatki. Mówimy o znalezieniu chętnej kandydatki.

- Ależ z jego tytułem i majątkiem...

- Hrabia Radbourne nie udzielał się dotąd w towarzystwie. Bez wątpienia nie uszło to uwagi - stwierdziła lady Odelia, mierząc Francescę badawczym spojrzeniem. - Nie kłopotz się tym, jak mi to delikatnie powiedzieć. Wierz mi, znam plotki. Nie ma monstrualnego garbu ani krostowatej twarzy, nie jest karłem. Nie jest też szalony ani ogarnięty stuporem. Niemniej... jest... no cóż, jest pospolity.

- Ciociu Odelio, czy nie osądzasz go zbyt surowo? - zaprotestował Rochford. - Zważywszy okoliczności, Radbourne poradził sobie w życiu całkiem dobrze.

- Zgoda, jeśli mówimy o pieniądzach - przyznała z irytacją lady Odelia. Najwyraźniej finansowy sukces ciotecznego wnuka nie wzbudził jej wielkiego

uznania. - Nie jest to powód do dumy dla dżentelmena. Dorastał wśród ludzi najgorszego autoramentu, ani rodzina, ani krewni nie mieli wpływu na jego wychowanie. W rezultacie brakuje mu tego wszystkiego, co charakteryzuje dżentelmena. Manier, eleganckiego wystąpienia, odpowiedniego wykształcenia.

- Gideon jest bardzo oczynany, ciociu. - Rochford ponownie wziął Radbourne'a w obronę, ale starsza dama zbyła go machnięciem ręki.

- Phi! - parsknęła pogardliwie. - Nie mówię o książkach, Sinclair, tylko o tym, co się liczy. Nie umie tańczyć, nie ma pojęcia, jak poprowadzić uprzejmą konwersację, ledwie trzyma się w siodle. - Umilkła, jakby potrzebowała czasu, żeby ochłonąć po tych okropnościach, które powiedziała o wnuku. - Odnosi się stanowczo zbyt familiarnie do służby i dzierżawców, podczas gdy z rodziną i okolicznymi posiadaczami ziemskimi nie ma o czym rozmawiać! Zdołaliśmy go utrzymać przez większość czasu w rezydencji, nieszczęściem teraz stanowczo nalega na powrót do Londynu.

- Prowadzi tu interesy - powiedział z lekkim naciskiem książę.

- Co będzie, jeśli ktoś, kogo znamy, natknie się na niego prowadzącego te... interesy?

- Ciociu, nie sądzę, by ktoś uważał za warte wzmianki to, że odwiedził bank albo spotkał się ze swoimi urzędnikami. Jeszcze chwila, a lady Haughston poweźmie przekonanie, że powinniśmy trzymać go pod kluczem gdzieś na strychu.

- I trzymalibyśmy, gdyby to tylko ode mnie zależało - zapewniła lady Odelia.

Książę ściągnął brwi. Francesca zrozumiała, że za chwilę w jej saloniku nastąpi burzliwa wymiana zdań między tym dwojgiem.

- Lady Odelio - wtrąciła pospiesznie - dalej nie bardzo rozumiem, co ja mogłabym w tej sprawie zrobić. Jak mam go komukolwiek przedstawić, skoro nie interesuje go bywanie w towarzystwie?

- Ciotka chciałaby, żeby pomogła pani ułożyć mu życie - wyjaśnił kąśliwym tonem Rochford.

- Proszę? - Francesca uniosła brwi.

- Nie utrudniaj, Sinclair - ofuknęła wnuka lady Odelia. - Nie musisz atakować Franceski tylko dlatego, że jesteś zły na mnie.

Rochford lekko skłonił głowę w geście skruchy.

- Proszę mi wybaczyć, lady Haughston, nie chciałem pani obrazić.

- Och, niech się pan nie zamartwia - odparła słodkim tonem. - Nauczyłam się nie przywiązywać zbytnej wagi do tego, co pan mówi.

Nie odezwał się, posłał jej tylko ironiczne spojrzenie.

- Nie jest tak, że nie lubię tego chłopca - oświadczyła lady Odelia. - Poza tym to przecież mój cioteczny wnuk i nie chciałabym, żeby mi ktokolwiek zarzucił gnębienie rodziny. W żyłach Gideona płynie krew Lillesów i rzeczywiście nie jest jego winą, że nie nauczono go właściwie się zachowywać. Rozważyłam to i znalazłam rozwiązanie: Gideon musi się ożenić.

Nie, to niemożliwe, przemknęło Francesce przez głowę, czy ona mnie ma na myśli!

- Powinien związać się z kobietą o nieposzlakowanej opinii z szanowanej starej arystokratycznej rodziny. Z taką, która dawałaby nadzieję, że potrafi na niego wpłynąć, oszlifować go, zatuszować jego błędy. A jeśli to okaże się niemożliwe, cóż... niech przynajmniej zagwarantuje, że ich dzieci zostaną właściwie wychowane. - Lady Odelia wzięła głęboki oddech i autorytatywnie stwierdziła: - Odpowiedni mariaż ucina wszelkie spekulacje i eliminuje nawet cień skandalu.

- Według mnie - zabrała głos Francesca - znalezienie stosownej kandydatki nie powinno nastroczać problemów. Z pewnością nie brakuje dostatecznej liczby szlachetnie urodzonych panien skłonnych związać się z mężczyzną, w którego żyłach płynie krew rodu Lilles i Bankes, a także...

- Jasne, że były chętne na taki mariaż! - przerwała jej ze zniecierpliwieniem lady Odelia. - Sprowadziłam kilka odpowiednich dziewcząt do Radbourne Hall, z czego co najmniej pięć bardzo odpowiednich, ale po dokonaniu prezentacji część wycofała się natychmiast, a pozostałe odrzucił sam Gideon. Wyobrażasz sobie, moja droga?! Odrzucił panny, które ja wyszukałam!

- Bardzo mi przykro... - powiedziała bez przekonania Francesca.

- Córka Benningtonów ma potwornego zęza - odezwał się Rochford. - Panna Farnley to istna gęś, a lady Helen jest po prostu nudna.

- Nawet nie chciał z nimi rozmawiać!

- Powiedziałbym, że chciał i próbował, okazując wiele dobrej woli.

- Co prawda, nie powinno mnie to dziwić, mogłam po nim się spodziewać takiego zachowania - mówiła lady Odelia, puszczając uwagę wnuka mimo uszu.

- Bóg jeden wie, jaki rodzaj kobiet on preferuje. To jeszcze jeden powód, żebyś zajęła się wyszukaniem mu żony, i to szybko. Kiedy pomyślę, kogo może nam sprowadzić do domu... - Starsza pani potrząsnęła ze zgrozą głową. - Panuje powszechna opinia, że bardzo zręcznie aranżujesz związki. I muszę powiedzieć, że jest to prawda, biorąc pod uwagę na przykład małżeństwo twojego brata z panną Woodley.

- Czyli chciałyby pani, żebym pomogła znaleźć żonę dla lorda Radbourne'a? - upewniła się ostrożnie Francesca.

- A o czym mówię od dobrej półgodziny! Doprawdy, dziewczyno, stanowczo powinnaś okazać mi więcej uwagi.

- Tak, z pewnością, bardzo przepraszam - bąknęła Francesca.

- Co prawda, niewielką mam nadzieję, że zdołasz go ożenić, skoro wszystkie nasze wysiłki zawiodły. Chociaż Rochford zapewnił mnie, że nikt lepiej niż ty nie wywiąże się z tego zadania.

- Rzeczywiście? - Francesca spojrzała ze zdumieniem na księcia.

- Tak - potwierdził, a jego twarz przybrała poważny wyraz. - Mam szczerą nadzieję, że potrafi pani wyszukać dla Gideona właściwą życiową partnerkę.

Wystarczająco dużo przeszedł do tej pory. Zasluguje na odrobinę szczęścia. Gdyby zechciała pani przyjechać do nas i poznać mojego odnalezionego krewnego, zobaczyłaby pani, jaki jest naprawdę. Myślę, że wtedy zdołałaby pani znaleźć bez trudu odpowiadającą mu osobę.

- Rozumiem - powiedziała Francesca, ujęta jego troską. Do tej pory uważała, że traktuje jej wysiłki w swataniu par jako nieszkodliwą błahostkę.

- Dokładnie o to mi chodzi - oświadczyła lady Odelia. - Powinnaś go poznać. Wtedy wszystko zrozumiesz. A może zdołasz dodać mu nieco ogłady, zanim dojdzie do spotkania z dziewczyną, którą wybierzesz. Cokolwiek można ci zarzucić, twoje maniery są nienaganne.

Francesca popatrzyła na lady Odelię, odzianą w purpurę, z wysoko upiętą staroświecką fryzurą, i wyobraziła sobie, jak będzie wyglądało codzienne życie w posiadłości. Bez wątpienia ta narzucająca wszystkim swój punkt widzenia kobieta będzie wtrącała swoje trzy grosze do wszystkiego, co przedsięwzięmie Francesca, kwestionując jej decyzje i kłócąc się o drobiazgi. Sądząc z tego, co usłyszała, hrabia Radbourne też nie jest najprzyjemniejszą osobą.

Instynktownie czuła, że powinna odrzucić propozycję lady Odelii, ale rozum podpowiadał, że postąpiłaby nierozsądnie. Czyż to nie ona zastanawiała się jeszcze przed chwilą, jak przeżyć najbliższe miesiące? Lady Odelia z pewnością wynagrodziłaby ją sownie za wyszukanie odpowiedniej kandydatki na żonę dla ciotecznego wnuka, a zamieszkanie w Radbourne Hall pozwoliłoby jej zaoszczędzić na wydatkach domowych.

Księżę poprosił ją o pomoc w taki sposób... Czy naprawdę jest zdolna mu odmówić?

- Dobrze - zdecydowała się.

- Doskonale! - Lady Odelia skinęła energicznie głową. - Rochford mówił, że możemy na ciebie liczyć.

- Tak? - Francesca spojrzała na księcia.

- Tak - potwierdził z ironicznym uśmiechem, który niezmiennie ją irytował. - Wiedziałem, że nie oprze się pani wyzwaniu.

- Najwyższy czas przejść do szczegółów - oznajmiła stanowczo lady Odelia. - Powinna to być posłuszna osoba, świadoma swoich obowiązków

wobec rodziny, to oczywiste. Nie chciałabym jednak, żeby to była jakaś mimoza gotowa uciekać gdzie pieprz rośnie na najłżejszą krytykę.

Jednym słowem taka, która bezwolnie podda się wszystkim twoim sugestiom, pomyślała Francesca.

- Musi też być to taka dziewczyna, która będzie zdolna wyrzeć wpływ na Gideona.

Aha, czyli zaznajomiona ze sztuczkami, które pozwolą nagiąć męża do jej woli, zinterpretowała Francesca.

- Ma być wykształcona, ale nie żadna przeraźliwa sawantka.

Lady Odelia kontynuowała niekończącą się listę pożądanых przymiotów przyszłej żony ciotecznego wnuka, z których wiele przeczyło sobie, a Francesca z uprzejmym uśmiechem kiwała potakująco głową. W myślach robiła przegląd dobrze urodzonych panien z towarzystwa, które byłyby skłonne związać swój los z Radbourne'em. Kiedy wreszcie lady Odelia skończyła wymieniać cechy, jakimi powinna charakteryzować się przyszła żona hrabiego, przeszła do listy kandydatek.

- Mogłabyś zacząć od córki lorda Hurleya, moja droga. Dobra rodzina, dziewczyna jest zrównoważona, na pewno nie będzie robić dąsów z byle powodu.

- Ciociu Odelio - zaprotestował Rochford - ona jest zafascynowana końmi.

- Co w tym dziwnego? Pochodzi z Hurleyów.

- Gideon ledwie trzyma się w siodle.

Lady Odelia ciężko westchnęła.

- I co z tego? Nie potrzebuje żony, która będzie kurczowo się go czepiała. To nie ma być małżeństwo z miłości, nie musi mu wszędzie towarzyszyć.

- Słusznie. Co też przychodzi mi do głowy - odparł ironicznie książę.

Zanim lady Odelia zdążyła wrócić do wymieniania stosownych kandydatek, w drzwiach pojawiła się pokojówka i dygnawszy, zaanonsowała:

- Hrabia Radbourne, milady.

Nawet lady Odellii odebrało mowę. Wszyscy troje wpatrzyli się w drzwi. Za plecami pokojówki pojawił się mężczyzna i wszedł do saloniku.

- Gideon! - wykrzyknęła lady Odellia na poły ze zdziwieniem, na poły z niedowierzaniem.

Francesca przyjrzała mu się z zainteresowaniem. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak sobie wyobrażała odnalezionego dziedzica fortuny i tytułu, ale na pewno nie tak. Spodziewała się niezgrabiasza o niezręcznym sposobie bycia, nerwowego i niepewnego siebie. Mężczyzna, który przed nią stał, wydawał się niewzruszony niczym głaz. Niższy i nie tak elegancki jak książę, był od niego potężniejszy.

Mocno zbudowany, miał szeroką klatkę piersiową i muskularne ramiona. Nosił doskonale skrojony surdut, buty lśniły jak lustro, roztaczał aurę siły i zamożności.

Jednak mimo kosztownego ubrania i postawy demonstrującej pewność siebie, dało się wyczuć, że nie jest dżentelmenem. Może z powodu gęstych czarnych włosów, zaczesanych niedbale do tyłu. A może jego przystojna twarz była za mocno opalona i miała zbyt zacięty wyraz? Nie, doszła do wniosku Francesca, to jego oczy - patrzące na świat czujnie, w sposób charakterystyczny dla kogoś, kto musiał stawić czoło pułapkom czyhającym na ulicy, bo nie spędził dzieciństwa w bezpiecznym, pełnym luksusu domu.

Kiedy zaczął mówić, nie było wątpliwości, że nie należy do arystokracji. Nie robił błędów gramatycznych i miał dość poprawną wymowę, mimo to od razu wyczuwało się, że nie dorastał wśród elit towarzyskich.

- Lady Odellio. - Gideon skłonił lekko głowę przed cioteczną babką, a potem spojrzał beznamiętnie na księcia. - Rochford.

- Radbourne - odparł książę i cień uśmiechu pojawił się na jego wargach. - Co za nieoczekiwana niespodzianka.

- Na pewno - powiedział sucho Gideon. Zwrócił się do Franceski z lekkim, ale zupełnie poprawnie wykonanym ukłonem. - Milady.

Francesca wstała i wyciągnęła rękę.

- Hrabio, zechce pan usiąść z nami?

Skinął głową i przeszedł przez pokój, by zająć krzesło stojące najbliżej lady Odellii.

- Zatem, ciociu - powiedział - przyszedłeś tu, żeby kolejny raz decydować o moim życiu, nie myślę się?

Lady Odellia zadarła podbródek i spojrzała na Gideona niepewnie. Francesca nie bez rozbawienia dostrzegła, że przerażająca wszystkich lady Pencully obawia się ciotecznego wnuka.

- Pragnę znaleźć ci odpowiednią żonę. Ufam, że zdajesz sobie sprawę z tego, czego wymaga twoja pozycja.

Posłał jej przeciągłe spojrzenie zielonych oczu.

- Jestem całkowicie tego świadomy. Obrzucił Francescę taksującym wzrokiem.

- Moja babka i cioteczna babka szukają dla mnie żony w nadziei, że mnie ucywilizuje przynajmniej tak, by można mnie było zaprezentować towarzystwu. Zdaję sobie sprawę, że powinienem się ożenić, i jestem skłonny to uczynić. Jestem pewien, że w przeciwieństwie do mojej babki i lady Pencully może pani uda się znaleźć mi narzeczoną. Polegam na zapewnieniu księcia, że pani wie, co robić.

- Powiedziałeś Gideonowi, że zamierzamy tu się zjawić? - zapytała Rochforda lady Odellia, nie skrywając zdziwienia.

- Wydało mi się to jedynie możliwym zachowaniem, skoro rzecz miała dotyczyć jego życia - odparł spokojnie.

- Lady Haughston - kontynuował Gideon - sądzę, że powinienem coś wyjaśnić. To ja mam zaakceptować kandydatkę, nie lady Pencully. - Umilkł na chwilę, a potem dodał: - Nie chciałbym męczyć się z głupią kobietą.

- Rozumiem.

- To dobrze. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę zostać dłużej. - Wstał z krzesła. - Powiniennem załatwić wiele spraw związanych z interesami, które prowadzę, czym tak pogardza moja rodzina.

- Oczywiście. Bez wątpienia będziemy mieli okazję jeszcze nieraz rozmawiać.

Skłonił głowę, pożegnał księcia i lady Odelię i stawiając wielkie kroki, podszedł do drzwi. Już stojąc na progu, odwrócił się i powiedział:

- Lady Haughston, czy mógłbym zasugerować kogoś, kogo chętnie wziąłbym pod uwagę?

Francesca kątem oka dostrzegła niespokojne poruszenie lady Odellii, ale nie spuściła wzroku z Gideona.

- Oczywiście, milordzie. Kogo ma pan na myśli?

- Lady Irene Wyngate.

Rozdział trzeci

Irene z przyjemnością patrzyła na matkę. Ich kuzyn, sir Harville, był jednym z niewielu mężczyzn, którym pozwalała się poprosić do tańca, uważając, że wdowie nie wypada akceptować wszystkich zaproszeń. Był też jednym z niewielu ludzi, którym udawało się wywołać uśmiech na jej twarzy.

Nic dziwnego, że Irene zawsze z utęsknieniem wyczekiwała na bal urodzinowy jego żony, lady Spence. Tym razem przygotowaniem zajmował się sir Harville, a nie jego skąpa żona, więc sala balowa była bogato udekorowana, a podana o północy wystawna kolacja pobudziła apetyt nawet tych, którzy nie odczuwali głodu.

- Niewielka, ale urocza sala balowa - powiedziała siedząca obok Irene bratowa. Na jej twarzy aprobata mieszała się z poczuciem wyższości. - Dużo mniejsza niż w Wyngate House, a przecież zdołali ją doskonale przygotować.

Maura była mistrzynią w prawieniu fałszywych komplementów. Irene stłumiła westchnienie. Obiecała matce, że dzisiejszego wieczoru postara się nie sprzeczać z bratową.

- Lady Claire dobrze dziś wygląda, prawda, kochanie? - zwróciła się z uśmiechem Maura do stojącego obok nich Humphreya.

- Tak, rzeczywiście wygląda ładnie. Miło, że to zauważyłaś - potwierdził rozpromieniony Humphrey.

Irene wciąż nie mogła pojąć, jakim sposobem jej inteligentny i umiejący ocenić innych ludzi brat daje się tak łatwo zwieść pozornej słodczy żony i nie dostrzega zjadliwości ukrytej w jej słowach.

- Niech sobie gadają, co chcą, uważam, że dla niej to dobrze, gdy może zatańczyć.

- Czy coś mówi się na ten temat?

- Nie - zapewniła brata Irene, rzucając Maurze ostre spojrzenie.

- Przecież nie ma nic złego w tym, że kobieta w jej wieku tańczy z kuzynem... nawet tak skoczny taniec - włączyła się Maura. - Co do innych dam można by podejrzewać, że chcą w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, ale przecież twoja matka nigdy by się do tego nie posunęła.

- Czy ktoś sugerował właśnie coś takiego?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo Irene. - Niczego podobnego nikt nie mówił. Nie ma w tym nic niewłaściwego, nawet gdyby mama tańczyła z kim innym, nie z kuzynem. Byłoby nieludzkie odbierać jej coś, co ją tak cieszy.

- O tak! - Maura pokiwała głową. - Choć muszę przyznać, że wołałabym, aby lady Claire, przy całej swojej kruchości, wybierała raczej wolniejsze tańce.

- Rzeczywiście - zgodził się Humphrey, spoglądając z uwielbieniem na żonę. - Jesteś zawsze taka uważająca dla matki.

- Humphrey - powiedziała impulsywnie Irene - jeżeli ty lub twoja żona powiecie cokolwiek, co zniszczy radość matki...

- Irene! - Maura wyglądała na głęboko dotkniętą. W niebieskich oczach zaślniły łzy. - Nigdy nie zraniłabym lady Claire. Jest mi droga jak własna matka.

- Irene - rzekł poruszony Humphrey - przecież wiesz, jakie uczucia Maura żywi do mamy.

- Tak - potwierdziła z goryczą Irene. - Wiem.

- Czasem przebierasz miarę, a Maura jest taka wrażliwa.

- Humphrey, kochanie - powiedziała szybko Maura, zanim Irene zdążyła się odezwać. - Jestem pewna, że twoja siostra nie chciała mi dokuczyć.

Irene zacisnęła dłonie w pięści, całą siłą woli powstrzymując się, by nie odpowiedzieć bratowej tak, jak na to zasługiwała. Doskonale wiedziała, że tamta tylko na to czeka. Przy całej swojej głupocie Maura miała zadziwiającą zdolność manipulowania ludźmi i obracania sytuacji na swoją korzyść. Odczekawszy chwilę, czy Irene czegoś nie powie, Maura rzuciła jej w końcu triumfujące, złośliwe spojrzenie, a potem odwróciwszy głowę, powiedziała z ożywieniem:

- Och, popatrz tylko, lady Haughston idzie w naszym kierunku. Będiesz miała sposobność porozmawiać z nią o tym, o czym przedwczoraj dyskutowaliśmy.

- Dyskutowaliście? O czym? - zainteresował się Humphrey. - Nie miałem pojęcia, że jesteście zaprzyjaźnione z Francescą Haughston.

- Bo nie jesteśmy - ucięła Irene.

- Och, nieważne, kochanie - wtrąciła Maura, uśmiechając się do męża. - Takie pogaduszki o niczym, jak to między kobietami.

- Aha. - Skinął głową, wyraźnie ucieszony, że siostra i żona mają swoje tajemnice. - Skoro tak, nie będę nalegał. - Skłonił się przed damą, która właśnie do nich podeszła. - Lady Haughston. Miło panią widzieć.

- Lordzie Wyngate. Lady Wyngate. Lady Irene -przywitała ich Francesca, każdemu posyłając promienny uśmiech. - Bardzo udany bal, prawda?

Przez kilka minut wymieniali uprzejme uwagi na temat pięknej jesiennej pogody, niedostatku rozrywek w Londynie o tej porze roku, kiedy sezon towarzyski zamarł, zdrowia i szczęścia brata lady Haughston i jego świeżo poślubionej żony. Kiedy na moment zapadła cisza, Francesca natychmiast wykorzystwała przerwę w konwersacji, by zaproponować Irene:

- Właśnie zamierzałam przejść się wokół sali. Czy miałyby pani ochotę przyłączyć się do mnie?

Zaskoczona Irene patrzyła na nią przez chwilę, zanim odpowiedziała:

- Ależ tak, z przyjemnością.

Francesca z uśmiechem ruszyła przed siebie, a Irene nie pozostało nic innego, jak pójść za nią. Rzuciła spojrzenie na Maurę, zastanawiając się, czy to ona zaaranżowała spotkanie, ale zdumienie na twarzy bratowej wyglądało na szczere.

Przechadzały się wolnym krokiem, zmierzając w kierunku otwartych na oścież kilku par prowadzących na taras drzwi, przez które płynęło orzeźwiające wieczorne powietrze. Prowadziły lekką rozmowę o niczym i ciekawość Irene rosła z każdym krokiem. Nie, stanowczo nie wyglądało to na prosty zbieg okoliczności, że lady Haughston podeszła do nich dokładnie w kilka dni potem, jak Maura nalegała, by poprosić ją o pomoc w wyszukaniu męża dla Irene.

Rumieniec powoli wypływał na twarz Irene, kiedy zdała sobie sprawę, że bratowa mogła we właściwy sobie mało subtelny sposób rozmawiać na temat jej przyszłości z lady Haughston. Czy miała ona powody wyświadczać Maurze przysługę? Żadną miarą nie można byłoby je uznać za dobre znajome. Widziały się może parę razy, zawsze przy takich towarzyskich okazjach jak ta, zresztą trudno byłoby sobie wyobrazić, by Francesca Haughston szukała przyjaźni Maury. Nie, to nie to, pomyślała Irene, nie chodzi o przysługę dla Maury. Nie była oczywiście na tyle naiwna, by sądzić, że lady Francesca nagle uznała ją za osobę fascynującą, w której towarzystwie warto się znaleźć.

- Lady Haughston - zwróciła się do niej impulsywnie, przerywając w połowie opowiadanie jakiejś smakowitej towarzyskiej ploteczki.

Francesca spojrzała na nią zaskoczona i Irene zdała sobie sprawę, jak niegrzecznie się zachowała. Cóż, nic niezwykłego, nader często oskarżano ją o nieuprzejmość.

- Proszę mi wybaczyć, nie powinnam w ten sposób pani przerywać. Ale zna mnie pani już wystarczająco długo, by wiedzieć, że lubię zmierzać prosto do celu. Dlaczego chciała pani, bym jej towarzyszyła?

- Tak, znam pani skłonność do oznajmiania wprost, co pani myśli - przyznała Francesca. - Generalnie uważam, że najlepiej mówić prawdę, ale hołduję też zasadzie, że grzeczność nic nie kosztuje. Otóż wypróbowany przyjaciel rodziny zwrócił się do mnie z prośbą o przysługę. Zależało mu na tym, abym przedstawiła pani kogoś, kto bardzo chciałby panią poznać.

- Mnie?! Ale kto to? Dlaczego?

- Przychodzi mi na myśl tylko taka odpowiedź, że jest pani wielbicielem - odparła Francesca, uśmiechając się ujmująco i nieco tajemniczo, jak tylko ona potrafiła.

Tym razem Irene na chwilę odjęło mowę. W końcu jednak ją odzyskała.

- Doprawdy, lady Haughston, nie jestem pierwszą naiwną ani to mój pierwszy sezon. Naprawdę sądzi pani, że w to uwierzę?

- Nie wypytywałam go wprawdzie o przyczyny, dla których chciałby panią poznać, choćby z prostej grzeczności, niemniej taki jest właśnie na ogół powód, jeśli dżentelmen pragnie poznać tę a nie inną pannę. Nie wierzę też, aby oceniała pani siebie tak nisko, by uznać, że nie wzbudza pani zainteresowania mężczyzn.

Irene taksowała ją przez chwilę wzrokiem. Jedno musiała przyznać: została w elegancki sposób znokautowana.

- To nie przez fałszywą skromność - odezwała się wreszcie. - Jednak zdaję sobie sprawę z reputacji, jaką się cieszę i jaka odstręcza ode mnie mężczyzn.

- Reputacji, lady Irene? Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

- Sądziłam, że generalnie woli pani mówić prawdę - odcięła się Irene. -
Dobrze obie wiemy, że jestem uważana za złośnicę.

- Dżentelmen, o którym mowa, nie jest wprawdzie naiwny, ale to jego pierwszy sezon.

- Jak to? - zapytała zaintrygowana Irene, ale zanim zdążyła dowiedzieć się czegoś więcej, lady Haughston przeniosła wzrok ponad jej ramieniem i uśmiechnęła się do kogoś.

Irene odwróciła się, by zobaczyć, kto przyciągnął jej uwagę. Wysoki, o szerokich barkach mężczyzna zmierzał prosto w ich kierunku, stawiając wielkie kroki. Emanował siłą i zdecydowaniem. Kruczoczarne, gęste włosy nosił dłuższe, niż nakazywała moda. Miał surową twarz o wyrazistych rysach, wysoko sklepione kości policzkowe i mocno zarysowany podbródek. Czarne brwi wznosiły się lekko ku górze.

Nie rozpoznała go, ale poczuła lekki niepokój i wydało jej się, że już go musiała spotkać. Kim on jest?

- Hrabio Radbourne - powiedziała Francesca, wyciągając dłoń na powitanie.

- Lady Haughston. - Skłonił głowę nad jej dłonią i natychmiast przeniósł wzrok na Irene.

Nie patrzył na nią lubieżnie ani zuchwale, po prostu przyglądał się jej tak otwarcie, że ogarnęło ją zdenerwowanie. Było w nim coś, co różniło go od innych mężczyzn, i Irene poczuła się zaintrygowana. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że chciałaby z nim porozmawiać, dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Odczucie to zdumiało ją i zirytowało jednocześnie.

- Pozwoli pan, że przedstawię go lady Irene Wyngate - odezwała się swobodnym tonem Francesca. - Lady Irene, Gideon, hrabia Radbourne, cioteczny wnuk lady Pencully.

Teraz już Irene wiedziała, kim jest nieznajomy. Zaginionym przed laty dziedzicem fortuny i tytułu rodu Bankes, człowiekiem, o którym plotkowano w towarzystwie przez ostatnich kilka miesięcy, chociaż nikt nie mógł się pochwalić, że go widział. Słyszała o nim niestworzone rzeczy. Miał być kryminalistą wtrąconym na lata do więzienia, z którego zdołano go wydobyć tylko dzięki ustosunkowanej rodzinie. To znowu szaleńcem, a według jeszcze innych - był niedorozwinięty. Kilku dżentelmenów, zarzekając się, że to zbyt okropne, by wspominać o tym w obecności dam, czyniło aluzje do jego zamiłowania do perwersji. Wielu utrzymywało, że jest zdeformowany tak potwornie, iż nie można na niego patrzeć.

Irene wyciągnęła rękę, starając się przybrać uprzejmy wyraz twarzy, aby nie zdradzić się z zainteresowaniem, jakie poczuła.

- Bardzo mi miło, hrabio Radbourne.

- Lady Wyngate - powiedział, ujmując jej dłoń i pochylając głowę.

Irene poczuła niespodziewany dreszcz podniecenia, gdy palce Radbourne'a zetknęły się z jej palcami. Idiotyczne, pomyślała, to tylko lekkie dotknięcie, zwyczajowa uprzejmość, jakiej doświadczała tyle razy przy podobnych okazjach.

A jednak... Zapadło niezręczne milczenie. Hrabia bez słowa wpatrywał się w Irene. Nie miała pojęcia, dlaczego chciał ją poznać, ale nie będzie mu schlebiać. Postanowiła, że w ogóle nie okaże mu zainteresowania.

Francesca przeniosła wzrok z Irene na hrabiego i z powrotem.

- Wspaniały bal, prawda? - odezwała się. - Mam nadzieję, że panu też się podoba.

Hrabia rzucił jej przelotne spojrzenie, a potem natychmiast ponownie utkwiał wzrok w Irene.

- Czy mogę panią prosić do tańca?

- Nie mam ochoty na tańce - odparła niegrzecznie.

Kątem oka zobaczyła, jak Francesca unosi ze zgorszeniem brwi. Hrabia Radbourne z błyskiem rozbawienia w oczach oświadczył:

- To znakomicie, bo bardzo niewprawy ze mnie tancerz. Może po prostu przejdziemy się i porozmawiamy.

Jego obraźliwie bezpośrednia propozycja odebrała Irene mowę, za to nie straciła jej Francesca.

- Doskonały pomysł - orzekła lekko rozbawiona. - Pójdę złożyć wyrazy uszanowania gospodyni.

Odwróciła się i pospiesznie odeszła, zostawiając Irene z hrabią Radbourne'em. W tej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak przyjąć podane sobie ramię. Nie uszło jej uwagi, że stali się obiektem zainteresowania obecnych. Gdyby teraz zachowała się z rozmysłem niegrzecznie i odeszła, nazajutrz całe Mayfair huczałoby od plotek.

Skinęła więc wyniośle głową, kładąc dłoń na jego ramieniu. Zaczęli iść wzdłuż ściany, okrążając tańczących pośrodku sali balowej.

- Lady Haughston wspomniała, że chciał mnie pan poznać - odezwała się Irene, swoim zwyczajem nie owijając niczego w bawełnę.

- To prawda - stwierdził krótko.

- Trudno mi zrozumieć dlaczego.

- Tak? - spytał, a na jego twarzy znów pojawił się wyraz lekkiego rozbawienia.

- Tak - odparła. - Mam dwadzieścia pięć lat i od jakiegoś czasu uznaje się mnie za starą pannę.

- Przypuszcza pani zatem, że interesuję się panią ze względów matrymonialnych?

Irene zaczerwieniła się.

- Powiedziałam już panu, że nie rozumiem, dlaczego chciał pan mnie poznać i niczego nie przypuszczam. Natomiast prawdą jest, że mężczyźni rzadko pragną być przedstawieni starej panie.

- Może chciałem odnowić naszą znajomość.

- Co takiego?! - Odwróciła głowę i spojrzała na niego zdumiona. Odniosła wrażenie, że gdzieś go widziała, i teraz to uczucie wróciło ze zdwojoną siłą. - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Tylko to, że już się spotkaliśmy. Czy pani mnie nie pamięta?

Zaambarasowana, Irene ledwie zauważyła, że wyszli przez podwójne drzwi na taras.

- Pozwolę sobie zatem odświeżyć pani wspomnienia - powiedział, prowadząc ją do wysokiej ściany z kamienia. - Kiedy mnie pani ostatni raz widziała, próbowała mnie pani zastrzelić.

Zdjęła dłoń z jego ramienia i spojrzała mu prosto w twarz.

- Co pan tu... - Urwała. Wróciły obrazy sprzed lat... dziesięciu czy więcej? Był w holu, waląc w ojca jak w worek treningowy... Powstrzymała ich, oddając w powietrze strzał z pistoletu ojca. - To pan! - wykrzyknęła.

- Tak, ja - potwierdził.

- Nie próbowałam pana zastrzelić. Celowałam ponad pańską głową, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gdybym próbowała pana zabić, już by pan nie żył - powiedziała zgryźliwie Irene.

Spodziewała się, że po tym, co usłyszał, okręci się na pięcie i zostawi ją w spokoju, tymczasem on parsknął śmiechem. Rysy twarzy mu złagodniały, w oczach tańczyły iskierki rozbawienia i Irene nagle dech zaparło w piersiach, taki wydał jej się przystojny. Rumieniec zabarwił jej policzki, tym razem nie z powodu zmieszania.

- Cieszy mnie, że nie żywi pan urazy - stwierdziła rzeczowym tonem.

Odwróciła się i zaczęła iść wzdłuż kamiennej ściany, dając mu do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

Ku jej zdumieniu, dotrzymał jej kroku.

- To przecież naturalne, że dziecko chce chronić ojca. Trudno panią za to winić.

- Zdaje się, że znał pan bardzo dobrze mojego ojca i doskonale pan wie, że nie zasługiwał na to, aby go chronić.

- To, na co ktoś zasługuje czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia, jeśli mówimy o rodzicach i dzieciach - zauważył, wzruszając ramionami.

- Ojciec wytłumaczyłby panu, że byłam wyrodną córką.

- Powstrzymała mnie pani, czyż nie?

- Tak - odparła i skierowała wzrok na ogród. - Dalej nie rozumiem, dlaczego chciał pan zostać oficjalnie przedstawiony komuś, kto trzymał wycelowany w pana pistolet.

- Powiedziałem lordowi Wyngate'owi, o co mi chodzi, i to tak czy owak zamyka sprawę. Co innego z panią. Wydała mi się pani interesującą osobą.

- Dlatego, że do pana strzelałam?

- Ponad moją głowę - przypomniał i lekki uśmieszek znów rozjaśnił jego twarz. - Zapomniała pani?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Miała pani rację. W grę wchodzi względy matrymonialne.

- Słucham?!

- Moja rodzina uważa, że powinienem poślubić młodą damę o odpowiedniej pozycji. Koleje mojego życia wywołały, zdaje się, skandal, co odbija się na reputacji rodziny. Poza tym hrabia, który nie umie jeździć konno i w którego wymowie słychać naleciałości biednych dzielnic Londynu, to ubolewania godne zjawisko. A już o tym, że zajmuję się prowadzeniem interesów, bezpieczniej w ogóle nie wspominać.

Mówił lekkim tonem, ale Irene słyszała nutę pogardy w jego głosie. Było oczywiste, że nie przepada za świeżo odnalezioną rodziną. Poczula do niego coś na kształt sympatii. Ona sama od wielu lat była przez szlachetnie urodzonych, a nawet przez członków własnej rodziny traktowana w nieprzyjemny sposób i nielubiana za zbytnią bezpośredniość i szczerłość.

- Powzięli więc plan - ciągnął Radbourne - aby zatuszować moje wady poprzez zaaranżowanie małżeństwa z panną pochodzącą z dobrej rodziny. Mają nadzieję, że żona pokieruje mną tak, bym nabrał lepszych manier, a w każdym razie będzie potrafiła zatuszować moje gafy.

- Jest pan dorosły - podkreśliła z naciskiem Irene. - Nie mogą zmusić pana do małżeństwa.

- Nie - zgodził się niechętnie. - Mogą mnie tylko zagadać na śmierć.

Irene skryła uśmiech. Dobrze wiedziała, jak trudno znieść bezustanne nękanie.

- Zresztą zgadzam się, że powinienem się ożenić i spłodzić potomka. Jeśli teraz się im oprę, odsunę tylko w czasie to, co nieuniknione. Bawiłem się myślą, aby ożenić się z baletnicą czy kimś takim, lecz postawiłbym kogoś w takiej samej mało komfortowej sytuacji, w jakiej ja się znalazłem. No i dzieci... Wolałbym oszczędzić im plotek i niechęci. Dlatego zgodziłem się poślubić odpowiednią kobietę. Z tego, co wiem, nie jest pani zamężna ani zaręczona, a moja babka potwierdza, że pochodzi pani z bardzo dobrej rodziny. Lady Haughston zgodziła się spełnić prośbę lady Pencully i znaleźć mi odpowiednią żonę, więc zasugerowałem, że mógłbym rozważyć pani kandydaturę.

- Zastanawia się pan, czy mnie poślubić, ponieważ mierzyłam do pana z pistoletu?!

- Pomyślałem, że z pewnością nie jest pani tak nudną osobą jak te przesłodzone, afektowane panienki, które mi dotąd zaprezentowano - wyjaśnił z lekkim uśmiechem.

Irene patrzyła na niego jeszcze przez moment, a potem wyprostowała się jak struna.

- Pana słowa były tak obraźliwe, że nie wiem, od czego zacząć.

- Sugestia o poślubieniu mnie obraża panią? - zapytał podejrzenie łagodnym głosem.

- A pan oczekiwał, że będę wniebowzięta, bo łaskawie zdecydował się pan rozważyć moją kandydaturę? Mam czuć się zaszczycona, bo wyróżnił mnie pan spośród innych, jakbym była klaczą na aukcji? Bo ocenił mnie pan jako mniej nudną i bezużyteczną niż inne panny z towarzystwa?!

- To nie tak. Nie kupuję żony, chciałbym zawrzeć coś w rodzaju kontraktu, korzystnego także dla pani. Zakładam, że jest już pani dostatecznie dojrzała, by porzucić dziewczęce rojenia o dozgonnej miłości.

- Niech mi pan wierzy, nigdy nie byłam dostatecznie młoda, by żywić takie rojenia - oświadczyła Irene. Spokojny wyraz jego twarzy rozwścieczył ją jeszcze bardziej. - Wyobraża sobie pan, że desperacko pragnę wyjść za mąż, że nie potrafię dać sobie rady w życiu bez męskiej pomocy i dlatego od razu uchwycę się tej możliwości?!

- Sądziłem, że oboje jesteście na tyle dojrzałymi i racjonalnie myślącymi ludźmi, aby widzieć korzyści płynące z tego małżeństwa. Najwyraźniej się pomyliłem.

- Najwyraźniej. Może uznał mnie pan za, jak pan to mówi, odpowiednią osobę, ale ze swej strony zapewniam, nie ma w panu nic, co by mnie urzekło.

Irene uznała, że chyba posunęła się za daleko. Radbourne chwycił ją za nadgarstek, jakby chciał ją przytrzymać tam, gdzie stała. Mógł sobie tego oszczędzić, pomyślała. Nie cofnęłaby się za nic - nie okaże mu słabości. Patrzył jej prosto w twarz.

- Nie ma? - zapytał podejrzenie łagodnym głosem. - Może jednak pani się myli.

Pochylił się, jednocześnie przytrzymując jej głowę drugą ręką. Poczula jego wargi na ustach.

Rozdział czwarty

Irene zeszywniała, niezdolna się poruszyć. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie odważył się jej pocałować. Krew napłynęła jej do policzków, dreszcz przebiegł jej ciało, instynktownie rozchyliła wargi. Radbourne otoczył ją ramionami, przygarniając do muskularnego torsu. Nie odczuwała strachu, ogarnęło ją niezwykle doznanie, że całe jej ciało budzi się do życia. Coraz silniej narastało w niej pragnienie. Stali ciasno spleceni ze sobą, jakby chcieli wtopić się jedno w drugie.

Nagle czyjeś głosy dobiegły z tarasu, stopy zaszurały na kamiennych płytach. Radbourne raptownie puścił Irene i się cofnął. Patrzyli na siebie w milczeniu. Na krańcu tarasu pojawiła para; kobiecy śmiech rozbrzmiał w nocnym orzeźwiającym powietrzu. Irene powróciła do rzeczywistości. Wstrząśnięta zdała sobie sprawę z tego, że przed chwilą w objęciach Radbourne'a całowała go namiętnie i że każdy, kto by się tu pojawił, mógł ich zobaczyć.

Była dumna z tego, że potrafi kontrolować swoje zachowanie. Uważała, że całkowicie różni się od ojca, który ulegał prymitywnym instynktom i emocjom. Ona najpierw myślała, a dopiero potem działała. Pragnęła spokojnego życia, wolnego od gwałtownych wydarzeń i burzliwych uczuć. Tymczasem bezmyślnie, bezrefleksyjnie poddała się instynktowi, pragnąc zaspokoić fizyczny popęd.

Kiedy Radbourne ją objął i zaczął całować, powinna go odepchnąć i spoliczkować. A co zrobiła? Zalana falą pożądania, odwzajemniła pocałunek i zarzuciła mu ramiona na szyję. Poddała mu się, pozwalając, by to on kontrolował sytuację. Poczwała złość, a także niesmak w odniesieniu zarówno do siebie, jak i do Radbourne'a. Spojrzała na niego z wściekłością i spostrzegła, że i nim już nie włada namiętność.

- Może jednak jest we mnie coś, co mogłoby panią urzec? - zapytał. -
Przynajmniej na ten jeden sposób.

Nie myśląc, co robi, Irene wymierzyła mu z całej siły policzek. Zobaczyła na opalonej skórze wyraźny, czerwieniejący ślad swojej dłoni. Radbourne najwyraźniej był wściekły, jednak się nie odezwał.

- Nigdy nie wyjdę za mąż! - oznajmiła. - A gdyby jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności to się stało, z pewnością nie za pana! - dodała i sztywnym krokiem ruszyła w kierunku sali balowej, nie oglądając się za siebie.

Francesca znalazła dogodne miejsce, z którego mogła widzieć tancerzy, a jednocześnie dyskretnie zerkać na prowadzące na taras drzwi. Zajęła ten punkt obserwacyjny w minutę potem, jak lord Radbourne wyszedł na taras z Irene Wyngate. Nie posiadała się ze zdumienia, że udało mu się skłonić Irene do przechadzki wokół sali balowej, a co dopiero wyjść z nią na taras. Zdaje się, że hrabia jest znacznie bardziej zdeterminowany albo sprytny niż większość mężczyzn, doszła do wniosku Francesca. Zadała sobie w duchu pytanie, czy Radbourne'owi powiedzie się to, co innym do tej pory się nie udało?

- Ukrywamy się? - rozległ się za jej plecami męski głos.

Francesca drgnęła i odwróciła głowę. Uśmiechnęła się na widok sir Luciena Talbota. Na przystojnej twarzy gościł jak zwykle charakterystyczny lekko ironiczny wyraz.

- Szpiegujemy? - Podszedł do niej i omiótł wzrokiem salę balową. - Mogę się przyłączyć?

- Ależ oczywiście.

Był długoletnim, oddanym przyjacielem, jedynym człowiekiem, który znał katastrofalny stan jej finansów. Sam nader często doświadczał braku pieniędzy i dlatego zorientował się, że Francesca żyje na kredyt. Tuż po śmierci męża z pomocą sir Luciena sprzedała bądź zastawiła kilka cennych drobiazgów, nie było bowiem do pomyślenia, aby dama sama udała się lombardu. Francesca

nigdy nie wyjawiała Lucienowi, że podjęła się kojarzenia par ze względów finansowych, ale z pewnością domyślił się, że nie dla rozrywki proteguje dziewczęta mające trudności ze znalezieniem kandydata na męża.

- Czekam, żeby Irene Wyngate wróciła do sali balowej. Wyszła na taras z hrabią Radbourne'em kilka minut temu.

- Postanowiłaś podsunąć mu ją jako kandydatkę na hrabinę?

Wczoraj Francesca opowiedziała przyjacielowi o wizycie lady Odellii i jej planach ożenienia świeżo odnalezionego dziedzica. Poinformowała go też, jaką ona sama ma odegrać w tym rolę.

- To hrabia Radbourne prosił mnie, żeby wziąć ją pod uwagę - odparła. - Zgodziłam się przedstawić ich sobie dzisiejszego wieczoru. Ledwie to zrobiłam, usunął ją sprzed moich oczu.

- Wyprowadził ją na taras? No, no... nigdy bym się tego nie spodziewał po tej żelaznej dziewicy.

- Proszę cię, nie używaj tego idiotycznego określenia. Nie mam pojęcia, dlaczego mężczyźni uwielbiają nadawać kobietom przydomki.

- To do niej pasuje, i doskonale o tym wiesz, moja droga.

- Wolę nie myśleć, jak o mnie się mówi.

- Do ciebie pasuje tylko Wenus - stwierdził z uśmiechem sir Lucien.

Zamilkli i przyglądali się tańczącym parom.

- Dlaczego ją wybrał, jak sądzisz? - spytał sir Lucien.

- Nie wiem. Zastanawiałam się, skąd wiedział, kim ona jest. Być może zobaczył ją gdzieś i zrobiła na nim wrażenie. Jest na swój sposób bardzo pociągająca.

- Byłaby zachwycająca, gdyby dołożyła choć trochę starań - zgodził się sir Lucien. - Ciekawe, czy oczarowanie pryśnie po rozmowie na tarasie - zauważył z przekąsem.

- Dlatego na nich czekam. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że nie można by dokonać lepszego wyboru.

- Naprawdę?

Francesca skinęła głową.

- Przede wszystkim jest nią zainteresowany. Spełnia również wszystkie wymagania lady Odelii. Linia arystokratycznych przodków Irene, zarówno ze strony matki, jak i ojca jest wystarczająco długa.

- Stary lord Wyngate był niezłym hulaką.

- Na szczęście jego skandaliczny tryb życia nie położył się cieniem na reputacji rodziny. Jeśli jakakolwiek kobieta miałaby utemperować lorda Radbournea, to tylko lady Irene. Ma na to dość charakteru i silnej woli.

- I dość rozumu, aby zatuszować to, czego nie da się w nim zmienić - zgodził się sir Lucien.

- Co najważniejsze, potrafi stawić czoło lady Odelii. Nie pozwoli sobie wejść na głowę.

- Czego tamta z pewnością spróbuje.

- Z pewnością - zgodziła się Francesca. - Dzięki silnej osobowości potrafił poradzić sobie także z hrabią, choć może to okazać się niełatwe.

- Tak? - Lucien był wyraźnie zaciekawiony. - A ja myślałem... nieważne. - Wzruszył ramionami.

- Że on tańczy, jak mu zagra lady Odelia? - spytała Francesca, a kiedy skinął potwierdzająco głową, dodała: - Nie sądzę. Kiedy pojawił się u mnie, sprawiał wrażenie nieco... hm... z grubsza ciosanego, ale na pewno nie onieśmiałonego. Spostrzegłam, że to lady Odelia czuje respekt przed hrabią.

- To by było coś nowego.

- Pozornie wydaje się, jakby postępował zgodnie z jej wolą, ale w rzeczywistości wcale jej nie słucha. Och, zobacz! - Francesca wyprostowała się i położyła dłoń na ramieniu sir Luciena. - To ona. Nie sprawia wrażenia zachwyconej...

Lucian zobaczył Irene. Musiała dopiero co wejść przez prowadzące na taras drzwi i teraz szła przez tłum wypełniający salę balową, sztywno wyprostowana, rzucając ponure spojrzenia. Ludzie ustępowali jej z drogi.

- Powiedziałbym, że źle poszło - zwrócił się do Franceski.

- Też się tego obawiam - potwierdziła z westchnieniem. Zerknęła w bok i zobaczyła idącego w ich kierunku Rochforda. - A to co znowu?

- Mogłoby być gorzej. Pomyśl o lady Pencully.

- Nie wywołuj wilka z lasu.

Sir Lucien zdusił śmiech i powitał księcia:

- Rochford, miło cię widzieć, jak zawsze.

- Sir Lucien. Lady Haughston. - Rochford stanął obok Franceski, witając ich oboje skinieniem głowy. - Milady, nie wygląda pani na zadowoloną.

- To zależy od tego, czy przywiózł pan ze sobą lady Pencully - odcięła się, obrzucając go niechętnym spojrzeniem.

- Z przyjemnością mogę zapewnić, że nie przywiozłem. Niestety, wydaje mi się, że widziałem ją w salonie karcianym.

- I dlatego pan stamtąd wyszedł - domyśliła się Francesca.

- Oczywiście - przyznał bez cienia skruchy w głosie Rochford.

Francesca przebiegła wzrokiem po sali balowej i zobaczyła hrabiego Radbourne'a wchodzącego przez drzwi na taras. Wyglądał na jeszcze bardziej wzburzonego niż lady Irene. Chyba wszystko przepadło, uznała. Być może przedstawiła ich sobie za wcześnie. Chociaż z drugiej strony może lepiej nie tracić czasu na coś, co i tak nie ma szans powodzenia.

- Pański protegowany najwyraźniej jest wzburzony. Zdaje się, że w ogóle ma dość gwałtowny charakter - zwróciła się do Rochforda.

- Sądzę, że ma dość... trudny charakter - przyznał książę. - Dorastał w świecie, który bardzo różni się od naszego, lady Haughston.

- W istocie. Co nie zmienia faktu, że nasz też jest niebezpieczny, choć w inny sposób.

- Przyjacielskie ostrzeżenie, lady Pencully nadchodzi. - Rochford skłonił się. - Proszę mi wybaczyć, czas na mnie.

- Tchórz - rzuciła cicho Francesca.

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i odszedł. Sir Lucien zrobił ruch, jakby chciał pójść w jego ślady, ale Francesca przygwoździła go wzrokiem. Westchnął głęboko i pozostał na swoim miejscu, przybierając uprzejmy wyraz twarzy.

- Lady Pencully - powitał ją z ukłonem. - To rzadka przyjemność panią widzieć.

- Nie próbuj ze mną tych nonsensów, Talbot - oświadczyła impulsywnie, ale twarz jej złagodniała. - Ćwicz towarzyskie umiejętności na innych. Potrzebuję porozmawiać z Francescą.

- Jak pani sobie życzy. - Sir Lucien skłonił się i odszedł.

- Wiem, co trzeba zrobić - zaczęła lady Odelia bez zbędnych wstępów. - Wydamy przyjęcie w Radbourne Park.

- Proszę?

- Żeby znaleźć hrabiemu żonę - wyjaśniła ze zniecierpliwieniem lady Odelia, jakby tłumaczyła Francesce coś, czego ona nie pojmuje. - Rozmawialiśmy o tym, nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Nie wiem tylko, dlaczego akurat przyjęcie...

- To najlepsza okazja, żeby mu zaprezentować dziewczęta, które dla niego wybierzemy. Wiem już, że w Londynie nie znajdziemy odpowiedniej kandydatki. Tu jest za elegancko, zbyt wyrafinowanie. Radbourne musi prezentować się na tle takich mężczyzn jak Talbot. Przesadnie grzeczny i ujmujący, gdybyś chciała znać moją opinię, ale kobiety za nim przepadają. Albo Rochford. Wystarczy, że jest księciem. O czym my tu rozprawiamy? To nie ma nic do rzeczy.

- Myślę, że w Londynie przebywa wystarczająco dużo młodych kobiet gotowych zaakceptować hrabiego dla tytułu i majątku.

- Pewnie tak, ale wykorzystam i tę możliwość. Poleciałam już Pansy, żeby zajęła się przygotowaniami do przyjęcia. Musimy zacząć układać listę gości. Zastanów się, które dziewczęta zaprosić. Mogłabyś wcześniej przyjechać do Radbourne Park i zająć się Gideonem. Jestem przekonana, że od ciebie przyjmie wskazówki. Moje z góry odrzuca.

- Niemożliwe!

- Nie myśl, że nie umiem się poznać, kiedy próbujesz ze mnie dworować - powiedziała lady Odelia. - Mężczyźni chętnie słuchają czarujących młodych kobiet, a puszczają mimo uszu rady starych, które w dodatku nie owijają w bawełnę. Kiedy przyjedziesz do Radbourne Park?

Komenderujący ton lady Odelii wzbudzał sprzeciw, ale Francesca uznała, że pomysł ma sens. Poza tym, co wydawało się istotne, kilkutygodniowy pobyt w Radbourne Park rozwiązałby na jakiś czas problem utrzymania domu.

- Potrzebuję paru dni, aby się spakować i ułożyć tutaj sprawy.

- Tylko nie marudź, dziewczyno. Trzeba ostro się zabrać do pracy.

- Oczywiście, ale... - Francesca urwała na widok zbliżającego się do nich hrabiego. - Miło mi widzieć pana ponownie.

- Lady Haughston, lady Pencully - powiedział, skłaniając przed każdą głowę.

- Gideon - odezwała się natychmiast lady Odelia. - Wiem, że rozmawiałeś z lady Irene.

- Lady Irene jest upartą, arogancką snobką. Jestem pewien, że nie nadaje się na moją żonę - oznajmił.

Nawet lady Odelii odjęło mowę po tym oświadczeniu. Wreszcie Francesca przerwała milczenie.

- Rozumiem. To tylko potwierdza, że powinniśmy realizować inny plan. Pańska cioteczna babka i ja zastanawiałyśmy się nad zorganizowaniem przyjęcia w Radbourne Park. Mam nadzieję, że pan zaakceptuje ten pomysł. Wydaje się, że to doskonała okazja, by zaprezentować kilka młodych kobiet,

poza tym miałby pan więcej czasu, żeby je poznać, a one pana. Tydzień czy dwa w Radbourne wydają się nam bardziej owocne niż seria bali i przyjęć tutaj, w Londynie.

- Racja - przyznał hrabia. - Pozostawiam sprawy w pani zręcznych dłoniach. I moich babek, oczywiście. Pozwolą panie, że się pożegnam. Mam pilne obowiązki.

- Naturalnie.

Francesca pożegnała go bez żalu. Zadała sobie w duchu pytanie, jakie to niecierpiące zwłoki obowiązki wzywają o tej porze hrabiego. Skłonił się przed nimi ponownie. Postąpił ledwie kilka kroków, kiedy nieoczekiwanie przystanął, obrócił się na pięcie i zawrócił.

- Lady Haughston... - Zawahał się, a potem dokończył: - Niech pani zaprosi lady Irene.

Rozdział piąty

Następnego ranka przy śniadaniu Irene przyjrzała się siedzącej naprzeciwko bratowej. Maura była niezwykle blada, miała podkrążone oczy. Spuściła wzrok na swój talerz. Irene, podobnie jak bratowa, niewiele zjadła. Po fatalnie zakończonej przechadzce z Radbourne'em zamierzała pojechać do domu, ale Maura nie chciała o tym słyszeć i w końcu Irene wymknęła się z sali balowej na galerię, gdzie samotnie spędziła resztę wieczoru.

Kiedy wreszcie rodzina opuściła bal, Irene mogła schronić się w zaciszu swojej sypialni. Leżała, przewracając się z boku na bok, wciąż na nowo analizując to, co zaszło na tarasie. Minęły godziny, nim zasnęła, a właściwie zapadła w drzemkę, z której wyrywały ją przedziwne sny, tak że budziła się z bijącym sercem, złana potem.

Popatrzyła na siedzących przy śniadaniu Humphreya i lady Claire. Oni także rzucali ukradkowe spojrzenia na Maurę i Irene zaczęła się zastanawiać, co w bratową wstąpiło. Jakby czytając w jej myślach, Maura powiedziała:

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak uporczywie domagałaś się powrotu do domu. Zepsułaś cały wieczór.

- Rozboliła mnie głowa. Przecież zostaliśmy na balu, więc nie rozumiem, w jaki sposób zepsułam ci wieczór.

- Irene... - Głos brata zabrzmiał ostrzegawczo.

- Humphrey, wyraziłam tylko w sposób logiczny swoją wątpliwość, nic więcej.

- Owszem, coś więcej. Czy musimy rozmawiać w ten sposób przy śniadaniu?

- Bal był wspaniały, prawda? - wtrąciła pospiesznie lady Claire. - Bawiłam się bardzo dobrze. A ty, Humphreyu?

- Tak, ja też, mam. - Uśmiechnął się do niej z czułością. - Z przyjemnością obserwowałem, jak cię to cieszy.

- Tak, spędziliśmy bardzo przyjemnie czas - zgodziła się Maura. - Nie chciałam cię krytykować, Irene. Żałuję jedynie, że jak zwykle nie zdobyłaś się na najmniejszy wysiłek. Bardzo szlachetnie ze strony lady Haughston, że zechciała zadać sobie trud i podjęła próbę zaradzenia twojej samotności. Widziałam, jak przechadzałaś się z tym mężczyzną... Kim on jest, mam?

- Hrabia Radbourne - odparła lady Claire. - Przedtem go nie widziałam, ale panna Shrewsbury wyjaśniła mi, że to dziedzic Bankesów, którego przed laty wprowadzono. Bardzo smutna historia... - Pokręciła współczująco głową.

- Taka pożądana partia, a ty nie zdobyłaś się na najmniejszy wysiłek, by go sobą zainteresować - stwierdziła Maura. - Zamiast tego oświadczyłaś, że chcesz natychmiast opuścić bal.

- Nie jestem zainteresowana hrabią Radbourne'em.

- Pewnie, że nie jesteś! - wykrzyknęła Maura. - Nie poświęciłaś uwagi żadnemu mężczyźnie. Jesteś nienormalna... Nie rozumiem tego. Czasem myślę, że chcesz mnie zamęczyć. - Wygięła usta w podkówkę jak skrzywdzone dziecko.

Irene zapatrzyła się na nią z niedowierzaniem. Nawet jak na bratową było to niezwykle zachowanie.

- To nie ma z tobą nic wspólnego - zauważyła rzeczowym tonem.

- Nie mów do mnie w ten sposób! - Maura cisnęła serwetkę na stół. - Nie jestem dzieckiem. Nie przemawiaj do mnie, jakbym była głupia. Odrzucasz małżeństwo, z którego byłaby zadowolona większość kobiet. Wolisz tkwić tutaj, bawi cię wtrącanie się w życie Humphreya i mówienie mu, co powinien zrobić i jak postąpić!

Irene wpatrywała się w nią z osłupieniem.

- A ty? - mówiła dalej Maura, zwracając się do męża z oczami pełnymi łez. - Jednego dnia nie możesz przeżyć, żeby nie zapytać siostry o radę. „Co o tym sądzisz, Irene?” - przedrzeźniała go. - „Co powinienem powiedzieć lordowi takiemu lub tamtemu?” Nie zasięgasz mojej opinii, chociaż jestem twoją żoną.

Zaskoczony Humphrey na moment zaniemówił, po czym wyciągnął rękę do żony.

- Kochanie, skąd ci to przyszło do głowy? Oczywiście, że interesuje mnie twoje zdanie.

- Akurat! - Maura zerwała się na równe nogi, strząsając jego rękę. - Nic sobie ze mnie nie robisz. Nic a nic! - wykrzyknęła i szlochając, wybiegła z jadalni.

Wszyscy troje patrzyli w milczeniu na zamykające się za nią drzwi.

- Humphrey! Irene! - odezwała się zmartwiona lady Claire. - Co to, dlaczego...?

- Może powinnam wyjechać - powiedziała wolno Irene.

- Nie, nie. - Humphrey pospiesznie wstał zza stołu. Spoglądał to na drzwi, to na siostrę. - Lepiej będzie, jak do niej pójde. Sam nie wiem, co się dzieje. Jest taka... przewrażliwiona. Jestem pewien, że nie chciała tak się zachować. Nie powinienem o tym mówić, Maura uważa, że to za wcześnie, ale muszę wyjaśnić tę sytuację. Jest w odmiennym stanie...

Irene spojrzała na niego pustym wzrokiem, a lady Claire wykrzyknęła radośnie:

- Będzie miała dziecko? Och, Humphreyu! Ależ to cudownie! Musisz być bardzo szczęśliwy.

- Dziecko? - Irene przeniosła wzrok z matki na brata. Wstała i okrążywszy stół, uściskała Humphreya. - Cieszę się razem z tobą.

- Wiedziałem, że tak będzie. Tłumaczyłem Maurze, jakie to niemądre obawiać się, że zareagujesz inaczej - powiedział prostodusznie. - Ostatnio nie jest sobą. To nie było miłe, zgoda, ale na pewno nie miała niczego złego na myśli ani nie chciała być niegrzeczna.

- Oczywiście - przytaknęła machinalnie Irene, wiedząc swoje.

Humphrey ujął rękę siostry i zamknął w swoich dłoniach.

- Postaraj się unikać nieprzyjemnych sytuacji przez najbliższe tygodnie. Jestem przekonany, że Maura wkrótce przestanie reagować tak emocjonalnie. Na razie w jednej minucie jest śmiech, a w następnej łzy. Drażni ją najmniejsza błahostka.

- Obiecuję ci, że będę uważała na każde słowo.

W przeciwieństwie do brata Irene podejrzewała, że Maura nie uspokoi się, raczej wykorzysta swój stan do końca. A nawet dłużej. Kiedy już wyda na świat potomka, bez wątplenia będzie domagała się od otoczenia jeszcze więcej uwagi jako matka dziecka Humphreya.

- Dziękuję ci. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Lepiej już pójde, porozmawiam z nią. Na pewno czuje się nieszczęśliwa, obawiając się, że zrobiła ci przykrość.

Irene obserwowała w milczeniu, jak brat wychodzi. Szczerze wątpiła, by Maura czuła skruchę, jak to sobie Humphrey wyobrażał, ale oszczędziła mu tej uwagi. Miłość do żony całkowicie go zaślepiła. Przeniosła wzrok na matkę, która patrzyła na syna z czułością. Lady Claire spojrziała na córkę i powoli radość zniknęła z jej twarzy. Irene pomyślała ze smutkiem, że jeśli komukolwiek wymiana zdań między nią a Maurą sprawiła prawdziwą przykrość, to właśnie matce.

- Och, mój Boże - powiedziała lady Claire. - Boję się, że czeka nas kilka ciężkich miesięcy. Maura bez wątpienia będzie... nadwrażliwa.

- Bez wątpienia, mamo - potwierdziła z goryczą Irene. - Nie martw się. Obiecałam, że dołożę wszelkich starań.

- Wiem, że się postarasz. Boję się jednak, że to nie będzie łatwe. Nie chciałabym niczego ujmować mojej synowej, ale...

- Wiem. Nie znam nikogo o bardziej łagodnym charakterze niż ty. To Maura jest trudna.

- Młoda para nie powinna mieszkać z matką. Szczerze żałuję, że ojciec nie zostawił nam większego spadku. Czy nie byłoby cudowne mieć małego wiejskiego domku? - Lady Claire uśmiechnęła się do tej myśli.

- Tak, byłoby. Ojciec powinien był lepiej o ciebie zadbać.

- Cóż, co się stało, to się nie odstanie - powiedziała lady Claire, nawet teraz nie chcąc mówić źle o mężu. - Nie mamy innego wyjścia, musimy ze wszystkich sił starać się, żeby wszystko w domu szło gładko. Maura będzie potrzebowała pomocy, z upływem miesięcy coraz większej. Pewnie wolałaby mieć przy sobie własną matkę i siostrę, chociaż trochę obawiam się, że jeśli przyjadą, w domu zrobi się tłoczno. - Lady Claire zamilkła, wyraźnie namyślając się nad czymś. - Może nie powinnam była tyle tańczyć. Zauważyłam, że Maura nie była zadowolona, kiedy kuzyn mnie poprosił. Może nie było to właściwe...

- Mamo, nigdy w życiu nie zachowałeś się niewłaściwie - zapewniła ją Irene. - Nie ma nic złego w tańczeniu z kuzynem ani z przyjaciółmi. Spędziłaś całe życie wśród ludzi z najlepszego towarzystwa i wiesz, co uchodzi, a co nie, znacznie lepiej niż córka ziemianina z Yorkshire, która nie tak dawno przyjechała do Londynu.

- Irene! - Lady Claire spojrzała trwożliwie na drzwi, a potem na córkę. - Nie powinnaś mówić takich rzeczy! Zwłaszcza że dopiero co obiecałaś uważać.

- I będę - zapewniła Irene. - To nie znaczy, że nie wolno mi mieć swojego poglądu na sytuację. Poza tym obiecałam powstrzymać się od uwag w obecności Maury. Zrobiłam to tylko przez wzgląd na ciebie, mamo, a nie dlatego, że cenię sobie zdanie Maury czy uważam ją za osobę szczególnie wrażliwą. Przeciwnie, jest według mnie gruboskórna jak nosorożec.

Ku zdumieniu Irene lady Claire się zaśmiała, ale zaraz zakryła usta dłonią. Upiła łyk herbaty, odstawiła pospiesznie filiżankę, jakby tknięta nagłą myślą.

- Skoro już skończyłyśmy śniadanie, przejrzyjmy motki wełny. Wybierzemy coś na kocyk dla dziecka. Co to będzie za przyjemność przygotowywać te wszystkie śliczne małe ubranka!

- Z pewnością.

Lady Claire mówiła dalej, nie zwracając uwagi na gorycz brzmiącą w głosie córki.

- Buciki, czapeczki, swetereczki... Nie ma nic słodsze nad ubranka dzieci.

Pewnie byłoby to przyjemne zajęcie, gdyby Irene bardziej lubiła bratową. Mimo wszystko dobrze było widzieć matkę ożywioną, zajętą czymś dla niej przyjemnym, a nie zamartwianiem się, czy przypadkiem nie zdenerwowała synowej, poszła więc bez protestu na górę. W sypialni matki zaczęły wyciągać motki wełny i wzory robótek na drutach. Lady Claire przez cały czas mówiła o czapczkach, kaftanikach, haftowanych kapkach, kocykach i Irene doszła do

wniosku, że więcej zachodu wymaga przygotowanie wyprawki dla dziecka niż panińskiej wyprawy.

Bardziej niż kiedykolwiek żałowała, że nie może zabrać matki z tego domu. Dla takich jak ona dobrze urodzonych panien istniały tylko dwie możliwości: praca guwernantki lub zajęcie w charakterze damy do towarzystwa. Częścią wynagrodzenia była możliwość mieszkania w godziwych warunkach, ale samemu, a nie z kimś. Nawet gdyby zapłacono jej dość pieniędzy, matka odrzuciłaby możliwość opuszczenia domu syna. Gdyby się wyprowadziły, cień niesławy padłby na Humphreya, a do tego lady Claire nigdy by nie dopuściła.

Skóra ścierpła na Irene, kiedy wyobraziła sobie, jak będzie wyglądało ich życie, gdy dziecko przyjdzie na świat. Maura będzie jeszcze bardziej podkreślać swoją pozycję jako matka dziecka lorda Wyngate'a, zwłaszcza jeśli urodzi chłopca, dziedzica rodu. Irene była pewna, że usłyszy fałszywie współczujące uwagi w rodzaju, że nigdy nie będzie jej dane zakosztować słodczy macierzyństwa, jak to zmarnowała swoje szanse i jak nieodpowiedzialnie się zachowała, nie dokładając starań, by zdobyć męża.

Ku jej uldze Maura pozostała w swoim apartamencie przez cały ranek i nie pojawiła się nawet w porze lunchu. Jednak stan błęgiego spokoju nie mógł trwać wiecznie i po południu bratowa dołączyła do nich w salonie, gdzie lady Claire zaczęła dziergać kocyk dla dziecka.

Maura była blada i demonstrowała do przesady, jak bardzo źle się czuje. Posłała pokojówkę po szal, potem po wachlarz, następnie kazała przynieść sobie stołeczek pod nogi i nie protestowała, gdy lady Claire zrywała się, a to otulając ją szalem, a to poprawiając stołeczek, bo nie stał w komfortowej dla Maury pozycji. Irene trzymała język za zębami i z uprzejmym uśmiechem wysłuchiwała monologu bratowej o czekającym ich wszystkich radosnym wydarzeniu, gęsto przeplatane utyskiwaniami i ciężkimi westchnieniami.

Kiedy pokojówka weszła i zapowiedziała gościa, Irene poczuła wdzięczność za nieoczekiwaną wizytę, choć i lekkie zdziwienie na dźwięk

nazwiska lady Haughston. Lady Francesca z rzadka odwiedzała ich dom, a od czasu gdy pojawiła się w nim Maura, zupełnie przestała w nim bywać. Nagłe pojawienie się lady Franceski wydało się Irene dość dziwne, zwłaszcza po wydarzeniach ostatniego wieczoru, natomiast Maura przyjęła to jako rzecz całkiem naturalną. Rozpromieniona powitała gościa wylewnie i natychmiast zaczęła mówić, nie dopuszczając nikogo do głosu. Francesce ledwie udało się wtrącić: „rzeczywiście” albo „och, doprawdy?”.

Nic dziwnego, że wkrótce zaczęła nerwowo poprawiać się na krześle, i Irene pomyślała, że ich gość z pewnością wykorzysta pierwszą okazję, aby przerwać ten potok wymowy. W istocie, ledwie Maura umilkła, Francesca natychmiast z żalem w głosie poinformowała je, że bardzo jej przykro, ale nie może zostać dłużej.

- Właśnie wybierałam się na przejażdżkę po parku - powiedziała - i przyszedł mi do głowy pomysł, żeby wpaść na sekundę i zapytać lady Irene, czy nie miałyby ochoty do mnie dołączyć.

- Dziękuję, lady Haughston, będzie mi bardzo przyjemnie.

Irene zadzwoniła na pokojówkę i poleciła przynieść czepek i peliskę, po czym pospieszyła na ratunek Francesce, którą Maura właśnie zaczęła nękać aluzjami co do tego, jak świetnie zrobiłaby przejażdżka w jej obecnym stanie ducha.

- Och nie, droga siostró - powiedziała zatroskanym głosem Irene, prawie tak samo przesłodzonym jak głos Maury. - Naprawdę szczerze wątpię, czy by ci to posłużyło. Musisz na siebie teraz uważać. Jeszcze przed chwilą tak mocno bolał cię kręgosłup. Przejażdżka powozem tylko pogłębiłaby tę dolegliwość. - Spojrzała wymownie na matkę, błagając wzrokiem o pomoc. - Prawda, mamó?

- O tak, zostaniemy, ja i lady Maura, będzie nam całkiem dobrze, czyż nie, moja droga? - zapytała lady Claire, poklepując leciutko ramię synowej.

Wyszły z domu, a Francesca nie uczyniła najmniejszej aluzji do tego, że Irene wręcz uciekła od towarzystwa bratowej. Prowadziła lekką,

niezobowiązującą rozmowę o pogodzie, wczorajszym balu i swoim otwartym powoziku:

- Nie najmodniejszy, obawiam się, to już co najmniej dziesięć lat, gdy lord Haughston mi go podarował, ale to jego pierwszy prezent dla mnie, więc trudno mi z niego zrezygnować.

Ledwie usadowiły się w jednokonnym powoziku, woźnica ruszył i pojechały w kierunku Hyde Parku. Milczały jakiś czas, rozkoszując się promieniami słońca i orzeźwiającym jesiennym powietrzem. W końcu Irene odwróciła głowę i popatrzyła na swoją towarzyszkę. Lady Francesca odwzajemniła jej spojrzenie z uśmiechem, a na jej policzkach pokazały się urocze dołeczki.

- Przysięgłabym, że słyszę, jak mózg ci gorączkowo pracuje - powiedziała żartobliwym tonem.

- Lady Haughston, zdumiewa mnie pani.

- Proszę, zwracaj się do mnie Francesca. Znamy się od twojego debiutu.

- Czy właśnie stałyśmy się serdecznymi przyjaciółkami?

To obcesowe pytanie nie zrobiło na lady Haughston najmniejszego wrażenia. Uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

- Tego nie wiem, lecz nie zdziwiłoby mnie, gdybyśmy wkrótce miały okazję poznać się lepiej.

- Dalej nie wiem dlaczego. Nie zamierzam się uskarżać, ale przyznam, że jestem głęboko wdzięczna za zaproszenie na przejażdżkę, jednak zastanawiam się nad powodami tego nagłego zainteresowania moją osobą.

- Mogłabym powiedzieć, że wczorajszego wieczoru ujęła mnie twoja szczerść i bezpośredniość, co zresztą do pewnego stopnia jest prawdą, i dlatego wpadłam na pomysł poproszenia cię, byś mi dzisiaj towarzyszyła.

- Nie lepiej, żebyś od razu przeszła do wyjaśnienia prawdziwego powodu, dla którego siedzę tutaj z tobą w powozie? Czy to lady Wyngate poprosiła o... o

pomoc w znalezieniu mi męża? - Ze złości i wstydu Irene zaczerwieniła się po koniuszki włosów.

- Lady Wyngate? - Na twarzy Franceski odmalowało się szczere zdumienie.
- Twoja matka? Ależ nie, nigdy nie zrobiła nawet najlżejszej wzmianki na ten temat.

- Nie moja matka. Lady Maura Wyngate, żona Humphreya. Rozmawiała z tobą o mnie?

- Zapewniam cię, że nie. Ledwie ją znam. Dlaczego sądzisz, że mogłaby zwrócić się do mnie z podobną propozycją?

- Dlatego, że niczego goręcej nie pragnie, niż bym wyszła za mąż i wyprowadziła się - odparła z goryczą Irene. Rzuciła lekko zawstydzone spojrzenie na Francescę. - Przepraszam. Zachowałam się głupio, przecież wiem, że nie jesteś zaprzyjaźniona z Maurą. To dlatego, że nęka mnie od kilku dni, wypominając staropanieństwo i przynaglając, bym zwróciła się do ciebie. Twierdzi, że każda dziewczyna, którą zgodzisz się wziąć pod swoją pieczę, w końcu wychodzi za mąż. Mówi, że masz szczęśliwą rękę. Dlatego się obawiałam...

- Nie rozmawiałam z twoją bratową na twój temat - zapewniła Francesca.

- Przepraszam. Nie powinnam z góry zakładać, że działasz zgodnie z sugestiami Maury. To tylko dlatego, że zjawiałaś się akurat po tym, jak ona namawiała mnie, żebym skorzystała z twojej pomocy.

- Rozumiem - powiedziała Francesca, kiwając głową. Na jej twarzy pojawił się cień współczucia i Irene nagle zdała sobie sprawę, że Francesca rozumie więcej, niż by się zdawało. - Wyobrażam sobie, że życie pod jednym dachem z bratową może być dla ciebie trudne.

- Nienawidzę tego - przyznała impulsywnie Irene. - Chociaż zdaję sobie sprawę, że w dużej części to moja wina. Byłam przyzwyczajona prowadzić dom i być panią siebie. Trudno całkiem poddać się cudzej woli.

- W takim razie obawiam się, że ty i lady Wyngate nie macie żadnych szans stać się serdecznymi przyjaciółkami.

- Cud prawdziwy, że nie wytargałyśmy się dotąd za włosy - rzuciła z przekąsem Irene, zdumiona, że tak łatwo przychodzi jej mówić o sobie. Nigdy zbyt nie przepadała za lady Haughston, a teraz rozmawiały tak swobodnie, jakby od dawna dobrze się rozumiały.

- W takim razie może rzeczywiście powinnaś pomyśleć o małżeństwie - powiedziała ze śmiechem Francesca. - To cię uchroni przed Maurą. Będiesz panią we własnym domu.

- Nie w swoim, a w domu męża. Nie mając nic własnego, całkowicie pod jego kontrolą. Chyba łatwiej żyć z dąsami Maury i jej małostkowymi knowaniami. W końcu jest jeszcze Humphrey i broni mnie, przynajmniej czasem, przed władczyimi zapędami żony. Poza tym nie jestem pod jej opieką w świetle prawa. Przy mężu będę całkowicie zdana na jego łaskę.

Francesca spojrzała na nią na poły z osłupieniem, na poły z ciekawością, ale powiedziała tylko:

- Są żony kochane i rozpieszczane przez mężów.

- Ale to rodzaj ruletki, czyż nie? - zareplikowała Irene.

Francesca wzruszyła ramionami.

- Jednak większość kobiet pragnie wyjść za mąż i jest całkiem szczęśliwa w małżeńskim stanie.

- Chciałabym zauważyć, że nie wyszłaś powtórnie za mąż, choć od śmierci twojego męża minęło wiele lat - przygwoździła ją Irene.

- Nie pokochałam nikogo tak mocno jak Andre w.

- Wybacz mi - Irene zrobiła powątpiewającą minę - ale znałam lorda Haughstona. Był jednym z kompanów mojego ojca. Wiem doskonale, jak spędzał czas.

- Nie ma sensu zaprzeczać. Niemniej moja pozycja jako wdowy jest bardziej komfortowa niż twoja. Łatwiej mi unikać małżeństwa. Tak czy owak,

lepiej nie powoływać się na mój przypadek. - Francesca odwróciła głowę i patrząc na ulicę, mówiła dalej: - Wyszłam głupio za mąż, lecz jestem pewna, że ty dokonasz lepszego wyboru.

- Przepraszam cię - powiedziała ze skrucą Irene, żalując ostrych słów. - Często odzywam się, zanim pomyślę. Jestem z tego znana. Nie chciałam cię urazić.

- Nie rób sobie wyrzutów. Nie obrażam się za prawdę, chociaż odradzałabym ci. taką szczerą w stosunku do innych. Obawiam się, że większość ludzi czuje się urażona twoją zbyt otwartością.

Irene przyznała w duchu rację Francesce. Przez chwilę jechały w milczeniu.

- Kiedy wczorajszego wieczoru przedstawiłaś mnie Radbourne'owi - odezwała się Irene - poinformował mnie, że szuka żony i jest gotów wziąć pod uwagę moją kandydaturę.

- Ach tak. Obawiam się, że hrabia nie jest wzorem subtelności.

- Oświadczyłam, że nie zamierzam wychodzić za mąż, i myślałam, że na tym koniec. Tymczasem przyszedł do nas, zaprosił mnie na przejażdżkę i zaczęłyśmy rozmawiać o małżeństwie. Mam wierzyć, że to zbieg okoliczności?

- Cioteczną babką Radbourne'a jest lady Odelia Pencully i to ona poprosiła mnie o pomoc. Nie myliłaś się, mówiąc, że zyskałam sobie reputację osoby szczęśliwie kojarzącej małżeństwa. - Francesca zrobiła zabawną minę. - Rodzina hrabiego marzy o tym, żeby się ożenił. Z pewnością słyszałaś, co go spotkało w dzieciństwie. Krewni mają nadzieję, że odpowiednia narzeczona pomoże mu odnaleźć się w towarzystwie.

- I uważają, że ja będę tą odpowiednią narzeczoną? - zapytała z niedowierzaniem Irene. - Skąd taka myśl? Sądzą, że jako stara panna jestem wystarczająco zdesperowana, by poślubić każdego, kto mi się oświadczy, nawet jeśli w ogóle go nie znam?

- Nic nie stoi na przeszkodzie, by poznać go lepiej przed ślubem - stwierdziła spokojnie Francesca. - Tylko nie zabij mnie wzrokiem, błagam. To miał być żart. Nikt cię nie prosi, byś zgodziła się go poślubić. Rodzina hrabiego chciała, żebym znalazła stosowną kandydatkę, która mogłaby rozważyć poślubienie go, on sam poprosił, abym cię mu przedstawiła, co też zrobiłam. Jego cioteczna babka chce wydać przyjęcie w ich rodzinnej wiejskiej posiadłości. Sądzę, że to będzie fair z mojej strony, jeśli uświadomię ci, że mogłabyś lepiej poznać Radbourne'a, gdybyś przyjęła zaproszenie.

- Nie potrzebuję lepiej poznawać ani jego, ani żadnego innego mężczyzny. Dawno podjęłam decyzję, że nie wyjdę za mąż. Znałaś mojego ojca, prawda?

- Tak - przyznała cicho Francesca, odwracając wzrok. - Wiem, jakim był człowiekiem.

- Nie jestem pewna, czy naprawdę wiesz. Cały Londyn znał go jako rozpustnika i hulakę. Pił, uprawiał hazard, ulegał niezliczonym słabościom, nawet nie próbując z nimi walczyć. Zatruł życie matce. Nie tylko wyskokami poza domem. Kiedy był w domu, wierz mi, wszyscy marzyli, by jak najszybciej z niego wyszedł. Był hałaśliwy, dominujący, porywczy, a kiedy pił, czyli przez większość czasu, zachowywał się całkowicie nieprzewidywalnie i używał pięści jako argumentu. Bali się go wszyscy, poczynając od matki, na służbie kończąc. Przysięgłam sobie, że nigdy nie postawię się w sytuacji, w jakiej znalazła się moja matka. Nie zdam się na łaskę mężczyzny.

- W wypadku tego małżeństwa nie znajdziesz się na niczyjej łasce. Jego rodzina chce kontraktu małżeńskiego - wyjaśniła Francesca. - Bez wątpienia zdołasz uzyskać solidne zabezpieczenie, i to na piśmie.

- Co nie zmienia faktu, że natychmiast po ślubie mąż będzie sprawował nade mną władzę. Nie będę miała żadnych praw. Będę musiała szanować jego wszystkie decyzje. - Ponieważ Francesca milczała, Irene dodała: - A zresztą, gdybym nawet przystała na takie małżeństwo, z pewnością nie zawarłabym go z hrabią Radbourne'em. Jest grubiański, nie ma za grosz wyczucia. Arogancki,

gruboskórny i... i... - Irene urwała, starając się odzyskać nad sobą kontrolę. Wzięła głęboki oddech. - Wszystko to nie ma znaczenia. Potraktowałam go, jak na to zasłużył. Jestem przekonana, że przestał się mną interesować.

Francesca przyglądała się jej podczas tej przemowy z ciekawością. Namyslała się przez chwilę i wreszcie powiedziała:

- Tego nie wiem. Jeśli jesteś tak źle do niego nastawiona, nie nalegam. Nie chciałabym prosić cię o coś, na co nie masz ochoty. Kiedy lady Odelia zwróciła się do mnie, po prostu pomyślałam, że ta propozycja mogłaby cię zainteresować. Zawsze uważałam cię za kobietę, która kieruje się raczej rozumem niż sercem.

Irene przyglądała się jej przez moment z lekką podejrzliwością. Nie wyczuwała, czy Francesca mówi szczerze. W jednym miała rację: Irene w istocie wierzyła w to, że potrafi zapanować nad swoim życiem, kierując się rozsądkiem, a nie emocjami. Wziąwszy to pod uwagę, mogło się wydawać dziwne, że przy takim nastawieniu odrzuca małżeńską propozycję, która sprawia wrażenie sensownej. Czy powodowana strachem i obawami, rzeczywiście nie skorzysta z wygodnego dla niej samej i matki rozwiązania?

- Kieruję się rozumem - przyznała. - Wiem, jakie są konsekwencje zawarcia małżeństwa, i dlatego nie pozwolę, by fałszywe nadzieje zwiodły mnie z obranej drogi.

- W takim razie nie mówmy o tym więcej - odparła Francesca, przechodząc do niezobowiązującej rozmowy.

Irene zdumiała łatwość, z jaką Francesca to uczyniła. W pewnym momencie pomyślała, że nietrudno ją polubić. Nie mówiła o niczym istotnym ani wymagającym powagi, prowadziła konwersację z lekkością, a mimo to potrafiła wzbudzić zainteresowanie. Śmiała się w zaraźliwy sposób i Irene uświadomiła sobie, że nie dała szansy rozwinąć się ich znajomości, z góry zakładając, że ma do czynienia z osobą pustą i sztuczną. Tymczasem Francesca miała żywy umysł i była ciepłą osobą - nawet opowiadane przez nią ploteczki były pozbawione jadu.

Jechały powoli przez park, często przystając, aby zamienić kilka zdań z jadącymi konno lub w innych powozach. Francesca rzeczywiście знаła całą londyńską śmietankę towarzyską i nie natknęły się na nikogo, kto nie okazałby żywej chęci porozmawiania z nią.

Właśnie zatrzymała je lady Fenwit-Taylor, siedząca w towarzystwie nieśmiałej córki w starym czarnym powozie. Wychylona z okna, zaczęła rozmowę, jej głos rozbrzmiewał donośnie. Irene zorientowała się, że lady Fenwit-Taylor była bliską przyjaciółką matki Franceski, nie zanosilo się na krótką wymianę grzeczności, raczej na dłuższą pogawędkę.

Irene oparła się na poduszkach powoziku, nie starając się śledzić konwersacji obu kobiety, i pozwoliła błądzić myślom. Uparcie, denerwująco wracały do wczorajszego spotkania z Radbourne'em. Jakiś inny powóz zbliżał się do nich z tyłu. Irene nie spojrzała, kto w nim siedzi, ale męski głos wyrwał ją z zamyślenia.

- Lady Irene! Wreszcie panią znalazłem!

Zrobiło jej się na przemian gorąco i zimno. Przez głowę przemknęło jej absurdalne podejrzenie, że ściągnęła go swoimi myślami.

- Hrabio Radbourne.

Rozdział szósty

Przystojny mężczyzna o nieco posępnej urodzie zeskoczył z wysoko zawieszanej żółtej dwukółki. Zarzucił cugle na tarantowatego konia i podszedł do powoziku Franceski. Irene natychmiast powzięła podejrzenie.

- Ty to zaaranżowałaś? - zapytała szeptem.

- Nie - odparła cicho Francesca, kręcąc przecząco głową i spoglądając na Radbourne'a ze szczerym zdziwieniem. - Przysięgam, że nie.

- Takie moje szczęście - zauważyła z westchnieniem Irene.

- Hrabio, co za niespodzianka - powiedziała Francesca. - Kto by się spodziewał, że ma pan zwyczaj zażywania przejażdżki po parku...

- Bo nie mam - odparł krótko. - Szukałem pań.

- Doprawdy? - Francesca uniosła lekko brwi, demonstrując uprzejme zdziwienie, co zwykle wystarczało, by rozmówca poczuł się zakłopotany zbyt swobodnym, zatrącającym o niegrzeczność zachowaniem.

Na hrabim nie zrobiło to żadnego wrażenia. Złożył ukłon przed lady Fenwit-Taylor i jak gdyby nigdy nic mówił dalej:

- Kilka minut temu byłem z lady Pencully w domu lorda Wyngate'a - zwrócił się do Irene, nie zwracając sobie głowy prawieniem zwyczajowych grzeczności. - Lady Pencully chciała oficjalnie potwierdzić zaproszenie na przyjęcie w Radbourne Park, niestety, nie zastaliśmy pani w domu.

- W istocie, nie było mnie - potwierdziła Irene.

- Lady Wyngate poinformowała nas, dokąd pani pojechała.

- Rozumiem. - Maura, zwiertrzywszy możliwość mariażu, bez wahania posłała go w ślad za nimi, uznała Irene i zerknęła na sąsiedni powóz. - Powinam chyba wrócić do domu, aby przywitać lady Pencully.

- Już jej tam nie ma. Scedowała na mnie przekazanie pani zaproszenia.

- Ach tak... - Irene posłała Francesce błagalne spojrzenie.

Zostało natychmiast podchwyczone i zrozumiane.

- Może poszłabyś na przechadzkę z hrabią i przedyskutowała uprzejme zaproszenie lady Pencully? Jestem przekonana, że właściwie wypełnię swoje obowiązki, jeśli będę cię widziała ze swojego miejsca w powozie. - Francesca uśmiechnęła się promiennie do starszej damy. - Nie pozbawię się też przyjemności rozmowy z lady Fenwit-Taylor.

Co oczywiście nie zachwyciło starszej pani, wyraźnie niekryjącej rozczarowania, że nie będzie mogła śledzić konwersacji między Radbourne'em a Irene. Do hrabiego wreszcie dotarło, że słuchają ich osoby postronne, i

rzuciwszy krótkie spojrzenie na lady Fenwit-Taylor, skinął głową, a potem wyciągnął rękę do Irene, aby pomóc jej wysiąść z powozu.

Ujęła podaną sobie dłoń, dużą i silną. Przeniknął ją ten sam dreszcz emocji, jakiego doznała poprzedniego wieczoru. Hrabia zaofiarował jej ramię, ale go nie przyjęła, zamiast tego splotła dłonie przed sobą i przecinając szeroką aleję, a potem trawnik, dotarła do ścieżki dla pieszych, cały czas uważając, by pozostawać w zasięgu wzroku Franceski i lady Fenwit-Taylor.

- Mam nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie, aby uczestniczyła pani w przyjęciu - powiedział bez zbędnych wstępów Radbourne. - Będzie pani przyjaciółka lady Haughston i oczywiście wiele innych osób.

- Młodych kobiet w wieku stosownym do zawarcia małżeństwa? - zapytała zgryźliwie. - Zgromadzenie możliwych kandydatek w jednym miejscu, żeby ułatwić sobie ich przegląd i ocenę?

- To nie tak - odparł z chmurną miną.

- A jak?

- To najłatwiejszy sposób, żeby spotkać wiele osób naraz. - Widząc wyraz twarzy Irene, dodał szybko: - Zgoda, będzie pewna liczba młodych kobiet, lecz nie po to, żebym je porównywał i oceniał. Wydaje mi się, że to dogodna możliwość, aby kogoś poznać.

- Niejednego kogoś.

- Niejednego - przyznał.

- Proszę przekazać wyrazy ubolewania lady Pencully. Przykro mi, ale muszę odrzucić jej zaproszenie. Nie zamierzam brać udziału w wyścigu o zdobycie pańskich względów.

- To nie jest żaden wyścig! - oświadczył szorstko.

- Nie znajduję innego słowa, by to określić - stwierdziła zimno Irene. - Będzie obecny przyszły pan młody i kilka ewentualnych kandydatek na pannę młodą, z których wybierze pan jedną. W konsekwencji każda z nich będzie starała się zdobyć pańskie względy, czy nie tak?

- Ma pani wysoce irytującą zdolność doprowadzania każdej rozmowy do martwego punktu! - orzekł, patrząc oskarżycielsko na Irene.

- Skoro tak trudno ze mną rozmawiać, zastanawiam się, dlaczego zdecydował się pan zaprosić mnie na przyjęcie.

- Sam się zastanawiam.

- A widzi pan? Czułby się pan znacznie bardziej komfortowo, nie musząc znosić w Radbourne Park mojego towarzystwa.

- Niewykluczone - burknął.

Przez chwilę szli w milczeniu. Irene przystanąła i odwracając się, spojrzała w kierunku powozu Franceski.

- Lepiej zawróćmy. Jeszcze kilka kroków i znikniemy z oczu lady Haughston.

- Dobrze. - Po przejściu kilku kroków hrabia powiedział: - Zastanawiam się, czego pani aż tak bardzo się boi...

- Proszę?! Niczego się nie boję.

- Nie znajduję innego słowa, by to określić, skoro odmawia pani złożenia wizyty w Radbourne Park. Nie proszę przecież, żeby pani za mnie wyszła ani nawet, aby pani rozważyła taką możliwość.

- Zatem lepiej zostawić moje miejsce dla innej młodej kobiety gotowej pana poślubić.

- Nic dziwnego, że nie chce pani wyjść za mnie za mąż. Ja także nie pragnę pani poślubić. Trudno myśleć o tak poważnym życiowym kroku, jeśli się kogoś ledwie zna. Właśnie dzięki wizycie w Radbourne moglibyśmy poznać się lepiej, zorientować się, czy do siebie pasujemy.

- Wystarczająco pana poznałam - oznajmiła Irene, przystając.

Hrabia też się zatrzymał i stanął naprzeciwko niej.

- A to jakim sposobem, skoro spędziliśmy może piętnaście minut w swoim towarzystwie?

- Pokazał mi pan wczoraj prawdziwe oblicze - powiedziała, starając się zachować spokój, choć przychodziło jej to z trudem, bo czuła coraz silniejszą złość. - To mi w zupełności wystarcza.

Oczy mu zabłyśły, pochylił się lekko.

- Nie wyglądała pani na przerażoną. Raczej wprost przeciwnie.

- Nie zasługuje pan na miano dżentelmena.

- A to dlaczego? Bo mówię niewygodną prawdę? Jednak ma pani rację, milady. Nie jestem dżentelmenem. Preferuję szczere stawianie spraw. Myślałem, że pani podobnie. Najwyraźniej się pomyliłem.

- Jak pan śmie... - zaczęła Irene, lecz nic więcej nie zdążyła powiedzieć, patrząc ze zdumieniem, jak ignorując ją całkowicie, Radbourne odwraca się i odchodzi.

Miała szczerą ochotę wrzasnąć za nim na całe gardło, ale wówczas zachowałaby się równie niegrzecznie i bez klasy jak on, więc zdusiła w sobie ten impuls. Ruszyła za hrabią, dumnie wyprostowana. Dogoniła go po kilku krokach i szła obok, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Wkrótce dotarli do powozu lady Haughston. Irene wspięła się po stopniu, nie przyjmując pomocnej dłoni, którą Radbourne usłużnie jej ofiarował. Wzrok Franceski prześliznął się z wyciągniętej w bezużytecznym geście ręki na twarz hrabiego, wyrażającą obojętność.

- Wróciliście w samą porę - powiedziała z uśmiechem. - Poczułam się trochę zmęczona i powinnam wrócić do domu. Hrabio, miło było pana widzieć.

- Lady Haughston - powiedział rzeczowym tonem i ledwie na nią spojrzawszy, zwrócił się do Irene: - Ufam, że raz jeszcze przemyśli pani swoją decyzję i dołączy do nas w Radbourne Park. - Nie czekając na odpowiedź, skłonił przed nimi głowę i odszedł.

Francesca przywołała na pomoc towarzyskie umiejętności, aby uwolnić się od lady Fenwit-Taylor, zanim Irene przestanie nad sobą panować. Nie było to

łatwe, zdołała jednak pożegnać w uprzejmy sposób starszą damę i nakazała woźnicy ruszać natychmiast.

- Och! - wykrzyknęła Irene. - Co za potworny mężczyzna! To najbardziej zadufany w sobie, irytujący, uparty i nieprzyjemny człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam! Nie wierzę, aby rodzina znalazła kobietę, która zgodzi się go poślubić. Wiem, że będzie okropnym mężem. Wymagającym, wyprowadzającym z równowagi i... - Urwała i aż sapnęła ze złości.

- Musiał powiedzieć coś bardzo nieprzyjemnego. Co takiego?

- Nie tyle chodzi o to, co mówił, ale w jaki sposób. Jest kompletnie pozbawiony manier. Jest niegrzeczny, a uważa, że jedynie mówi prawdę, i dziwi się, że się obrażam. Oświadczył, że boję się przyjąć zaproszenie lady Pencully. Też coś!

- Trudno mi to sobie wyobrazić - powiedziała uspokajająco Francesca.

- Owszem, bałam się. Każdy kiedyś czegoś się bał. Jednak nigdy nie dałam tego po sobie poznać. Nie odstąpiłam od zrobienia czegoś tylko dlatego, że bałam się konsekwencji!

- Z pewnością - zgodziła się Francesca. - Radbourne nie zna cię wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, jaka jesteś naprawdę.

- Właśnie. A zachowuje się, jakby znał i wiedział, co myślę i czuję.

- Nie jest przyzwyczajony do prowadzenia uprzejmej konwersacji. Bez wątpienia to jeden ze skutków tego nieszczęsnego porwania.

- Mogę ci pokazać chłopców stajennych z lepszymi niż on manierami. To kwestia osobowości. Nawet gdyby był wychowywany jak księżę i tak zachowywałby się jak skończony gbur.

- Dalej twierdzą, że bez specjalnego trudu znajdzie kobietę gotową przymknąć oko na jego maniery. Nie taką jak ty, oczywiście. Taką, która nie będzie miała dość odwagi, by mu się przeciwstawić, gdyby spróbował ją zdominować. Ani dość rozumu, żeby nauczyć go, jak powinien postępować.

- Pewnie nie.

- Będzie widziała tylko korzyści i zalety tego związku, żadnych wad czy zagrożeń. - Francesca spojrzała przelotnie na Irene i mówiła dalej: - Poza tym wiele kobiet pozostaje pod urokiem przystojnych mężczyzn.

- Jeśli komuś podoba się ten typ urody. Sądzę, że ma zbyt wyraziste rysy i jest za potężny. Nie uważasz?

- Tak, rzeczywiście. Nie lubię brązowych oczu.

- Ma zielone - sprostowała Irene. - Dziwny kolor, jak na kogoś o czarnych włosach i smagłej skórze. Włosy nosi za długie.

- Zupełnie niemodne.

- I ma taką małą bliznę w załamaniu brwi. Nie dodaje mu to uroku.

- Naprawdę? Dlaczego ja tego nie zauważyłam?

- O tutaj - Irene przyłożyła palec do swojej prawej brwi - tuż przy koniuszku.

- Do tego w ogóle się nie śmieje - dorzuciła Francesca.

- Raz widziałam, jak się uśmiechnął. Wyglądał zupełnie inaczej. Przecież trudno wyczekiwać przez całe życie, czy ktoś przypadkiem się rozpogodzi.

- Nawet jeśli ten ktoś uśmiecha się w wyjątkowy sposób.

- Właśnie.

- A zresztą wygląd nie jest ważny - orzekła Francesca. - To takie nierozsądne wybierać kogoś na męża tylko dlatego, że na jego widok serce żywiej bije.

- To prawda. - Irene zapatrzyła się na budynki, które mijały. Po chwili odezwała się znowu: - Najgorsze, że pojechał z cioteczną babką do nas, by mnie zaprosić. Teraz już Maura wie, że otrzymałam zaproszenie do Radbourne Park. Rozpaczliwie pragnie pozbyć się mnie z domu i jeżeli nic nie zrobię, aby zdobyć hrabiego, wpadnie w furię. Będzie mnie nękać dzień i noc. Doprowadzi do obłędu matkę i Humphreya, próbując ich zmusić, by ją poparli.

- Może w tej sytuacji powinnaś wziąć udział w przyjęciu - powiedziała Francesca, obserwując Irene. Na widok grymasu na jej twarzy, dodała

pospiesznie: - Tylko na mnie nie napadaj. Pomyśl o tym, że przez tydzień albo dłużej nie zobaczysz Maury. Będiesz mogła zabrać ze sobą matkę, a jak się domyślam, też chętnie odetchnie od towarzystwa synowej. Tydzień błogosławionego spokoju, żadnych kłótni...

- A Radbourne?

- Żadnych sporów z Maurą. Nie musisz zaręczać się z mężczyzną tylko dlatego, że złożyłaś wizytę w jego rodzinnej posiadłości. Wrócisz i powiesz, że ci nie odpowiadał.

- Co nie zmienia faktu, że każdego dnia będę miała z nim do czynienia - powiedziała z naciskiem Irene. - Nie mogę zapewnić, że przez tak długi czas nie wdam się z hrabią w awanturę, co niewątpliwie ożywi atmosferę - dodała ironicznym tonem. - Skoro nie zamierzam rozważać jego kandydatury na męża, to właściwie oszukiwałabym lady Pencully i lady Radbourne. Niezbyt piękna zapłata za ich gościnność.

- Nonsens. Rodzina gorąco pragnie go ożenić, ale nie ma złudzeń, że wszystkie zaproszone panny będą skłonne przyjąć oświadczyzny. Sądzą tylko, że ewentualna kandydatka spojrzy na niego łaskawszym okiem, poznawszy bliżej.

- Zupełnie nie rozumiem, skąd powzięli takie mniemanie. Kilka minut w jego towarzystwie wystarczy, by wystraszyć nawet najbardziej skłoną do zawarcia małżeństwa dziewczynę.

- Może łatwiej będzie dostrzec coś więcej poza jego szorstkością, jeśli spędzi się z nim więcej czasu.

- Być może. Jestem pewna, że w moim przypadku nic takiego się nie zdarzy. Nie mogę udawać, że myślę o nim jako kandydacie na męża.

- Szkoda. Cieszyłoby mnie twoje towarzystwo. A tak będę skazana na chichoczące dziewczęta i... lady Odelię.

Francesca zrobiła ponurą minę i Irene musiała się roześmiać.

- Przykro mi, ale nie mogę być nie fair w stosunku do Bankesów... nawet w stosunku do Radbourne'a.

- A jeżeli... - Francesca poprawiła się na siedzeniu, wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu towarzyszki. Twarz miała ożywioną, pochyliła się lekko ku Irene. - A jeżeli pojedziesz i nie będziesz niczego udawać? Postawisz sprawę jasno i otwarcie poinformujesz, że nie zamierzasz go poślubić?

- W takim razie po co by mnie zaprosili?

- Mnie do pomocy - oświadczyła Francesca. - Wy tłumaczę, że nieugięcie trwasz w swoim postanowieniu i nie zamierzasz poślubić Radbourne'a. Postaram się to zrobić nieco oględniej, niż oświadczając, że darzysz go niechęcią. Rzecz w tym, że lady Pencully poprosiła mnie o przyjazd tydzień wcześniej, tak bym miała czas nieco oszlifować maniery hrabiego.

- Jak zamierzasz tego dokonać? - zapytała sceptycznie Irene.

- Nie zmienię mu charakteru, to oczywiste, ale możliwe jest wpłynięcie na niego w taki sposób, aby stał się bardziej pociągający dla mniej wybrednej niż ty młodej damy.

- Chciałaś powiedzieć, mniej krytycznej. - Irene uśmiechnęła się, by złagodzić sarkazm tych słów.

- Lady Odelia mówiła mi, że on bardzo źle tańczy. Łatwiej byłoby to zmienić, gdybyśmy odbywały z nim lekcje na zmianę. Mogłybyśmy też nauczyć go prowadzić lekką konwersację, zaznajomić z zasadami etykiety.

- Rzeczywiście to by mu się przydało - zgodziła się Irene. - Pamiętaj tylko, że uważa się mnie za osobę, której brak towarzyskich przymiotów.

- Och, ale za to panuje opinia, że mnie ich nie brakuje - zauważyła Francesca. - Wykorzystam cię, gdy zajdzie potrzeba poinformowania go szczerze i otwarcie o jego niedostatkach. Powinien wiedzieć, co robi źle, i myślę, że w tej kwestii mogę w pełni na tobie polegać. - Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Nie zawiodę cię. - Irene odwzajemniła uśmiech. - Nikt bardziej skwapliwie niż ja nie wytknie Radbourne'owi jego potknięć.

- Doskonale byśmy się uzupełniały. Naprawdę sędzę, że będziesz nieoceniona podczas procesu cywilizowania hrabiego. Wiąże się to oczywiście ze spędzaniem czasu w jego towarzystwie, ale nie powinno to być trudne, jeśli on pojmie, że nie zamierzasz go poślubić. Zapewniam cię, że postaram się, aby zrozumiał. On i lady Odelia, tak by nie wywierała na ciebie nacisku.

Pomysł wydał się Irene pociągający. Może spodobała się jej perspektywa utarcia nosa hrabiemu, który tak ją irytował. A może odpoczynku od bratowej, jej humorów i rozmów o ciąży, i to przez całe dwa tygodnie? Albo spędzenia czasu w towarzystwie Franceski, którą tak niespodziewanie polubiła.

- Sama nie wiem - powiedziała z namysłem.

- Brzmi to wszystko rozsądnie, ale obawiam się, że hrabia nie należy do mężczyzn, którzy łatwo przyjmują do wiadomości odmowę.

- Jeśli nawet wpadnie na pomysł, żeby odwieść cię od twojej decyzji, nie może przecież do niczego cię zmusić. To nie jest zły człowiek, tylko trochę... nieelegancki w obejściu.

- Nie jest niegodziwy, to prawda. Jest uparty i zbyt pewny siebie. To nie są najgorsze wady.

- A ty potrafisz oprzeć się jego próbom przekonania cię, tego jestem pewna.

- Rzeczywiście.

- Weź też pod uwagę, że kiedy przyjadą inne młode kobiety, nie będziesz już z nim miała tak często do czynienia. Będzie spędzał większość czasu z nimi, a one bez wątpienia zrobią wiele, by wzbudzić jego zainteresowanie.

- Pewnie tak.

- Bardzo bym chciała, żebyś ze mną pojechała. Odpoczniesz przez jakiś czas od bratowej, zabierzesz matkę...

- Podobałoby się jej to - przyznała Irene.

- Oczywiście. Lady Pencully i lady Radbourne są wprawdzie od niej starsze, ale z pewnością będzie dobrze czuła się w ich towarzystwie. Lady Odelia potrafi być przezabawna... No i mnie to by bardzo pomogło.

- Naprawdę? - Irene popatrzyła na nią badawczo.

- Naprawdę. Dzięki tobie szanse Radbourne'a na znalezienie żony znacznie wzrosną. Wiesz, co może w jego zachowaniu irytować albo obrażać. Poza tym zdejmiesz ze mnie wiele obowiązków. Możesz przedstawić go dziewczętom, kiedy już przyjadą, pomóc mi w zaaranżowaniu rozmów z nimi.

- Nie wymagaj jednak ode mnie, abym skłaniała jakąkolwiek kobietę, a już zwłaszcza młodą, wrażliwą pannę do zaakceptowania jego kandydatury. Nie mogłabym tego zrobić z czystym sumieniem.

- Ależ nigdy bym czegoś podobnego nie sugerowała! - Francesca spojrzała na nią zdumiona. - Najgorsze, co mogłoby się zdarzyć, to znaleźć mu mimozowatą żonę. Potrzeba nam kogoś o silnej osobowości, zdolnego poradzić sobie z nim i jego rodziną. Zresztą, byłoby czymś wysoce nagannym namawiać którąś wbrew jej woli.

- Obawiam się, że szanse na powodzenie są niewielkie - powiedziała z powątpiewaniem Irene.

- Prawdopodobnie, ale uważam, że warto spróbować. Nic na to nie poradzę, że czuję lekkie współczucie dla człowieka, któremu przytrafiło się tyle okropnych rzeczy, i to przez lata. Odebrany rodzinie, zmuszony prowadzić życie w biedzie i opuszczeniu. Cud, że przeżył, a co dopiero, że odzyskał tytuł i majątek. To ostatnie nie wynagradza mu oczywiście lat spędzonych bez matki i ojca.

- Masz rację - przyznała Irene, czując, że i w jej sercu rodzi się współczucie. - Musiało mu być ciężko. Nieładnie z mojej strony, że tak ostro krytykowałam jego manierę i sposób zwracania się do ludzi. Przecież nie miał wpływu na swoje wychowanie.

- To prawda. Pojedziesz ze mną do Radbourne Park? Oddasz mi wielką przysługę.

- Z przyjemnością ci pomogę, skoro Radbourne będzie świadomy tego, że nie jestem jedną z kandydatek na jego żonę.

- Postaram się, aby to było oczywiste dla niego i lady Odelii - zapewniła pospiesznie Francesca.

- W takim razie postanowione.

Dojechały do domu Irene i powóz się zatrzymał się. Z ożywieniem umówiły się na następne spotkanie, aby poczynić przygotowania do podróży zaraz po tym, jak Francesca przedyskutuje nowy plan działania z lady Pencully.

Rozdział siódmy

Powóz toczył się po drodze prowadzącej do Wooton Beck. Miasteczko było niewielkie, ciche i pełne zieleni jak na wiejską okolicę przystało. Dla trzech kobiet jadących powozem nazwa miasteczka była tylko dlatego istotna, że do celu ich podróży pozostała zaledwie mila - za Wooton Beck zaczynały się posiadłości rodu Bankesów.

Lady Odelia posłała po Francescę, Irene i lady Claire własny powóz. Choć staroświecki, miał doskonałe resory i był luksusowo wyposażony. Nie zaniedbano niczego, co mogłoby wpłynąć na komfort podróży. Kosze z wyszukany jedzeniem i piciem stały do ich dyspozycji, gdyby poczuły się głodne lub spragnione. Niewielkie pledy, sięgające od kolan do stóp, leżały przygotowane na wypadek, gdyby zrobiło im się chłodno.

Irene spojrzała na matkę, śpiącą z głową wtuloną w kąt powozu, niepewna, czy nie powinna jej obudzić. Znając lady Claire, mogła przypuszczać, że chciałyby mieć trochę czasu, aby przygotować się na spotkanie z hrabią i jego rodziną. Irene żał było wyrywać ją ze słodkiej drzemki, zwłaszcza że przez ostatnie dziesięć dni matka niewiele spała, podekscytowana czekającą je wizytą i zaaferowana przygotowaniami.

Przed wszystkim uznano, że niezbędne jest zakupienie nowych ubrań. Na nic zdały się protesty Irene, że ma wystarczającą liczbę strojów.

- Musisz mieć nową wieczorową suknię, a nie taką, w której widziano cię kilka razy podczas ubiegłego sezonu - nalegała Maura, zupełnie za-rzuciwszy temat ciąży i mającego się narodzić potomka. - I kilka nowych sukien na dzień.

Niespodziewana szczodrość bratowej tak zdumiała Irene, że bez dalszych protestów zgodziła się na odwiedzenie pracowni krawieckiej. Humphreya z kolei tak ucieszyły oznaki harmonii w rodzinie, że sięgnął do sakiewki, dając Maurze całkowitą swobodę w zakupach.

Irene szybko zorientowała się, że okazana nieoczekiwanie przez bratową dobra wola wynika z chęci pozbycia się nielubianej szwagierki z domu, ale nie zmąciło to przyjemności, jaką czuła, wybierając się z Maurą do miasta w zgodzie, bez zwykłych między nimi przymówek i złośliwości. Francesca dołączyła do nich w pracowni modniarki, a jej obecność ożywiła wszystkich. Nie wiadomo kiedy wśród śmiechów i żartów wytworzyła się niezwykła dla Irene atmosfera przyjaznego porozumienia. Zdała sobie sprawę, że kupiła więcej rzeczy, niż zamierzała, a wśród nich suknie znacznie mniej surowe i ładniejsze niż te, które zwykle nosiła.

Francesca przekonywała ją, że na przyjęcie nadaje się suknia ze złocistego atłasu, i Irene w końcu przystała na to, urzeczona delikatnym, jedwabistym połyskiem tkaniny, choć zastrzegła, aby ozdabiał ją tylko jeden rząd naszytych półkoliście marszczonych falban, a linia dekoltu została nieco podniesiona. Zostały kupione także miękkie pasujące do sukni balowe pantofelki, złocisty szyfonowy szal do zarzucenia na nagie ramiona, wstążki i kwiaty do włosów.

Namówienie jej na szarą suknię podrózną i ciemnozieloną wieczorową, a potem dwóch z muślinu, przeznaczonych na co dzień, nie zajęło już tak wiele czasu, podobnie jak rozmaitych dodatków, które Francesca z Maurą uznały za niezbędne.

Następnego dnia Francesca pojawiła się w domu Wyngate'ów w towarzystwie Maisie, którą zarekomendowała jako mistrzynię igły. Wszystkie poszły do pokoju Irene, gdzie cała jej garderoba została poddana inspekcji i

oceniona. Francesca знаła się na modzie i miała doskonały gust, a Maisie rzeczywiście posługiwała się igłą i nitką z imponującą biegłością. Irene nawet się nie spostrzegła, gdy przez dodanie tu i ówdzie wstążek czy falbanek, koronkowych wstawek albo atłasowych guziczków, pogłębienie dekoltu, podłużenie lub skrócenie rękawów jej suknie nie tylko stały się modniejsze, ale i nabrały całkiem innego charakteru - bardziej podkreślały urodę Irene.

Któregoś wieczoru, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, stwierdziła, że nie ma potrzeby, aby dłużej wyglądała tak surowo i niedostępnie jak dotąd. Jest starą panną, mężczyźni nie biorą pod uwagę kobiet w jej wieku jako kandydatek na żonę. Może wreszcie pozwolić sobie na to, aby nie pomniejszać swojej urody. Czemu nie rozluźnić tego ścisłego węzła, w który zawsze spinała włosy? Co jej szkodzi ułożyć je we francuskim stylu, z kaskadą loków, tak jak dziś sugerowała Maisie, albo wpleść w nie wstążkę czy inną ozdobę?

Maura nie byłaby sobą, gdyby od czasu do czasu nie krytykowała Irene, a ona nie byłaby sobą, gdyby pokornie przyjmowała jej rady, a zwłaszcza jej dyktatorskie zapędy. Niemniej perspektywa uwolnienia się choć na krótki czas od bratowej czyniła jej obecność łatwiejszą do zniesienia, a dobrego humoru dopełniło przysłanie nowych sukien. Irene nie zdołała powstrzymać się od przymierzenia wszystkiego raz jeszcze. Ogarnęło ją uczucie cichej satysfakcji na myśl o reakcji młodych dziewcząt, które przybędą do Radbourne Park i zobaczą jej nowe wcielenie.

Miała spędzić w Radbourne nie więcej niż dwa tygodnie, a musiała zapakować naprawdę dużo. Pantofelki do tańca i zapasowa para na wypadek, gdyby je zniszczyła. Buty do jazdy konnej. Wygodne, solidne trzewiki przydatne do spacerów po wiejskich terenach. Eleganckie buciki do chodzenia po domu w ciągu dnia, i to dwie lub trzy pary pasujące do różnych sukien. Jeśli chodzi o suknie, liczba tych, które koniecznie należało wziąć, wydała się Irene niewiarygodna.

Trzeba było spakować strój do jazdy konnej, ubiór podróżny, suknię stosowną na spacer i drugą z tym samym przeznaczeniem, z grubszego materiału na dłuższe spacery lub chłodniejszą pogodę, poza tym oczywiście kilka codziennych sukien, wieczorowe na oficjalne kolacje, dwie najlepsze balowe na eleganckie przyjęcia które Bankesowie z pewnością zamierzali wydać w ciągu tych dwu tygodni.

Do tego koszule nocne, halki, koszulki, pończochy o rozmaitej grubości i jakości, praktyczną halkę z flaneli na wypadek chłódów lub gdyby dom w Radbourne okazał się zimny albo hulały w nim przeciągi. Zbliżał się wrzesień i trzeba było wziąć długi elegancki płaszcz z aksamitu do narzucenia na wieczorową czy balową suknię i co najmniej dwie peliski na co dzień.

Na ostatek te wszystkie bardzo ważne drobiazgi - długie i krótkie rękawiczki, na dzień i na wieczór, a także do konnej jazdy, wstążki i ozdoby do włosów, trochę biżuterii, którą miała, wachlarze i kapelusze. Ku zdumieniu Irene Maura dołożyła własną mufkę z sobolowego futra.

Dopóki trwało pakowanie, Irene udawało się nie okazywać nadmiernego podniecenia wyjazdem ale w przeddzień, gdy załadowano kufry do dużej bryki, którą mieli pojechać za nimi Maisie i woźnica lady Haughston, przestała się kontrolować. Lady Claire promieniała niemal od momentu, gdy Maura zniknęła im z oczu. Już samo to wystarczyło, by

Irene odczuła zadowolenie, że przystała na propozycję Franceski i zgodziła się na wyjazd do Radbourne Park.

Z pewnością hrabia wyjdzie je powitać. Tego, że nie będzie się do niej zalecał, była pewna. Podejrzewała, że jednak w taki czy inny sposób spróbuje ją przekonać do zmiany decyzji. Potrzebował żony i nie należał do mężczyzn, którzy łatwo się poddają. Będą oczywiście inne młode kobiety i mógł zainteresować się którąś z nich. Irene właśnie na to liczyła. W takim razie dlaczego na tę myśl jej dobry nastrój nieco osłabł? Prawdopodobnie dlatego, że

przykro było zyskać potwierdzenie, jak łatwo przyjdzie mu zastąpić ją inną. To absurd, uznała, w gruncie rzeczy nie życzy sobie, by hrabia ją nagabywał.

Podróż zajęła im sporo czasu. Nie przeszkadzało to Irene, ponieważ Francesca była uroczą towarzyszką, prowadziła ożywioną konwersację, a lady Claire z dala od karcących spojrzeń synowej śmiała się łatwo i z wyraźną przyjemnością gawędziła o niczym, dopóki nie zasnęła. Kiedy nie rozmawiały, też było przyjemnie. Irene nigdy dotąd nie podróżowała w ten sposób ani nie nocowała w przydrożnych gospodach, ponieważ ich wiejski dom znajdował się ledwie o dzień drogi od Londynu. To wszystko było dla niej ekscytująco nowe i zamierzała czerpać z tego tyle przyjemności, ile się da.

W miarę jak zbliżały się do miejsca przeznaczenia, rosła w niej ciekawość. Co jakiś czas odciągała zasłonkę z szyby, sprawdzając, czy nie dostrzeże Radbourne Park, ale widziała tylko wysoki, starannie wypielęgnowany żywopłot rosnący wzdłuż drogi, którą jechały. W pewnym momencie powóz skręcił w węższą i wyraźnie mniej wyjeżdżoną aleję. Minęli niewielki dom, wjechali w kolejną aleję po której obu stronach rosły stare drzewa, a ich gałęzie splatały się wysoko ponad powozem. Koła zaturkotały rozgłośnie, gdy przejeżdżali przez kamienny mostek nad strumieniem, i wkrótce powóz wytoczył się poza linię drzew.

Irene bezceremonialnie wychyliła głowę przez okno, ciekawa, jakie wrażenie wywrze na niej dwór. Przed nimi rozciągał się wielki trawnik lekko wznoszący się ku górze i przecięty podjazdem zakręcającym przed frontowymi drzwiami. Rezydencja stała na szczycie niewielkiego wzniesienia.

- Ojej! - wyrwało się Irene.

Centralną część stanowił budynek bramny wzniesiony na planie kwadratu, wysoki na cztery kondygnacje i ograniczony po bokach dwiema wieżami na planie koła, górującymi nad budynkiem jeszcze na dwa piętra. Po obu stronach od wież biegły boczne skrzydła, już nie tak wysokie niemniej mające trzy kondygnacje. Całą budowlę wzniesiono z czerwonej cegły o odcieniu różniącym

się nieco w poszczególnych sekcjach. Szczyty wież zostały ozdobione ornamentem z terakoty przypominającej kamień, podobnie wykonano obramowania okienne.

Lady Claire, która właśnie się przebudziła, i Francesca wychyliły się także z okien powozu.

- Nie ma wątpliwości, że rodzina Bankesów zawsze miała dobre mniemanie o sobie - zauważyła z przekąsem Francesca.

- Nie wiem, jakiego słowa użyć - powiedziała Irene, wciąż wpatrując się w dwór. - Może nie piękny, ale z pewnością majestatyczny.

- Na mnie sprawia wrażenie miejsca skrywającego mroczną tajemnicę. Czyjś szkielet lub dwa, pleśniejące w piwnicach. Albo szalonego wujaszka zamkniętego na klucz gdzieś w czeluściach strychu - oznajmiła Francesca.

Irene się roześmiała.

- Wygląda, jakby wybudował go dla siebie korsarz Elżbiety Pierwszej.

Francesca obrzuciła Irene prowokującym spojrzeniem.

- Zwiodłaś mnie, okazuje się, że masz duszę romantyczki.

- Nonsens - odparła obcesowo Irene, sadowiąc się z powrotem na kanapie powozu.

- Lady Odelia z pewnością czeka, aby nas powitać. Czy pani zna lady Pencully, lady Wyngate?

- Zostałam jej przedstawiona. Trudno byłoby orzec, że ją znam - odparła dyplomatycznie lady Claire.

- Sądzę, że gdy raz spotkało się lady Pencully, można przyjąć, że się ją poznało - powiedziała z uśmiechem Francesca. - Niestety, nie jest wzorem subtelności.

- Nie - przyznała lady Claire, odwzajemniając uśmiech. - Rzeczywiście lady Pencully jest szczerą do bólu. To bez wątpienia cenna cecha.

- Bez wątpienia - zgodziła się przewrotnie Francesca.

- Nie przyjeżdża zbyt często do Londynu - stwierdziła lady Claire.

- Za co wszyscy powinniśmy być jej wdzięczni. Jestem pewna, że ty się jej nie wystraszysz, Irene, ale ja zawsze się jej obawiałam. Ilekroć zjawiała się z wizytą w Dancy Park, robiłam co tylko w mojej mocy, żeby się na nią nie natknąć. Nic nie umknęło jej oczom: ani naderwana falbanka, ani kosmyk włosów nie na swoim miejscu.

- Czy to twoja krewna? - zapytała Irene.

- Uchowaj Boże! - zaprzeczyła Francesca. - Mój dom rodzinny jest położony w pobliżu Dancy Park, jednego z majątków Rochforda. To urocze miejsce i lady Pencully, która jest babką księcia, często składała mu wizyty, gdy tam przebywał.

- Czy zna pani także innych mieszkańców Radbourne Park? - spytała lady Claire.

- Nie, nigdy tu nie byłam - wyjaśniła Francesca. - Nie znam siostry lady Pencully. Jest babką obecnego hrabiego. Bardzo jestem jej ciekawa. Wciąż się zastanawiam, czy jest taka sama jak lady Pencully. Chociaż trudno sobie wyobrazić dwie takie osoby w rodzinie.

- Kto jeszcze mieszka w rezydencji? - spytała Irene.

- Przypuszczam, że druga żona zmarłego hrabiego. Ożenił się powtórnie w późnym wieku, ale nigdy nie spotkałam hrabiny. Nie przyjeżdżała do Londynu prawdopodobnie ze względu na podeszły wiek i zły stan zdrowia męża. Nie przypominam sobie nawet jej imienia. Ma z hrabią syna, to wciąż jeszcze dziecko. Sporo rozprawiano o tym, że wraz z pojawieniem się w rodzinie porwanego dziedzica stracił prawo do tytułu. Poza tym nic nie wiem. Nawet tego, czy inni członkowie rodziny będą obecni. Lady Odelia oświadczyła mi, że nie będzie się ze mną wdawać w dyskusję o zbędnych szczegółach.

Dojechały niemal przed frontowe drzwi. Otworzyły się i odziany w czerń mężczyzna zszedł po schodach, tuż za nim postępowało dwóch lokajów w liberiach. Irene pomyślała, że to musi być kamerdyner Radbourne'ów. Zaczekał,

aż powóz się zatrzymał, po czym otworzył drzwiczki i pochylił przed nimi w ukłonie.

- Pozwolą panie, że powitam je w Radbourne Park. Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca.

- Zupełnie nie. Odbyliśmy ją w doskonałym nastroju - zapewniła go Francesca, przyjmując dłoń, którą podał, by pomóc zejść ze stopni powozu.

Irene i lady Claire poszły w jej ślady, po czym wszystkie trzy zatrzymały się, by raz jeszcze spojrzeć na dwór. Kamerdyner pozwolił sobie na prze-lotny, pełen dumy uśmiech.

- Budynek bramny został zbudowany przez pierwszego hrabiego - wyjaśnił.
- Oczywiście był tu przedtem stary dom, a raczej normańska twierdza, ale stał opuszczony do czasów Henryka Ósmego, kiedy pierwszy pan na Radbourne wznosił to arcydzieło. Zamierzał postawić budowlę, która dorównałaby Hampton Court, ale niestety zmarł, zanim powstało cokolwiek więcej niż budynek bramny. Drugi hrabia nie rozwinął jego architektonicznej wizji i po prostu dodał dwa skrzydła po bokach.

- Co znajduje się w wieżach? - spytała Irene, unosząc głowę, by popatrzeć na koliste kamienne konstrukcje.

- Tylko schody kręcone, milady. Jeśli ktoś zechce się na nie wspiąć, może podziwiać wspaniały widok.

- Chętnie bym to zrobiła.

- W takim razie musisz znaleźć kogoś młodszego niż ja, by ci towarzyszył - powiedziała lady Claire. - Myślę, że podziwianie okolicy z tego poziomu całkiem mi wystarczy.

- Jest w Radbourne wiele rzeczy wartych obejrzenia, milady - zapewnił ją kamerdyner. - Nazywam się Horroughs. Proszę dać mi znać, gdyby pani czegokolwiek potrzebowała. Czy pozwolą panie, że wprowadzę je do środka? Lady Radbourne, lady Pencully i hrabina wdowa oczekują pań.

Lokaje zajęli się wynoszeniem z powozu podręcznych kufrów, a one poszły w ślad za wyprostowanym jak struna kamerdynerem do frontowych drzwi. Ogromny hol recepcyjny prowadził do wielkiego, bogato umeblowanego salonu. Siedzące w nim trzy kobiety utkwili wzrok w nowo przybyłych. Irene wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że hrabia Radbourne jest nieobecny. Ciekawe, czy specjalnie nie przyszedł, aby okazać jej lekceważenie. Co oczywiście nie ma dla niej żadnego znaczenia.

- Wreszcie jesteście!

Słowa te wypowiedziała starsza dama o siwych włosach, przykrytych czarnym czepkiem ozdobionym koronką. Nosila niemodną suknię z szeroką spódnicą i sztywnym stanikiem z pięknego jedwabiu w kolorze dojrzałej śliwki. Posturę miała imponującą, a gdy wstała z sofy i zaczęła iść w ich kierunku, Irene pomyślała, że sunie równie majestatycznie jak wielka fregata pod pełnymi żaglami. Musiała to być lady Odelia Pencully.

Druga z kobiet, zajmująca miejsce na sofie, wyglądała zupełnie inaczej. Białe jak śnieg włosy wymykały się spod czarnego koronkowego czepeczka, miała na sobie czarną suknię skrojoną według najświeższej mody, wąską, z podniesioną talią, przystrojoną koronką. Była bardzo szczupła, tak że sprawiała wrażenie niezwykle kruchej, siedziała jakby lekko skulona. Gdy wstała i podeszła do nich z nieśmiałym uśmiechem, ozdobiony frędzlami czarny szal zsunął się z jej ramienia i wlokła jego koniec za sobą niczym tren.

- Witaj, Francesco - zagrzmiała na powitanie lady Odelia. - Zupełnie nie wyglądasz na sfatygowaną podróżą. - Odwróciła głowę w kierunku swojej kruchej towarzyski. - Sama widzisz, Pansy. Mówiłam ci przecież, że nie doznają żadnego uszczerbku. Nie wszyscy znoszą podróż tak źle jak ty.

- Oczywiście, że nie, Odelio - odparła jej towarzyska, lekko skłaniając na bok głowę. Uśmiechała się przyjaźnie, wyraz twarzy miała uprzejmy, a zarazem nieco nieobecny, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę z bytności innych osób.

Francesca przedstawiła lady Claire i Irene, a lady Pencully dokonała prezentacji siostry i hrabiny wdowy Radbourne.

Lady Pansy ujęła dłoń Irene. Miała delikatne ręce o wężlastych stawach, bardzo szczupłe, sama skóra i kości, i zimne, choć w salonie było bardzo ciepło.

- Cieszę się, że cię poznałam - powiedziała. - Jestem pewna, że się zaprzyjaźnimy.

- Dziękuję, lady Radbourne. To bardzo uprzejmie z pani strony - odrzekła Irene, zastanawiając się, dlaczego babka Radbourne'a jest gotowa się z nią zaprzyjaźnić.

Skierowała uwagę na trzecią kobietę w salonie, która właśnie wstała ze swojego miejsca, aby do nich podejść. Jasnowłosa, o delikatnej bladej cerze i wielkich jasnoniebieskich oczach była bezsprzecznie bardzo ładna. Czarna suknia z akcentami bieli, stosowna dla osoby wciąż pozostającej w żałobie' zapięta wysoko pod szyję i szczelnie zakrywająca piersi, nie zdołała ukryć ich bujności, zwłaszcza że wysoko podwyższony stan dobrze je uwypuklał.

- Miło mi poznać - powiedziała, przenosząc chłodne spojrzenie z Franceski na Irene i lady Claire. - Jestem hrabina Radbourne.

- Wdowa po moim synu Cecilu - objaśniła Pansy, a jej oczy przybrały smutny wyraz. - Nie ma go wśród nas od roku.

- Witam w Radbourne Park - oznajmiła hrabina Radbourne, ignorując teściową.

Wdowa okazała się młodsza, niż można by się spodziewać. Nie sprawiała wrażenia przyjaźnie nastawionej osoby. Gładkie powitalne formułki wymawiała w uprzejmy, ale zimny sposób, z dystansem. Najwyraźniej nie była zbytnio zadowolona z przyjazdu gości. Raczej wręcz bardzo niezadowolona, pomyślała Irene.

- Z pewnością chciałybyście trochę pokrzepić się po podróży - stwierdziła lady Odelia. - Zadzwońię po herbatę.

Pomaszerowała wielkimi krokami, by pociągnąć za wstążkę dzwonka, a Irene zauważyła niechętnie spojrzenie posłane jej przez hrabinę Radbourne.

- Być może panie woląłyby najpierw udać się do swoich pokoi i odświeżyć po długiej podróży -zauważyła.

Lady Odelia odwróciła się z nachmurzoną twarzą.

- Na pewno chcą się przywitać z Gideonem.

- Tak jakby można było liczyć, że starczy mu dobrych manier i przyjdzie powitać gości - odparła zjadliwie hrabina.

- Przepraszam cię, Tereso - powiedziała lodowatym tonem lady Odelia, prostując się z godnością, tak że wyglądała na jeszcze wyższą - ale jestem pewna, że mojego ciotecznego wnuka zatrzymały niecierpiące zwłoki sprawy. Najprawdopodobniej związane z zarządzaniem majątkiem, bo z tego, co wiem, Radbourne Park zostało doprowadzone do katastrofalnego stanu przez ostatnie kilka lat.

Hrabina rzuciła jej wrogie spojrzenie, ale najwyraźniej obawiała się wprost przeciwstawić lady Odellii, ponieważ lekko podniesionym głosem powiedziała:

- Mój mąż nie czuł się dobrze przez kilka ostatnich miesięcy przed śmiercią. Robiłam, co w mojej mocy, ale nie mam talentu do interesów, tak jak niektórzy - dokończyła z naciskiem.

To ostatnie miało być kamyczkiem rzuconym do ogródka świeżo odnalezionego spadkobiercy, przypuszczała Irene, który sam o własnych siłach dorobił się okazałego majątku, zanim odziedziczył rodzinny. Szczęśliwa ręka do interesów nie przysparzała mu chwały w londyńskim towarzystwie, przeciwnie, stanowiła kolejną pozycję w rejestrze jego wad. Nie uznawano za dżentelmena kogoś, kto nie potrafił wznieść się ponad prozaiczne kwestie związane z pieniędzmi, a już z pewnością nie uchodziło to żadnej damie i mogła się spodziewać powszechnego ostracyzmu, gdyby przyszło jej do głowy parać się interesami.

Irene nigdy tego nie rozumiała. Ignorancja i niekompetencja, obojętne w jakiej dziedzinie, wydawały się jej powodem do wstydu, a nie dumy, zwłaszcza jeśli prowadziły do utraty pieniędzy. Zbyt długo musiała żyć, cierpiąc na niedostatek funduszy na skutek lekkomyślności ojca, aby uznać tę cechę dżentelmena za pożądaną. Akurat to, że Gideon Bankes zdołał nie tylko przetrwać mimo niesprzyjających okoliczności, ale dorobić się, stanowiło powód do podziwu, nie do pogardy.

Hrabina wdowa z pewnością nie podzielała opinii Irene, a jeśli się zastanović, łatwo było dojść do wniosku, że serdecznie nie znosiła nowego pana na Radbourne. Czemu trudno było się dziwić, biorąc pod uwagę, że gdyby Gideon się nie odnalazł, dziedziczyłby jej syn. Irene dobrze rozumiała, że każda matka byłaby w tej sytuacji niezadowolona, niemniej sądząc po wyniosłej postawie hrabiny Teresy, podejrzewała, że dużą rolę gra tu także jej urażona duma i perspektywa utraty uprzywilejowanej pozycji, którą do tej pory cieszyła się jako matka przyszłego dziedzica rodu. Małżeńskie plany nowego hrabiego przekreślały jej nadzieje.

To, że Irene rozumiała motywy niechęci lady Teresy do hrabiego, nie oznaczało, że powzięła dla niej sympatię. Miała nadzieję, że nie będzie zmuszona często przebywać w towarzystwie tej kobiety. Zresztą lady Teresa, sądząc po lodowatym spojrzeniu, jakim obdarzyła Irene, zwracając się do niej, również nie miała ochoty na bliższe kontakty.

Jak było do przewidzenia, lady Odelia postawiła na swoim i wkrótce wszystkie zasiadły do herbaty. Prowadziły nudną konwersację na temat nieistotnych szczegółów podróży, jaką właśnie odbyły, ale w końcu herbata została wypita, maleńkie ciasteczka zjedzone i lady Odelia rozkazała służbie zaprowadzić je do ich pokojów, mimo że hrabia Radbourne jeszcze się nie pokazał.

Pokój Irene był przestronny i przyjemnie położony, okna wychodziły na dwie strony świata i z każdego miała widok na boczny ogród. Wyjrzała przez

jedno i jej wzrok pobiegł daleko poza ogród o barwach już nieco zszarzałych przez jesienne chłody aż do alei wysokich drzew. Mogła także dojrzeć część parku położonego na tyłach domu i rozciągającą się za nim łąkę. Jeszcze dalej wił się strumień, nad którym przejeżdżały wczesnym popołudniem, połyskujący jak srebrzysta wstążka. Irene pomyślała, jak przyjemnie byłoby odbywać spacer w tak urozmaiconym krajobrazie, czego brakowało jej w Londynie.

Ciężki furgon z bagażami jechał wolniej niż powóz, Irene miała więc do dyspozycji wyłącznie rzeczy spakowane do niewielkich kufrów podróżnych, które dało się umieścić na dachu pojazdu. Pomyślała, że znajdująca się w jednym z kufrów ciemnobłękitna wieczorowa suknia będzie bardzo odpowiednia na dzisiejszą kolację.

Jedna z zajmujących się tą częścią domu służących zajrzała do pokoju, oferując pomoc w rozpakowaniu i przygotowaniach do kolacji, kiedy Irene nieco odpocznie. Ona jednak nie czuła zupełnie zmęczenia podróży, raczej ogarnął ją przyjemny nastrój wyczekiwania, toteż wkrótce była gotowa. Odesłała pokojówkę, a sama usiadła przed toaletką, wyszczotkowała włosy i właśnie zamierzała je upiąć jak zwykle w ciasny węzeł, gdy zjawiała się Maisie, pokojówka Franceski, i na ten widok wykrzyknęła niemal ze zgrozą:

- Och nie, milady, nie! - Wyjęła szczotkę z dłoni Irene, mówiąc: - Musi pani pozwolić, żebym to ja upięła pani włosy. Obiecała mi pani przecież wypróbować uczesanie, które obmyślałam.

- Powinnaś pomóc lady Haughston - zaprotestowała Irene.

- Jeszcze nie teraz. Milady nigdy nie zaczyna ubierać się do kolacji tak wcześnie - odrzekła Maisie, nie przerywając podnoszenia, skręcania i upinania włosów Irene. - Najpierw ułożę pani fryzurę. I tak zostanie mi mnóstwo czasu na toaletę lady Haughston.

- Tak, ale...

- Proszę tylko nie mówić, że mnie pani odprawi. Tak bardzo podoba mi się układanie pani loków.

- Loki to prawdziwe utrapienie - oświadczyła Irene, na co pokojówka tylko uśmiechnęła się i potrząsając głową, obiecała, że jak skończy, to „milady sama zobaczy”.

I rzeczywiście. W kilka minut później, gdy Maisie skończyła i dała krok do tyłu, pokazując triumfalnym gestem na swoje dzieło, Irene patrząc w lustro, zdołała tylko wykrztusić:

- Coś podobnego!

Fryzura Maisie w niczym nie przypominała wężła, w jaki Irene zazwyczaj ścigała włosy. Teraz okalały miękko jej twarz obfitością loków, podniesione do góry i zebrane z tyłu głowy, a następnie puszczone luźno. Wyglądało to naprawdę atrakcyjnie i Irene uśmiechnęła się z uznaniem do Maisie, kiwając z aprobatą głową.

Pokojówka wyszła pomóc w toalecie swojej pani, a Irene siedziała jeszcze dobrą chwilę, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Mówiła sobie, że nie powinna poddawać się tak łatwo uczuciu próżności, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu zadowolenia. Wyglądała znacznie ładniej niż zwykle, wyraz twarzy miała łagodniejszy i bardziej przystępny. Spróbowała przybrać surową minę, ale nic z tego nie wyszło.

Podeksycytowana nie mogła usiedzieć na miejscu. Pomyślała, czy nie pójść do biblioteki po jakąś książkę do czytania, wydało jej się to jednak zbyt spokojnym zajęciem w tym stanie ducha. Chętnie by pospacerowała, ale o tej porze i w wieczorowej sukni nie było to możliwe. W końcu przypomniała sobie, że kiedy przyjechały dzisiaj popołudnia i szły przez hol, zauważyła odchodzącą od niego długą galerię. Mogłaby przynajmniej tam się przejść i przy okazji przyrzeć wiszącym na ścianie obrazom.

Wzięła czarny szal, aby zarzucić go na ramiona, bo krótkie bufiaste rękawki sukni zupełnie ich nie osłaniały, i wyszła z pokoju. Starła się iść cicho, tak by nikt jej nie spostrzegł i nie zaoferował, że dotrzyma jej towarzystwa.

Zeszła ze schodów i już miała wejść do galerii, kiedy za jej plecami rozległ się męski głos:

- Lady Irene! Mam nadzieję, że jeszcze pani od nas nie ucieka...

Odwróciła się, doskonale wiedząc, czyj to głos.

- Hrabio.

Rozdział ósmy

Gideon Bankes także był ubrany wieczorowo. Podszedł do Irene, a ona zastanawiała się, co jest w nim takiego, że wydaje się inny od wszystkich znanych jej mężczyzn. Pociemniała od słońca skóra? Niestarannie przystrzyżone gęste czarne włosy? Chyba jednak oczy - zielone, o czujnym i przenikliwym spojrzeniu, jakby hrabia spodziewał się zagrożenia nawet w bezpiecznym zaciszu własnego domu. Za każdym razem, gdy znalazła się blisko niego, opanowywało ją nerwowe podniecenie, którego nie doświadczała w obecności innych osób.

- Może przejdziemy się po galerii, żeby skrócić czas oczekiwania na kolację? - zaproponował Radbourne.

Irene skinęła głową i poszła w kierunku galerii, nie przyjmując ramienia, które jej ofiarował. W ściennych lichtarzach paliły się świece, ich chybottliwe płomyki rzucały błyski na okna. Sufit był wysoko sklepiony, podparty belkami z ciemnego drewna. Na ścianie wisiały portrety kobiet i mężczyzn z rodu Bankesów, sceny rodzajowe z życia wsi i obrazy przedstawiające zwierzęta. Rzeźby i wazy stały na postumentach lub wprost na posadzce. Przy jednej ze ścian umieszczono w pewnych odległościach kilka ławek.

Większość obrazów wydała się Irene dość pospolita, ale przyglądała się im z uwagą, jakby oglądała arcydzieła. Ten fortel pozwolił jej iść z głową odwróconą od Radbourne'a. Przeszli obok długiego rzędu portretów i dotarli do dużego obrazu przedstawiającego konia.

- Jak dotąd to najlepszy obraz - wyrwało się Irene.

- Prawda? Piękne zwierzę. Znacznie piękniejsze od swojego właściciela. - Hrabia wskazał ruchem dłoni portret mężczyzny, a potem sąsiedni, przedstawiający kobietę o ściągniętej, wysuszonej twarzy. - I małżonki właściciela. Plotka głosi, że trzeci hrabia Radbourne wołał towarzystwo konia niż żony.

Irene uśmiechnęła się mimo woli, ale szybko przybrała poważną minę.

- Podejrzewam, że nie o nim jednym da się to powiedzieć.

- Nie miała pani chyba pozytywnego wzorca małżeństwa.

Nie odpowiedziała, uniosła tylko brwi i poszła dalej, przyglądając się obrazom.

- A może raczej powinienem powiedzieć: pozytywnego wzorca mężczyzny?

- Nie mam wpływu na to, co pan może powiedzieć - odparła, wruszając ramionami.

Przez kilka minut szli w milczeniu, aż wreszcie Radbourne je przerwał.

- Rozumiem, że znów jest pani mną zdegustowana.

- Ależ dlaczego? Nie widziałam pana do tej pory.

- Jest pani obrażona, że nie czekałem na wasz przyjazd, aby was powitać. Cioteczna babka właśnie zmyła mi za to głowę.

- Nie było pana? - spytała Irene, starając się, by zabrzmiało to całkiem obojętnie. - Przepraszam, że tego nie zauważyłam.

- Nie zauważyła pani? - Hrabia się uśmiechnął.

Stanowczo powinien częściej się uśmiechać, pomyślała Irene. Nie sposób wtedy się na niego złościć.

- Cóż, niezbyt grzecznie zachował się pan, ignorując gości.

- Przypuszczam, że takie właśnie zachowania zamierza pani we mnie wyplenić.

- Obawiam się, że nic nie skłoni pana do grzeczności.

Nie obraził się na tę kąśliwą uwagę i znów uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Pewnie tak. Lady Irene, niektórzy mają odwagę twierdzić, że i pani nie jest wzorem uprzejmości.

Już zaczerpnęła powietrza, aby przywołać go do porządku, ale zamiast tego się roześmiała.

- Jest w tym trochę racji - przyznała. - Zacznijmy od nowa. Ostatecznie ja i pan mamy wspólny cel: ożenić pana z odpowiednią młodą damą.

- To raczej cel moich krewnych, nie mój - sprostował Radbourne.

- Zatem zostałam wprowadzona w błąd. Nie chce pan założyć rodziny?

- Wiem, że kiedyś będę musiał, więc równie dobrze może to być teraz. Jednak nie marzę o zostaniu mężem i ojcem.

Przemierzali galerię, ale teraz Irene przyglądała się swojemu towarzyszowi z równym zainteresowaniem jak przedtem obrazom.

- Wydawało mi się, że jest pan zdecydowany na ożenek - powiedziała.

- Jestem gotowy związać się z kobietą równą pochodzeniem moim krewnym, ale z niechęcią myślę o obarczeniu się żoną, która przez resztę życia będzie patrzyła na mnie z wyższością, poprawiała moją wymowę, krytykowała mój styl ubierania się, wytykała pospolitość. Chciałaby pani być krępowana przez takiego partnera?

- Nie. Właśnie dlatego nie chcę wychodzić za mąż.

- Przecież nie będzie pani oceniana w ten sposób przez kogoś z arystokracji.

- Nie rozumie mnie pan. Żony są przez mężów traktowane jak osoby od nich zależne.

Przystanął i zapytał:

- Naprawdę pani tak myśli?

- Oczywiście nie mówię o nic nieznaczących gestach, tylko o istotnych sprawach. Mężowie podejmują decyzje za żony. Wydzielają pieniądze na stroje

i błyskotki. Pouczają, jak powinny postępować. Czy mężczyzna zachowuje się tak wobec kogoś równego sobie?

- Nie, ale...

- Ale co? - Irene popatrzyła na hrabiego zaczepnie, z triumfem.

Usta drgnęły mu leciutko, jakby powstrzymywał uśmiech.

- Trudno mi wyobrazić sobie męża, który ośmieliłby się zasugerować pani, co powinna robić, albo podjąć za panią decyzję.

- A mnie trudno wyobrazić sobie, żeby taki jak pan mężczyzna pojął za żonę kobietę tego rodzaju, jak pan przed chwilą opisał.

- Raczej nie mam wątpliwości, że zdołałbym obronić się w takim małżeństwie. Jeśli dopisze mi szczęście, być może znajdę kobietę bardziej interesującą niż te, które dotąd mi przedstawiono. I ostatecznie przez to małżeństwo stanę się bardziej godny uznania w oczach rodziny.

- Mówi pan o swojej rodzinie z goryczą - zauważyła Irene.

- Twierdzą, że więzy krwi są dla nich ważne, ale ja tego nie odczuwam. Nie napełnia ich radością fakt, że odnaleźli członka rodziny. Ważne jest tylko to, że dziedziczą. Sukcesja, oto co ich zmusiło do działania. Ich jedynym zmartwieniem są braki w moim wychowaniu, co zawstydzają ich do tego stopnia, że postanowili mnie ożenić, abym się zmienił.

Patrzył na nią nieustępliwie i Irene musiała odwrócić wzrok.

- Dorastałem na East Endzie - podjął po chwili Radbourne. - Uważałem się za sierotę. Nie miałem żadnych wspomnień związanych z tym miejscem ani z rodzicami, może poza mglistym przypomnieniem kobiety, która trzymała mnie w objęciach. Nie pamiętam, jak wyglądała, zostało mi tylko wrażenie czegoś miękkiego, delikatnego i pachnącego bzem. Moje najwcześniejsze świadome wspomnienie to uczucie nieustającego głodu. Trafiłem na mężczyznę, który wykorzystywał nas, kilkunastu chłopców, jako złodziei kieszonkowych. Umiałem wśliznąć się w ciasne kąty, aby otworzyć okno czy drzwi dla moich współników. Zręcznie obrabiałem kieszenie i szybko uciekałem. Dawał mi jeść,

choć zawsze za mało, i zapewniał miejsce do spania. Sam nauczyłem się liczyć i czytać.

- Przykro mi - powiedziała ze szczerym żalem Irene.

- Nie oczekuję współczucia - odparł szorstko. - Opowiadam, jak wyglądało moje życie. Pewnego dnia zjawił się Rochford i poinformował mnie, że jestem hrabią, a krewni chcą, abym do nich wrócił. To szlachetnie urodzeni, aroganccy, bezduszni ludzie, którymi zawsze pogardzałem.

Irene wyczuła zawód i cierpienie w tych gorzkich słowach, a to, co zrobiła, zdziwiło ją samą. Zbliżyła się do hrabiego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jest pan członkiem tej samej klasy, co oni - powiedziała łagodnie.

- Ja tego nie odczuwam.

Nakrył jej dłoń swoją dłonią i Irene poczuła, że między nimi rodzi się więź. Popatrzyła Gideonowi w oczy, stała nieruchomo, w milczeniu, jakby oplotła ją niewidzialna sieć, która nie pozwalała się poruszyć. Nagle do jej uszu doszedł kobiecy głos. Nie rozpoznała go, ale sprawił, że zdała sobie sprawę z tego, co robi. Co gorsza, przewidywała, że jeszcze moment, a poza, w jakiej by się znaleźli, wprowadziłaby w osłupienie każdego, kto by ich zobaczył.

Cofnęła się pospiesznie, rumieniąc się gwałtownie. Zachowywała się w jego towarzystwie w nienormalny sposób. Nigdy przedtem z żadnym mężczyzną to się nie zdarzyło. Zawsze z łatwością udawało jej się utrzymać dystans. Odwróciła lekko głowę i patrząc w bok, powiedziała nieco bez sensu w tej sytuacji, tylko po to, aby pokryć zmieszanie:

- Niezależnie od pańskich nieprzyjaznych uczuć do arystokracji, oni są pana rodziną.

On także cofnął się nieco.

- Rodziną, która nie zadała sobie najmniejszego trudu, aby odszukać należące do niej dziecko - odparł. - Matkę, jak sądzę, trudno winić, bo prawdopodobnie została zabita wtedy, gdy mnie porwano, ale inni? A zwłaszcza mój ojciec?

- Ależ nie może pan go winić! - zaprotestowała Irene. - Pańska rodzina nie miała pojęcia, gdzie pan jest ani co się z panem działo. Został pan porwany. Nie wiedzieli przez kogo ani dokąd. Myśleli, że pan nie żyje.

Rzucił jej przeciągłe, ironiczne spojrzenie.

- Każdy ojciec szukałby syna, nawet nie mając nadziei, czy przeżył.

- Ale on szukał, przecież pan wie.

- Tak mnie zapewniono.

- Dlaczego pan w to wątpi? Uważa pan ojca za niegodziwca tylko dlatego, że należał do świata, którym pan pogardza?

- Kiedy Rochford rozpoczął poszukiwania, w ciągu kilku miesięcy trafił na mój ślad. - Umilkł, jakby chciał dać jej czas na zastanowienie się nad tymi słowami. - Proszę pamiętać, że upłynęło dwadzieścia pięć lat od porwania. Jakim cudem odnaleziono mnie po tak długim czasie, a nie zdołano, gdy ślad był jeszcze świeży?

Uderzona trafnością tej uwagi, Irene patrzyła na hrabiego, nie znajdując odpowiedzi. Podał jej ramię, a ona przyjęła je machinalnie, myśląc o tym, co powiedział. Poszli z powrotem do holu. W niewielkim prywatnym saloniku, gdzie zaczynali się gromadzić goście i domownicy, zastali lady Odelię i lady Pansy, usadowione na kanapie pod ścianą. Obie damy prowadziły rozmowę, co polegało na tym, że lady Odelia mówiła dużo donośnym głosem, a jej siostra Pansy zdołała od czasu do czasu wypowiedzieć jakąś krótką uwagę, zupełnie dla innych niesłyszalną. Nie sposób było brać udziału w „rozmowie” obu sióstr, ale też niemożliwe było jej zignorowanie; czy ktoś chciał, czy nie, musiał wysłuchiwać kwestii wypowiedzianych przez lady Odelię.

W saloniku zgromadziło się niewiele osób. Oprócz lady Claire i członków rodziny Gideona, których Irene już poznała, był także pastor, czego łatwo mogła się domyślić, ponieważ nosił koloratkę, i pulchna kobieta o macierzyńskim wyglądem, najprawdopodobniej jego żona, a także wysoki, czarnowłosy starszy mężczyzna, który stał samotnie obok okna.

Lady Odelia przerwała potok wymowy na czas potrzebny do przedstawienia Irene. Pastor nazywał się Longley, a pulchna kobieta rzeczywiście była jego żoną. Stojący samotnie mężczyzna, lord Jasper, był młodszym synem lady Pansy.

Stryj Gideona, pomyślała Irene, gdy pochylał głowę nad jej dłonią. Podobieństwo rodzinne rzucało się w oczy, lord Jasper miał także kruczoczarne, choć już nieco przyprószone na skroniach siwizną włosy i takie same jak Gideon rysy twarzy. Był od niego szczuplejszy, zdecydowanie mniej muskularny, cechował go też ten sposób bycia, którego nie dostawało jego bratankowi - nie było wątpliwości, że jest wychowankiem Eton lub Oksfordu i należy do elity.

Zaczął z Irene kurtuazyjną rozmowę, zadając zwykle w takich okolicznościach pytania - czy ma wygodny pokój, jak przebiegła podróż z Londynu, czy była przedtem w tej okolicy - ale wyraźnie nie interesowały go odpowiedzi. Irene zastanawiała się, jak lord Jasper przyjął powrót bratanka do rodziny. Ostatecznie to on był następnym w kolejności do rodzinnego tytułu i majątku, zaraz po synku lady Teresy, i z tego powodu miał sprawować nad nim opiekę aż do pełnoletniości. Pojawienie się Gideona zdecydowanie umniejszyło pozycję lorda Jaspiera w rodzinie.

Jakkolwiek się przed tym broniła, Irene czuła, że do jej serca wkrada się współczucie dla Gideona. Musiała dawać sobie radę z Maurą, a przedtem często ścierała się z ojcem, ale miłości matki i brata była pewna. Jak to jest nie pamiętać rodziców? Zostać w okrutny sposób pozbawionym najbliższych, a potem wrócić po to, by się przekonać, że jest się odrzucanym?

Przybycie Franceski przerwało te rozmyślania. Nikogo nie zdziwiło, że lady Haughston jako ostatnia dołączyła do towarzystwa. Zaraz po tym, jak się pojawiła, zasiedli do stołu. Atmosfera nie była swobodna, rozmowy prowadzono z przymusem. Lady Odelia, zawsze dominująca każdą konwersację, była bardziej zajęta jedzeniem niż rozmawianiem. Lady Pansy rzucała trwożliwe spojrzenie najpierw na siostrę, a potem na lady Teresę, zanim odważyła się

otworzyć usta, hrabia i jego stryj prawie się nie odzywali. Nawet talenty towarzyskie Franceski nie przyniosły rezultatu, i to pomimo wysiłków lady Claire, by pomóc jej ożywić konwersację. W końcu obie się poddały.

Przy stole zapanowało milczenie, przerywane jedynie z rzadka brzękiem nieostrożnie odstawionego kryształowego kieliszka lub szczęknięciem sztucца o talerz z chińskiej porcelany. Irene rzuciła Francesce błagalne spojrzenie, jednak to nie ona odezwała się pierwsza.

- Jakże to uprzejmie z pani strony, lady Haughston - zwróciła się do niej lady Teresa z nieszczerym uśmiechem - że zgodziła się pani przyjechać i przyjść nam na pomoc w sprawie hrabiego.

- Jestem zaszczycona, że mogę pomóc w przygotowaniach lady Odelii - odpowiedziała chłodno Francesca.

- Obawiam się tylko, że czeka panią ciężka próba i może nie wystarczyć pani umiejętności - powiedziała z fałszywą troską lady Teresa. - Hrabia Radbourne był pozbawiony kontaktów z dobrze wychowanymi ludźmi przez bardzo długi czas.

- Tak - wtrąciła zdenerwowana Irene, zaciskając palce na trzonku noża - to rzeczywiście okropne, co spotkało hrabiego Radbourne'a. Rodzina z pewnością cieszy się, że odnalazł się cały i zdrowy, prawda?

- Ależ to oczywiste - odparła lady Teresa. - Zdumiewa nas, jak zdołał przetrwać tyle lat w takim miejscu i w takich warunkach. Doprawdy zadziwiające, można by pomyśleć, że niemożliwe dla człowieka pochodzącego z naszych sfer.

- Ja uważałabym, że cierpieć głód i chłód musi być straszne dla każdego dziecka, obojętne z jakiej sfery - zauważyła Irene.

- Być może - powiedziała z powątpiewaniem lady Teresa.

- Zapewniam, że dla moich towarzyszy było to równie dojmujące jak dla mnie - odezwał się Gideon, co zdaje się było zaskoczeniem dla wszystkich przy stole.

- Oczywiście, że tak. Co za bzdury wygadujesz, Tereso! - oświadczyła kategorycznie lady Odelia.

Hrabina posłała jej jadowite spojrzenie, ale odezwała się łagodnym tonem:

- Miałam na myśli tylko to, że ktoś o większej wrażliwości i z natury bardziej delikatny mógłby nie przeżyć w takich okolicznościach.

- Czyli moja wrażliwość jest bardziej plebejskiej natury, czy tak, milady? - odezwał się Gideon, wymawiając jej tytuł z przekąsem.

Teresa roześmiała się lekko i potoczyła wzrokiem po siedzących przy stole, jakby chciała podzielić się z nimi swoim rozbawieniem.

- Wiem, że hrabia Radbourne nie lubi, gdy mu się przypomina o jego niedoskonałości. Czyżbyś zapomniał, jak się tu zjawiłeś, milordzie? - Spojrzała na niego z triumfem. - Ach, ten niezapomniany wyraz twojej twarzy, kiedy zobaczyłeś rząd noży, widelców, łyżek i łyżeczek przy swoim talerzu. Od razu powiedziałam, że trzeba coś zrobić, abys nabrał choć nieco ogłady. I wtedy lady Pansy napisała do lady Odellii, by przyjeżdżała...

Irene odłożyła sztucce, czując wstyd i urazę, że musi tego słuchać. Nie śmiała spojrzeć na Gideona.

- Często mam takie same odczucia - wyjawiała Francesca. - Naprawdę nie wiem, dlaczego to konieczne zmieniać sztucce po każdym daniu, jakby nie można było zjeść mięsa i ryby tym samym widelcem.

- Och, lady Haughston, raczy pani żartować - powiedziała z przekąsem Teresa. - Słyszałam, że jest pani wesołą kobietą. - Pochyliła się nieco w stronę Franceski i mówiła dalej konfidencjonalnym tonem: - Objaśnienie kolejności użycia sztucców to ledwie początek. Są rzeczy ważniejsze. - Pokiwała głową, robiąc mądrą minę. - Takie, których nie można nauczyć, które pozostają w człowieku na całe życie. Zależne od urodzenia i odpowiedniego wychowania.

- Rzeczywiście? - Lodowaty ton Franceski ostrzegłby każdego mniej zadufanego w sobie niż lady Teresa.

- Ależ tak. Kiedy komuś brakuje subtelności, dystynkcji... - Rzuciła spojrzenie na Gideona, jakby obawiała się, że ktoś z siedzących przy stole nie zorientuje się, o kim mówi. - Cóż, to zawsze daje się odczuć i prawie nie sposób tego zmienić. Jak można nauczyć się sposobu bycia?

Odchyliła się na oparcie krzesła, wyraźnie z siebie zadowolona. Przy stole zapanowała martwa cisza. Francesca spojrzała na Irene, widać było, że czuje się nieswojo, rzecz jak na nią niezwykła. Irene uśmiechnęła się, oczy rozbliły jej niebezpiecznie.

- Lady Tereso - zwróciła się do niej zwodniczo przyjaznym tonem - jestem zdumiona, że nigdy przedtem się nie spotkałyśmy. Kobieta o tak niezwykłym, wyrafinowanym guście z pewnością bywała w Londynie. Dlaczego nie widziałam pani na żadnym przyjęciu?

Twarz hrabiny stężała.

- Cecil... mój mąż, hrabia Radbourne, nie miał ochoty na jeżdżenie do miasta. Był człowiekiem ceniącym dom rodzinny i ognisko domowe. Uważałam za swój obowiązek dotrzymać mu towarzystwa.

- Z pewnością pani debiut odbył się w Londynie. Kiedy to było?

- Nie odwiedziłam wtedy Londynu. - Blade policzki lady Teresy zabarwił lekki rumieniec. - Mój ojciec nie był towarzyskim człowiekiem i potępiał, jak to mówił „pustotę i płochość londyńskiego życia”. Poślubiłam hrabiego Radbourne'a jako bardzo młoda dziewczyna.

- Ach tak. Jaka szkoda, że zarówno pani ojciec, jak i mąż trzymali panią z dala od londyńskiego życia towarzyskiego, do którego najwyraźniej jest pani stworzona. To wyjaśnia oczywiście, dlaczego nigdy się nie spotkałyśmy. Jednak musiałam słyszeć o pani rodzinie. Jaki tytuł nosił pani ojciec? Sądzę, że hrabiego.

- Nie jest hrabią - odparła lady Teresa, kręcąc przecząco głową. Rumieniec na jej policzkach przybrał intensywniejszą barwę.

- Zatem ma jeszcze wyższą pozycję? - zapytała z wyraźnym szacunkiem w głosie Irene. Siedząca naprzeciwko Francesca dała Irene nieznacznym ruchem głowy do zrozumienia, że nie powinna tego dłużej ciągnąć, ale jej rada została zignorowana. - Jest markizem? A może księciem jak Rochford, kuzyn hrabiego Radbourne'a?

- Boże drogi, nie. - Lady Teresa zachichotała nerwowo i rozejrzała się po obecnych z miną osoby schwytanej w pułapkę.

- Więc baronem? - ciągnęła nieubłaganie Irene.

- Mój ojciec, pan Charles Effington, jest synem sir Hadleya Effingtona - oznajmiła wyniośle hrabina.

- Ach tak.

- Nie potrzeba mieć tytułu, aby być dobrze wychowanym - stwierdziła lady Teresa.

- Bez wątplenia ma pani rację - zgodziła się Irene. - To nie rodzina czyni z mężczyzny dżentelmena, ale jego maniery, odpowiednia edukacja, grzeczność, wysublimowany gust.

- Właśnie tak - potwierdziła z ulgą w głosie lady Teresa.

- Zatem dobrze wychowany, wyrażający się kulturalnie, wykształcony kupiec jest równy, a może nawet lepszy niż szlachetnie urodzony arystokrata.

- Jak to?! - Lady Teresa spojrzała na nią ze zgrozą. - Oczywiście, że nie. Przecież tego nie powiedziałam.

- Skoro to nie pochodzenie stanowi o dobrym wychowaniu, a uprzejmość czy kulturalny sposób wysławiania się...

- Niczego takiego nie twierdziłam! - wykrzyknęła lady Teresa. - Pani przekręca moje słowa. - Zdenerwowana, popatrzyła po kolei na wszystkich, jakby szukała u nich pomocy.

- Irene, przestań nękać tę dziewczynę - rzuciła z lekkim rozbawieniem lady Odelia. - To niewłaściwe wdawać się w bitwę na rozumy z kimś tak kiepsko wyposażonym jak Teresa.

Francesca tym razem nie zdołała się powstrzymać i parsknęła śmiechem, ale szybko zamaskowała to kaszlnięciem. Lady Teresa posłała lady Odelii mordercze spojrzenie, ale się nie odezwała.

- Proszę o wybaczenie, lady Odelio. - Irene pochyliła głowę nad talerzem.

Po posiłku panowie poszli do palarni na porto i cygara, a panie udały się do pokoju muzycznego. Francesca ujęła Irene pod ramię, gdy szły przez hol.

- Bardzo pięknie z twojej strony, że wzięłaś w obronę Radbourne'a - szepnęła. - Boję się, że zyskałaś zaciętego wroga w lady Teresie. - Pokazała ruchem głowy na idącą przed nimi samotnie hrabinę wdowę.

Irene wiedziała, że Francesca ma rację.

- Narazałam się już na silniejszą wściekłość niż jej - odparła - i jakoś przeżyłam.

- Nie lekceważyłabym jednak hrabiny. Nie lubi cię, bo weszłaś jej w drogę.

- Weszłam jej w drogę? - Irene spojrzała na Francescę ze zdziwieniem. - A to jakim sposobem?

- Maisie opowiedziała mi mnóstwo plotek zasłyszanych wśród służby. Hrabina Radbourne liczy na to, że Gideon się nie ożeni. Dopóki to nie nastąpi, dziedziczy jej syn, Timothy. Jeśli Gideon założy rodzinę, może mieć syna, a nawet kilku. Nic dziwnego, że nie na rękę jej ewentualny ślub hrabiego. Najwyraźniej umyśliła sobie, że jeśli będzie wytykać wady Gideona i udowadniać, jaki to z niego niemożliwy do zaakceptowania kandydat na męża, wystraszy potencjalne narzeczone.

- Wziąwszy pod uwagę jego charakter, sam je wystraszy.

- Skoro tak go oceniasz, dlaczego stanęłaś w jego obronie?

Irene sama się nad tym zastanawiała. Mogła dać Francescę tylko taką odpowiedź, jaka właśnie przyszła jej do głowy.

- Sposób, w jaki lady Radbourne go prowokowała, zdecydowanie mi się nie podobał. Nienawidzę niehonorowego postępowania we wszelkich jego przejawach.

- Ach tak.

- Zdaję sobie sprawę, że to było zbędne. Radbourne jest mężczyzną, który potrafi sobie poradzić w takiej sytuacji, i niepotrzebna mu moja obrona.

- Sądzę, że kwestia, czy mu to było potrzebne, jest nieistotna - stwierdziła Francesca.

- Nie żywię wobec niego żadnych uczuć, nie dlatego go broniłam - podkreśliła Irene.

- Oczywiście, że nie - stwierdziła pojednawczym tonem Francesca.

Irene zamilkła, nie mogła jednak powstrzymać się od rozważań na temat powodów swojego zachowania. Dlaczego tak ochoczo wzięła w obronę hrabiego? Można by się raczej spodziewać, że stanie po stronie kobiety, która go nie lubiła, skoro sama uważała go za gbura. Jego dzieciństwo było naznaczone bólem i cierpieniem i bez wątpienia pozostawiło w nim głębokie ślady, ale to nie zmieniało faktu, że miał taką, a nie inną osobowość. Nie stał się przez to ani lepszy, ani grzeczniejszy, ani mniej odstręczający.

Co ją podkusiło, żeby wdać się w bitwę na słowa z lady Teresą? Po prostu nie potrafiła przyjąć spokojnie obraźliwych, aroganckich uwag, jakie czyniła hrabina. Postąpiłaby tak samo, gdyby były skierowane do kogoś innego, a nie do hrabiego, uznała Irene.

A jednak... Wciąż wracała myślami do tego, co się wydarzyło, i jaką ona odegrała w tym rolę, podczas dłużej się niemiłosiernie godziny spędzonej w pokoju muzycznym, gdy lady Odelia opowiadała pastorowi historię o kobiecie, którą ona i jej siostra znały czterdzieści lat wcześniej. Przerwała ją dwa czy trzy razy, aby namówić Francescę na zagranie czegoś na fortepianie, a gdy jej się to wreszcie udało, natychmiast podjęła przerwana opowieść, tylko głośniej, zagłuszając dźwięki instrumentu.

Francesca posłusznie grała na fortepianie i tylko od czasu do czasu porozumiewawczo spoglądała na Irene. Lady Teresa siedziała na krześle w pewnym oddaleniu od Irene, obrzucając ją wrogimi spojrzeniami. Lady Claire

zajęła miejsce na kanapie obok córki i zamartwiała się w cichości ducha konsekwencją, z jaką Irene bezlitośnie i metodycznie zmiażdżyła hrabinę.

Panowie nie dołączyli do nich po wypaleniu cygar i wypiciu porto. Irene nie miała o to do nich pretensji. Bez wątpienia uczestniczyli już przedtem w takich wieczorach i wiedzieli, co ich czeka.

Kiedy upłynęło wystarczająco dużo czasu, by wymogom grzeczności stało się zadość, Irene poprosiła o pozwolenie udania się na spoczynek, wymawiając się znużeniem po podróży. Francesca skwapliwie przyznała, że również ona chętnie by odpoczęła. Lady Odelia machnęła ręką na zgodę, ale nie omieszkała wypowiedzieć sarkastycznej uwagi na temat braku wytrzymałości młodych kobiet w dzisiejszych czasach.

Irene i Francesca nie ociągały się z wyjściem z pokoju muzycznego. Spędziły przyjemną godzinę, gawędząc w sypialni Franceski, ale gdy usłyszały głosy grupki ludzi wspinających się po schodach, Irene wymknęła się do siebie. Podeszła do okna i zapatrzyła się w ciemny ogród. Niewiele dało się zobaczyć, księżyc był w kwadrze i jego światło ledwie wydobywało zarysy drzew i krzewów. Nagle w polu widzenia pojawiło się światło i zaciekawiona Irene przybliżyła twarz do szyby. Jakiś mężczyzna niósł latarnię, kołysała się w takt jego kroków. Pochylił się, by zwolnić zamek furtki i gdy wzniosł latarnię, by lepiej widzieć, światło padło na jego twarz. Irene poznała Gideona.

Patrzyła, jak idzie przez ogród, aż zniknął za linią drzew. A potem gdzieś spoza rzędu drzew raz jeszcze błysnęło kołyszące się światło i wreszcie całkiem znikło. Dlaczego Radbourne wędrował w ciemnościach po swoim majątku? Z pewnością nie wyglądało to na krótki spacer przed snem albo przechadzkę w celu wypalenia wieczornego cygara. Szedł energicznie jak człowiek, który chce dojść do celu, i wziął latarnię, aby oświetlić sobie drogę.

Być może poszedł do gospody we wsi. Całkiem prawdopodobne, że tam się udał, zwłaszcza po męczącym wieczorze spędzonym z krewnymi. Dla

dżentelmena byłoby to zbyt pospolite miejsce, ale dla kogoś, kto sam wyznał, że źle czuje się w skórze dżentelmena...

Tylko że wieś i gospoda były położone w przeciwnym kierunku do tego, który obrał, przypomniała sobie Irene, i dość daleko. Gdyby tam się wybierał, pojechałby konno. Do stajni nie poszedł na pewno. Dokąd w takim razie się skierował i co zamierzał? Miał się z kimś spotkać? O tej porze, w nocy? Raczej trudno wyobrazić sobie powód takiego spotkania, bo jakiego rodzaju działalność... Ależ oczywiście! Szedł na schadzki z kobietą.

Nonsens, skarciła samą siebie. Bez wątpienia istnieje logiczne wytłumaczenie, dlaczego mężczyzna wyrusza o północy samotnie na przechadzki. Jeśli szedł na tajemne miłosne spotkanie, to nie jej sprawa. A w ogóle, po co ona traci czas na rozmyślanie o tym! Po co te podejrzenia? I do tego jeszcze to idiotyczne ukłucie w sercu!

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia Francesca i Irene rozpoczęły działania mające zwiększyć szanse hrabiego na rynku matrymonialnym. Lady Odelia oznajmiła im, że nie ma czasu do stracenia. Kandydatki na narzeczone miały przybyć za niewiele więcej niż tydzień.

Po śniadaniu poszły, jak było umówione, do dużej jadalni, ale Gideon spóźnił się około trzydziestu minut. Pewnie zasnął po wczorajszej schadzce, doszła do wniosku Irene. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że lord Radbourne wymknął się na spotkanie z kobietą. Bez wątpienia jest zmysłowym mężczyzną, nie tak dawno miała okazję się przekonać, jaki efekt wywoływały jego pocałunki. Chętnych kobiet z pewnością nie brakowało, zważywszy atrakcyjny wygląd, zamożność i pozycję hrabiego.

Nie ma co się dziwić, powiedziała sobie, ale choć w ogóle jej to nie dotyczyło ani nie powinno obchodzić, zirytowało ją to typowe dla mężczyzn

zachowanie. Zamierzał dokonać wyboru przyszłej żony i w tym samym czasie spotykał się z kochanką. A może nawet nie z kochanką i nie chodziło o romans, tylko o zabawienie się z przypadkową kobietą.

Kim ona jest? To córka czy żona któregoś z dzierżawców? Musi mieszkać gdzieś w pobliżu. Wdowa uszczęśliwiona, że ma szansę osłodzić sobie samotność z przystojnym hrabią, a może dziewczyna ze służby. Irene zaczęła je sobie przypominać, zastanawiając się, która jest wystarczająco ładna, aby Gideon obdarzył ją względami.

Przez moment namyślała się, jakim sposobem udałoby się jej odkryć, dokąd Gideon poszedł i czy spotkał się z kimś, ale szybko uznała, że to niemądre. Przecież to nie jej zmartwienie. Stanowczo powinna powściągnąć wyobraźnię i ciekawość, a skoncentrować się na zadaniu, które mają do wykonania: doprowadzić do ślubu hrabiego. O resztę będzie martwić się przyszła pani Radbourne.

Gideon, kiedy w końcu przyszedł, wyglądał na zdenerwowanego. Irene dołała oliwy do ognia, spoglądając wymownie na stojący na kominku zegar. Zauważył to, co wzmogło jego irytację.

- Tak, spóźniłem się, lady Irene - przyznał szorstko. - Moja wina, że pozwoliłem, aby jakieś nic nieznaczące sprawy, takie jak interesy, które prowadzę, przeszkodziły mi w wypełnieniu najważniejszego zadania, jakie postawiło przede mną życie: nauczeniu się, jak udawać dżentelmena.

- Myślę, że panu wybaczymy - odparła pojednawczym tonem Francesca. - Proszę jednak zwrócić uwagę na to, że nie musi pan udawać. Jest pan dżentelmenem, co poświadcza pańskie urodzenie.

- Właśnie. Powinien pan jedynie nauczyć się postępować jak dżentelmen - dodała zgryźliwie Irene.

- I to od pani mam się uczyć manier? - zapytał ze sceptyczną miną hrabia, unosząc lekko czarne brwi.

- Och, ona ma doskonale maniery - wtrąciła szybko Francesca, nie dając Irene czasu na odpowiedź i rzucając jej rozbawione spojrzenie - tylko czasem świadomie ich nie przestrzega. - Umilkła na chwilę, a potem dodała: - Nie wątpię, że pan też będzie to robił świadomie.

- Lady Haughston, powiedziałbym, że dostało się nam obojgu - zauważył Gideon.

Francesca skinęła głową z uroczym uśmiechem, ratując sytuację. Irene po raz pierwszy w życiu pozazdrościła drugiej kobiecie czarującego sposobu bycia. Popatrzyła na hrabiego Radbourne'a, który wszedł do pokoju zirytowany i pełen rezerwy, a teraz wyglądał na odprężonego i niemal ugodowo nastawionego. Uśmiechnął się jeszcze raz do Franceski i Irene poczuła rozżalenie, uczucie tak bardzo nieprzystające do sytuacji, że aż ją to zaszokowało. Przecież nie jest... Nie, co za bzdura. Na pewno nie jest zazdrosna.

Odwróciła się gwałtownie i aby skryć zmieszanie, zwróciła ich uwagę na zadanie, które mieli przed sobą.

- Będzie pan uprzejmy zająć swoje miejsce, hrabio?

Podszedł do stołu, przy którym stała Irene, i spojrzał na blat. Przed krzesłem, które zwykle zajmował, ułożono wokół śnieżnobiałej serwetki z cienkiego lnu sztucze i kieliszki, tak jakby miał zasiąść do wykwintnej kolacji.

- Co widzę! Nieszczęsne sztucze - rzekł z grymasem niechęci.

- Bardzo łatwo się tego nauczyć - zapewniła go Irene.

- Och, milady, wcale nie jestem o tym przekonany - oświadczył, siadając na krześle. - Niektórzy uczą się przerażająco wolno.

- Jestem pewna, że pan do nich nie należy. Pańska pierwsza lekcja będzie dotyczyć tego, że nie powinien pan siedzieć, gdy damy stoją. Dżentelmen czeka, aż zajmą swoje miejsca, i dopiero wtedy siada.

- Zaczniemy jeszcze od czegoś innego - zdecydowała Francesca. - Kiedy udaje się pan na kolację, musi pan podać damie ramię.

- Którejkolwiek?

- Och nie, jest w tym pewien porządek. Wczorajszy wieczór był nieformalny, tylko rodzina i kilku przyjaciół. Przy bardziej oficjalnej okazji musi pan jako gospodarz zaoferować ramię najwyższej rangą kobiecie, czyli wczoraj byłaby to pańska babka. Ona i lady Teresa mają tytuł hrabiny wdowy, ale z uszanowania dla wieku pańskiej babki uznajemy ją za wyższą rangą. Poza tym lady Pansy jest córką księcia. - Francesca rzuciła figlarne spojrzenie na Irene i mówiła dalej: - Co, jak wszyscy wiemy, znaczy więcej, niż być córką drugiego syna baroneta.

Irene zarumieniła się lekko po aluzji Franceski i zerknęła na Gideona. Uśmiechnął się, spojrzał na Irene i skłonił się przed nią. Poczowała, że czerwieni się mocniej, ale nie udało jej się zachować powagi i uśmiechnęła się również, jakby rozbroiło ją jego spojrzenie.

- Proszę, aby nie zdradził się pan z tym przed lady Odelią - kontynuowała Francesca - ale choć jest córką księcia, z racji małżeństwa tylko baronesą. Jest zatem w niższej randze niż obie hrabiny Radbourne.

- Co ciekawe, miałyby wyższą pozycję, gdyby poślubiła kogoś niższego rangą od barona - wtrąciła Irene. - Zachowałyby wtedy tytuł, jaki należał się jej jako córce księcia, czyli w hierarchii stałaby niżej niż żona starszego syna księcia, ale wyżej niż żony młodszych synów księcia.

- Czy naprawdę oczekujecie, że zapamiętam takie rzeczy? - Gideon popatrzył na nie ze ściągniętymi brwiami.

- W tej chwili to nieistotne - wtrąciła szybko Francesca. - W przyszłości będzie pan mógł polegać w takich kwestiach na żonie.

- Jeszcze jeden bonus za poślubienie arystokratki - stwierdził sucho.

- Dobrze, wróćmy do posiłku. Prowadzi pan damę. - Francesca wykonała gest ponaglący Gideona, by podszedł do Irene. Ponieważ oboje stali nieruchomo, patrząc na nią, jakby nie rozumieli, dodała niecierpliwie: - Proszę się ruszyć, musi pan ćwiczyć. Proszę podać jej ramię.

Gideon podszedł do Irene, trzymając rękę zgiętą w łokciu.

- Bardzo dobrze - pochwaliła go Francesca. Irene położyła dłoń na jego ramieniu i oboje podeszli do stołu.

- Goście są usadzani w zależności od rangi - tłumaczyła Francesca - ale ponieważ na oficjalnych przyjęciach kładzie się karteczki z imieniem i nazwiskiem, nie powinien pan mieć kłopotu. Irene powinna siedzieć na tym miejscu - pokazała ruchem ręki - ale skoro kazałam służbie nakryć tutaj, proszę ją wyjątkowo posadzić koło siebie. Proszę odsunąć krzesło, a gdy będzie siadała, podsunąć je nieco.

Skinęła głową zachęcająco, a Gideon ze stłumionym westchnieniem odsunął krzesło. Irene zaczęła siadać, a on podsunął jej krzesło tak szybko, że uderzyło ją pod kolanami i opadła na nie z niezbyt wdzięcznym głuchym odgłosem.

- Mógłby pan spróbować zrobić to nieco mniej energicznie - zauważyła Francesca.

- Przepraszam, milady.

- Zdaje się, że to mnie należałoby przeprosić - odezwała się z rozdrażnieniem Irene.

Siadając na swoim miejscu, Gideon powiedział cicho, jakby do siebie:

- Jaką wtedy miałbym z tego frajdę?

Francesca, widząc minę przyjaciółki, zaproponowała pospiesznie:

- Zatem sztuce. Pokaż, co do czego służy. Irene rzuciła jej buntownicze spojrzenie, ale powiedziała:

- Proszę bardzo. - Pochyliła się w stronę Gideona i wyciągnęła rękę, aby pokazać kolejno sztuce, które wymieni. - Są ułożone w takiej kolejności, w jakiej będą podawane potrawy, pierwsze będą użyte te leżące po zewnętrznej stronie. I tak, łyżka do zupy leży najdalej po prawej stronie talerza. Następnie nóż do ryb, a po lewej stronie talerza pasujący do niego widelec do ryb. Dalej nóż do mięsa i widelec, łyżka do puddingu i widelec, wreszcie deserowy nóż i

widelec. Łyżki do lodów, nożyki i widelczyki do owoców podawanych na koniec posiłku zostaną przyniesione osobno razem z talerzami.

Silnie odczuwała bliskość Gideona. Czuła słaby zapach męskiej wody kolońskiej, a kiedy podniosła wzrok znad sztucców, aby sprawdzić, czy jej słucha, zobaczyła jego twarz tuż przy swojej. Przestraszona, mimowolnie odchyliła się do tyłu i łapiąc równowagę, przytrzymała się ręką jego ramienia. Patrzył na nią, i to już od jakiegoś czasu, nie zwracając uwagi na sztucce, które mu pokazywała.

- Czy pan uważa? - spytała ostrym tonem.

- Oczywiście. Ale do czego ten służy? - Pokazał mały nóż o zaokrąglonym ostrzu, leżący na małym talerzyku, ustawionym nieco powyżej i na lewo od reszty nakrycia.

- Do rozsmarowania masła, - Wyprostowała się unikając zbytniej bliskości.
- Dlatego leży na talerzyku na chleb.

- A który z tych kieliszków jest do likieru?

- Żaden. Służba przynosi kieliszki do likieru i porto w odpowiednim czasie.
- Znów musiała wyciągnąć rękę tuż przed hrabią, aby kolejno pokazać mu rozmaite kieliszki ustawione powyżej sztucców. - Kieliszek do sherry podawanego do zupy. Do białego wina serwowanego do ryby. Goblet do czerwonego wina pasującego do mięsa i oczywiście szklaneczka do wody. Nie musi pan tego dokładnie zapamiętać. Służba napełni je we właściwym momencie.

- Który widelec był deserowy?

Irene sięgnęła ręką i stuknęła w widelczyk leżący obok srebrnej łyżki do deserów. I tak to trwało kilkanaście minut, wciąż na nowo musiała pokazywać, co do czego służy. Za każdym razem Gideon zapominał o przeznaczeniu jednego czy dwóch sztucców i Irene, powtarzając instrukcje, zaczynała tracić cierpliwość.

Z każdą pomyłką jego twarz poważniała coraz bardziej, a wymowa stawała się bardziej niewyraźna i niechlujna. Wkrótce nie było wątpliwości, że wychował się w ubogich dzielnicach Londynu. Nawet Francesca wyglądała na podenerwowaną. Westchnęła z lekkim znużeniem i powiedziała:

- Dobrze, spróbujmy raz jeszcze. Gdzie leży nóż do ryb?

Gideon spojrzał na sztuce.

- Zaczynają mi wyglądać na takie same. - Jego dłoń zawisła nad stołem, a potem przesunął ją z wahaniem. - Bym powiedział... Ano ten. - Pokazał zdecydowanym ruchem na nóż do mięsa.

- Wcale nie! - Znużona Irene podniosła głos. - Doprawdy, milordzie, przerabialiśmy to co najmniej dwadzieścia razy. - Impulsywnie ujęła jego dłoń i skierowała jego palec we właściwym kierunku. - To jest nóż do ryb. Używa się go z widelcem do ryb, leżącym po lewej stronie. Oba te sztuce kładzie się po zewnętrznej stronie noża i widelca do mięsa, bo zawsze turbota podaje się przed pieczywym. Nie mogę pojąć, jakim cudem pan to stale myli. - Sfrustrowana spojrzała na niego i choć twarz miał równie poważną jak przed sekundą, dostrzegła w jego oczach coś, co ją zastanowiło.

- A bo tego chyba dla mnie za wiele, milady. - Głos mu lekko zadrżał i umilkł, zaciskając mocno wargi.

Irene pochyliła się ku niemu i spojrzała mu prosto w oczy.

- Kpi z nas pan, tak?

- Nie wiem, o co pani chodzi. - Gideon patrzył na nią oczami niewiniątka, ale kąćki ust drgnęły mu w nikłym uśmiechu.

- Och! - Irene zerwała się na równe nogi i zacisnęła dłonie w pięści. - Trochę za grubymi nićmi to szyte! Przecież może być pan tak bezdennie głupi, skoro prowadzi pan z powodzeniem interesy!

Gideon zaczął się śmiać, co ją jeszcze bardziej rozwścieczyło. Odwróciła się i zaczęła przemierzać pokój, zarzucając go wymówkami.

- Co pan chce osiągnąć? Dlaczego marnuje pan mój czas? Jest pan najgorzej wychowanym, kompletnie pozbawionym wyczucia nikczemnikiem!

Podczas gdy Irene krążyła po pokoju, Francesca z ciekawością patrzyła na Gideona.

- To wszystko było udawane? - spytała i nagle zaczęła śmiać się serdecznie.

- Co ty wyrabiasz?! - wykrzyknęła Irene. - Oszalałaś? Udawał gamonia, a my zmarnowałyśmy trzydzieści minut na uczenie go czegoś, co już zna.

- To nie takie trudne, milady. - Gideon uśmiechnął się szeroko. - Obawiam się, że wczorajszego wieczoru zbyt łatwo zawierzyła pani słowom Teresy. Nie spędziłem całego życia w nędznej norze. Od pewnego czasu nawet mogę sobie pozwolić na kucharza, i to bardzo dobrego, ośmielę się nadmienić, a mój kamerdyner nie odważyłby się nie nakryć perfekcyjnie do stołu. Nawet gdybym nie wiedział, co czym jeść, kiedy się tu zjawiłem wystarczyłoby popatrzeć, co robią inni, żeby się nauczyć. W końcu to mniej skomplikowane od matematycznych teorii Euklidesa.

Irene przyglądała mu się z niedowierzaniem. Podchodząc do stołu usiadła z powrotem na krześle obok Gideona i zapytała ponownie:

- Dlaczego pan udawał? Dlaczego chce pan uchodzić za bardziej niewychowanego, niż jest?

- To bawi moją rodzinę - odrzekł z przekąsem i dodał ciszej, z błyskiem w oku: - A jakim innym sposobem mógłbym cieszyć się pani bliskością?

Irene zrobiło się gorąco. Rzuciła spojrzenie na przyjaciółkę, sprawdzając, czy dosłyszała te cicho wypowiedziane słowa. Francesca, potrząsając głową z niedowierzaniem i śmiejąc się wesoło, nie sprawiała wrażenia osoby, do której dotarło wyznanie Gideona. Irene odprężyła się i zwróciła wzrok z powrotem na hrabiego. Bacznie ją obserwował. Poczwała, że się czerwieni, i zmieszana odwróciła głowę.

- Niech pan będzie poważny - powiedziała, ale jej głos nie zabrzmiał tak ostro, jak by chciała.

- Dobrze - odezwała się Francesca i wstała, już z poważną miną. - Przepraszam, hrabio. Zbyt wiele polegałam na zdaniu innych w kwestiach, które pana dotyczą. Zaczniemy jeszcze raz. Jeśli nie ma potrzeby ulepszania pańskich manier, nie ma również powodu, abyśmy tu byli z lady Irene. Pozwoli pan zatem, że zapytam wprost, w jakich sprawach mogłybyśmy... pan mógłby skorzystać z naszych umiejętności? Czy możemy zrobić coś, aby poczuł się pan swobodniej w towarzystwie odzyskanej rodziny i krewnych? Czy też ja i Irene mamy zaprzestać naszych wysiłków?

- Jestem pewien, że pani i lady Irene możecie mi pomóc, mimo że o zastawie stołowej wiem tyle, ile trzeba. Jak wspomniałem, mam kamerdynera, który dopilnuje, abym używał jej poprawnie. Jak sama pani zauważyła, moja przyszła żona wyręczy mnie w kwestiach procedencji. Zdaję sobie sprawę z tego, że sposób, w jaki się wysławiam, daleki jest od ideału, i pracuję nad tym od dłuższego czasu, ale ponieważ pewna szorstkość i przechodzenie od razu do rzeczy wynikają z mojej natury, mam słabą nadzieję, i powiem szczerze, ochotę, by dorównać innym w budowaniu okrągłych zdań. - Umilkł na chwilę. - Jest coś, co chciałbym poprawić. Beznadziejnie tańczę.

- Ach! - Francesca wyraźnie się ożywiła. - Tu możemy panu naprawdę pomóc. - Spojrzała na przyjaciółkę. - Zgadzasz się ze mną?

- Tak, oczywiście - odparła Irene, kiwając energicznie głową.

Wszyscy troje wyszli z jadalni i udali się do pokoju muzycznego. Irene natychmiast zdała sobie sprawę z tego, w jaką pułapkę wpadnie, ucząc Gideona tańczyć. Będzie mu potrzebna partnerka do ćwiczeń, a podjęcie się tej roli oznacza przebywanie blisko niego, niebezpiecznie blisko. Skoro siedzenie przy stole obok niego pobudziło ją, to co dopiero wspólny taniec.

- Może zagram na fortepianie? - zaproponowała, ledwie weszli do pokoju muzycznego i od razu skierowała się w stronę instrumentu, na którym poprzedniego wieczoru Francesca grała na życzenie lady Odellii.

- Och nie, kochanie - zaprotestowała przyjaciółka. - Zapomniałaś, że słyszałam, jak grasz. Lepiej ja zagram, a ty będziesz pełnić rolę partnerki hrabiego Radbourne'a.

Niestety, Francesca miała rację: Irene grała źle.

Nie była zbyt muzykalna i nigdy nie miała cierpliwości do codziennych żmudnych ćwiczeń, nic więc dziwnego, że posiadała ledwie podstawowe umiejętności. Francesca doskonale to wiedziała z tego prostego powodu, że młode panny często były proszone o zademonstrowanie muzycznych talentów podczas rozmaitych towarzyskich okazji. Gdyby Irene uparła się, że zagra, Francesca domyśliłaby się, że coś się za tym kryje. W takim razie, lepiej już tańczyć z hrabią, niż skazywać się na domysły, dlatego woli tego uniknąć.

- Dobrze - zgodziła się uprzejmym tonem.

Spojrzała na Gideona i jego mina powiedziała jej, że zrozumiał, dlaczego chciała grać na fortepianie, i że dobrze wiedział, z czego wynikała jej niechęć, by z nim tańczyć - bynajmniej nie z antypatii. Rzeczywiście Irene na przekór sobie czuła do niego pociąg. Nie chciała znaleźć się w jego ramionach, tańczyć z nim w rytm muzyki, bo obawiała się własnej reakcji.

- Możemy zacząć od walca? - spytała Francesca i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Wiem, że nie zawsze tańczy się go poza Londynem, ale zbierze się na tyle wyrafinowane towarzystwo, że nie powinno to wzbudzić kontrowersji. Poza tym to najłatwiejszy taniec do nauczenia. Irene, objaśnij hrabiemu kroki, a ja znajdę nuty. - Powiedziawszy to, Francesca zaczęła przerzucać stertę leżących na fortepianie arkuszy.

Irene odwróciła się do Gideona, który uniósł dłoń, mówiąc:

- Znam kroki, pokazano mi je, lecz nie mam wprawy. Sądzę, że przede wszystkim potrzebuję ćwiczeń.

- Rozumiem - odparła Irene, a z lekka łobuzerski uśmiech hrabiego wzbudził w niej mocne postanowienie, że pozostanie całkowicie opanowana i

żadne tańce z nim nie wpłyną na jej emocje. - Może na razie spróbujemy kilka kroków bez muzyki.

- Jak sobie pani życzy. - Ujął ją za rękę, a potem przyciągnął bliżej do siebie, obejmując w talii.

Jego dłoń była gorąca, uścisk mocny. Irene nagle zabrakło powietrza. Jest zdecydowanie dominującym mężczyzną, pomyślała, ale też ona nie należy do kobiet, które łatwo sobie podporządkować.

- Pierwsza rzecz do zapamiętania - powiedziała rzeczowym tonem. - Nie może pan ścisnąć damy zbyt silnie. Pańska ręka powinna lekko spoczywać na jej talii.

Przesunął nieco dłoń, a Irene sięgnęła ręką w tył i poprawiła ułożenie jego kciuka.

- Pańska rola polega na prowadzeniu mnie we właściwym kierunku, ale powinien pan robić to z wyczuciem. Nie niezręcznie, jakby pan przesuwiał worek, i nie obcesowo. Tylko lekki nacisk palców. I proszę nie trzymać tak kurczowo mojej dłoni, wystarczy zaokrąglić swoją. O właśnie. Możemy zaczynać - dodała i zaczęła liczyć na trzy.

Ruszyli wokół sali sztywno i niezręcznie. Irene spojrzała na Gideona i zapytała podejrzliwie:

- Nie udaje pan przypadkiem, że tańczy gorzej niż w rzeczywistości?

Radbourne roześmiał się i powiedział:

- Nie. Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda w moim wykonaniu.

- To wyłącznie kwestia wprawy - zapewniła go.

- Milady, dotąd nie uciekała się pani do uprzejmych kłamstewek, więc proszę, niech pani teraz nie zaczyna.

Musiała się roześmiać.

- Zgoda. Proszę pozwolić sobie powiedzieć, że nie jest pan najgorszym tancerzem, z jakim w życiu miałam do czynienia, choć oczywiście nie najlepszym. Niemniej praktyka naprawdę czyni cuda.

- Dziękuję za słowa zachęty. - Skłonił przed nią głowę. - W takim razie ćwiczymy.

Co też czynili, poruszając się zgodnie z rytmem walca wkoło pokoju muzycznego. Sprzęty nie zostały uprzątnięte, tak by go przystosować do tańca, i musieli je omijać, co utrudniało naukę. Uderzyli się o puf, a potem o krzesło i przerwali na chwilę, by poodsuwać meble i utworzyć wolną przestrzeń. Przetańczyli wkoło dwukrotnie i Gideon odprężył się nieznacznie, jego ruchy stały się mniej sztywne, nie koncentrował się już bez reszty na krokach.

W miarę jak nabierał pewności siebie, coraz częściej patrzył na Irene, a nie pod nogi.

- Mam coś na twarzy? - zapytała w końcu ostrym tonem. - Wpatruje się pan we mnie stanowczo za długo, co nie jest grzeczne.

- Przepraszam - powiedział bez śladu skruchy w głosie. - To moje złe wychowanie daje o sobie znać. Prawdopodobnie niegrzecznie będzie także zauważyć, że zmieniła się pani. Wygląda pani inaczej.

- Inaczej? - spytała Irene, unosząc brwi - Inaczej niż kiedy?

- Niż wtedy, gdy panią pierwszy raz zobaczyłem. Chyba to pani włosy.

- Kobiety często zmieniają styl fryzury, milordzie.

- Bardziej podoba mi się ta, którą pani miała wczoraj wieczorem i dzisiaj, - jego głos zmienił się nieco, brzmiał bardziej gardłowo. - Wygląda nie tak surowo, skłania mężczyznę do wyobrażania sobie... - Nie dokończył.

Zrobiło się jej gorąco. Dobrze wiedziała że nie powinna go pytać ani zachęcać, by mówił takie rzeczy. Stanowczo nie było to bezpieczne. A jednak zapytała:

- Wyobrażania sobie czego, milordzie?

- Że wyjmuje z nich szpilki - wyjaśnił - i patrzy jak rozsypują się na ramionach w całej swojej wspaniałości.

Tym razem to ona zmyliła krok i zachwiała się lekko. Gideon podtrzymał ją mocniej w talii.

- Nie prowadzi się takiej rozmowy, sir. Pana słowa brzmią stanowczo zbyt osobiście.

- Niegrzecznie? - spytał ironicznie.

- Niewłaściwie - poprawiła. - Dżentelmen nie odzywa się w ten sposób do młodej niezamężnej kobiety. - Spojrzała na niego niepewnie, myśląc że za wszelką cenę musi się postarać, aby nie wyczuł jakie wrażenie zrobiły na niej jego słowa.

- Oboje wiemy, że nie jestem dżentelmenem.

Gardłowy, niski głos hrabiego był jak pieśczoła i Irene zadrżała.

- Nie może pan mówić takich rzeczy do dziewcząt, o których względy będzie pan się starał - oświadczyła rzeczowym tonem, usilnie ignorując to, co się działo z jej ciałem.

- Nie zamierzam żadnej nic podobnego mówić - powiedział z naciskiem. - Żadna z nich mnie nie interesuje.

- Przecież pan nawet ich nie zna.

- I nie chcę poznać. Zdążyłem się przekonać, że albo chichoczą bez przerwy i są niezbyt mądre, albo wywyższają się i odnoszą do innych pogardliwie. Żadna z nich nie zdradzi się z prawdziwymi sądami, bo od momentu, gdy zaczęły składać słowa i zdania, tresowano je tak, by mówiły tylko to, co wypada. No i żadną z nich nie będę zainteresowany tak jak panią.

Irene wzięła głęboki oddech.

- Wie pan, że nie zamierzam wychodzić za mąż, hrabio Radbourne.

- Nie sądzi pani, że skoro już jestem strofowany na każdym kroku za to, co robię i mówię, to przynajmniej wypada, aby zwracała się do mnie pani właściwie?

- Przecież jest pan hrabią - zaprotestowała żywo Irene.

- Hrabia Radbourne to nie ja. To tylko tytuł, który nijak ma się do tego, jaki jestem naprawdę. - Jego głos nie brzmiał już gardłowo, twarz przybrała surowy, czujny wyraz. - Przez całe życie nazywałem się Gideonem.

Irene zdawała sobie sprawę, że nie powinna zwracać się do niego po imieniu, ostatecznie znali się dopiero kilkanaście dni. Sugerowałyby to pewien stopień zażyłości, której przecież między nimi nie ma. Mimo to po dłuższej chwili powiedziała:

- No więc dobrze: Gideon.

Rozpogodził się i objął ją nieco mocniej. Irene odwróciła wzrok. Uświadomiła sobie, że stąpa po grząskim gruncie. Jakim cudem sytuacja wymknęła się jej spod kontroli? Zaczęła jak należy, pouczając hrabiego, że zwraca się do niej w niewłaściwy sposób, a potem ni stąd, ni zowąd zgodziła się mówić mu po imieniu. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie cieszył się tym przywilejem.

To na pewno dlatego, że nie jest przyzwyczajona do radzenia sobie w takiej sytuacji - z takim człowiekiem, jak on, z uczuciami, które w niej wzbudza, a których jakby na złość zawsze doznawała w niewłaściwym momencie. Doskonale wiedziała, że ma opinię osoby kąśliwej, niektórzy twierdzili nawet, że to nie brak posagu, a jej nieprzyjemny sposób bycia sprawił, iż nie otrzymała żadnej propozycji zawarcia małżeństwa, gdy był po temu czas. Irene nie martwiło, że uważa się ją za osobę kostyczną i trudną. Wołała uchodzić raczej za taką niż bezwolną dzierlatkę chichoczącą i paplającą bez składu, wpatrującą się bezkrytycznie w każdego mężczyznę, choćby nie wiem jak głupiego.

Uważała się za kogoś, kto kieruje się rozumem. Niełatwo było ją zbić z tropu czy wprowadzić w zakłopotanie, rzadko czuła się kompletnie zaskoczona - a już na pewno nie sobą samą. Dopiero od czasu poznania Radbourne'a przestała siebie rozumieć. Miotaly nią uczucia, których nie zaznała nigdy przed tym, zachowywała się w sposób, o jaki by siebie nie podejrzewała, pozwalała, aby kierowały nią emocje, i postępowała dziwacznie pod wpływem nieznanych jej dotąd doznań. Czuła, że traci nad sobą kontrolę, i świadomość tego autentycznie ją niepokoiła.

Walc przebrzmiał, Irene dała kilka kroków do tyłu. Odwróciła się do Franceski, która przeglądała nuty w poszukiwaniu nowej melodii, aby zapewnić im chwilę wytchnienia. Irene wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Ja... chciałabym na tym zakończyć, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. - Francesca popatrzyła na nią lekko zdziwiona. - Zmęczyłaś się? Nie powinnam była grać bez przerwy.

- Tak, powinniśmy chyba zrobić kilka minut przerwy - zgodził się Gideon, patrząc z troską na Irene. - Może napijemy się herbaty?

- Nie jestem... - Urwała. Zamierzała zaprzeczyć, że to taniec ją zmęczył, ale nieoczekiwanie podsunęli jej możliwość, której się uchwyciła. - Tak, macie rację, ale nie herbaty mi potrzeba. Powinnam pójść do swojego pokoju. Trochę rozboleła mnie głowa. - Unikając starannie wzroku Gideona, zwróciła się do przyjaciółki: - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będziemy kontynuować jutro.

- Oczywiście. - Francesca z uśmiechem machnęła ręką. - Hrabiego z pewnością ucieszy możliwość spędzenia popołudnia bez naszego nękania. A ja będę mogła przedyskutować organizację przyjęcia z lady Odelią.

- Dziękuję. - Irene uśmiechnęła się niewyraźnie i nie spojrzawszy na Gideona, wyszła.

Bezpieczna w zaciszu swojego pokoju, usiadła na stojącym koło okna krześle i zaczęła robić sobie wymówki za tchórzostwo. Co ona chce osiągnąć, ukrywając się tutaj?

Miała jeszcze jeden dowód więcej na to, jak dziwacznie ostatnio się zachowuje. Nie należała do kobiet posługujących się tak pospolitymi wymówkami jak ból głowy, choć były one powszechnie akceptowane w towarzystwie. Nie musiała uciekać od mężczyzn, potrafiła sobie z nimi poradzić. A teraz uciekła, ponieważ, o zgrozo, nie mogła ufać sobie!

Irene zabębniła palcami w poręcz krzesła. Nie rozumiała, dlaczego hrabia tak na nią działa, ale to musi się skończyć. Znowu będzie sobą, taką jak dawniej.

Pójdzie na długi spacer. Będzie szła bez celu przed siebie, jak to robiła, gdy wyjeżdżali do ich domu na wsi. Świeże powietrze i lekki wysiłek wrócić jej rozum i spojrzeć na wszystko bardziej trzeźwo.

Wstała, założyła solidne buty, które zapakowała właśnie na takie okazje, i słomkowy kapelusz z szerokim rondem, aby ochronić twarz przed promieniami słońca.

Powinna zmienić suknię na starszą, ta była nowa i niedobrze, gdyby pobrudziła obrąbek, ale nie potrafiła sama rozpiąć wszystkich guziczków, a nie chciała dzwonić na pokojówkę, by jej pomogła. Jak by wytłumaczyła, że wychodzi na spacer, skoro ogłosiła, że boli ją głowa?

Zbiegła cicho po schodach i wymknęła się tylnymi drzwiami do ogrodu. Zamiast iść wypielegnowanymi alejkami, ruszyła szybko najkrótszą drogą na przełaj do ciągnącej się za ogrodem łąki. Wkrótce dotarła do wąskiej, wydeptanej ścieżki wijącej się przez łąkę, tak charakterystycznej dla angielskiego krajobrazu. Nie wiedziała, dokąd prowadzi, więc Irene poszła przed siebie, kierując się najdalej od domu, tak by nie można jej było stamtąd dostrzec.

Ścieżką Irene dotarła do płytkiego parowu i dalej podążyła jego skrajem. Rozciągał się stąd piękny widok na okolicę - łąkę opadającą łagodnie poniżej parowu aż do widniejących w oddali zabudowań, a poza nimi rysowały się wzgórza Cotswold. Po prawej rosły drzewa, a dalej wznosiło się łagodnie kolejne zbocze, na którego wierzchołku widoczna była wieża na planie kwadratu, zbudowana z szarego kamienia, i przylegające do niej częściowo zniszczone mury, również z szarego kamienia.

To pewnie ruiny starej normańskiej twierdzy, o której wspominał kamerdyner, doszła do wniosku Irene. Warto zajrzeć tu później i obejrzeć je dokładniej. Przystanęła na moment i unosząc głowę, przysłoniła dłonią oczy, by lepiej widzieć.

Do jej uszu doszedł odgłos końskich kopyt i brzęk uprzęży. Odwróciła się i zobaczyła siedzącego na gniadym ogierze Radbourne'a. Masz ci los! Przyłapał ją na kłamstwie.

Rozdział dziesiąty

W pierwszym odruchu chciała odwrócić się i rzucić do ucieczki, ale powstrzymała się całą siłą woli. Czy to nie ona postanowiła nie tak dawno temu, że będzie się zachowywać, jak przystało na kobietę o silnej osobowości? Stawi mu czoło, rozwiąże ten problem jak należy - z godnością.

Wyprostowała się i patrzyła na nadjeżdżającego Gideona. Przypomniała sobie, jak lady Odelia mówiła Francesce, że jest kiepskim jeźdźcem, tymczasem musiała przyznać, że prezentuje się całkiem dobrze na końskim grzbiecie. Może nie trzymał się w siodle tak znakomicie jak większość jej krewnych jeżdżących konno od dziecka, ale pewnie dzierżył cugle, a muskularnymi udami obejmował boki ogiera. Hrabia wyglądał jak uosobienie męskiej siły.

Irene wyprostowała się jeszcze bardziej.

- Och, lady Irene - powiedział, podjeżdżając blisko i uchylając przed nią kapelusza. - Co za niespodzianka widzieć panią tutaj.

- Rzeczywiście. Jestem równie zdumiona, widząc pana - odparła. - Śledził mnie pan?

- Nie. Myślałem, że wypoczywa pani w zaciszu swojego pokoju, zmożona bólem głowy. Zapomniała pani? - Zeskoczył z konia, ujął lejce i doprowadził ogiera. - Uznałem, że skoro mam wolną resztę dnia, objadę jedną lub dwie farmy.

Irene zdecydowała, że udzielenie mu jakiegoś wyjaśnienia jest w tej sytuacji bardzo pożądane, więc powiedziała:

- Liczyłam na to, że ból głowy zmniejszy się, jeśli zaczerpnę świeżego powietrza.

- Rozumiem. - Skinął głową. - W takim razie może przejdę się z panią...
Chyba że woli pani uniknąć wszelkiego towarzystwa.

Łobuzerski błysk w jego oczach zdenerwował Irene na tyle, że podjęła wyzwanie.

- Przeciwnie, milordzie. Zwłaszcza że, moim zdaniem, warto przedyskutować kilka spraw.

- Doprawdy? Dotyczących moich manier? Czy umiejętności tanecznych? I czy dobrze pamiętam, że zgodziła się pani zwracać do mnie Gideon?

- Dobrze - potaknęła, ustępując w drobnej sprawie. - Choć oczywiście nie będę mogła tak się zwracać w towarzystwie innych, bo zostanie to poczytane za niewłaściwe.

- Ach tak, zapomniałem. W takim razie powinienem zdecydowanie pozostać dla pani Radbourne.

- Wiem, że dla pana to tylko żarty, ale przestrzegamy tych form i nic dobrego nie wynika dla kobiety z ich łamania. Jestem uważana za dziwną osobę, i to wystarczy. Nie zamierzam dodawać do tej opinii plotek dyskredytujących mój honor.

- Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek ośmielił się podawać w wątpliwość pani honor - oświadczył nachmurzony.

- I nie zamierzam dawać do tego powodów.

Skinął głową na znak zgody i przez chwilę szli w milczeniu.

- Jakie rzeczy chciałaby pani przedyskutować? Ma pani dla mnie jakieś nowe zadania?

- Nie chodzi o zadania. Chciałabym wyjaśnić... określić moją pozycję tutaj. Zgodziłam się przyjechać, aby pomóc Francesce. Tylko tyle. Mam nadzieję, że wyłożyła to jasno panu, a także pańskiej babce.

- Owszem.

- Ja sama również próbowałam wyjaśnić, że nie zamierzam pana poślubić.

- Uczyniła to pani.

- Mimo to dziś rano robił mi pan uwagi...

- Uwagi? - wpadł jej w słowo.

- Komplementy. Myślę, że tak to mogę określić. Uniósł brwi, robiąc zdziwioną minę człowieka niesłusznie obwinianego.

- Nie wolno mi prawić pani komplementów?

- Zależy jakiego rodzaju. To nie był komplement, jaki... jaki dżentelmen powiedziałby kobiecie, której nie zna. Albo brat siostrze.

- Nie jestem pani bratem.

- Pan udaje, że nie rozumie. Założę się że celowo. Pana uwagi... Flirtował pan ze mną.

- Flirtować też mi nie wolno?

- Nie - odparła ze złością. - Och, niech pan nie robi znowu tej świętoszkowato zdziwionej miny. Dobrze pan wie, o co mi chodzi. Rozmawiał pan ze mną... jakby chciał mnie pan uwieść.

- Cieszę się, że moje intencje zostały dobrze odczytane. - Uśmiech rozjaśnił twarz Gideona.

- Ale powiedziałam panu...

- Pamiętam, co mi pani powiedziała, Irene.

- W takim razie dlaczego pan to kontynuuje? - zapytała, już lekko rozgorączkowana, tak że nawet nie zauważyła, iż zwrócił się do niej po imieniu, choć mu na to nie pozwoliła. - Powtórzę raz jeszcze. Nie ma żadnej możliwości, że pana poślubię, więc pańskie zaloty są bez sensu. Liczy pan na to że zmienię zdanie? Nie zmienię, zapewniam pana.

- Przecież widzę, że trwa pani przy nim niezłomnie i nigdy nie zmienia pani zdania.

- Chce mnie pan obrazić? - spytała, marszcząc czoło.

- Mówię prawdę. Przecież zabroniła mi pani mówić komplementy.

Irene westchnęła ciężko i odwróciła głowę. Przez chwilę szli w milczeniu, a potem Gideon odezwał się spokojnie:

- Poza tym nie proszę, żeby pani za mnie wyszła. Z pewnością to pani zauważyła.

- Rzeczywiście. A jednak zaleca się pan. Sam pan to przyznał.

- Oświadczyła pani, że mnie nie poślubi. Nie wykluczyła pani innych sytuacji.

Irene stanęła w miejscu, a potem odwróciła się do Gideona z twarzą rozpłomienioną furją.

- Co?! Sugeruje pan... Śmie pan przypuszczać, że., że ja... - Głos jej się załamał z oburzenia.

Uśmiechnął się porozumiewawczo, jakby potwierdzając, że właściwie zrozumiała wypowiedziane przed chwilą słowa. Irene wiedziała, że powinna być obrażona, a nawet poczuć wstręt, tymczasem uniesione w uśmiechu wargi, rozjaśnione zielone oczy znów sprawiły, że przeszedł ją przyjemny dreszcz. Odetchnęła głęboko, zdając sobie sprawę z tego, że należałoby natychmiast odejść, a jednak nie potrafiła. Tak naprawdę nie chciała i świadomość tego nią wstrząsnęła.

- Nawet najbardziej niechętna małżeństwu kobieta nie musi odrzucać... wszelkich związków - powiedział ostrożnie Gideon.

- Myśli pan, że narażę się na upokorzenie? Okryję hańbą swoje imię? - spytała zatrwożona, że jej głos brzmi tak słabo. Czy odgadł, że ona drży? Czy patrząc w jej oczy, widzi, że obudził w niej pożądanie, choć ona temu zaprzecza?

- Upokorzenie? Nie wyobrażam sobie, żeby pani pozwoliła się upokorzyć. - Wypuścił z dłoni lejce i podszedł bliżej do Irene. - Co mamy począć? Zaprzeczy pani temu, co jest między nami? Zaprzeczy, że kiedy pani dotykam, drżysz? Że kiedy całuję, odwzajemnia pani pocałunek?

Irene opuściła powieki z obawy, że jeśli jeszcze sekundę dłużej będzie patrzyła Gideonowi w oczy rzuci mu się w ramiona jak kobieta upadła. Tak

bardzo pragnęła poczuć jego wargi na swoich Jeszcze jeden raz. Pamiętała ich smak, miękkość i jej usta rozchyliły się od tego wspomnienia.

- Nie - wyszeptała niemal ze strachem - To nieprawda. Niczego między nami nie ma.

- Sądziłem, że jest pani kobietą, która nie kłamie - powiedział, zaciskając dłonie na ramionach Irene i przyciągając ją bliżej do siebie.

Nagle poczuła na ustach jego wargi i przestała myśleć. Wspięła się na palce i objęła go za szyję Nie istniało nic oprócz jego muskularnego ciała, przytulonego do jej ciała, nic ponad narastające w niej coraz bardziej pożądanie.

Pocałunek trwał długo, był pełen żaru. Irene nagle osłabła, niemal omdlała, ale za nic nie chciała przerwać pocałunku. Pragnęła Gideona, chciała doznać tego wszystkiego, czego nie знаła, a jedynie przeczuwała. Jakby wbrew tym gwałtownym uczuciom ogarnęło ją zdumienie, że jest do nich zdolna Przesunął dłonie po jej plecach, pieszczotliwie wolno, i zatrzymał na pośladkach. Przyciągnął ją do siebie mocniej. Irene instynktownie zrozumiała że Gideon jej pożąda, i niepokojące, pulsujące ciepło ogarnęło jej ciało. Wsunęła palce w jego włosy świadoma własnej namiętności. Chciała ocierać się o niego, rozpiąć mu ubranie.

- O Boże! - Oderwała się od niego, odstąpiła pół kroku i odwracając się do niego tyłem, ukryła twarz w dłoniach. - Nie! Co ja robię?

Z ust Gideona wyrwał się jęk zawodu, przyciągnął ją znowu do siebie, czuła jego biodra przyciśnięte do swoich pośladków, słyszała urywany, chrapliwy oddech, gdy pochylił się, wtulając twarz w jej włosy.

- Nie bądź taka surowa... taka oschła - poprosił, pieszcząc wargami jej szyję. - Nie masz litości, żeby mnie tak kusić?

- Nie usiłuję cię kusić.

- To jest w tym wszystkim najtrudniejsze. Nie musisz. Wystarczy, że spojrzysz na mnie tymi swoimi złotobrazowymi oczami, że wymknie ci się niesforny kosmyk, a nie myślę o niczym innym, tylko o tym, żeby je rozpuścić,

zanurzyć dłonie w tych lokach... złocistych jak miód... jedwabście śliskich i gładkich...

- Gideonie, przestań! - Irene oderwała się od niego i odwróciła. Patrząc mu w twarz, zacisnęła dłonie w pięści, aby ukryć drżenie palców. - Nie pozwolę się uwieść. Naprawdę myślałeś, że zgodzę się na rolę kochanki?

- Nie. Chciałem, żebyś została moją żoną, o czym dobrze wiesz.

- Przecież powiedziałam ci, że nie będę żoną. Dlaczego mi nie wierzysz?

- Co nie znaczy, że przestanę próbować. Naprawdę myślałaś, że pokornie zniosę odmowę? Że nie będę robił, co w mojej mocy, abyś zmieniła zdanie? Przekonywał cię na wszelkie możliwe sposoby?

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę, a potem Irene westchnęła i twarz jej nieco złagodniała.

- Nie, chyba nie oczekiwałam, że się poddasz.

- Czy to rzeczywiście wydaje ci się takie okropne? - zapytał cicho, dając krok w jej kierunku.

Irene cofnęła się i uderzyła plecami w bok konia. Ogier nie usunął się, stał niewzruszenie na miejscu z szyją opuszczoną ku kępie smakowicie zielonej trawy. Gideon przysunął się bliżej i wpatrując się w jej oczy, dotknął palcami jej twarzy. Nie spuszczać z niej wzroku, przesunął palce powoli, pieszczotliwie po policzku, po szyi, aż na dekolt. Irene nie mogła oderwać od niego spojrzenia, stała nieruchomo, a on coraz śmieiej głaskał jej pierś, potem talię i biodra.

- Myślisz, że to taki uciążliwy obowiązek być moją żoną? - zapytał, nie spuszczać z niej pociemniałych z namiętności oczu. - Dzielić ze mną łóżko... czuć moje pieszczoty?

- Nie - odparła uczciwie. - Nie będzie uciążliwe... przez tygodnie, miesiące, do czasu, gdy przestaniesz mnie pożądać. - Zmusiła się, by oderwać jego dłoń od swojego ciała. - Kiedy się nasycisz, pozostanę w twojej władzy.

- Sądzę, że źle oceniasz to, jak długo będę cię pragnął - powiedział spokojnie. - Założmy jednak, że masz rację. Gdy namiętność się wypali, dalej będziesz moją żoną. Będziesz miała moje nazwisko, szacunek, majątek.

- Będę miała tylko to, co spodoba ci się mi ofiarować. Kiedy ochłoniesz, gdy dostaniesz wszystko, czego chciałeś, jak zniesiesz mój ostry język? Nie, wtedy odkryjesz, że jestem zbyt impertynencka i niezależna, mówię, co myślę, nie zważając na to, co ty myślisz i co byś wolał. Odkryjesz, że jestem zarozumiała i swarliwa.

- Jakbym tego dotąd nie zauważył - rzekł z rozbawieniem.

- Nie żartuj sobie ze mnie! - wykrzyknęła. - Dla ciebie moje obawy mogą być głupie i nieistotne, ale nie są, zapewniam cię! Gdybyś był pod czyimś obcasem, nie miał niczego na własność, nie mógł nawet dysponować swoim ciałem... zależny od czyichś kaprysów, zmuszony przestrzegać reguł, które narzucił ci ktoś inny, też wolałbyś uniknąć takiego życia.

- Irene! - Wyraźnie zaniepokojony Gideon wyciągnął do niej rękę. - Uważasz mnie za tyrana?

- Nie wiem, przecież cię nie znam. - Oczy miała rozszerzone, czerwone plamy na policzkach. - Natomiast wiem, jak łatwo mężczyznom przychodzą słodkie słówka, kiedy mają nadzieję coś uzyskać, i jak łatwo zapominają o swoich obietnicach. Jeśli komuś zaufam i źle trafię, przegram. Możesz mnie bić i nikt się za mną nie ujmie. Dzieci, które będę nosić w sobie i urodzę w bólu, będą należały do ciebie, ja nie będę miała do nich żadnych praw. Możesz je ze mną rozdzielić, jeśli ci się tak spodoba. Możesz mnie uwięzić. Wszystko, dosłownie wszystko, nawet ta suknia, którą noszę, będzie twoją własnością. Będę mogła wydać tylko te pieniądze, które mi wydzielił. Tylko ty...

- Boże święty! - przerwał jej Gideon. - Nie jestem aż takim potworem! Rzeczywiście mnie nie znasz... ani ja ciebie... ale czy dałem ci powody przypuszczać, że będę zdolny do takiego postępowania?

- Nie - przyznała, walcząc ze wszystkich sił o to, by mówić spokojnie, z opanowaniem. - Bez wątpienia wydaję ci się głupia, rozważaję takie teoretyczne możliwości. Nie musisz mi tego mówić, słyszałam to już wielokrotnie od innych.

Milczał przez chwilę, przyględując jej się uważnie, a potem spytał łagodnym głosem:

- Czy to z powodu ojca tak boisz się małżeństwa?

- Boję się? - Irene się zachnęła. - Nie boję się małżeństwa, po prostu patrzę realnie - zaprotestowała automatycznie, ale szybko zreflektowała się i westchnęwszy głęboko, dodała: - Znales go. Musiał ci się narazić, skoro chciales zbić go do nieprzytomności.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Pocieszaję dla mnie założenie, że musiał mnie najpierw sprowokować.

- Nie ciesz się przedwcześnie. Zrobiłam je dlatego, że znałam mojego ojca, a nie dlatego, że wiem coś o tobie - odparła sucho.

- Przyjmę to jako wyraz akceptacji, jeśli pozwolisz. Rzadko słyszę coś pozytywnego z twoich ust.

- Wolno ci myśleć, co ci się podoba - odparła i ruszyła ścieżką.

Gideon poszedł za nią, prowadząc ogiera. Po chwili się odezwał:

- Znałem twojego ojca z czasów, kiedy nie miałem jeszcze wstępu do waszego świata. Zaatakował kobietę, która dla mnie pracowała. Krupierkę trzymającą bank w bakaracie. Zakładał, że każda, która zarabia na życie, pracując w domu gry, zarabia również w inny sposób. Kiedy odmówiła, skatował ją. - Zacisnął usta na to wspomnienie.

- Dlatego przyszedles za nim do domu?

- Tak. Muszę uczciwie przyznać, że na East Endzie mężczyźni poczynają sobie w odmienny sposób niż w domu czy wśród równych im statusem.

- Nie mam pojęcia, jaki był w stosunku do dalszych krewnych, ale wiem, jak traktował osoby od niego zależne, i zapewniam cię, że żona i dzieci należały

do tej grupy. Moja matka jest osobą łagodną i nieskończenie cierpliwą, mimo to widział w niej same wady. Była zastraszona i pełna obaw, niepewna jego reakcji na to, co powie lub zrobi. Żadne z nas nie wiedziało, co go wyprowadzi z równowagi. Czasem tygodniami tylko wrzeszczał na całe gardło, wypominając nam rzekome błędy, a potem ni stąd, ni zowąd potrafił uderzyć matkę z jakiegoś sobie tylko wiadomego powodu.

- To przykre.

- Na szczęście mamy to za sobą. Pewnie cię nie zdziwi, że nie rozpaczalam długo po jego śmierci.

- Ciebie też bił?

- Kilka razy popchnął mnie silnie, ale nie jestem pewna, czy zamierzenie, bo za każdym razem był kompletnie pijany. Na swój sposób był ze mnie dumny. Nie drżałam przed nim ze strachu. Nie potrafił doprowadzić mnie do łez ani sprawić żebym kompletnie się rozsypała, jak to często bywało z matką lub Humphreym.

- Nie wątpię, że byłaś małą tygrysią - powiedział z lekkim uśmiechem Gideon.

Irene wzruszyła ramionami.

- Szybko odkryłam, że okazywanie strachu wyzwała w nim to, co najgorsze. Jednak nie musiało mnie to dotyczyć osobiście, żeby widzieć jakie były skutki jego ataków wściekłości. Zbyt często patrzyłam na to, co działo się z matką. Jakby mścił się na niej za to, że jest jego żoną. Opowiedziała mi kiedyś, jak wspaniale zachowywał się, gdy się o nią starał. Dżentelmen w każdym calu, zachwycony jej wdziękiem, urodą wynoszący pod niebiosa jej zalety. Kiedy za niego wyszła, nie trwało długo, by uznał, że jest nudna i głupia.

Irene spojrzała na Gideona i pomyślała, że sama nie wie, dlaczego mu to wszystko opowiada. Nie zwierzała się nikomu, a już na pewno nie z tych aspektów jej rodzinnych spraw. Może w jego przypadku było to zwyczajnie łatwiejsze, bo znał jej ojca. A może dlatego, że sam spędził większość życia w

trudnych warunkach albo dlatego, że z pewnością jest człowiekiem zdolnym zatrzymać dla siebie to, co usłyszał. Ciekawe, czy teraz, wiedząc to wszystko, spojrzy na nią w inny sposób. Mężczyźni nie przepadają za kobietami, które zbyt dobrze znają ciemne strony życia.

Gideon przystanął, ujął Irene za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak twój ojciec. Wielu rozpieszcza i szanuje swoje żony. Otacza je czułą opieką i traktuje z delikatnością.

- Nie jestem drogocennym bibelotem, żeby mnie podziwiać i uważać na mnie. Zresztą żaden mężczyzna o mnie w ten sposób nie myśli, a gdyby nawet znalazł się jakiś na tyle nierozsądny, potrafię go szybko pozbawić złudzeń i okazać, że mogę mu uprzykrzyć życie.

Okręciła się na pięcie, by odejść, ale Gideon zatrzymał ją w miejscu i powiedział spokojnie:

- Nie myl mnie ze swoim ojcem ani z żadnym innym mężczyzną.

Irene podniosła na niego wzrok, złotobrzowe oczy zabłyśły w promieniach zachodzącego słońca.

- Nie myślę, lecz jeśliby się okazało, że nie mam racji, niczego już nie będę mogła odwrócić. Dlatego zapewniam pana, że nie zmienię zdania. Nie mogę wyjść za mąż.

Rozstała się z nim wkrótce. Pojechał wizytować swoje posiadłości, a ona wróciła do domu, nie rozumiejąc powodu lekkiej melancholii, która nią owładnęła. Zdaje się, że tym razem wreszcie dopięła swego: przestanie się za nią uganiać i zainteresuje kobietami, które przyjadą do Radbourne Park w następnym tygodniu. Powinna czuć ulgę i zadowolenie, a nie zniechęcenie.

Przez całe późne popołudnie nie udało się jej rozproszyć złego nastroju. Spędziła je zamknięta w swoim pokoju, siedząc przy oknie i rozmyślając. Jak to się stało, że pozwoliła sobie na snucie dziecinnych mrzonek o miłości? Bo przecież z tego a nie innego powodu dała się przekonać Francesce, i nie tylko jej, do kupienia tych wszystkich pięknych nowych sukien. Dlatego zgodziła się

na podróż do Radbourne Park. I z tego powodu pozwoliła Maisie na zmianę stylu uczesania.

Teraz to się zmieni. Dzisiejszego popołudnia postawiła sprawę jasno i Gideon nie może mieć żadnych wątpliwości. Do kolacji uczesze się tak, jak to robiła wcześniej, i włoży jedną ze swoich starych sukien. Wkrótce wróci jej dobry nastrój.

Wykonała swój plan co do joty. Zdecydowała się na brązową suknię z krepy, którą Maisie przerobiła tylko nieznacznie, ozdabiając koronką przy szyi i mankietach, a kiedy pokojówka zjawiła się, aby upiąć włosy, Irene odesłała ją i sama ściągnęła je w ciasny węzeł.

Nie zeszła też na kolację wcześniej; poczekała, aż dojdzie ją odgłos otwierania drzwi sąsiedniego pokoju, świadczący o tym, że Francesca wychodzi, i do niej dołączyła. W ten sposób uniknęła spotkania z Gideonem, zanim wszyscy zgromadzili się w jadalni. Przy stole będzie siedziała od niego w takiej odległości, że bez trudu zdoła uniknąć konwersacji.

Kolacja ciągnęła się długo, a wrażenie to potęgowało często zapadające przy stole milczenie. Jedynie lady Odelia, jak zwykle niezmordowana, zwracała się czasem do kogoś z pytaniem w kwestiach, które wyłącznie ją interesowały.

Ku zdumieniu wszystkich pod koniec posiłku głos zabrał Gideon.

- Babciu, powinienem cię uprzedzić, że zaprosiłem jeszcze kogoś na następny tydzień.

Te słowa zaskoczyły zgromadzonych przy stole. Irene zauważyła, że obie hrabiny Radbourne oraz lady Pencully są wręcz zaniepokojone.

- Proszę? - wydusiła z siebie wreszcie lady Odelia.

- Poprosiłem Piersa Aldenhama, mojego przyjaciela, aby przyłączył się do nas. Wśród gości jest aż nadto dużo kobiet, uznałem więc, że to dobry pomysł, jeśli pojawi się jeszcze jeden mężczyzna. W końcu są przewidziane tańce. - Ponieważ żadna z nich nie odezwała się, patrzyły tylko na niego ze zdumieniem, a raczej przerażeniem, jak pomyślała Irene, dodał rzeczowym tonem: -

Poinformowałem już kamerdynera i gospodynię, tak że nie ma powodu do zmartwienia. Uznałem, że i ty powinnaś wiedzieć, może będziesz chciała wprowadzić jakieś zmiany w swoich planach.

- Twój przyjaciel? - spytała Odelia. - Co chcesz przez to powiedzieć? Czy to ktoś, kogo znałeś przedtem?

- Właśnie. Jesteśmy przyjaciółmi od... och, co najmniej dziesięciu lat. Z przyjemnością go wam przedstawię.

Teresa i Pansy jak na komendę spojrzały na lady Odelię, a ona unosząc wysoko brwi, odwzajemniła ich spojrzenia, po czym przeniosła wzrok z powrotem na Radbourne'a.

- Nie mówisz serio - powiedziała.

- Ależ mówię.

- Absurd! Nie możesz nam przedstawić jednego z tych... tych... ludzi, których znałeś przedtem. Ani nam, ani nikomu z zaproszonych gości.

- Nie mogę? - spytał spokojnie Gideon, ale w jego głosie zabrzmiały nuty, które powinny ostrzec lady Odelię.

Irene zerknęła na Francescę, która przysłuchiwała się tej wymianie zdań z wyraźnym zainteresowaniem, a potem z powrotem na cioteczną babkę Gideona.

- Oczywiście, że nie - zagrzmiała lady Odelia, odzyskując pewność siebie. - Powinieneś to ze mną skonsultować, zanim zdecydowałeś się go zaprosić. Powiedziałabym ci, że to nierealne. Chwali ci się, że nie zapominasz o tych ludziach, ale nie możesz wymagać od osób z towarzystwa, żeby się z nimi bratały!

- Rozumiem. Obawiasz się, że będą go unikać - odparł pojednawczym tonem Gideon. - Na szczęście Piers nie należy do osób, które łatwo dają się zbyć.

- Nie zrozumiałeś mnie. Nie możesz go zaprosić. Musisz wysłać wiadomość, żeby nie przyjeżdżał. Być może odwiedzisz go, kiedy następnym razem pojedziesz do Londynu.

- Nic z tego. Obawiam się, że to ty nie rozumiesz. Zaprosiłem go i przyjedzie tutaj - oznajmił stanowczo hrabia.

Lady Odelia patrzyła na niego z półotwartymi ustami. Zamknęła je w końcu energicznie, uderzając zębami o zęby, tylko po to, by natychmiast otworzyć je znów i powiedzieć:

- Zabraniam.

- Zabraniasz? - spytał Gideon, a jego uprzejmy ton nie zwiódł Irene.

Lady Odelia patrzyła na ciotecznego wnuka surowo. Czeka ją duża niespodzianka, pomyślała Irene.

- Obawiam się, że wprowadziłem cię w błąd. - Gideon pochylił się lekko. Widać było, że starannie dobiera słowa. - Przystałem na twoje plany co do mojej przyszłości, ponieważ zgadzały się z moimi zamiarami. Jak widzę, niefortunnie się złożyło, że moją zgodną postawę wzięłaś za przyzwolenie na kierowanie moim życiem i domem. Pozwól więc, że ci przypomnę: Radbourne Park należy do mnie i wszyscy, również ty, korzystają z mojej gościnności. Mogę zaprosić do tego domu, kogo chcę i kiedy chcę. Oddając należny twojemu wiekowi szacunek i honorując więzy rodzinne, nigdy jednak nie pozwolę, byś mi rozkazywała. Piers przybędzie za tydzień i oczekuję, że będzie traktowany z grzecznością. Mam nadzieję, że jasno się wyraziłem.

Lady Odelia, być może po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć. Siedziała nieruchomo, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w Gideona.

Czekał przez krótką chwilę, a potem skłonił lekko głowę.

- Jeśli panie pozwolą. Ponieważ jestem jedynym mężczyzną przy stole dzisiejszego wieczoru, wypiję porto w bibliotece. Zechcą mi panie wybaczyć - Wstał i wyszedł z jadalni.

Jeszcze jakiś czas po jego wyjściu panowało milczenie. W końcu Francesca, pociągnąwszy łyk wina, powiedziała:

- Cóż, jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwości że w jego żyłach płynie krew rodu Lille...

Irene roześmiała się krótko i szybko zakryła usta serwetką.

- Co my zrobimy? - spytała Teresa piskliwie wodząc po obecnych przerażonym wzrokiem.

- Nie wydaje mi się, żeby był jakiś wybór - skomentowała Irene.

- Och ty... - Teresa odwróciła się do niej gwałtownym ruchem, całkiem zapominając o dobrych manierach. - Nie ty zostaniesz upokorzona!

- Och, mój Boże - powiedziała Pansy z przestachem, oczy wypełniły się jej łzami. - On się na nas rozgniewał, Odelio... - Spojrzała błagalnie na siostrę.

- No, no, niewdzięczny smarkacz. - Lady Odelia wciąż wyglądała na wstrząśniętą. - Jestem prawie zdecydowana umyć ręce i zostawić go na pastwę losu. Zawsze mogę wrócić do Pencully Hall.

- Nie Odelio, nie! - Pansy łzy popłynęły po policzkach. - Proszę, nie zostawiaj nas z nim.

Twarz lady Odelii złagodniała, wyciągnęła rękę i uspokajająco poklepała siostrę po dłoni.

- Spokojnie, Pansy. Jeśli zdecyduję się wyjechać, zabiorę cię ze sobą.

- Lady Radbourne - zwróciła się Irene do starszej pani - na pani miejscu bym się nie martwiła. Nie wierzę, że hrabia Radbourne chciałby panią skrzywdzić w jakikolwiek sposób. Nie robi wrażenia złośliwego ani mściwego.

- Ależ oczywiście, że nie zamierza cię skrzywdzić, Pansy - poparła ją lady Odelia. - Chociaż obawiam się, że staje się coraz bardziej uparty. - Zmarszczyła brwi z namysłem. - Co go ugryzło? Akurat teraz?

- Być może, milady, znużyło go wieczne pouczanie - zasugerowała Irene. - Żaden ze znanych mi mężczyzn nie zaakceptowałby pokornie polecenia mu, kogo ma zaprosić na wydawane przez siebie przyjęcie.

- Jest w nim coś z naszego ojca, nieprawdaż, Pansy? - zwróciła się lady Odelia do siostry. - To oczywiste, że Ferringtonówna mimo całej swojej

bezczelności nie dałaby sobie z nim rady - kontynuowała lady Odelia. - Za słaby charakter... Nie potrafiłaby nim pokierować. Dobrze, że mamy ciebie.

- Proszę? - Irene spojrzała prosto w twarz lady Odelii. - Mówiłam serio, milady. Nie zamierzam poślubić hrabiego Radbourne'a.

- Łatwo powiedzieć, moja droga. - Lady Odelia wzruszyła lekceważąco ramionami. - Wszyscy widzieliśmy, jak go bronisz.

- Staralam się tylko być sprawiedliwa - zapewniła ją Irene. - Co jeszcze nie znaczy, że go... że ja., mam dla niego jakieś uczucia - dokończyła niezręcznie.

- Hm. Powiedzmy. - Lady Odelia uśmiechnęła się pobłażliwie. - Wciąż nie tracę nadziei że obudzisz się na czas... Zanim Gideon się podda i wybierze inną dziewczynę.

Rozdział jedenasty

Irene doskonale wiedziała, że lady Odelia chciała ją sprowokować. Przeliczyła się. Nie pozwoli, by lady Odelia nią manipulowała. Nikomu na to nie pozwoli. Nie powinno jej to robić żadnej różnicy, kogo Gideon wybierze na żonę. Musiała jednak uczciwie sama przed sobą przyznać, że poczuła lekkie ukłucie, być może zazdrości, na myśl o tym, że hrabia poślubi inną. W końcu przez ten czas, który tu spędziła, zdążyła go polubić. Choć starała się o tym nie myśleć, gdyby jednak rozważała możliwość małżeństwa, właśnie on mógłby być tym, którego by wybrała. Z pewnością byłaby to duża przyjemność być zdobywaną przez tak atrakcyjnego mężczyznę jak Radbourne.

Jednak nie zamierzała wychodzić za mąż. Nie ma tak słabego charakteru, żeby zmienić zdanie, kierując się dumą czy pożądaniem. Nie jest też tak niegodziwa, by mu źle życzyć i w cichości ducha żywić nadzieję, że nie znajdzie stosownej kandydatki na żonę. Nie, stanowczo zwalczy w sobie to idiotyczne uczucie przypominające zazdrość, które odczuwa czasem, patrząc na Gideona i wyobrażając sobie, że zaleca się do innej kobiety.

Będzie niezłomnie trwała przy swojej decyzji i okaże to, odrzucając wszelką próżność - przestanie nosić te nowe piękne suknie i upinać włosy w bardziej swobodną, zachęcającą do śmielszych myśli fryzurę. Nie ma sensu zwracać na siebie uwagi Gideona. W końcu obróciło się to przeciwko niej. Niewątpliwie powrót do dawnego stylu noszenia się da jasny sygnał jemu i wszystkim, którzy chcieliby bawić się w swatanie, że ona nie zamierza zdobyć jego przychylności.

Kontynuowali lekcje tańca i prowadzili rozmowy o formalnym charakterze, które miały hrabiego nauczyć, jak konwersować w towarzystwie. Irene starała się zachować odpowiedni dystans do Gideona, nie pozwalała też sobie na bardziej poufaly ton. Dostrzegła, że Francesca przyjmuje jej wysiłki ze zdziwieniem, w oczach hrabiego błysnęło czasem irytujące ją rozbawienie, ale choć ją to kosztowało sporo trudu, nie reagowała. Liczył na to, że ją sprowokuje do wszczęcia kolejnej kłótni, lecz ona odkryła, czym się to dla niej kończy: rozgorączkowaniem, emocjami i wzrostem zażyłości. Będzie uprzejma, a zarazem chłodna, to go powinno zniechęcić.

W ciągu następnych dni ustalił się stały rozkład dnia, choć oczywiście bez wyznaczania sztywno godzin. Pracowali przez cały ranek i kończyli lekcje mniej więcej w porze lunchu. Popołudniami Gideon znikał w gabinecie lub jeździł po majątku, a Francesca i Irene teoretycznie mogły robić, co chciały. W praktyce Francesca spędzała większość czasu, pomagając w przygotowaniach do przyjęcia gości i w rezultacie Irene również włączała się w te działania.

Wprawdzie nie tak intensywnie jak Francesca, ponieważ drobiazgowo ustalanie rozmieszczenia gości i przygotowania dla nich rozmaitych pomieszczeń, rodzaju i liczby dekoracji kwiatowych, menu na poszczególne dni zdecydowanie ją nudziły, a rozmowy o zaletach kandydatek na narzeczone Gideona - irytowały w najwyższym stopniu. Często chroniła się w bibliotece, czytając, lub w swoim pokoju zajmowała się robótką, do czego nie miała wielkiego przekonania, albo pisała list do brata lub którejś ze znajomych.

Z przyjemnością poszłaby na długi spacer, ale po doświadczeniach pierwszego popołudnia spędzonego w Radbourne Park woląla nie ryzykować natknięcia się na Gideona. To na poły dobrowolne uwięzienie zaczęło jej coraz bardziej dokuczać i czwartego dnia zdecydowała się wyjść do ogrodu, co wydało jej się bezpieczne. Hrabia, zajęty prowadzeniem interesów, przebywał w gabinecie albo w majątku. Z pewnością nie spotka go przechadzającego się po ogrodowych ścieżkach. Poza tym za kilka dni mieli przyjechać pierwsi goście, a wtedy - Irene wiedziała to dobrze - rzadko będzie miała okazję cieszyć się samotnością.

Pospiesznie zdjęła słomkowy kapelusz z półki i wymknęła się tylnym wyjściem na taras i do górnego ogrodu. Już idąc ścieżką, włożyła kapelusik i zawiązała wstążki pod brodą. Spacerowała bez celu, tak jak ją ścieżka prowadziła, ciesząc się widokiem jesiennych kwiatów. Przeszła pod obrośniętym bluszczem trejażem, a kiedy spod niego wyszła, chciała skierować się ku prześwitowi między żywopłotem, by ruszyć dalej, ale zamiast tego zatrzymała się w pół kroku.

Naprzeciwko niej przykucnął mały chłopiec, z uwagą obserwując ślimaka wędrującego w poprzek ścieżki. Usłyszawszy, że ktoś się zbliża, obejrzał się wyraźnie przestraszony. Na widok Irene uśmiechnął się i podniósł na nogi.

- Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować - powiedziała uspokajająco Irene.

- Myślałem, że to panna Tynning - poinformował ją ściszym głosem.

Był ładnym, krzepko wyglądającym dzieckiem, mógł mieć około pięciu lat. Gęste pszeniczne włosy, nos upstrzony piegami i te same jasnoniebieskie oczy, jakie miała Teresa - to z pewnością Timothy, doszła do wniosku Irene.

- To moja guwernantka - wyjaśnił. - Ona jest niezadowolona, kiedy się obudzi, a mnie nie ma w pobliżu. Dzisiaj jest tak ładnie, że nie mogłem zostać w domu.

- Zdecydowanie zbyt ładnie na siedzenie w domu - zapewniła go z powagą Irene.

Przyglądał się jej z wyrazem zastanowienia na dziecięcej buzi.

- Ty jesteś ta lady, która przyjechała poślubić Gideona?

- Jestem lady Irene Wyngate. Przyjechałam pomóc jego lordowskiej mości, ale nie zamierzam go poślubić.

- Mama też tak mówi. Że nie. A lady Pencully, że tak. Ludzie zawsze robią to, co każe im lady Pencully.

- To prawda. - Irene uśmiechnęła się z przymusem. - W większości przypadków. Tym razem nie stanie się tak, jak ona sobie życzy.

- To dobrze. Nie chcę, żeby Gideon się żenił. Mama mówi, że wtedy koniec ze mną.

- Koniec z tobą? - powtórzyła machinalnie Irene. - Co to ma znaczyć?

- Nie wiem - odparł, wzruszając ramionami. Po chwili dodał, ścisząc głos:

- Wiesz, ona chyba nie lubi Gideona. - Westchnął ciężko. - Nie lubi, jak z nim jestem. A ja go lubię. - Twarz mu się rozjaśniła. - To mój brat. Nie miałem przedtem brata.

- Bardzo dobrze mieć brata - zgodziła się Irene. - Ja też mam.

- Tak? Tak dużego jak Gideon?

- Nie. Twój brat jest rzeczywiście postawnym mężczyzną.

- Aha. Powiedział, że któregoś dnia ja też będę duży. Bardzo bym chciał.

- Na pewno tak będzie. Twój stryj Jasper też jest bardzo wysoki.

- Tak. - Timothy kiwnął głową, wyraźnie ucieszony. - I jest miły, chociaż nie tak jak Gideon, bo za często ze mną nie rozmawia. Mama nie lubi stryjka Jaspiera. Ale on nie jest zły, prawda?

- Nie znam go zbyt dobrze, jednak nic nie wskazuje na to, że jest zły. Po prostu jest spokojny i zachowuje dystans.

- A Gideon nie. - Timothy uparcie kierował rozmowę na osobę, która wyraźnie go fascynowała. - Podobają mu się rzeczy, które zbieram. Kamienie i

owady. Czasem po południu przychodzi do ogrodu. Dlatego wymykam się, jak panna Tynning zaśnie.

Irene rozejrzała się w popłochu, serce забиło jej mocniej. Do diabła z tym człowiekiem! Czy nie sposób od niego uciec?

- Myślisz, że dzisiaj też się zjawi?

- Nie wiem.

- W takim razie wrócę do domu. Tak żebyś mógł swobodnie porozmawiać z bratem.

- Nie będzie mu przeszkadzało, że jesteś - zapewnił ją Timothy. - On lubi ludzi.

- Naprawdę? - spytała ze zdziwieniem.

- Tak. Rozmawia z ogrodnikami albo stajennymi. Czasem zakradam się do kuchni. Jak on tam jest, to żartuje z kucharzem i lokajami, ale nie z Horroughsem. - Zrobił minę, mającą naśladować zaciętą twarz kamerdynera. - On też go nie lubi.

- Obawiam się, że on nikogo nie lubi.

Timothy zachichotał i zaczął podskakiwać, wyśpiewując:

- Horroughs nikogo nie lubi! Horroughs nikogo nie lubi!

Irene patrzyła z uśmiechem, jak chłopiec błaznuje. Trudno było uwierzyć, że tak żywe dziecko jest synem sztywnej Teresy. Irene miała nadzieję, że wpływ matki nie będzie zbyt silny; ostatecznie nie dał sobie wmówić, że Gideon jest całkiem zły.

Timothy robił trochę hałasu i Irene usłyszała odgłos stąpania po ścieżce dopiero wtedy, gdy rozległ się tuż za jej plecami. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Gideona, wychodzącego spod obrośniętego bluszczem trejażu. Zatrzymał się na jej widok.

- Lady Irene. Zastanawiałem się, z kim Timothy rozmawia.

- Hrabio Radbourne.

Zbyt długo zwlekała. Powinna była odejść natychmiast, gdy Timothy powiedział, że Gideon może się pojawić. Nagle przyszła jej do głowy myśl, że w oczach hrabiego może to wyglądać tak, jakby przyszła specjalnie, aby się z nim zobaczyć. W końcu wiele kobiet podejmowało precyzyjnie obmyślane działania, żeby niby to przypadkiem spotkać interesującego je mężczyznę.

- Wyszłam na przechadzkę i natknęłam się na panicza Timothy'ego - wyjaśniła Irene i natychmiast pożałowała swoich słów, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to tak, jakby się tłumaczyła.

- Powiedziałem jej, że możesz przyjść - wtrącił beztrósco Timothy - i przyszedłeś!

- Tak, i jestem podwójnie zadowolony, bo mogę porozmawiać i z tobą, i z lady Irene - Twarz Gideona rozjaśniła się, gdy spojrzał na chłopca - Co mi dzisiaj pokażesz?

Przykucnął obok Timothy'ego, a ten uszczęśliwiony zaczął wyjmować z kieszeni swoje skarby - kamienie, kawałki marmuru, monetę, zgięty zardzewiały gwóźdź i stary klucz.

- No no, spójrzmy na to - powiedział Gideon przyglądając się wszystkiemu uważnie. Wziął do ręki klucz. - Najwyraźniej nikt go nie używał przez dłuższy czas. Ktoś musiał nieźle się martwić, kiedy go zgubił przed laty.

Timothy skinął głową i zaczął objaśniać, kiedy i gdzie znalazł każdą rzecz, którą uznał za cenną na tyle aby zademonstrować ją Gedeonowi.

Kiedy skończył, przypomniał sobie o ślimaku i zapowiedział, że zaraz go pokaże, niech tylko Gideon się odwróci. Ku niezadowoleniu chłopca okazało się, że stworzenie zdołało już zejść ze ścieżki i zniknąć wśród roślinności.

Irene obserwowała ich obu, zdumiona niezwykłą cierpliwością, z jaką hrabia odnosił się do chłopca, i szczerym uwielbieniem, jakim Timothy go darzył. Nigdy by nie przypuszczała, że Gideon może mieć w sobie tyle łagodności, zwłaszcza po tym, jak kilka dni temu bezwzględnie potraktował lady Odelię. Teraz nie było w nim nic z tamtego autokratycznego mężczyzny.

Słuchał uważnie małego chłopca jak równego sobie. Niemożliwe aby taki człowiek chciał zawrzeć małżeństwo na zimno zupełnie odrzucając emocje i kierując się tylko rozsądkiem.

Gideon odwrócił się i zauważył, że Irene ich obserwuje. Uśmiechnął się i oto miała przed sobą przystojnego mężczyznę, ciepłego, pociągającego, sympatycznego. Nie potrafiła zachować dystansu, musiała odpowiedzieć uśmiechem.

- Bardzo lubię z tobą rozmawiać, Timothy - powiedział, podnosząc się energicznie na nogi - i oglądać skarby, które gromadzisz, ale podejrzewam, że panna Tynning szaleje z niepokojem. Powinienem zaprowadzić cię do niej.

Chłopiec zgodził się natychmiast, bez cienia protestu, i obaj ruszyli ścieżką z powrotem ku domowi. Gideon przystanął przy Irene.

- Czy milady miałyby ochotę nam towarzyszyć?

- Tak, proszę - powiedział Timothy i wziął Irene za rękę. Spojrzał w górę na Gideona i dodał konfidencko: - Polubiłem ją. Nie złażała mnie, że się pobrudziłem. - Pokazał na kolana.

- Lady Irene to prawdziwy skarb w porównaniu z innymi kobietami - zgodził się z nim Gideon.

- I chyba nie lubi Horroughsa - kontynuował Timothy.

Gideon roześmiał się.

- W takim razie może zostać naszą przyjaciółką.

- Wiedziałem, że ją polubisz! - Timothy ze szczęśliwym uśmiechem zwrócił się do Irene: - Zamieszkaż tutaj?

- Jestem tu tylko z wizytą. Zostanę tydzień, najwyżej dwa.

- Aha. - Wyglądał na zawiedzionego.

Doszli do górnego ogrodu i zobaczyli zdenerwowaną kobietę w prostej sukni z brązowej krepy przemierzającą pospiesznie ścieżki i zaglądającą za krzaki. Kiedy ich dostrzegła, zaczęła biec w ich kierunku, wykrzykując:

- Paniczu Timothy! Wreszcie! - Zatrzymała się przed nimi, na poły zła na podopiecznego, na poły onieśmielona widokiem hrabiego Radbourne'a. - Proszę o wybaczenie, milordzie. Przykro mi, że chłopiec sprawił panu kłopot. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

Wyciągnęła rękę i Irene puściła dłoń chłopca uściskawszy ją uspokajająco, chociaż w ogóle nie sprawiał wrażenia przestraszonego pojawieniem się guwernantki.

- Panno Tyning! - Z tarasu dobiegł przenikliwy głos. J

Spojrzeni w tamtą stronę i zobaczyli lady Teresę. Ładną twarz o nieco lalkowatej urodzie wykrzywił grymas. Uniosła lekko spódnicę i zbiegła do nich po schodach.

- Czy znowu straciła go pani z oczu, panno Tyning? - zapytała wysokim, piskliwym głosem stając przy nich. - Nie potrafię zrozumieć, jak to możliwe, że pięcioletni chłopiec może tak łatwo przechytrzyć dorosłą kobietę!

- Przepraszam, milady - powiedziała panna Tyning, dygając z oczami wbitymi w ziemię. - Myślałam, że bawi się w swoim pokoju i... ja...

- Był w ogrodzie - wtrąciła Irene, której żal się zrobiło nieszczęsnej guwernantki. - Nic mu się nie stało.

Teresa spojrzała na nią z oburzeniem.

- A co pani, niezamężna kobieta, może wiedzieć o wychowywaniu dzieci? - spytała, nie kryjąc lekceważenia.

Irene nie było tak łatwo zastraszyć jak pannę Tyning.

- Nie zamierzam deprecjonować głębokiej troski o dziecko, jaką tak oddana matka jak pani z pewnością odczuwa. Musi pani z nim spędzać dużo czasu, dlatego trochę dziwi mnie to, że nie widziałam go do tej pory. - Teresa zachnęła się, ale Irene mówiła dalej, nie dając jej dojść do słowa: - Nawet jeśli rzeczywiście niewiele wiem o wychowywaniu dzieci, nie żywię żadnych wątpliwości, że brata hrabiego Radbourne'a nie może spotkać nic złego w majątku, który należy do hrabiego. Timothy był poza zasięgiem wzroku z domu,

ale nie poza zasięgiem głosu, poza tym mogłabym się założyć, że wokół pracują ogrodnicy, którzy w każdej chwili przyszliby mu z pomocą. Zresztą nawet w tym krótkim czasie, gdy był tutaj, ja i hrabia Radbourne natknęliśmy się na niego. Dlatego naprawdę sędzę, że nie groziło mu niebezpieczeństwo.

Lady Teresa, nie patrząc na syna i guwernantkę, powiedziała ostro:

- Panno Tynning, proszę zabrać Timothy'ego do domu. Natychmiast. Później z wami porozmawiam.

- Słucham, milady. - Guwernantka dygnęła i poszła w kierunku tarasu, prowadząc chłopca.

Timothy odwrócił się i pomachał do nich żywiłowo. Irene skryła uśmiech, ale Gideon, nie krępując się, pomachał bratu w odpowiedzi.

- Trzymaj się z daleka od mojego syna! - powiedziała rozkazująco Teresa do Gideona.

- Słucham? - Hrabia spojrzał na nią pustym, nierozumiejącym wzrokiem.

- Słyszałaś, co powiedziałam. Nie ma żadnego powodu, żebyś przebywał w jego pobliżu.

- Jest moim bratem - przypomniał jej Gideon.

- Nie ty się nim opiekujesz! - odcięła się Teresa.

Gideon uniósł lekko brwi, zdziwiony gwałtowną reakcją, ale się nie odezwał. Teresa nie zamierzała na tym poprzestać.

- Prowokujesz go do złego zachowania. Nie uciekał tak często pannie Tynning, zanim się tu zjawiłaś.

- Wie, że często o tej porze po południu spaceruję - przyznał Gideon. - Prawdopodobnie ma nadzieję, że mnie zastanie. Gdybyśmy ustalili jakąś godzinę, kiedy ja i on moglibyśmy razem się przejść, może przestałby uciekać, a ty nie martwiłabyś się, że grozi mu niebezpieczeństwo. Tak by było najlepiej dla niego.

- Ja decyduję o tym, co dla niego dobre - ucięła Teresa.

Irene pomyślała, że Teresa sprawia wrażenie jeszcze bardziej rozzłoszczonej niż przedtem, chociaż propozycja Gideona wydawała się rozsądna, a nawet szlachetna. Niewielu mężczyzn byłoby skłonnych zająć się pięcioletnim żywym chłopcem nawet przez kilka minut. Już chciała wyrazić opinię na ten temat, ale powstrzymała się, pomyślawszy, że to tylko rozdrażniłoby Teresę i z pewnością nie przysłużyło się Gideonowi i Timothy'emu.

- Myślisz, że pozwoliłabym mojemu synowi spędzać czas z tobą? - Teresa mówiła podniesionym głosem. - Sądysz, że chciałabym, by nabrał akcentu z przedmieść Londynu albo manier ulicznika?

Irene wciągnęła gwałtownie powietrze i spojrzała na hrabiego. Z kamienną twarzą i zaciśniętymi ustami wpatrywał się przez chwilę w Teresę, a potem powiedział:

- Obawiam się, że jesteś nadmiernie rozjątrzona, milady. Bez wątpienia troska o syna skłania cię do mówienia rzeczy, których potem będziesz żałować. Proponuję, abyśmy oboje zapomnieli o tej rozmowie. - Skłonił lekko głowę. - Z pewnością chciałabyś wrócić teraz do pokoju dziecięcego, aby zająć się synem. - Odwrócił się do Irene, podając jej ramię. - Czy moglibyśmy kontynuować spacer?

- Ależ oczywiście.

Położyła dłoń na jego ramieniu i oboje odeszli. Po chwili zerknęła na Gideona. Nadal miał nieruchomą, jakby zastygłą twarz.

- Nie przejmowałabym się tym, co powiedziała lady Radbourne - orzekła. - Jest głupia.

- Nie ma co przeczyć - zgodził się.

- Bardzo mi przykro...

- Dlaczego? To nie twoja wina.

- Wiem, ale i tak mi przykro, że była taka... nieuprzejma.

- Miałem do czynienia z gorszymi niż Teresa, wierz mi. Poza tym ona jedyna jest na tyle bezczelna albo głupia, żeby powiedzieć mi w oczy to, co myślą o mnie krewni.

- Nie, jestem pewna, że tak nie myślą - zaprotestowała Irene. - Zresztą nie masz akcentu z przedmieść Londynu, a co do manier... Może nie są tak doskonale jak niektórych dżentelmenów, ale znam wielu, którzy bynajmniej nie są wzorem do naśladowania.

- Czy próbujesz polepszyć mi samopoczucie? - zapytał, rozchmurzając się.

- Po prostu mówię prawdę - oświadczyła, zadzierając podbródek.

- Prawda jest taka, że byłem ulicznikiem.

- Ale stałeś się kimś więcej. - Nie zamierzała zostawić mu ostatniego słowa. - O ile dobrze pamiętam, jeszcze zanim księżę Rochford cię odszukał, nieźle sobie radziłeś.

- Zarobiłem sporo pieniędzy - przyznał, patrząc na nią z ciekawością.

- Już samo to jest godne podziwu. - Nie dawała za wygraną. - Udało ci się wydostać z matni, wyzwolić się od tego człowieka, o którym mi opowiadałeś...

- Jacka Sparksa.

- Przestałeś kraść... - Urwała, a po chwili zapytała z troską w głosie: - Przestałeś, tak?

Roześmiał się.

- Tak. Nie musisz się obawiać, że policjanci uganiają się za mną, aby wtrącić mnie do więzienia. Prowadzę legalne interesy. Nie zawsze tak było, ale już lata temu zdołałem wyczyścić swoje sprawy. Nie uśmiechało mi się skończyć na szubienicy.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, aż wreszcie Irene zapytała:

- Jak tego dokonałeś?

- Jak przestałem kraść, o to ci chodzi? - Był wyraźnie zdziwiony. - Naprawdę cię to interesuje?

- Przypuszczam, że to dość niezwykła opowieść.

- Nie dla mojej rodziny. Nie zachęcają mnie, bym opowiadał o swojej przeszłości, przeciwnie, robią wszystko, żeby uniknąć najlżejszej wzmianki na ten temat.

- Mnie to interesuje. Wydaje mi się, że wymagało to sporo odwagi oraz inteligencji.

- Myślę, że raczej uratował mnie zdrowy odruch egoizmu niż odwaga czy inteligencja. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego wykonuję całą czarną robotę, a potem oddaję wszystkie pieniądze Jackowi. Dlaczego godzę się na resztki, które mi łaskawie wydziela? Zdecydowałem, że nie będę przekazywał wszystkich pieniędzy ukradzionych ludziom, część przed nim ukryję. Zdobyłem gdzieś igłę i nitkę i uszyłem sobie sekretną kieszeń w spodniach, do której wkładałem część łupu z każdej ukradzonej portmonetki. Parę razy dostałem baty za to, że nie przynoszę mu tyle, ile oczekiwał, ale uznałem, że warto zapłacić tę cenę. Potem urosłem już na tyle, że nie dawałem się bić.

Umilkł i Irene myślała, że Gideon nie powie niczego więcej, ale po chwili odezwał się znowu.

- Po jakimś czasie zacząłem działać na własną rękę.

- Jako złodziej?

- Nie, przestałem się nadawać do tego fachu. Zrobiłem się za duży, żeby wtopić się w tłum albo niezauważenie wśliznąć przez okno. Zająłem się czymś, co może nie do końca było uczciwe, ale już nie złodziejstwem... Byłem silny i umiałem się bić. Zacząłem wynajmować się do ochrony ludzi.

- Ochrony ludzi? Jakich ludzi?

- Zawsze są tacy, którzy żyją na krawędzi. Mają wrogów, ale nie mogą zwrócić się z tym do władz. Potrzebują kogoś, na kim mogliby polegać, kto uchroniłby ich przed kradzieżą ich majątku, pobiciem, śmiercią. Jeśli trafią na kogoś, kto wywiązuje się ze swoich obowiązków, są skłonni sporo zapłacić. To trwało, dopóki byłem młody, nie poznałem lepiej świata i nie odkryłem, że istnieje łatwiejszy sposób zarabiania pieniędzy.

- Jak do tego doszedłeś?

- Uczyłem się od mężczyzn, których ochraniałem. Obserwowałem, jak robią pieniądze i jak inni na nich zarabiają. Śledziłem, jak ten mechanizm działa i jak ci, którzy znaleźli się na górze, używają do zdobywania pieniędzy mózgu, a nie siły mięśni. A także w jaki sposób działa się legalnie. Interesowało mnie to głównie z tego powodu, że wówczas nie kończy się w więzieniu albo dyndając na stryczku.

- W jaki sposób udało ci się przejść od nielegalnych interesów do legalnych?

- Stopniowo. Odkładałem większość tego, co zarobiłem. Nie chciałem żyć jak większość chłopaków wydających wszystko na dżin, rozrywki i kobiety. Żyłem skromnie. Moim ostatnim pracodawcą był właściciel gospód i domów gry, wdawał się też w podejrzane interesy. Spędzałem z nim mnóstwo czasu i w jednym z jego domów gry poznałem człowieka, który dla niego pracował. A potem, tak się złożyło, że uchroniłem go przed podejrzeniem gardła przez niezadowolonego klienta.

- Chyba jednak kryło się za tym coś więcej niż niezadowolenie.

- Był znanym awanturnikiem i zarazem należącym do socjety dżentelmenem.

- Muszę zaprotestować, na pewno nie dżentelmenem - stwierdziła Irene.

- Przegrał wszystkie pieniądze i miał o to pretensję do Piersa.

- Piersa? Tego, którego zaprosiłeś?

- Tak, poszcęściło mu się w grze i wygrał. Zagadnij go o to, będzie uszczęśliwiony, że może pokazać ci bliźnę. Ponad cal, o tutaj. - Gideon pokazał na swoją szyję. - Ten człowiek miał laskę z ukrytym ostrzem. Począł, aż Piers wyjdzie, odkręcił laskę i pokazało się ostrze. Piers był zwinny i szybki, zdołał unieść rękę i wytrącić tamtemu z dłoni śmiertelne narzędzie, ale stracił równowagę, bo było mokro i ślisko. Upadł na bruk i prawdopodobnie

zakończyłby życie, gdybym akurat nie nadszedł. Widząc, co się święci, wyrwałem napastnikowi laskę i przegoniłem go.

- Mówisz, jakby to była drobnostka.

- W przeciwieństwie do mnie nie miał wielkiego doświadczenia w walce, a to, że uzbroił się w laskę, niczego nie zmieniło. Po tym wydarzeniu zaprzyjaźniliśmy się z Piersem i zaczęliśmy razem robić interesy. Pożyczka od mojego pracodawcy i pieniądze, które udało mi się zaoszczędzić, wystarczyły na kupno niewielkiego lokalu. Założyłem dom gry. Piers go prowadził. Pracował dla mnie także inny znajomy. Odnieśliśmy sukces.

- Czy wtedy spotkałeś mojego ojca? - zapytała Irene.

Skinął głową i rzucił na nią ukradkowe spojrzenie.

- Tak, lord Wyngate był stałym klientem... przynajmniej na początku.

- Czyli do czasu, gdy go wyrzuciłeś?

- Tak.

- Nie było to trochę ryzykowne? Z pewnością on i jego przyjaciele należeli do tych klientów, którzy zostawiali najwięcej pieniędzy.

- Ważniejsze dla mnie były stabilizacja i sprawowanie całkowitej kontroli. Nie zamierzałem pozwolić, by ktoś inny niż ja ustalał reguły. Ani też aby jakiś szlachetnie urodzony... ktokolwiek zresztą, napastował moich pracowników. - Wzruszył ramionami. - Zresztą to mi nie zaszkodziło. Pewnie straciłem paru klientów, ale moja polityka przyciągnęła innych, którzy chcieli mieć pewność, że nikt nie będzie wszczynał burd ani nie będą musieli uczestniczyć w gorszących scenach, co było bólem wielu domów gry. Jak się okazało, ten rodzaj klientów miał znacznie lepiej wypchane portfele niż Wyngate, Haughston i ich przyjaciele.

- Znałeś także męża Franceski?

- Na tyle, by przypuszczać, że lepiej jej się żyje jako wdowie.

- Pewnie masz rację.

Spacerowali dalej w milczeniu. Irene miała świadomość, że jest ono znaczące.

- Dziwne, prawda? - odezwał się Gideon z namysłem. - Nie udaje jej się zrobić dla siebie tego, co z takim powodzeniem czyni dla innych.

- Zapewne łatwiej widzieć rzeczy jasno, jeśli nie jest się osobiście zaangażowanym - zasugerowała Irene.

- Albo wyciągnęła wnioski po błędnym kroku. Uważam, że kobiety zbyt rzadko wykorzystują możliwość zabezpieczenia swoich finansów, gdy wychodzą za mąż.

- Prawdopodobnie dają się zwieść pozorom i słodkim słówkom. Tak było z moją matką. Być może z Francescą podobnie. Lord Haughston był przystojnym mężczyzną. Namiętność może zaślepić tak, że nie dba się o własne dobro.

Rzuciła na Gideona szybkie spojrzenie, myśląc o tym, jak pożądanie popycha ją do zejścia z raz obranej drogi, do popełnienia błędu, którego przysięgła sobie nigdy nie zrobić. Podchwycił jej wzrok i uśmiechnął się lekko. Przystanął i zwróciwszy się do niej twarzą, ujął jej dłoń.

- Pożądanie nie musi prowadzić do popełnienia błędu - powiedział łagodnie. - Można podejmować mądre decyzje i nie rezygnować z podążania za swoimi pragnieniami.

- Nie jestem pewna, czy w takich okolicznościach można zachować jasność osądu - oświadczyła Irene. - Uczucia i hm... - Odchrząknęła i uciekła wzrokiem, widząc, że trudno jej formułować myśli, gdy wpatruje się w jego oczy. - Emocje utrudniają myślenie, kierowanie się własnym sądem.

Gideon uniósł jej dłoń i przycisnął do swego policzka.

- Irene... myślę, że twoje emocje pokazują ci bardzo jasno, jakie może być małżeństwo. Wystarczy, żebyś w to uwierzyła.

Odwrócił jej dłoń i ucałował delikatnie, ledwie muskając ustami, jej wnętrze. Irene poczuła, jak rozkoszny dreszcz rozlewa się po całym jej ciele.

Spojrzała na pochyloną nad jej ręką głowę Gideona. Gęste czarne rzęsy rzuciły cień na policzki.

Czy od początku uważała, że jest aż tak przystojny? Czy kiedy go poznała, inni mężczyźni zaczęli wydawać się jej bezbarwni, tak jak teraz? Nie pamiętała, by jakiś dżentelmen potrafił na tak długo uwięzić jej wzrok ani by na czyjś uśmiech tak wyczekiwała. Odkąd jej serce zaczęło bić jak szalone na widok Gideona?

Pomyślała o tym, jak starała się trzymać od niego z daleka przez ostatnie dni, mając nadzieję, że dzięki temu nie dojdzie między nimi do wymiany pocałunków. I po tych wszystkich dniach, po tym wytężonym unikaniu Gideona, wystarczył uśmiech, pocałunek w rękę, a kolana jej zmiękły i znów czuła to na poły przyjemne, na poły bolesne gorąco.

Przerażająca była myśl, że tak łatwo traci kontrolę nad sobą, iż tak bez wysiłku, jakby mimochodem ktoś zyskuje na nią wielki wpływ. Że chłód i rezerwa topnieją jak lód pod promieniami słońca. A z drugiej strony...

Z drugiej strony, czy to nie do przyjęcia mieć męża, który potrafi wzbudzić takie uczucia? Czy takie kobiety jak matka albo Francesca były nierozsądne, jak zawsze uważała, poślubiając mężczyzn, którzy sprawiali, że potem przyszło im żałować? Czy była to dodatkowa korzyść z kontraktu małżeńskiego - odrobina przyjemności w całym tym pragmatycznym przedsięwzięciu, jakim było małżeństwo?

Gideon podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Zastanawiała się, czy mógł odgadnąć, co jej chodziło po głowie. Tego, że zorientował się, jak bardzo wyprowadził ją z równowagi, była pewna - w jego oczach dojrzała błysk satysfakcji.

Przysunął się bliżej, uniósł jej rękę i znów przyłożył ją sobie do policzka. Poczowała ciepło jego skóry, jej gładkość i zaczynający odrastać zarost. Wyobraziła sobie, że przytula policzek do jej twarzy, szuka wargami jej ust.

Przypomniała sobie, jak błędził dłońmi po jej ciele po ich pierwszej lekcji tańca. Jej piersi naprężyły się, brodawki boleśnie stwardniały.

- Myślisz, że udało ci się mnie zwieść przez te ostatnie dni? - spytał. - Że widzę tylko skromną, prostą suknię? Że nie pamiętam, jakie gęste i miękkie są twoje włosy, jak loki układają się wokół twarzy? Co z tego, że patrzę na ubranie guwernantki, na włosy ujarzmione ciasnym węzłem? - Pochylił się nad nią, czuła jego oddech na swoich włosach. - Znam cię, Irene - mówił dalekim, gardłowym głosem. - Całowałem cię, trzymałem w ramionach. Czułem, jak budzi się w tobie namiętność.

Uniósł delikatnie jej podbródek, tak że musiała spojrzeć mu w oczy. Oddychała płytko, niezdolna nic powiedzieć ani się poruszyć. Zaraz ją pocałuje, weźmie w ramiona. A ona znowu nie zdoła się sprzeciwić. Zadrżała lekko, zarazem przestraszona i podniecona, niepewna siebie.

Przez dłuższy czas Gideon patrzył na Irene. Kiedy w końcu się poruszył, nie zagarnął jej ust w zaborczym pocałunku - pochylił głowę i przelotnie musnął jej wargi.

- Nie broń nam obojgu tego, co moglibyśmy mieć - wyszeptał i pocałował ją delikatnie. Przyłgnęła do niego, a on uniósł głowę. - Przemyśl to dokładnie, zanim podejmiesz decyzję, milady.

Przeciągnął kciukiem po jej dolnej wardze, a potem odwrócił się i odszedł szybko, stawiając wielkie kroki, jakby uciekał.

Irene patrzyła za nim, pobudzona i niepewna.

Rozdział dwunasty

Irene nie mogłaby powiedzieć, jak długo stała oszołomiona, próbując uporać się z emocjami. W końcu odwróciła się i ruszyła ścieżką z powrotem w kierunku domu. Szła wolno, rozmyślała o Timothy i Gideonie, o kolejnej potyczce z Teresą, analizowała własne uczucia, dowodziła samej sobie, że jej

poglądy na małżeństwo są słuszne... Obrazy i myśli plątały się, aż w końcu poczuła, że ma w głowie kompletny zamęt.

Żałowała, że nie zna nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać. Bała się zwrócić do matki lub Franceski. Lady Claire z pewnością nalegałaby na poślubienie Radbourne'a, co do Franceski - Irene spodziewała się tego samego, choć ta ostatnia użyłaby bez wątpienia bardziej subtelnych i wyrafinowanych argumentów.

Irene rzadko czuła się zmieszana i niepewna, toteż teraz nie umiała sobie poradzić z tymi uczuciami. Wyglądało to tak, jakby nie było już dawnej Irene, szybko podejmującej decyzje i pewnej swoich wyborów. Umyła się i przebrała do kolacji, słuchając jednym uchem przyjaznej paplaniny pokojówki. Dopiero gdy dziewczyna wyszła, Irene zdała sobie sprawę z tego, że wybrała na dzisiejszy wieczór jedną z nowych sukni, w której znacznie lepiej wyglądała, i poleciła ułożyć sobie włosy w bardziej swobodnym stylu.

Siedziała jeszcze chwilę przed lustrem, zastanawiając się, czy nie wezwać pokojówki i nie przebrać się w coś skromniejszego, ale szybko uznała, że byłoby to jeszcze głupsze, i wyszła z pokoju.

W małym prywatnym saloniku, gdzie gromadzono się przed udaniem do jadalni, ku swemu zdziwieniu zastała Francescę, która zwykle zjawiała się jako ostatnia. Tym razem była tutaj razem z lady Odelią i lady Pansy, które zawsze przychodziły pierwsze. Siedziała koło okna, w pewnym oddaleniu od sióstr, zajmujących wyściełaną czerwonym aksamitem kanapę, i sprawiała wrażenie osoby pogrążonej w myślach.

Irene podeszła do niej i zajęła miejsce na stojącym obok krześle. Przyjaciółka spojrzała na nią i się uśmiechnęła.

- Jesteś... Właśnie zastanawiałam się, gdzie posadzić hrabiny Salisbridge. Dopiero co dowiedziałam się, że jest w stanie wojny z panią Ferrington, która miała czelność włożyć taką samą suknię.

- Ojej! To naprawdę poważna sprawa...

- Sama widzisz. Tym poważniejsza, że suknia wyglądała o niebo lepiej na pani Ferrington niż na jej lordowskiej mości. Doniesiono mi o tym w liście, który dzisiaj otrzymałam, i mówiąc poważnie, szczerze żałuję, że zaprosiłam jednocześnie pannę Ferrington i obie córki hrabiny Salisbridge.

- Jestem pewna, że rozwiążesz ten problem w taki czy inny sposób.

- Pewnie tak. Wolałabym, aby obyło się bez publicznej scysji.

- Zdziwiłam się, że zesłaś tak wcześnie.

- To wszystko przez ciebie. Musiałam się salwować ucieczką z salonu i nie miałam potem nic lepszego do roboty, jak ubrać się i zejść na kolację.

- A jak ja to sprawiłam?

- Młodsza hrabina Radbourne opowiadała mi z najdrobniejszymi szczegółami, jak ocalała z twoich szponów Timothy'ego. Podobno ty i hrabia psujecie jej syna.

Irene się skrzywiła.

- Obraziła w potworny sposób Gi... Radbourne'a. Podejrzewam, że toleruje ją tylko ze względu na syna. Uwielbia Timothy'ego. Chłopczyk jest tak żywy i tak chwyta za serce, że aż trudno uwierzyć, iż to syn lady Teresy.

- Nie widziałam go, ale musi być miły, skoro nie poddał się całkiem wpływowi Teresy.

- Pomyśleć, że powinna być zadowolona, iż jakiś mężczyzna spędza z nim czas, gdy zabrakło ojca. Myślę, że to z korzyścią dla chłopca kontaktować się z mężczyzną, którego podziwia. Tymczasem lady Teresa oświadczyła, że nie życzy sobie, aby jej syn nabrał akcentu z londyńskich przedmieść i manier ulicznika.

- Lady Teresa jest głupia - powiedziała rzeczowym tonem Francesca. - Przysięgłabym, że nie troszczy się o syna. Nie wiem, czy znam drugą kobietę tak pozbawioną macierzyńskich uczuć. Lady Odelia jest pewna, że zdecydowała się na dziecko tylko dlatego, by po śmierci Cecila zyskać pozycję matki przyszłego hrabiego Radbourne'a. - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Dałabym

wiele, żeby zobaczyć jej minę, gdy Rochford ogłosił, że odnalazł prawowitego spadkobiercę.

Irene przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyła z Gideonem pierwszego wieczoru w Radbourne Park.

- Francesco...

- Tak? - Przyjaciółka spojrzała uważnie na Irene, zaciekawiona poważnym tonem jej głosu.

- Tak się zastanawiałam... Czy to nie jest trochę dziwne, że rodzina nie mogła natrafić na ślad hrabiego przez tyle lat, a księżę odnalazł go w kilka miesięcy?

- Co sugerujesz?

- Właściwie nie wiem, ale pierwszego wieczoru, kiedy tu przyjechałyśmy, Radbourne sam podkreślił, z jaką łatwością odszukał go Rochford, i zastanawiał się, dlaczego ojcu sprawiło to taką trudność. Nic nie poradzę, ale mnie też to zastanawia.

- Zrozumiałabyś, gdybyś знаła Rochforda - zapewniła ją Francesca. - Taki już jest. Nigdy nie spotkałam bardziej irytującego mężczyzny. Zawsze ma rację.

- Oczy Franceski zabłyśły, zacisnęła lekko usta. - Będzie jedynym w całym towarzystwie, który pomyśli o zabraniu parasola na przechadzkę, nic nie robiąc sobie z uwagi, że dzień jest słoneczny. I co? Zacznie padać. Albo szukasz książki czy kolczyka całymi dniami, zagładasz wszędzie gdzie można, a on przychodzi, siada na sofie, sięga między poduszki i mówi: „Och, zobacz, ktoś tu zgubił kolczyk”. Jest w najwyższym stopniu denerwująco niezawodny.

- Aha.

- Poza tym jest bez reszty skoncentrowany na osiągnięciu celu i beznadziejnie uparty - kontynuowała Francesca, wyraźnie rozemocjonowana tematem. - Będzie drażył sprawę, kiedy inni, znacznie od niego rozsądniejsi, już dawno się poddadzą.

- Rozumiem. Przepraszam cię, ale sądziłam, że księżę i ty jesteście przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? - powtórzyła z ironią Francesca. - Nie sądzę, by to słowo dobrze określało... cokolwiek, co nas łączy. - Zamilkła, a po chwili dodała z namysłem: - Chyba można nas nazwać dobrymi znajomymi... długoletnimi dobrymi znajomymi.

Coś się za tym kryje, pomyślała Irene, ale zbyt była zajęta swoimi sprawami, by akurat teraz się nad tym zastanawiać.

- Czy jednak nie wydaje ci się dziwne, że Gideona odnaleziono dopiero teraz? Jeśli nawet księżę jest tak konsekwentnie działającym człowiekiem, to przecież ojciec Gideona powinien go szukać równie uparcie, przynajmniej tak jak... no właśnie, kto? Kuzyn?

- Tak. Rzeczywiście - przyznała Francesca. - Być może gdy Radbourne był dzieckiem, ktoś go ukrywał, żeby się nie odnalazł. Kiedy dorósł, trudno było go chować. Pamiętaj też, że stał się przedsiębiorcą, więc z pewnością łatwiej było go odszukać. - Umilkła, ale po chwili dodała: - Czy hrabia sądzi, że... ojciec go nie szukał?

- Nie jestem pewna - odparła Irene. - Wydaje się to nieprawdopodobne, ale myślałam o tym sporo, od kiedy o tym wspomniał, i doszłam do wniosku, że w tej historii jest sporo niejasności.

- Niejasności? - Zdziwiona Francesca przysunęła się bliżej. - Jakich niejasności?

- Czemu porywacze zabrali ich oboje? Z dzieckiem łatwiej sobie poradzić. Mniej rzuca się w oczy. Dziecko i kobietę trudniej kontrolować i ukryć. Poza tym matka zawsze zrobi wszystko, by ocalić dziecko, prawda?

- Owszem, ale mogło być też tak, że mieli szansę wykraść dziecko tylko wówczas, gdy przebywało z matką. Był wtedy mały, spędzał czas z niańką lub z matką. Mogli także zakładać, że za oboje dostaną większy okup.

- Żądali okupu za oboje? - spytała Irene.

- Nie mam pojęcia. Przecież nigdy o to nie pytałam.

- A co stało się z jego matką? Chłopca pozostawiono samemu sobie. Jak się domyślam, wypuszczono go w takim miejscu, by nie wiedział, dokąd iść. Nie musiał przecież pamiętać rodzinnego domu ani umieć powiedzieć, skąd pochodzi czy kim jest jego ojciec. A nawet gdyby, ludzie mogliby uznać, że to wymyśli malca. Natomiast z matką to przecież inna sprawa.

- Może wcale nie puszczono go wolno. Może zatrzymali go i wychowywali.

Irene namyślała się chwilę. Nawet jeśli założyć, że Jack Spars, u którego Gideon przebywał, porwał go, nie wyjaśniało to wszystkiego.

- W takim razie co z jego matką?

- Mogli ją zamordować - odparła Francesca.

- A dlaczego nie oddali Gideona, gdy ojciec zapłacił okup? Wszyscy przypuszczali, że zabili chłopca, i dlatego nie wrócił do domu. Jak się okazuje, niesłusznie.

- Kogo oddali? O czym wy, dziewczęta, rozmawiacie? - Głos lady Odellii rozbrzmiał donośnie z drugiego końca saloniku.

- Och... - Francesca spojrzała na nią z lekką obawą. - O niczym.

- O niczym? - Lady Odelia uniosła sceptycznie jedną brew. - Jak można rozmawiać o niczym?

- Dyskutowaliśmy o porwaniu hrabiego Radbourne'a - wyjaśniła Irene. - Lady Haughston nie chciała pani zdenerwować.

Lady Pansy aż się zatchnęła, ale lady Odelia odchrząknęła tylko i powiedziała:

- Ty najwyraźniej nie masz takich skrupułów.

- Sądzę, że jeśli ktoś dopytuje się, czego dotyczyła rozmowa, musi być przygotowany na to, że zostanie mu wyjawiony jej przedmiot - odparła z niezmaconym spokojem Irene.

Oczy starej damy rozbłysły rozbawieniem.

- Aha. Zuchwała i arogancka, co?
- Z całą pewnością - wtrąciła Teresa.

Irene, rozmawiając z Francescą, nie zauważyła, kiedy weszła młodsza lady Radbourne. Przemierzyła salonik i usiadła na czerwonej kanapie, jakby chciała zademonstrować, że pragnie się znaleźć jak najdalej od Irene i Franceski. Spojrzała na Irene z pogardą i dodała:

- Odkryłam także, że lady Irene w niepokojąco wścibski sposób interesuje się sprawami innych.

Lady Claire, która właśnie się zjawiała i usłyszała ostatnią kwestię, zarumieniła się i pospieszyła z przeprosinami:

- Przepraszam, lady Odelio, obawiam się, że Irene zachowuje się czasami zbyt bezceremonialnie.

- Nie ma powodu do niepokoju, lady Claire - odrzekła stara dama. - Niech pani tym się nie martwi. Zawsze uważałam, że lepiej być bezceremonialną niż nudziarą, która nigdy nie odważy się wypowiedzieć żadnej opinii szczerze. Nie widzę nic złego w zdrowych odruchach ciekawości. - Spojrzała znacząco na Teresę, a potem zwróciła się do Irene: - Co mówiłaś o porwaniu?

- Wszyscy o tym słyszeli, ale ja nie znam szczegółów. Być może dlatego niektóre okoliczności wydają mi się zagadkowe.

- Doprawdy?

- Po pierwsze, czy to nie dziwne, że książe Rochford, choć oczywiście jest wyjątkowo skutecznie działającym człowiekiem, odnalazł hrabiego bez większego trudu, a nikomu przed nim to się nie udało?

Oczy Pansy rozszerzyły się, a lady Odelia, w ogóle nie okazując zdziwienia, skinęła głową.

- Ach, więc Gideon się nad tym zastanawia? Wszystko wskazuje na to, że Cecil rzeczywiście nie mógł niczego się dowiedzieć. Nie było mnie tutaj wtedy i nie orientuję się dokładnie, jakie kroki przedsięwzięto, aby odszukać Gideona i jego matkę. Nie mogłam przyjechać, choć Pansy mnie błagała, ponieważ moja

młodsza córka akurat była w połogu. - Lady Odelia rozejrzała się po obecnych - Najlepiej niech Pansy ci o tym opowie. Tylko ona tutaj wówczas była. To się zdarzyło na długo przed tym, nim ty się zjawiłaś, Tereso.

- Tak się jednak składa, że byłam tutaj, lady Odelio - sprostowała Teresa. Ponieważ wszystkie spojrzały na nią ze zdziwieniem, dodała: - Nie w Radbourne Park, oczywiście, ale moja rodzina mieszka zaledwie o kilka mil stąd. Pamiętam to zamieszanie, choć naturalnie byłam bardzo młoda, jeszcze przed debiutem. Miałam... och, na pewno mniej niż piętnaście lat. Przez całe miesiące toczono rozmowy o tym porwaniu. Nie znam szczegółów, bo nikt co zrozumiałe, nie mówił otwarcie przy młodej panie o takich sprawach, niemniej do moich uszu dobiegły strzępy rozmów, podsłuchałam też kilka plotek.

- Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Cecil źle prowadził śledztwo - powiedziała lady Odelia. - Należał do ludzi, którzy działają pod wpływem gniewu. Często go zaślepiał.

- Odelio! - wykrzyknęła jej siostra z oburzeniem, niezwykle jak na nią głośno. - Jak możesz coś podobnego twierdzić? Cecil zrobił, co mógł. Kazał przecież Owenby'emu jeździć po całej okolicy. Trudno spodziewać się, że ktoś natrafi na ślad przestępców, skoro nie ma pojęcia, kim są ani dokąd mogli się udać.

- W jaki sposób porwano Gideona i jego matkę? - spytała Irene.

- W jaki sposób? - Pansy spojrzała na nią ze zdziwieniem. - Co masz na myśli?

- Czy wykradziono ich z domu? Czy uprowadzono, gdy spacerowali?

- Ja... hm... nie jestem pewna. To już tak dawno... - Spojrzała na swoje dłonie, splecione na podołku. - Wszystko było takie okropne! Biedny Cecil był kompletnie wytrącony z równowagi.

Lady Odelia parsknęła nieelegancko.

- Wyobrażam sobie! Pewnie miotał się po domu, wrzeszcząc i ciskając przedmiotami, zamiast zrobić coś, co rzeczywiście przyniosłoby rezultat.

- Odelio!

- Jestem pewna, że ze wszystkich osób on był najbardziej zdenerwowany - wtrąciła Francesca.

- Pani nie pamięta, czy lady Radbourne i jej syn przebywali wtedy w domu czy na zewnątrz? - ponowiła pytanie Irene.

- Na zewnątrz - odparła Pansy. - Tak, to musiało się wydarzyć poza domem. Nikt nie zdołałby tutaj wtargnąć i zabrać ich tak po prostu. Byli w ogrodzie... Tak, właśnie, w ogrodzie.

- Czy nikt nie widział, jak to się stało? - drążyła Irene.

- Nie. Byli całkiem sami. Porywacze zjawili się jak duchy.

- W takim razie, jak pani odkryła, co się wydarzyło?

- Jak? Cecil mi powiedział.

- A jak on się dowiedział? Przesłali wiadomość?

- Och, tak właśnie tak. Powiedział, że przysłali mu list z żądaniem rubinów Bankesów za uwolnienie syna i Seleny. Chodziło o piękny naszyjnik подарowany rodzinie przez królową Elżbietę, a zdobyty na Hiszpanach.

Umilkła i po chwili lady Odelia ponagliła ją niecierpliwie:

- Mów dalej, Pansy. Co potem? Co zrobił z naszyjnikiem?

- Dał go Owenby'emu. Nie wiem, czy go pamiętasz był lokajem Cecila, służył mu od czasu, gdy Cecil stał się młodzieńcem. Owenby cieszył się jego całkowitym zaufaniem.

- Czyli Cecil nie podejrzewał, że tamten zachowa naszyjnik dla siebie, zamiast przekazać go porywaczom? - zapytała lady Odelia.

- Ależ nie! Oczywiście, że nie! - zaprotestowała z oburzeniem Pansy. - Owenby nigdy nie zrobiłby niczego, co mogłoby zaszkodzić Cecilowi. Wziął naszyjnik i dał im go, ale Gideon nie wrócił.

- Ani lady Radbourne - dodała Irene.

- Tak.

- Czy to oznacza, że lokaj spotkał się z porywaczami twarzą w twarz? - spytała Irene. - Przecież mógł ich potem rozpoznać.

- Jak to? Ach nie, skądże. On chyba zostawił ten naszyjnik... gdzieś... a oni mieli oddać Gideona, ale tego nie zrobili. Chłopiec miał być pod starym dębem, tym ogromnym, przy drodze do miasteczka. Owenby zostawił naszyjnik i poszedł do dębu, ale Gideona tam nie było. Odczekał, a kiedy chłopiec się nie zjawiał, wrócił w to miejsce, gdzie zostawił naszyjnik, ale już go zabrali.

- Co wtedy zrobił hrabia Radbourne? - zapytała z zaciekawieniem Francesca.

- Wysłał Owenby'ego na poszukiwania. Jeździł wszędzie. Do Liverpoolu i Southampton, po wszystkich portach.

- Portach? - powtórzyła zdumiona Irene. - Myślał, że porywacze wywieźli ich z kraju?

Starsza hrabina Radbourne zamrugła powiekami, na delikatnej twarzy pojawiły się rumieńce.

- Ja... ja nie wiem, nie jestem pewna... Ale ich nie wywieźli, prawda? - Rozejrzała się dookoła, jakby szukała odpowiedzi na ścianach pokoju.

- Pansy - powiedziała jej siostra, wbijając w nią surowe spojrzenie - przestań mówić jak osoba pozbawiona rozumu. Dokąd jeszcze Cecil posłał Owenby'ego?

- Wiem, że pojechał do Londynu, ale nie trafił na ich ślad, nikt ich nigdzie nie widział - odrzekła niezdecydowanie Pansy.

- To wszystko, co pamiętasz? - zapytała lady Odelia.

- Przecież to było dawno! - zaperzyła się lady Pansy. - I wszyscy przeżywaliśmy ciężkie chwile, a moja pamięć nie jest już najlepsza.

- Zdaje mi się, że warto byłoby porozmawiać z Owenbym - zauważyła Irene. - Czy on jeszcze żyje?

Pansy spojrzała na nią ze zgrozą.

- Nie! To znaczy, tak, żyje, ale nie pracuje już dla nas. Przestał po śmierci Cecila.

- Czy mieszka we wsi? Gideon, chciałam powiedzieć hrabia Radbourne, mógłby z nim porozmawiać.

Pansy znów zamrugła powiekami, a potem powiedziała bez przekonania:

- Och jestem pewna, że to zbyt cenne. Nie ma potrzeby, aby mój wnuk rozmawiał z tym człowiekiem To... to byłoby dla niego zbyt bolesne.

- Nonsens - oświadczyła jej siostra stanowczym tonem. - Dlaczego miałyby być bolesne? Nie dziwi mnie, że chce się dowiedzieć wszystkiego, co go dotyczy. Lepiej znać prawdę, niż się zadręczać.

- Poznać prawdę o czym?

Odwróciły głowy w kierunku drzwi, w których stanął Gideon.

- Poznać prawdę o czym? - powtórzył. - Czym się zadręczać? Czy o mnie mówicie, Odelio?

- O tobie. Irene zaczęła rozmowę na temat tego, co ci się przydarzyło przed laty.

- Tak? - Gideon spojrzał w jej kierunku.

- Tak - odparła, patrząc na niego ze spokojem. - Przykro mi, jeśli to irytujący pana temat. Po prostu nasunęło mi się kilka pytań...

- Jak pani doskonale wie, mnie również. Nie uważam tego tematu za irytujący. Podobnie jak pani, lubię wyzwania. - Kąciki ust drgnęły mu w uśmiechu, ale zaraz zwrócił się z powagą do lady Pansy: - Powinienem był wcześniej poruszyć tę sprawę z tobą, babciu.

- Pansy właśnie nam powiedziała, że człowiek, którego twój ojciec wysłał na poszukiwania, wciąż żyje - odezwała się lady Odelia, jak zwykle przejmując inicjatywę. - Jestem przekonana, że dowiesz się od niego czegoś więcej.

- Pańska babcia nie zdążyła nam wyjawić, gdzie Owenby teraz mieszka - wtrąciła Irene, chcąc wrócić do tego punktu rozmowy, który wydawał jej się ważny. Tuż przed pojawieniem się Gideona zadała lady Pansy pytanie, na które

starsza dama właściwie nie odpowiedziała. Zresztą udzielała informacji skąpo, wyraźnie niechętnie.

Lady Pansy rzuciła jej pełne łagodnego wyrzutu spojrzenie i Irene pomyślała, że inna kobieta w tej sytuacji posłałaby jej jadowite.

- Lady Irene... nie, doprawdy... - Zwróciła wzrok na Gideona, ale nie znalazła u niego zrozumienia. - Nie jestem pewna, dokąd się udał. Wydaje mi się, że nie ma sensu, abyś się z nim spotykał. - Jej twarz przybrała błagalny wyraz. - Najlepiej, jeśli zapomnisz o tej sprawie... Nie wracaj do niej.

Gideon patrzył na babkę przez dłuższy moment.

- Przykro mi, że narażam cię na zdenerwowanie, babciu, ale chciałbym porozmawiać z tym mężczyzną. Owenby, tak?

- Proszę cię, Gideonie. - Głos Pansy brzmiał niewyraźnie, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. - Co dobrego z tego wyniknie? Zresztą Owenby prawdopodobnie już niewiele pamięta, I przecież to wydarzyło się bardzo dawno.

- Och, nie bądź głupia, Pansy - powiedziała ostrym tonem lady Odelia. - Niby jak można zapomnieć, że się uganiało po całym kraju w poszukiwaniu gangu porywaczy!

- Odelio, naprawdę! - zaprotestowała słabo Pansy. - Może porozmawialibyśmy o czymś przyjemniejszym.

- Dlaczego tak się bronisz przed tym tematem, babciu? - spytał podejrzliwym tonem Gideon. - Nie chcesz, żebym poznał prawdę? Żebym odkrył, jak bardzo nie obchodziłem ojca? Jak niewiele zrobił, aby mnie odszukać?

- Nieprawda! - wykrzyknęła Pansy. - Cecil bardzo się przejmował! Nie wolno ci myśleć, że twój ojciec był nieczuły. Nigdy nie widziałam nikogo bardziej zrozpaczonego i załamane go niż on. Nie zasługiwała, aby po niej tak płakać!

W saloniku zapadła martwa cisza.

- Dlaczego? - przerwał ją wreszcie Gideon. - Kogo masz na myśli, mówiąc, że nie zasługiwała, aby po niej płakać? Moją matkę?

- Nie... Ja wcale... - Pansy rozejrzała się po wszystkich w panice.

- Pansy! - zwróciła się do niej rozkazująco lady Odelia: - Przestań kręcić. Masz mi natychmiast powiedzieć, co miałaś na myśli.

Starsza hrabina Radbourne wyglądała, jakby miała zemdleć, ale w końcu wyprostowała się z godnością i zamamrotawszy pod nosem „wybacz mi, Cecilu”, i nie patrząc na nikogo, powiedziała:

- Nie pozwolę, byś myślał, że to ojciec cię zawiódł. To Selena rozdzieliła cię z nim i całą rodziną.

Ta rewelacyjna wiadomość została nagrodzona jednoczesnym pytaniem kilkorga obecnych:

- Jak to?!

- Właśnie tak. Nikt cię nie porwał. Twoja matka uciekła z kochankiem i zabrała cię ze sobą.

Rozdział trzynasty

Przez dłuższy czas wszyscy milczeli, zaskoczeni niespodziewaną wiadomością. Irene rzuciła ostrożne spojrzenie na Gideona. Stał poblady, wpatrując się w babkę. Pierwsza, jak było do przewidzenia, odezwała się lady Odelia.

- Oszalałaś, Pansy?

- Nie, nie oszalałam. To prawda.

- Nie, nie! - Głos lady Teresy rósł niemal do histerycznego krzyku. - Została porwana! Wszyscy o tym wiedzą. Umarła dawno temu!

- Twierdzisz, że Cecil wszystkich oszukał? Że ty kłamałaś? - Lady Odelia wypytywała siostrę, nie zwracając uwagi na Teresę.

Pansy kiwnęła twierdząco głową. Oczy wypełniły się jej łzami, zaczęła płakać.

- Tak. Kłamaliśmy. Wszystkich okłamaliśmy. - Przycisnęła dłoń do ust, jakby chciała cofnąć wypowiedziane słowa.

- Nie, nie! - zawodziła lady Teresa, potrząsając głową.

- Ale dlaczego? - wtrąciła Irene, nie mogąc się powstrzymać. Serce ścisnęło się jej w piersi na myśl, co musi czuć Gideon. Cały jego świat wywrócił się do góry nogami kilka miesięcy temu, kiedy księżę go odnalazł. Teraz znów miał przeżywać rozterki. - Dlaczego udawaliście, że ich porwano?

- Bo Cecil nie potrafił znieść myśli, że ktoś pozna prawdę - wyjawiała Pansy - że wybuchnie skandal.

- Zrobił tak, żeby uniknąć skandalu? - upewniła się Irene, na poły z niedowierzaniem, na poły zatrwożona.

- Nie chodziło mu o siebie! - wykrzyknęła Pansy. - O nią! Zrobił to dla Seleny. Kochał ją pomimo wszystko. Był przekonany, że przekona się, jak nierozsądnie postąpiła, i wróci do niego po kilku dniach. Chciał jej oszczędzić plotek, które rozniosłyby się, gdyby ludzie poznali prawdę.

- Raczej duma nie pozwoliła mu przyznać, że żona go opuściła - rzuciła ironicznie lady Pencully.

- Odelio! Jak możesz! - zaprotestowała lady Pansy. - Cecil miał złamane serce. Zawsze źle go osądzałaś.

- A ty zawsze zachowywałaś się jak mimoza. Skąd wiesz, że uciekła?

- Jak to skąd? Cecil mi powiedział. - Zdumiona Pansy spojrzała na siostrę. - Nie mógł czegoś takiego ukrywać przede mną. Przyszedł, wymachując listem, który Selena mu zostawiła. Litery były rozmazane od łez... jakby to jej złamał serce, a nie ona jemu! Pisała, że żałuje, ale ktoś inny zdobył jej serce i odchodzi z nim jeszcze tej nocy. Błagała, by pozwolił jej na to i jej nie szukał. Cecil znalazł list rankiem w swoim gabinecie.

- I pozwolił jej tak zwyczajnie odejść? - zapytał Gideon. - Zabrać własnego syna?

- Mówiłam już. Był pewien, że ona szybko pożałuje tego, co zrobiła, wróci pełna żalu i skruchy. Dlatego wymyślił porwanie, dlatego twierdził, że list, który znalazł w gabinecie, pochodził od porywaczy. Kazał Owenby'emu wziąć naszyjnik i jeździć po kraju, udając, że szuka was na polecenie Cecila. Owenby wrócił w końcu, oczywiście z naszyjnikiem, a Cecil go schował... - Pansy westchnęła ciężko i mówiła dalej drżącym głosem: - Po jakimś czasie, gdy zrozumiał, że Selena nie wróci i że nie zamierza się z nim nawet skontaktować, wpadł w rozpacz. Nie opuszczał swojego pokoju. Przestał się czymkolwiek interesować. Zarządca przychodził konsultować się ze mną w sprawach dotyczących prowadzenia majątku, bo Cecil nie chciał go widzieć. - Na twarzy Pansy pojawił się wyraz szczerego bólu na to wspomnienie.

- Ale w końcu przecież musiał jakoś przyjść do siebie - powiedziała lady Odelia. - O ile mi wiadomo, nie spędził reszty życia zamknięty na klucz w swoim pokoju, pogrążony w zgryzocie.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Pansy, jakby nie dostrzegła ironii w słowach siostry. - Doszedł po pewnym czasie do siebie. Stopniowo zaczął się interesować różnymi sprawami. Wtedy wysłał Owenby'ego ponownie na poszukiwania, tym razem naprawdę, ale ślad już się zatarł. Owenby nie natrafił na żadne oznaki ich pobytu gdziekolwiek. Cecil był pewien, że wspólnie z kochankiem Selena ułożyła plan ucieczki. Założył, że pojechali prosto do portu i stamtąd ruszyli dalej. Owenby szukał w Londynie, nawet w Liverpoolu, ale nic nie wskazywało na to, że w ogóle tam byli albo że wsiedli na statek. Mogli oczywiście podróżować pod fałszywym nazwiskiem, tak jak mogli się znaleźć w dowolnej części kraju. Cecil wysłał nawet człowieka na kontynent, ale też spotkało go niepowodzenie. Najprawdopodobniej popłynęli do którejś kolonii, gdzie mogli liczyć na to, że nikt ich nie odnajdzie.

- Ale co się działo z jego synem? - spytała niecierpliwie lady Odelia.

Irene spojrzała na hrabiego. Miała na końcu języka to samo pytanie, lecz bała się je zadać, zdając sobie sprawę z katuszy, jakie musi cierpieć Gideon. Właśnie dowiedział się, że domu i rodziny nie pozbawiła go banda złoczyńców, ale własna matka, a ojciec nie próbował temu przeciwdziałać, przynajmniej na początku.

Lady Odelia wyraźnie nie miała takich skrupułów.

- Gideon dziedziczył po nim. Aż trudno uwierzyć, że Cecil nie ruszył w pościg za nim od razu.

- Nalegałam, by szukał chłopca - powiedziała Pansy. - Powtarzałam mu, że musi mieć dziedzica. Niezależnie od tego, że ona odeszła, nie powinien ryzykować rodowego majątku i dopuścić do utraty sukcesora. Sprawiał wrażenie, jakby mu nie zależało. Powiedział mi, że nie ma to znaczenia, jest jeszcze jego brat, może po nim dziedziczyć. Nie będzie uganiał się za kobietą, która go porzuciła, posunęła się tak daleko, aby się od niego uwolnić. - Spojrzała po twarzach obecnych i widząc malujące się na nich zaskoczenie i niedowierzanie, dodała usprawiedliwiająco: - Nie wiedział, że Gideon został na łasce losu w Londynie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Selena porzuci chłopca. Ani ja, ani i on niczego takiego nie przypuszczaliśmy. Sądziliśmy, że Gideon jest bezpieczny pod opieką matki.

Lady Odelia potrząsnęła głową, oszołomiona.

- Nie do wiary. Nawet jeśli dotyczy to Cecila. Jak mogłaś mu na to pozwolić? Jak mogłaś być tak głupia?

- Nie wiem... - Wyczerpana Pansy zanosła się płaczem. - Ja... nie... nie chciałam nikogo skrzywdzić.

Gideon okręcił się na pięcie i wyszedł z saloniku.

- Cicho, Pansy! - rozkazała lady Odelia, jednocześnie poklepując siostrę po ramieniu.

Siedząca obok nich na kanapie lady Teresa sprawiała wrażenie, jakby miała wybuchnąć płaczem. Irene zignorowała je obie i zerwawszy się na równe nogi, wyszła pospiesznie z saloniku.

- Gideonie!

Przemierzył już połowę holu, ale zatrzymał się i obejrzał.

- Poczekaj, pójdę z tobą.

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie szukam towarzystwa.

Odwrócił się i pomaszerował dalej przez hol. Zignorowała jego słowa i ruszyła za nim truchcikiem, usiłując dotrzymać mu kroku.

- Wiem, że ci niepotrzebne - powiedziała, doganiając go przy prowadzących na taras drzwiach - ale nie powinienes teraz być sam.

Wzruszył ramionami i przeszedł wielkimi krokami przez taras. Pobiegnęła za nim, starając się nadążyć. Okazała tyle rozsądku, by nie próbować nawiązać z nim rozmowy. Po prostu szła obok niego przez ogród. Wreszcie, jakby nie mógł dłużej się powstrzymać, wybuchnął:

- Nie dbał o mnie! Ani trochę! Pozwolił mnie zabrać i nawet nie próbował sprowadzić z powrotem. Jak to możliwe! Ojciec, którego nie obchodzi los własnego syna! Nawet babci nic nie obchodziłem, liczyło się dla niej tylko to, że jestem sukcesorem.

- Może ojciec rzeczywiście wierzył, że będzie ci lepiej z matką. Byłeś jeszcze mały, ledwie cztery latka... Nie wiedział przecież, że znalazłeś się na ulicach Londynu.

Gideon spojrzał przeciągle na Irene, która zaprzestała szukania nowych argumentów. Te, które przytoczyła, nie były zbyt przekonujące, i prawdę mówiąc, sama w to nie wierzyła.

Szli przez kilka minut w milczeniu, aż Gideon raptownie przystanął przed rozłożystym dębem rosnącym w odległym kącie ogrodu - sprawiał wrażenie drzewa nie na swoim miejscu, jakby wyszedł z pobliskiego lasu. Pod jego

cienistymi konarami ustawiono ławkę z kutego żelaza, wprost zapraszającą na chwilę wytchnienia w ciągu dnia i podziwiania sielskiego wiejskiego krajobrazu.

Gideon zacisnął dłonie na oparciu ławki i zapatrzył się przed siebie, jakby zamierzał chłonąć rozciągający się przed nimi widok. Potrząsnął bezwiednie głową i nie patrząc na Irene, z oczyma utkwionymi w przestrzeń, zaczął znów mówić:

- Obojętność ojca nie ma dla mnie aż takiego znaczenia. Od dawna podejrzewałem, że nie dbał o mnie, inaczej by mnie szukał. Ale odkryć, że matka...

Irene położyła dłoń na jego ręce.

- Przykro mi...

- Zawsze myślałem, że moja matka nie żyje, że gdyby było inaczej, to by mnie nie opuściła. Miałem tę wiarę jeszcze jako dziecko. Kiedy Rochford mnie znalazł, dowiedziałem się o rzekomym porwaniu. Utwierdziło mnie to w mniemaniu, że ona nie żyje, ale głęboko wierzyłem, że mnie kochała. Teraz okazuje się, że mnie porzuciła, uciekła z kochankiem i zostawiła własne dziecko na pastwę losu na ulicach Londynu. Jaka kobieta jest do czegoś takiego zdolna! Jakiego rodzaju kobietą była?

- Nie wiesz, czy to prawda - zaproponowała żywo Irene. - Być może twoja matka rzeczywiście umarła. Nie pamiętasz, co się wydarzyło, byłeś za mały. To, że was obojga nie porwano, nie znaczy, że cię porzuciła. Po co brałaby cię z sobą, jeśli jej na tobie nie zależało? O wiele wygodniej było cię zostawić w domu. Szybciej podróżuje się bez dziecka, łatwiej przemknąć się niezauważonym. Musiała zdawać sobie sprawę, że mąż będzie chciał ją ściagać, aby odzyskać syna, swojego spadkobiercę. Nie... - Irene potrząsnęła głową. - Przychodzi mi na myśl tylko taka możliwość, że zabrała cię z sobą, bo nie mogła pogodzić się z tym, że cię straci. Musiała bardzo cię kochać. Obojętne, co

czuła do męża czy kochanka, obojętne, jak znosiła małżeństwo, zależało jej na tobie, kochała cię.

- I dlatego wylądowałem samotnie na ulicach Londynu?

- Nie wiem. Może nigdy się nie dowiemy - przyznała Irene. - Wiele mogło się wydarzyć. Mogła zachorować i umrzeć, a mężczyzna, z którym podróżowała, zostawił cię. Może porzucił was oboje, a ona potem zachorowała i zmarła. Może odłączono ją od ciebie w jakiś inny sposób.

- Albo kochanka znudziło ciągnięcie za sobą wszędzie cudzego bachora i zażądał, by go zostawiła. Zdradziła męża, splamiła swój honor, dlaczego miałyby się wzdragać przed porzuceniem syna?

Serce Irene wezbrało litością. Nie potrafiła postawić się na miejscu człowieka, który dowiedział się, że matka go porzuciła. Przez lata znosiła upokorzenia od ojca, ale zawsze mogła być pewna miłości matki. Co czuje ktoś, kto dorastał, nie mając nikogo, kto by go darzył bezwarunkową miłością? Gideon od dziecka, odkąd sięgał pamięcią, nie miał nikogo, kto by go kochał. Na nikim nie mógł całkowicie polegać, nikomu całkowicie ufać.

- Przykro mi... - powiedziała niewyraźnie, zdając sobie sprawę, jak nieprzekonująco musiało to zabrzmieć. Nie wiedziała, jakich słów użyć, aby pojął, jak głęboko mu współczuje, i nie bardzo rozumiała, co właściwie sama w tej chwili czuje.

Gideon wzruszył ramionami, twarz miał opanowaną.

- Właściwie nie zmienia to niczego w moim życiu. Nie pamiętam matki. Jest tak samo, jakby zdradził mnie ktoś, kogo nie znam.

- A jednak to, w co wierzyłeś, jest równie ważne jak to, co pamiętasz. Byłeś pewien, że cię nie porzuciła, nie miałeś wątpliwości, że zostałeś zdradzony.

- To, w co wierzyłem, nie zmienia faktów. Wtedy byłem sam i teraz jestem sam.

- Nie, nie jesteś sam! - wykrzyknęła Irene spontanicznie i dała krok w jego kierunku, wyciągając rękę.

Już brała oddech, aby powiedzieć, że przecież jest przy nim, ale w ostatnim momencie zorientowała się, że sugeruje to bliskość, której między nimi nie ma. Nie zostanie przy nim ani jako żona, ani przyjaciółka - wyjedzie po pewnym czasie. Ręka jej opadła, odwróciła wzrok.

- To znaczy... Przecież zamierzasz się ożenić. Będziesz miał towarzystwo i wsparcie żony, nie i będziesz sam.

Roześmiał się niewesoło.

- Żony, która zgodziła się poślubić człowieka o wątpliwej reputacji, by zyskać majątek i tytuł? Jakoś nie wygląda mi to na związek dwojga dusz.

- Przecież nie musi to być właśnie tak.

- Sama w to nie wierzysz. I nie idzie to w parze z twoją teorią na temat małżeństwa. Jak miałbym spodziewać się wsparcia i oddania, nie mówiąc o uczuciach, od kobiety, którą będę według twojej opinii wykorzystywał i tyranizował?

- Nie wierzę, że będziesz tyranizował i wykorzystywał żonę - powiedziała zgodnie z prawdą.

- W takim razie z powodzeniem udawałaś dotąd, że w to wierzysz.

- Nie. Tylko nie chcę sama sobie zgotować takiego życia, jeśli okaże się, że jednak się pomyliłam. Jestem inna niż większość kobiet. Niewiele z nich myśli o ciemnych stronach małżeństwa. Kobiety często kochają swoich mężów i uważają, że małżeństwo to partnerstwo, prawdziwy związek dwojga ludzi. A w każdym razie, zawierając je, zyskasz żonę i dzieci, będziesz miał rodzinę, której byłeś dotąd pozbawiony.

- Nie zakładam rodziny dla siebie - odparł sucho. - Powiedziałem ci to, kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz. Postępuję po prostu tak, jak się tego oczekuje po mężczyźnie z moją pozycją. Nie zamierzam zawrzeć małżeństwa z miłości.

- Oferujesz kobiecie chłód i dystans - stwierdziła, najeżając się.

- Oferuję kobiecie bogactwo, tytuł, wygodne życie. Jedynym minusem tego małżeństwa jest moja osoba i zamierzam ograniczyć swoją obecność do koniecznego minimum.

Irene pomyślała, że Gideon wygląda, jakby był kompletnie nieznanym jej, obcym człowiekiem.

- Mogę zagwarantować swojej żonie, że nie będę jej prześladował ani nękał.

- Tylko ignorował - zareplikowała.

- Co ciebie obchodzą moje uczucia wobec przyszłej żony? - spytał ze złością, oczy rozbłyły mu gniewnie. - Bardzo stanowczo oświadczyłaś, że nie jesteś zainteresowana taką rolą. Biorąc pod uwagę twoje poglądy na małżeństwo, mogłem myśleć, że odpowiadałby ci właśnie taki rodzaj związku: cieszyć się swobodą mężatki bez niedogodności związanych z posiadaniem męża. Konsekwentnie powtarzałaś, że nie zamierzasz mnie poślubić. Nie rozumiem więc, dlaczego tak cię obchodzi, jak będzie wyglądało moje małżeństwo.

- Właśnie, że wcale mnie nie obchodzi!

Przez moment wpatrywali się w siebie, aż Gideon odwrócił głowę, wzdychając z rozczarowaniem.

- Przepraszam. Obawiam się, że nie jestem zbyt miłym towarzyszem dzisiejszego wieczoru. Najlepiej zrobię, jeśli natychmiast odejdę. - Okręcił się na pięcie i poszedł z powrotem w kierunku domu.

Irene, westchnąwszy głęboko, ruszyła w ślad za Gideonem. Była zła na niego, ale jeszcze bardziej na siebie. Co ją podkusiło, aby mówić te wszystkie rzeczy? Miał rację. Nie chciała go poślubić i zapewniała go o tym wielokrotnie. Skoro tak, rzeczywiście nie powinno jej obchodzić, jak będzie wyglądało jego małżeństwo. Nawet jeśli szczerze mu życzyła aby znalazł w tym związku, nic jej do tego.

Nagle uderzyło ją, jak absurdalną rozmowę przeprowadzili. Przywołała wszystkie argumenty, które od lat słyszała od matki i wszystkich namawiających ją na zamążpójście. Ile razy mówiono jej, że małżeństwo to związek dwojga dusz? Jak często zapewniano ją, że dzięki mężowi reszta jej życia upłynie w szczęściu i miłości? Wysztytowała tego rodzaju argumenty, a dzisiaj poczęstowała Gideona taką samą gadaniną.

Czy to możliwe, że w głębi serca wierzyła w te romantyczne bzdury o miłości i małżeństwie? Oczywiście, że nie. Niemożliwe. A jednak dzisiejszego popołudnia po rozmowie z Gideonem była rozdygotana. Zdaje się, że zachwiał jej poczuciem rozsądku to pewnie dlatego zastanawiała się przez moment, czy nie popełnia błędu, odrzucając jego propozycję.

Jednak tylko przez moment. Przecież doskonale wiedziała, jak naprawdę wygląda małżeństwo. Nie wcale nie wierzyła w to, co mu powiedziała. Po prostu próbowała go pocieszyć, wiedząc, jak musi być zdenerwowany. Uważała się za osobę praktyczną, zbyt realnie patrzącą na świat, aby tęsknić za wyidealizowanymi wizjami miłości i partnerstwa. A może jednak była złaźniona miłości, nic o tym nie wiedząc, może to Gideon obudził w niej głód miłości?

Czując, jak drżą jej nogi, usiadła na kamiennej ławce, stojącej przy ścieżce. Zawsze była pewna siebie i swoich przekonań. Nie miała nawet cienia wątpliwości, że jest tak słaba jak inne kobiety. A jeśli w gruncie rzeczy wcale nie jest silną kobietą, jeśli tylko wydawało jej się, że kieruje się swoimi przekonaniami? Niewykluczone, ponieważ dotąd nie spotkała mężczyzny, który wzbudziłby w niej takie uczucia jak Gideon.

Podobało jej się to, co czuła, gdy Gideon ją całował - cudowne doznania, o których istnieniu nie miała pojęcia, nawet nie przeczuwała ich istnienia. Dokąd może ją zaprowadzić pożądanie? Przecież nie może zaprzeczyć wszystkiemu, w co dotąd wierzyła; w istocie zaprzeczyć samej sobie tylko dlatego, że obudziła się w niej namiętność.

Nawet jeśli żywiła sekretne marzenie, by miłość rozkwitła w małżeństwie, jakie to miało znaczenie? Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko życzenie, mrzonka. Wystarczy, że przypomni sobie, jak o małżeństwie mówił Gideon. Czy to nie mogło zmrozić najgorętszego serca?

Nawet jeśli, jej odczucia są inne, istota rzeczy się nie zmieniła. Małżeństwo jest dla kobiety pułapką. Powątpiewanie w tę prawdę prowadzi do życia w mizerii i żalu nad źle podjętą decyzją. Zachowała się równie głupio jak kobiety, które krytykowała. Przynajmniej w porę dostrzegła swój błąd i będzie mogła go naprawić. Niezależnie od tego, że współczuje Gideonowi, że czerpie przyjemność z rozmowy z nim - koniec z pobłażaniem sobie, z groźnymi w skutkach zachowaniami.

Żadnych długich spacerów po ogrodzie w jego towarzystwie, żadnego flirtowania podczas lekcji tańca. Przyjechała pomóc mu znaleźć odpowiednią żonę spośród dziewcząt, które pojutrze zaczną się zjeżdżać. Na tym właśnie się skoncentruje. Na doprowadzeniu do tego, aby któraś z nich została kolejną hrabiną Radbourne.

Irene skinęła głową, jakby chcąc podkreślić że właśnie zakończyła wszelkie rozważania i podjęła ostateczną decyzję. Wszystko wróci do normy jeśli skoncentruje się na tym, po co tu przyjechała, wciągnęła łopatkę i wyprostowana jak struna poszła ku domowi.

Rozdział czternasty

Następnego dnia w domu zapanowało całkowite rozprężenie. Gideon zaraz po śniadaniu poszedł do biura zarządcy i nie pokazał się przez cały dzień. Francesca i Irene, zwolnione w ten sposób z lekcji tańca, mogły poświęcić się przygotowaniom do przyjęcia. Całkiem dobrze się złożyło, pomyślała Irene, bo poza nimi dwiema nikt inny nie zamierzał się tym zajmować.

Lady Pansy została w łóżku z powodu waporów. Pokojówka nie wpuszczała do niej nikogo, ale jak było do przewidzenia, lady Odelia, napadłszy najpierw na służącą i pouczywszy ją, że jest tu po to, by słuchać jej rozkazów, weszła do pokoju, aby porozmawiać z siostrą. Nie zdało się to oczywiście na nic, zwłaszcza że to nie kto inny jak lady Odelia pytaniami na temat tego, co się wydarzyło dwadzieścia pięć lat temu, przyczyniła się do pogorszenia samopoczucia lady Pansy.

Młodsza hrabina Radbourne również cierpiała z powodu załamania nerwowego, spowodowanego rewelacjami, które usłyszała. Co chwila wybuchała płaczem, uskarżając się, że nie powinna była poślubić Cecila. Nawet niezniszczalna wydawałoby się lady Odelia była zdenerwowana. Tylko dzięki lady Claire i jej niezwykłym umiejętnościom łagodzenia wybuchów hysterii, pocieszania, uspokajania i osuszania łez udawało się utrzymać w domu względny spokój.

W tej sytuacji wszystkie związane z pobytem gości przygotowania, których do tej pory nie poczyniono, spoczywały na barkach Irene i Franceski. Trzeba było ustawić wazony z kwiatami, wypisać elegancką kaligraficzną kursywą karteczki z nazwiskami gości, dopiąć na ostatni guzik przygotowania do balu, odpowiedzieć na niezliczone pytania zaaferowanych służących, zaaprobować ostatecznie menu albo przeciwnie, zmienić, jeśli trzeba, rozwiązać tysiące drobnych, uciążliwych problemów, które zwykle wynikają przy takich okazjach w ostatniej chwili.

Dopiero późnym popołudniem Irene zdołała ubłagać Francescę, aby oderwały się od obowiązków domowych i zażyły chwili wytchnienia podczas przechadzki po ogrodzie.

- Bogu dzięki, że wyciągnęłaś mnie z domu - powiedziała z westchnieniem Francesca, biorąc Irene pod ramię i wystawiając twarz do słońca. - Co za galimatias. Nie mógł się zdarzyć w gorszym momencie, jutro zaczną przyjeżdżać goście. Na dodatek w ogóle nie znam tego domu ani służących.

Mam wręcz wrażenie, jakby informowanie mnie, że tego czy tamtego z takich czy innych względów nie da się zrobić, sprawiało Horroughsowi skrytą przyjemność.

- Radzisz sobie z nim całkiem dobrze. Zapewniam cię, ja bym tak nie umiała.

- Mam wprawę - przyznała Francesca. - Nasz kamerdyner w wiejskiej rezydencji zachowywał się w podobny sposób. Z prawdziwą ulgą dowiedziałam się, że wraz z całą posiadłością dostał się spadkobiercy lorda Haughstona.

Irene się roześmiała.

- Mówisz, jakby był przypisany do posiadłości.

- Chyba tak było. Zwykł mi powtarzać: „My tutaj mamy inny zwyczaj, milady”. Zupełnie jakby trwał od czasu, gdy pierwszy lord Haughston położył kamień węgielny. Dziękuję ci, że mi tak pomagasz - dodała Francesca.

- Wypisywanie karteczek z nazwiskami i układanie kwiatów to niewiele - zaprotestowała Irene. Poza tym mam mnóstwo czasu, bo wygląda na to, że Gideon całkiem zarzucił lekcje.

- Ostatnie wiadomości musiały wytrącić go z równowagi. Z pewnością przeżył szok. Rozmawiałaś z nim?

- Tak, choć na niewiele to się zdało. Rzeczywiście przeżył szok, ale przyjął niewzruszoną postawę.

- Po spędzeniu dwóch godzin z Teresą chyba wołałabym, żeby poszła w ślady Gideona. Nie spodziewałam się, że będzie płakać jak bóbr.

- Zwłaszcza że nie miała nic wspólnego z tamtymi wydarzeniami.

- Tak, ale martwi się, czy to nie podważa jej małżeństwa.

- Pewnie się martwi. Jeśli pierwsza hrabina Radbourne nie została porwana, a uciekła z kochankiem, istnieją realne szanse, że wciąż żyje. W takim wypadku hrabia Radbourne nie był wolny i nie powinien poślubić Teresy.

- Właśnie, a biedny Timothy pochodzi z nieprawego łoża i nie może zostać spadkobiercą Gideona - zauważyła Francesca. - Pozycja Teresy zmieni się na niekorzyść.

- Hrabia Cecil wystąpił o uznanie matki Gideona za zmarłą. Wszystko odbyło się według przewidzianej prawem procedury - dowodziła Irene. - Przez tyle lat nie dała znaku życia...

- Na tej podstawie z pewnością uzyskałby rozwód, choćby ze względu na to, że go opuściła. Pamiętaj jednak, co powiedziała lady Odelia, a co zdecydowanie działa na niekorzyść Teresy. Cecil, występując do dworu o uznanie Seleny za zmarłą, wiedział, że ona prawdopodobnie żyje. Tymczasem przysięgał, że uważa ją za zmarłą, bo przecież wymagano od niego takiej przysięgi.

- Rzeczywiście. Bardzo to pogmatwane. Zaczynam nawet trochę współczuć lady Teresie.

- Ja współczuję biednej lady Pansy. Jej siostra napadła na nią bez pardonu.

- Mogę zrozumieć irytację lady Odellii. Ojciec i babka Gideona działali w sposób wyjątkowo nieudolny.

- Cóż, z tego, co lady Odelia mówiła, wynika, że hrabia Cecil najpierw robił, a potem myślał. Natomiast lady Pansy jest najbardziej niezdecydowaną i bezwonną kobietą, jaką znam.

- Co rozumiałe, skoro wyrosła pod opieką lady Odellii - stwierdziła Irene.

- Rzeczywiście. Trudno winić tę biedną kobietę. Wszyscy z rodu Lilles, których poznałam, są dominujący i mają silną osobowość. Niemal zawsze stawiają na swoim, a jeśli przychodzi do konfliktu interesów, sytuacja staje się okropna. - Francesca zadrżała z udawanego przerażenia. - Podejrzewam, że biedna lady Pansy żyła w ich cieniu.

Okrążyły ogród, rozmawiając, i teraz znalazły się na powrót przed domem. Francesca spojrzała na taras i westchnęła.

- Obawiam się, że musimy wracać - powiedziała z niechęcią.

- Tak - potwierdziła Irene, kiwając głową. - Zostało mi jeszcze sporo karteczek do napisania.

Francesca spojrzała na nią i zapytała:

- A ty, Irene? Wszystko w porządku?

- Tak. Wiadomości mogły wprawić w osłupienie, ale w końcu mnie to nie dotyczy.

- Ale Radbourne'a tak...

- Oczywiście, ale mnie poruszyło to w minimalnym stopniu. Prawdę mówiąc, to, że dzisiaj się nie pokazał, jest dla nas prawdziwym błogosławieństwem. Możemy spokojnie skupić się na innych sprawach.

Francesca przez moment patrzyła na nią uważnie ze ściągniętymi brwiami i Irene odniosła wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale właśnie weszły do domu i ich uwagę odwróciły podniesione głosy dobiegające z drugiego końca holu, spoza zamkniętych drzwi prywatnego saloniku. Jakiś mężczyzna mówił coraz donośniej, aż w końcu wykrzyknął:

- Niesłychane!

Odpowiedziała mu kobieta płacziwym, usprawiedliwiającym tonem, ale znacznie ciszej tak że nie można było rozróżnić słów.

Francesca i Irene wymieniły spojrzenia, niepewne, co robić. Sytuacja była niezręczna, nie wiedziały czy lepiej wycofać się na taras i tam przeczekać awanturę, czy prześliznąć cicho przez hol w nadziei, że uda się im dotrzeć do klatki schodowej zanim drzwi się otworzą. Stały niezdecydowanie, gdy ponownie dobiegł ich uszu męski głos

- Nie! - wykrzyknął mężczyzna, a potem mówił coś już nie tak donośnie, by za chwilę znowu wybuchnąć: - Nie do wiary!

Irene spojrzała na Francescę i pokazała ruchem głowy na przeciwległy koniec holu i obie ruszyły pospiesznie, najciszej jak mogły, w kierunku schodów. Prawie doszły do celu, kiedy drzwi do saloniku otworzyły się. Irene podskoczyła i mimowolnie odwróciła głowę w kierunku źródła hałasu

Rozgniewany mężczyzna wyszedł do holu i Irene rozpoznała stryja Gideona. Z saloniku dobiegł podniesiony kobiecy głos:

- Co o tym wiesz? Przecież cię nie było! Czmychnąłeś do armii!

Jasper odwrócił się do drzwi.

- Nie, nie było mnie, i do końca życia będę tego żałował! Znalazłbym ich i sprowadził z powrotem! - Odwrócił się i dopiero teraz zobaczył Francescę i Irene, stojące nieruchomo w drugim końcu holu, zażenowane i lekko spłoszone. Rzucił jakiś wyraz cicho pod nosem, wyraźnie usiłując się opanować. W końcu westchnął i skłonił przed nimi głowę. - Proszę panie, by zechciały mi wybaczyć.

W drzwiach saloniku pojawiła się lady Pansy, mnąc w ręce chusteczkę. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, łzy wciąż spływały jej po policzkach. Wyglądała jeszcze bardziej krucho i delikatnie niż zwykle, jakby najłżejszy podmuch wiatru miał ją przewrócić.

- Och! - wyrwało się z jej ust na widok obu kobiet. - Och, mój Boże... - Przyłożyła chusteczkę do oczu, osuszając łzy. - Jasper...

- Tak, matko. Zechcą mi panie wybaczyć, że przeze mnie były świadkami gorszącej sceny. - Odwrócił lekko głowę w kierunku lady Pansy i nie patrząc na nią, powiedział: - Mamo, mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Ta wiadomość była... szokująca. - Zacisnął usta, a potem, jakby nie mogąc się powstrzymać, dodał: - Jednak jesteś w błędzie. - Spojrzał znowu na Francescę i Irene: - Żona Cecila była najlepszą matką i dobrym człowiekiem. Jestem pewien, że nie uciekła. Z pewnością nie porzuciłaby dziecka. - Przeszedł przez hol do frontowych drzwi i zniknął.

Lady Pansy pobiegła za nim truchcikiem, wciąż osuszając chusteczką łzy.

- Jasper! - zawołała, ponieważ nie odpowiadał zwróciła się do Irene i Franceski: - On nic nie rozumie - powiedziała grobowym głosem. - Nie dotarło do niego, jaki by to wywołało skandal.

Następnego dnia zaczęli się zjeżdżać goście i Irene niemal cały czas była zajęta, pomagając Francesce ich rozłokować. Mimo nalegań lady Odellii jej

siostra uparła się pozostać w swoich apartamentach i nie wyszła witać przybywających. Lady Teresa zjawiała się w reprezentacyjnym salonie, ale szybko się okazało, że pewność siebie, którą dotąd okazywała, była pozorna. Nie знаła nikogo z przyjezdnych i była wyraźnie oszołomiona tak dużą liczbą wysoko urodzonych osób. Poza banalnymi uwagami o pogodzie nie wypowiedziała ani jednego sensownego zdania, a jeśli zadawano jej pytanie, odsyłała pospiesznie pytającego do Franceski lub Irene.

Pierwszym gościem był przyjaciel hrabiego, Piers Aldenham. Jasnowłosy i o jasnej cerze stanowił przeciwieństwo Gideona. Horroughs z wyraźnie wypisanym na twarzy wyrazem dezaprobaty wprowadził go do salonu, a on złożył przed damami perfekcyjny ukłon.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt móc poznać panie - powiedział z ujmującym uśmiechem. - I wielka przyjemność. Mam pretensję do mojego przyjaciela Gideona. Nie uprzedził mnie, że zobaczę tutaj tak piękne kobiety.

- Ani nas, że będzie pan prawil takie gładkie komplementy - odparła Irene.

Podobał się jej jego optymizm i swoboda w obejściu. Sprawiał wrażenie człowieka, który wszędzie czuje się jak u siebie w domu.

- Przychodzą mi z łatwością w otoczeniu urodziwych dam - kontynuował.

- Piers! - powitał go Gideon, wchodząc do salonu i uśmiechając serdecznie.

- Tylko mi nie wmawiaj, że wstałeś o świcie, aby zdołać tu przyjechać o tej godzinie.

- Gideon! - Piers odwrócił się i poklepał przyjaciela po barku, potrząsając jednocześnie ręką, którą Gideon do niego wyciągnął. - Nie będę ci wmawiał. Przyjechałem wczoraj późnym wieczorem. Nie wypadało, abym zjawił się o tej porze, kazałem się więc zawieźć prosto do gospody i wynająłem pokój.

- Natychmiast pošlę któregoś ze stajennych, żeby przywiózł twoje bagaże.

- Nie ma potrzeby. Jest mi tam całkiem wygodnie. Dostałem porządnny pokój.

- Nie żartuj. To oczywiste, że zatrzymasz się tutaj.

Piers spojrzał przelotnie na siedzące w salonie kobiety.

- Wiem, że wychowałeś się bez matki i siostry, przyjacielu, ale ja nie. Mogę cię zapewnić, że taki dodatkowy, nieplanowany gość jak ja wprowadza wiele zamieszania i wywraca do góry nogami przygotowania. Obawiam się, że damy zniechęcą się za to nas obu.

Irene zauważyła pionową zmarszczkę na czole Gideona. Prawdopodobnie podejrzewał to co ona - że jego przyjaciel specjalnie zatrzymał się w gospodzie, aby nie pogłębiać konfliktu Gideona z krewnymi. Poczwała uznanie dla Piersa. Zdawała sobie sprawę, że Radbourne nie będzie zadowolony. Poza tym akurat teraz, w tych okolicznościach byłoby dobrze, gdyby miał przy sobie przyjazną duszę.

- Och, panie Aldenham, chyba pan nas nie docenia - powiedziała swobodnym tonem - Nie stanowi to dla nas aż takiego wyzwania. Czeka na pana pokój. - Sama sprawdzała, czy jest gotowy na jego przyjazd.

Piers uśmiechnął się, nie kryjąc zdziwienia.

- Jest pani równie uprzejma jak piękna. Dalej jednak obawiam się, że byłaby to z mojej strony niewybaczalna niegrzeczność.

- W żadnym wypadku z pańskiej strony - zapewniła. - Spóźnioną wiadomość o pańskim przybyciu zawdzięczamy hrabiemu Radbourne'owi a zatem jeśli w ogóle mówimy o jakiejś niegrzeczności, wina leży całkowicie po jego stronie i mogę pana zapewnić, że jesteśmy tutaj do tego przyzwyczajeni.

Piers roześmiał się szczerze.

- Zatem dobrze, przekonała mnie pani, milady. Poślij po moje bagaże, Gideonie.

- Oczywiście. - Gideon spojrzał na Irene. Na moment rozjaśnił się w uśmiechu, szybko jednak twarz z powrotem przybrała obojętny wyraz. - Pozwól, że pokażę ci posiadłość. Zechcą panie nam wybaczyć.

Piers skłonił się przed nimi ponownie i obaj wyszli.

- No - powiedziała lady Odelia z ulgą - bardzo dobrze ułożony młody człowiek.

- Rzeczywiście nie tego się spodziewałam - przyznała Francesca. - Nosi się i wyraża jak dżentelmen.

- Podejrzewam, że Radbourne wprowadził nas w błąd co do tego, czego mamy oczekiwać po panu Aldenhamie - powiedziała cierpkim tonem Irene.

Musiało go bawić obserwowanie, jak wszyscy drżą na myśl o kompromitacji.

- Cóż, prawdopodobnie goście będą się zastanawiać, kim on jest - zauważyła Francesca - ale przynajmniej nie poczują się obrażeni i nie wyjadą w pośpiechu.

- Obyś nie pożałowała pod koniec pobytu, że niektórych nie zdołał wystraszyć - zażartowała Irene.

Kolejnym gościem, którego Horroughs zaanonsował kilka godzin później, była panna Rowena Surton, ładna blondynka o nieco lalkowatej urodzie, niebieskich oczach i cerze jak krew z mlekiem. Pojawiła się w towarzystwie brata, Percy'ego, tak samo jasnowłosego i niebieskookiego jak siostra, o uprzejmym wyrazie twarzy, oraz matki, pulchnej, macierzyńskiej kobiety. Irene pomyślała, że tak prawdopodobnie będzie wyglądała i sama Rowena za dwadzieścia pięć lat.

Gideon, co nie było dla niej zaskoczeniem, nie pokazał się w salonie, aby przywitać gości, i Irene doszła do wniosku, że zaproszone dziewczęta nie będą miały okazji porozmawiać z nim wcześniej niż w porze kolacji. Nie usprawiedliwiła w żaden sposób jego nieobecności. Lepiej dla kandydatek na narzeczone, aby poznały naturę przyszłego męża i jego manieri jak najszybciej, stwierdziła w duchu.

Wczesnym popołudniem przyjechała pani Ferrington z córką Norah i niefortunnym zbiegiem okoliczności niemal zaraz potem zjawiła się hrabina Salisbridge z dwiema córkami. Ledwie spostrzegła przystojną ciemnowłosą

panią Ferrington, usadowioną wygodnie na sofie i pogrążoną w ożywionej pogawędce z lady Odelią, wyprostowała się jak struna i rzuciła mordercze spojrzenie Francesce.

- Hrabino Salisbridge. Flora, Marian. - Francesca podeszła do nich pospiesznie, uśmiechając się promiennie i wyciągając obie ręce w geście powitania. - Jak cudownie widzieć panie znowu. Jestem pewna, że chciałyby panie udać się do swoich pokojów, odświeżyć nieco przed spotkaniem z resztą zaproszonych gości. Niestety, hrabina Radbourne jest niedysponowana, ale powinna zjawić się na kolacji, by panie powitać. Irene, może zaprowadziłabyś hrabinę Salisbridge i dziewczęta do ich apartamentu? Znają panie lady Irene Wyngate, prawda?

Irene z uprzejmym uśmiechem wyprowadziła wszystkie trzy z salonu, zanim hrabina Salisbridge zdążyła wygłosić komentarz na temat obecności jej rywalki w Radbourne Park. Dyplomacja nigdy nie była mocną stroną Irene, ale udało jej się uniknąć utyskiwań hrabiny, zalewając ją potokiem okrągłych zdań na temat pogody i pytań dotyczących przebiegu podróży. Francesca ulokowała je w pokojach położonych od frontowej strony domu, w największej możliwie odległości od pokoju pani Ferrington i jej córki, znajdującego się na tyłach domu. Zaplanowała też takie rozsadzenie gości przy stole, aby wiecznie skłócone damy siedziały jak najdalej od siebie.

Hrabina Salisbridge była znana z wyniosłości i dumy - choć rodzina była permanentnie zadłużona, na granicy bankructwa - i Francesca starannie wybrała dla niej i jej córek przestronne, jasne pokoje, położone w pobliżu apartamentów rodziny. Pani Ferrington z kolei podchodziła do życia realistycznie, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że bogactwo męża znacznie przewyższa jego pozycję. Była też osobą pewną siebie, ciesząc się od ponad dwudziestu lat opinią skończonej piękności. Było mało prawdopodobne, aby wysuwała małostkowe pretensje co do tego, gdzie ją wraz z córką umieszczono.

Irene, prowadząc je po schodach, rzuciła szybkie spojrzenie na obie córki hrabiny Salisbridge. Były do siebie podobne, miały jasnobrażowe włosy i orzechowe oczy, i takie same jak ich matka orle nosy. Miały też ten sam co ona zwyczaj obrzucania każdego taksującym spojrzeniem od góry do dołu, pełnym wyższości i dystansu.

Zostawiła je oglądające przydzielone im pokoje i wydające rozkazy pokojówce, którą ze sobą przywiozły, a także służącej, którą posłano, by pomogła im się rozpakować. Kiedy wróciła do salonu, pani Ferrington i Norah właśnie wychodziły, zdecydowawszy się odpocząć w zaciszu pokoju.

Ona sama nie miała jednak po temu okazji, ponieważ natychmiast, musiała załagodzić konflikt w kuchni i uspokoić najeżoną gospodynię, którą arogancka pokojówka hrabiny Salisbridge obraziła, wysuwając wciąż nowe żądania, jakoby nie dość starannie przygotowano pokoje na przybycie gości.

Wkrótce potem przyjechali lord Hurley z córką, pachnący wiatrem i rozemocjonowani, ponieważ przedłożyli jazdę konno nad podróż w ciasnym powozie. Cechowało ich duże rodzinne podobieństwo - oboje jasnowłosi o kwadratowych, piegowatych twarzach, tak samo otwarci i przyjemni w obejściu.

Opowiedzieli z detalami, jak przebiegała ich podróż, nie pomijając opisu żadnego płotu, strumienia, żywopłotu ani jakiegokolwiek przeszkody, przez którą ich konie musiały przeskoczyć, a gdy jedno zapomniało o jakimś szczególe, drugie natychmiast spieszyło uzupełnić relację.

Słuchając ich, Irene pomyślała, że lady Hurley musiał uszczęśliwić brak ich towarzystwa. Przyjechała godzinę później; niewysoka, dystygowana dama, poruszająca się z omdlewającą gracją, i ledwie przywitawszy z lady Odelią, wyraziła chęć udania do swojego pokoju na pokrzepiającą drzemkę.

Ostatni pojawili się książę Rochford i jego siostra Calandra, ładna młoda dziewczyna o kruczoczarnych włosach i czarnych oczach, podobnie jak u brata, ale bezpośrednia, o żywym usposobieniu, zupełnie nieprzypominająca pod tym względem zachowującego niezmiennie nienaganne maniery księcia.

Nawet w tak przestronnym domu jak Radbourne Park dawał się odczuć natłok gości, mimo że córki hrabiny Salisbridge, podobnie jak wiele przybyłych matek i córek, dzieliły pokój. Na szczęście książę Rochford zdecydował, że pozostawi siostrę w Radbourne Park, a sam zatrzyma się u mieszkającego w niedalekiej odległości przyjaciela i będzie konno przyjeżdżał, aby wziąć udział w przewidzianych na każdy dzień atrakcjach. Nawet lady Odelia nie zdołała go przekonać, że z poczucia obowiązku powinien pozostać z rodziną w Radbourne Park.

Lady Calandra - Callie, jak ją nazywali brat i Francesca - stojąca obok Irene, rzuciła jej rozbawione spojrzenie i unosząc wachlarz, powiedziała półgłosem:

- Ciocia Odelia nie domyśla się nawet, że jej obecność jest głównym powodem rejterady Rochforda.

Irene skryła uśmiech.

- Mimo wszystko niedobrze, że musi codziennie odbywać konną przejażdżkę, aby tu dotrzeć.

- Nonsens. Będzie znacznie bardziej zadowolony, niż gdyby tu został. Będzie mógł do woli dyskutować z panem Strethwickiem na te wszystkie nudne tematy, które obaj uwielbiają, jak rośliny, skały i rozmaite istoty o długich łacińskich nazwach. Poza tym pan Strethwick jest uczonym i człowiekiem niepraktycznym w sprawach świata i uważa, że Rochford niewiele się od niego różni... z wyjątkiem umysłu... Rochfordowi bardzo się to podoba, bo ma po dziurki w nosie schlebiana mu jako księciu. Nie twierdzą, że nie lubi być księciem - pospieszyła z wyjaśnieniem - bo to pozwala mu traktować z góry kogoś, kto go obraża, no i zawsze dostaje mu się to, co najlepsze. Myślę jednak, że często czuje się samotny.

Irene spojrzała na nią lekko zdziwiona, ponieważ nigdy dotąd nie spotkała nikogo, kto by sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie i wyniosłego niż książę Rochford.

- Znowu powiedziałam za dużo - sumitowała się Calandra. - Brat byłby niezadowolony, gdyby dowiedział się, że ktoś wie, co on czuje. Szczerze mówiąc, że w ogóle coś czuje... - Spontaniczny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Nie wydam pani - przyrzekła ze udawaną powagą Irene. - Ani nie przestanę go szanować teraz, kiedy wiem, że jest zdolny coś odczuwać.

Irene stwierdziła, że podoba się jej bezpośredniość dziewczyny, po której z racji jej pochodzenia można by się spodziewać raczej wyniosłego sposobu bycia. Czy znalazła się tutaj po to, by wziąć udział w rywalizacji narzeczonych? Zaprowadziła Calandrę do jej pokoju, zaznajamiając ją po drodze z rozrywkami, które Francesca przewidziała na czas pobytu. Potem wróciła do swojego pokoju, by przygotować się do kolacji, do której pozostało niewiele czasu.

Suknia, którą wcześniej wybrała, leżała na łóżku, ale kiedy Irene na nią spojrzała i pomyślała, że zjawi się w jadalni w tak prostym stroju, podczas gdy wszystkie pozostałe panie bez wątpienia wystąpią sztykownie ubrane, wydało jej się to rzeczą nie do zniesienia. Występuje tu tylko w roli pomocnicy swatki, jednak to nie znaczy, że nie może wyglądać dobrze.

Zadzwońska na pokojówkę i poszła do garderoby, gdzie wybrała jedną z nowych sukien: z jedwabiu w kolorze ciemnej zieleni, ryzykownym dla wielu kobiet, ale w jej wypadku świetnie podkreślającym włosy i cerę. Kiedy pokojówka weszła, aprobujący uśmiech rozjaśnił jej twarz na widok kreacji, którą wyjęła z garderoby Irene, i ochoczo zabrała się do wygładzania zagnieceń na materiale. Irene natomiast poszła do pokoju Franceski, aby poprosić Maisie o pomoc w ułożeniu fryzury.

Godzinę później zeszła na dół, czując się pewnie ze świadomością, że nie będzie prezentowała się gorzej niż pozostałe kobiety. Znalazła się w saloniku, w którym gromadzili się goście przed kolacją, i rozejrzała dookoła. Od razu zauważyła Gideona, który stał przy oknie w towarzystwie przyjaciela i panny Surton. Wyglądało na to, że na Piersie spoczywał cały ciężar konwersacji, a piękna blondynka nagradzała go uśmiechami i kokietującymi machnięciami

wachlarza, zaś Gideon milczał z posępną miną. Spojrzał na Irene i przez moment wydawało się, że do niej podejdzie, ale odwrócił wzrok i skupił ponownie uwagę na Piersie i Rowenie Surton.

Francesca dołączyła do Irene i rozglądając się dyskretnie po salonie, zapytała:

- Co sądzisz o kandydatkach?

Irene, raz jeszcze przebiegając wzrokiem po zgromadzonych kobietach, odpowiedziała:

- Myślę, że córki hrabiny Salisbridge są zbyt dumne.

- Och, zapewniam cię, że każda z nich go zaakceptuje - odparła Francesca.

- Nie o to mi chodziło. Obawiam się, że to Gideon ich nie zaakceptuje.

Panna Surton jest zbyt rozkoszna. Co do panny Hurley... - Spojrzała badawczo na pannę pograżoną w ożywionej rozmowie o walorach klaczy rozrodowych z lordem Hurleyem i bratem Roweny Surton.

- Wiem, wiem. - Francesca potrząsnęła domyślnie głową. - Próbowałam odwieść lady Odelię od zapraszania tej damy. Obawiam się, że trzeba być zapalonym jeźdźcem, aby zrobić na niej wrażenie albo by ona zrobiła wrażenie. Lady Odelia jest jej chrzestną i usilnie stara się popchnąć ją w ramiona hrabiego. A co sądzisz o pannie Ferrington?

Irene przyjrzała się jej krótko.

- Nie jest taką piękną jak matka.

- Czy któraś z moich protegowanych znalazła uznanie w twoich oczach?

Nie byłby to zły wybór... Może nie jest skończoną piękną, ale wydaje się znacznie atrakcyjniejsza niż pozostałe, nie sądzisz? Ma też miły sposób bycia.

- Nie uważasz, że jest odrobinę bezbarwna?

Francesca zdusiła uśmiech i kontynuowała:

- Panna Surton jest naprawdę ładna, nawet jeśli niezbyt rozgarnięta. Córki hrabiny Salisbridge też nie należą do nieatrakcyjnych kobiet. Flora wygląda

lepiej niż Marian, ale nie odważyłabym się powiedzieć, że Marian źle się prezentuje. Poza tym Radbourne nie szuka miłości w małżeństwie.

- To akurat prawda - przyznała cierpkim tonem Irene. - Nie znajdzie jej u tych dwóch.

- Deprecjonujesz je wszystkie! Można by pomyśleć, że jesteś zazdrosna - powiedziała tonem niewiniątka Francesca.

- Zazdrosna? - Irene spojrzała na nią, unosząc wysoko brwi. - Zupełnie nie rozumiem, na jakiej podstawie wysnułaś taki wniosek.

- Nie powzięłaś pewnej... skłonności, może tak to określimy... do Radbourne'a?

- Nie powzięłam żadnej skłonności ani w ogóle czegokolwiek względem hrabiego - oświadczyła Irene. - Bardzo się mylisz.

- Ach tak. To dlatego, że jak zauważyłam, Radbourne bardzo polubił twoje towarzystwo.

- Biorąc pod uwagę, że reszta tu zgromadzonych to jego rodzina, za którą nie przepada, nie przywiązywałabym do tego wielkiej wagi.

- A ty? - zapytała Francesca. - Jakie są twoje uczucia?

Irene już otwierała usta, by ostro odpowiedzieć, że żadne, ale spojrzała na przyjaciółkę i z pewnym ociąganiem wyznała:

- Nie wiem, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia, ponieważ nie zamierzamy zawrzeć małżeństwa. Znasz zresztą moje poglądy, a Radbourne proponuje taki związek, który zupełnie mnie nie interesuje. Tak że naprawdę nie robi różnicy, co ja czuję.

- Nie robi? - spytała łagodnie Francesca.

- Nie - odparła stanowczo Irene. - Jestem tu po to, by pomóc wyszukać żonę dla Radbourne'a. Nie jestem odpowiednią kandydatką. Z pewnością w końcu to do niego dotrze.

- Rozumiem - powiedziała Francesca, patrząc na nią przenikliwie. - Chętnie skorzystam z twojej pomocy. Wszystkim, oprócz matek, które wolą zostać w

domu, spodobał się pomysł jutrzejszej przejażdżki po majątku. Tak więc trzeba będzie zająć się czterema mężczyznami i sześcioma młodymi kobietami. Obawiam się, że na lordzie Hurleyu nie można pod tym względem polegać. Będę ci bardzo zobowiązana, jeśli się nimi zaopiekujesz.

- Ależ oczywiście - zgodziła się Irene. - Zamierzałam ci to zaproponować.

Patrzyła, jak do Gideona, Piersa i Roweny Surton podchodzi lady Pansy, prowadząc hrabinę Salisbridge i jej córki. Gideon natychmiast zwrócił się ku nim, składając perfekcyjny ukłon. Konwersacja nie toczyła się zbyt żywo, ale podtrzymywał ją i nawet jeśli na jego twarzy nie gościł wyraz zainteresowania, nie sprawiał również wrażenia, jakby miał czmychnąć lada chwila, nawet wtedy gdy Piers oddalił się dyskretnie.

Wyraźnie zdobył się na pewien wysiłek, pomyślała Irene. Próbował poznać wybrane przez Francescę kandydatki - pierwszy krok do wyboru żony. Tym razem nie zignorowała lekkiego ukłucia w sercu, które poczuła na tę myśl.

Czyżby Francesca miała rację? Jest zazdrosna o te kobiety i względy, jakie im okazywał? Nie, to idiotyczne.

- Lady Calandra - zwróciła się Irene do Franceski, a słowa ledwo przeszły jej przez gardło.

- Proszę?

- Chciałam powiedzieć, że siostra księcia jest atrakcyjną osobą o przyjemnym sposobie bycia, wcale nie bezbarwną czy nudną. Jestem pewna, że Radbourne ją zaakceptuje.

- Och, Callie! - Francesca machnęła dłonią. - Nie przyjechała tu dla hrabiego. Zawrze małżeństwo, jakie będzie chciała, nie ma najmniejszego powodu, a by było inaczej. Ma fantastyczny posag i jest siostrą księcia. A Rochford z pewnością nie będzie na nią i uciskał. Jest jego oczkiem w głowie, wszyscy o tym wiedzą, niezależnie od tego, jak bardzo stara się udawać, że jej nie pობlęża.

Irene zrobiło się lżej na sercu.

- Sądzisz, że nie zwróci uwagi na Radbourne'a?

- Nie bardzo w to wierzę. Oczywiście zawsze istnieje taka możliwość, niczego nie można wykluczyć, uważam jednak, że jest dla niej zbyt... mrukliwy. Poza tym łączy ich pokrewieństwo, co prawda nie pierwszego stopnia. Myślę, że nie bierze go pod uwagę jako kandydata na męża. Zaprosiłam ją i Rochforda, bo są spowinowaceni z Gideonem, poza tym myślałam, że dzięki ich obecności wszystko będzie wyglądało nieco normalniej, nie jak... cóż, nie tak, jak jest.

- Ach tak. - Irene z trudem powstrzymała uśmiech. - Szkoda.

- Tak, szkoda - przyznała sucho Francesca, a potem przysunęła się do Irene i dodała cichym głosem: - Moja droga, obawiam się, że łatwiej przychodzi ci okłamywać samą siebie niż innych.

Uśmiechnęła się pogodnie i odeszła.

Rozdział piętnasty

Irene nie okłamywała się co do uczuć, jakie żywi wobec Gideona. Zdawała sobie sprawę, że jest niebezpiecznie bliska zakochania się w hrabim, chociaż wiedziała, że to nie ma prawa się zdarzyć. Nic zamierza, kierując się sercem, powziąć głupiej decyzji i pójść w ślady niezliczonych poprzedniczek.

Zgodnie z tym postanowieniem, sumiennie wypełniła swoją rolę oraz wszystkie zadania zlecone jej przez Francescę. Pierwszego dnia jeździła konno po posiadłości z zaproszonymi młodymi ludźmi, ale starała się nie zbliżać do Gideona i z nim nie rozmawiać. Obserwowała, jak jedzie przy boku jednej młodej kobiety, potem następnej, jak rozmawia z każdą z nich, nawet - zdawało jej się tylko czy naprawdę? - flirtuje z Norah Ferrington.

Jeszcze tego wieczoru w salonie po kolacji obserwowała go wymieniającego uwagi z dziewczętami, słuchającego cierpliwie i bez przymusu na twarzy, jak grają na fortepianie lub śpiewają. Staął nawet obok Marian

Salisbridge, aby przewracać nuty. Następnego dnia podczas gry w tenisa w ciepłe popołudnie widziała, jak poświęca uwagę każdej młodej panie po kolei.

Irene zdumiało, że Gideon dokłada takich starań, aby poznać kandydatki wybrane przez Francescę i cioteczną babkę. Najwyraźniej przyjął do wiadomości jej odmowę i postanowił skupić się na tych, które były bardziej chętne go poślubić niż ona. Nie szukał kontaktu z Irene, nie porozmawiał z nią, nie zaprosił do tańca, gdy dziewczęta ubłagały Pansy i Odelię, aby zwinąć dywan w pokoju muzycznym i zaaranżować naprędce wieczorek taneczny. Pierś poprosił, by wolno mu było towarzyszyć Irene przez pewien czas, rozmawiał z nią stryj Gideona, Jasper, pan Surton, nawet lord Hurley, ale Gideon trzymał się od niej z daleka.

Zostało to zauważone przez innych, z czego Irene zdała sobie sprawę, kiedy obserwując pary wywijające ochoczo w szybkim ludowym tańcu, została zniecka zaatakowana przez lady Teresę.

- Niestale stworzenia z tych mężczyzn, co? - zapytała.

- Nie rozumiem, co pani ma na myśli - odparła chłodno Irene.

- Nie? Skoro życzy pani sobie udawać, że nie zamierzała go usidlić, proszę bardzo, nie mnie zaprzeczać. - Zrobiła krótką pauzę i dodała: - Dobrze dla pani, że go nie złowiła. Żadna nie zdobędzie jego serca. Ma kochankę w Londynie, kobietę niskiego stanu, w której jest zadurzony.

- Co?! - wyrwało się Irene. W tym momencie zdała sobie sprawę z tego, że zdradziła się przed nią ze swoimi uczuciami. Przybrała obojętny wyraz twarzy i stwierdziła najbardziej beznamiętnym tonem, na jaki było ją stać: - Wielu mężczyzn ma kochanki, zwłaszcza gdy są jeszcze kawalerami.

- Tyle że on zamierza ją zatrzymać. Ma na imię Dora. Słyszałam, jak kłócił się o nią z lady Odelią. Powiedział, że nigdy nie opuści Dory.

Irene zdumiało intensywne uczucie przykrości, jakie wzbudziła w niej ta wiadomość. Dora. Lata upłynęły, ale pamiętała to imię. Wypowiedział je Gideon tego dnia, gdy po raz pierwszy go zobaczyła. Kiedy ostrzegał ojca, aby

trzymał się od niej z daleka. Kobieta, którą kochał tak bardzo, że ryzykował dla niej napaść na stojącego wysoko w hierarchii społecznej arystokratę. Tyle lat po tamtym wydarzeniu wciąż jest jego kochanką. To ona zdobyła jego miłość - dziewczyna, którą pojmie za żonę, nie zdoła tego dokonać.

- Naprawdę? - odezwała się wreszcie, starając się, aby jej głos był pozbawiony emocji. - Zdaje się, że ma ten sam problem, co jego ojciec. Zamierza zawrzeć małżeństwo, nie zważając na to, że wciąż jest związany z inną kobietą.

Teresa posłała Irene wrogie spojrzenie, odwróciła się i odeszła, a Irene poczuła, że ogarnia ją poczucie winy. Niepotrzebnie to powiedziała. Nie powinna być tak bezduszna, mimo że Teresa ją sprowokowała. Zupełnie nie była przygotowana na ból, jaki sprawiła jej wiadomość, że Gideon kocha inną kobietę. Uderzyła na oślep, nie zastanawiając się nad tym, jak głęboko jej słowa zranią.

Czy Teresa mówiła prawdę? Czy chciała tylko dokuczyć Irene i zasiał niezgodę między nią a Gideonem? Francesca twierdziła, że Teresa zrobi wszystko, aby Gideon nie poślubił Irene, bo wówczas jej syn odziedziczy tytuł. Przecież Teresa widziała, że Gideon już się do Irene nie zaleca, że tańczy z innymi dziewczętami, im asystuje... Nie miała po co wymyślać takiej historii. Oczywiście mogła powodować nią złość wynikająca z sytuacji w rodzinie, ale dalej nie był to powód do fabrykowania takich opowieści...

Jednak słowa, które miał wypowiedzieć Gideon do lady Odellii, rzeczywiście do niego pasowały, a Teresa nie wymyśliłaby imienia ani nie poznała go jakimś zbiegiem okoliczności. Dora. Rzucił to imię lordowi Wyngate'owi w twarz, przestrzegając go, aby nigdy więcej nie odważył się jej tknąć. Powiedział Irene, że zaatakował jej ojca, ponieważ chronił krupierkę trzymającą bank w bakaracie. Ale czy wpadłby w taką furję, gdyby nie żywił do niej głębszych uczuć?

Wyjaśniałoby to też jego niechęć do szukania żony, którą potrafiłby pokochać. Jeśli miłością jego życia jest kobieta, której nie mógł poślubić ze względu na swoją świeżo zdobytą pozycję, to nic dziwnego, że dążył do zawarcia małżeństwa z rozsądku i zamierzał utrzymywać kochankę w Londynie.

Irene poczuła, że kręci się jej w głowie. Całował ją w taki sposób, chociaż wiedział, że nie tylko nic do niej nie czuje, ale jest zakochany w innej kobiecie? Od początku zdawała sobie sprawę, że on jej nie kocha, że między nimi zrodziło się jedynie pożądanie... Żadnej czułości, tylko pospolita cielesna żądza popchnęła go, by wziąć ją w ramiona.

Rozejrzała się z lekka nieprzytomnie po sali muzycznej. Wszyscy obserwowali tańczących, wśród których był także Gideon. Na nią nikt nie patrzył. Nikt nie zauważył, że zniknęła. A już na pewno nie on.

Odwróciła się i wyszła do holu. Zawahała się, zastanawiając, czy nie pójść do swojego pokoju, ale przy tym rozdrażnieniu, które ją ogarnęło, byłoby to bez sensu. Przeszła szybko przez hol i dalej korytarzem do tylnych drzwi, prowadzących na taras. Przystanęła na moment, by głęboko odetchnąć.

W końcu zeszła po schodach do ogrodu. Było zimnawo, ale wieczorne powietrze przyjemnie chłodziło rozpalone policzki i nie chciało się jej wracać po szal. Nie zostanie zresztą długo, bo światło księżycy jest zbyt skąpe, aby wypuszczać się w dalszą część ogrodu, gdzie wysokie drzewa i żywopłot skutecznie zacieniały drogę. Poszła główną ścieżką do miejsca, gdzie rozdzielała się przy fontannie, i tu przystanęła, wpatrzona w rozpryskującą się wodę.

- Irene.

Odwróciła się gwałtownie, serce biło jej w piersi jak szalone. Gideon stał o kilka kroków za nią. Szum wody spływającej w fontannie musiał zagłuszyć jego kroki. Wyprostowała się i uniosła nieco głowę. Niech sobie nie myśli, że rozpacza z żalu po nim.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytał. - Zauważyłem, że wychodzisz.

- Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza - oświadczyła swobodnym tonem. - Zrobiło się zbyt gorąco.

Zabrzmiałoby to może bardziej przekonująco, gdyby nie zadrżała mimowolnie od chłodnego powiewu wiatru.

- Za to teraz ci zimno. - Zdjął frak i zarzucił go jej na ramiona.

Frak był ciepły od ciała Gideona i nim pachniał. Irene zacisnęła dłonie na jego wyłogach, czując napływające do oczu łzy. Boże, co się z nią dzieje? Przez cały wieczór arogancko ją ignorował, a teraz jeden czulszy gest z jego strony i gotowa się rozplakać! Przecież nie jestem taką kobietą, musiała sobie przypomnieć.

A jednak marzy o tym, by przytulić się do Gideona, oprzeć mu głowę na piersi. Jego bliskość działa na nią odurzająco, a ciepło bijące od jego ciała budzi w niej pragnienie, by ogarnął ją ramionami. Jego zapach rozpala w niej pożądanie. Co z tego?! Nie wolno jej okazać słabości.

- Zdaje się, że tańce sprawiły ci dużą przyjemność - powiedziała.

- Wolałbym raczej... - zaczął i w tym samym momencie rozległo się z tarasu:

- Gideonie!

Odwrócili się oboje i zobaczyli stryja Jaspera, który podchodził do nich szybkim krokiem.

- Och, proszę mi wybaczyć, lady Irene. Nie dostrzegłem, że pani tu stoi.

- Ależ nic się nie stało. Wysłałem z pokoju muzycznego i Gi... hrabia Radbourne poszedł za mną upewnić się, czy dobrze się czuję.

- A jak się pani czuje? - zapytał Jasper, dając kilka ostatnich kroków, które ich dzieliły.

- Bardzo dobrze. - Irene zmusiła się do uśmiechu, mając nadzieję, że wyglądało to w miarę naturalnie, choć czuła się wyjątkowo niezręcznie. - Chciałam się przejść, ale nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się tak chłodno.

- Muszę z tobą porozmawiać - zwrócił się Jasper do bratanka. - Próbowałem cały wieczór, ale nigdy nie byłeś sam.

- Zechcą panowie wybaczyć - wtrąciła pośpiesznie Irene. - Zostawię panów samych, tak byście mogli swobodnie porozmawiać.

- Och, nie, proszę, milady. Nie chciałem, żeby zabrzmiało to niegrzecznie - powiedział lekko zmieszany Jasper. - Proszę zostać. Zresztą już podniosłem przy pani ten temat.

Irene zrozumiała, że stryj Gideona robi aluzję do feralnego popołudnia dwa dni temu, kiedy ona i Francesca mimo woli stały się świadkami kłótni z lady Pansy.

- O lady Selenie?

- Tak.

Gideon zeszywniał i Irene pomyślała, że zaraz znajdzie jakiś pretekst, aby uniknąć tej rozmowy.

- Proszę, zostańcie - zwrócił się Jasper do obojga. - To ważne i chciałbym, abyście to usłyszeli oboje. Obawiam się, że zostałeś wprowadzony w błąd co do swojej matki, Gideonie.

- Tak, wiem. Mój ojciec udawał, że ją porwano.

- Chodzi o jej ucieczkę. Nigdy by tego nie zrobiła. Przysięgam ci. Kiedy lady Pansy mi o tym powiedziała, od razu zrozumiałem, że coś jest nie tak. Selena nigdy by nie uciekła.

- Dlaczego tak mówisz? Co to ma znaczyć? - dopytywał się Gideon. - Co innego mogło się wydarzyć?

- Nie wiem - odparł Jasper. - Tego, że nie uciekłyby z kochankiem, jestem pewien. Nie mogę pozwolić, żebyś tak myślał o swojej matce. Była cudowną kobietą, dobrą i szlachetną.

- Struju... - Twarz Gideona zmiękła, uspokajającym gestem dotknął ramienia starszego mężczyzny. - Zdaję sobie sprawę, że bardzo szanowałeś

moją matkę. Z pewnością była taką kobietą w czasach, gdy ją znałeś. Ale wyjechałeś i nie możesz wiedzieć, co potem robiła ani jak mogła się zmienić.

- Nie traktuj mnie pobłaźliwie, nie uspokajaj mnie! - zachnął się Jasper. - Na litość boską! To naprawdę ważne. Nie jestem sklerotycznym starym głupcem. Byłeś dla niej najważniejszą istotą na świecie. Nigdy nie oderwałaby cię od rodzinnego domu, nigdy by cię nie zostawiła.

- Może tego nie zrobiła - podsunęła Irene. - Kochanek mógł ją porzucić, mogła umrzeć, zostawiając syna w Londynie, i w rezultacie nikt nie orientował się, kim on jest.

- Nie miała kochanka - stwierdził z irytacją Jasper. - Nie rozdzieliłaby Gideona z Cecilem, nie pozbawiła go dziedzictwa. Więcej, nie zostawiłaby tutaj Gideona, żeby samej uciec.

- Nie możesz być tego pewien...

- Mogę - przerwał mu Jasper z twarzą ściągniętą bólem. - Błagałem ją, by ze mną uciekła, a ona mi odmówiła.

Po tych słowach zapanowało milczenie.

- Mój Boże... - szepnęła Irene i usiadła na kamiennym obramowaniu fontanny.

- Ty... - Gideon urwał i wpatrzył się w wuja.

- Kochałem ją - wyjął Jasper i opadł ciężko na kamienne obramowanie obok Irene. - Boże, wybacz mi, kochałem ją. Zdradziłem brata. Zaprzepąściłem honor.

- Do diabła. - Gideon odwrócił się twarzą do ogrodu.

- Oszalałem dla niej - mówił stłumionym głosem Jasper. - Błagałem, i to nie raz, a wielokrotnie, aby zostawiła Cecila i uciekła ze mną. Przekonywałem, że nikt by nas nie znalazł w Ameryce lub w koloniach. Nie dbałem o to, że porzucę rodzinę, wyrzeknę się tytułu. Nic dla mnie nie było ważne oprócz niej. Była taka piękna, czarująca, delikatna... Ale z pewnością nie macie ochoty wysłuchiwać wynurzeń starego mężczyzny. - Wstał i odwrócił się do Gideona. -

Wiem, że nie uciekłyby. Powiedziała mi, że nigdy by ci tego nie zrobiła, że twoje miejsce jest w Radbourne Park. Któregoś dnia zostaniesz hrabią i ona nigdy by cię tego nie pozbawiła. Ani nie byłaby w stanie cię opuścić. Została więc z Cecilem. Bez miłości, bez nadziei... dla ciebie.

- To dlatego wstąpił pan do armii? - zapytała Irene.

- Tak - odparł Jasper. - Byłem w rozpaczy. Nie mogłem zostać tutaj, kochając ją tak szaleńczo, i patrzeć, jak wypełnia rolę jego żony. Cecil nie był wart jednej jej łzy. Znienawidziłem go, bo należała do niego, i dlatego, że jej nie doceniał. Bałem się, że jeśli zostanę w Radbourne Park, któregoś dnia go zabiję, aby ją od niego uwolnić. Kupiłem więc patent oficerski i wstąpiłem do pułku w Indiach. Chciałem znaleźć się jak najdalej stąd, tak żebym nie mógł wrócić nawet na urlop. - Westchnął i przeciągnął dłonią po twarzy. - Gdybym nie był takim słabym człowiekiem, nie działał tak impulsywnie... Gdybym tu został, nic by się nie stało.

- Nie może pan się obwiniać - zauważyła ze współczuciem Irene. - Skąd pan miał wiedzieć, że w ogóle coś może się wydarzyć.

- Wyjechałem, bo jestem słabym człowiekiem - powtórzył z przekonaniem. Oczy miał pełne żalu i Irene wiedziała, że Jasper nie wybaczy sobie do końca życia. - Bóg jeden wie, co naprawdę się z nią stało.

- A co naprawdę z nią się stało? - zapytał Gideon.

- Nie mam pojęcia, ale jestem pewien, że Selena nie odeszła z własnej woli.

Następnego ranka Irene zeszła na śniadanie nieco blada, ale zupełnie spokojna i nic nie zdradzało, że spędziła niemal bezsenłą noc. Poprzedniego wieczoru po rozmowie przy fontannie od razu wrócili do domu i Irene poszła prosto do swojego pokoju.

Nie mogła zasnąć długo w noc, w głowie kłębiły jej się myśli, targały nią emocje. Wciąż rozmyślała o matce Gideona, samotnej, kochającej mężczyznę, który wyjechał daleko. Co się z nią stało? Wyobrażenia podsuwała jej

przeróżające obrazy. Kiedy wreszcie zasnęła, śniły jej się koszmary, budziła się parę razy raptownie, zrana potem.

Nad ranem przebudziła się cała drżąca, a gdy zobaczyła przenikający do pokoju przez szczelinę w zasłonie promień wschodzącego słońca, pomyślała, że już nie zaśnie. Zadzwoiła na pokojówkę, ubrała się i zeszła do jadalni. Przynajmniej taka korzyść, że zje śniadanie sama.

Nie była sama. Gideon podniósł głowę, słysząc odgłos otwieranych drzwi.

- Irene. - Zerwał się ze swojego miejsca.

- Hrabio. - Zawahała się, ale podeszła do krzesła, które uprzejmie dla niej odsunął, i usiadła, przysięgając sobie, że będzie się zachowywać w najbardziej naturalny sposób. - Nie będziemy mieli zbyt licznego towarzystwa, jak widzę.

- Tak, jest jeszcze wcześniej i chyba wszystkich zmęczyły wczorajsze tańce.

Lokaj podszedł do niej z nakryciem i przez następnych kilka minut Irene była zajęta nakładaniem sobie i jedzeniem. Gideon skończył już śniadanie, ale choć służący sprzątnął jego talerz, nie wstał od stołu. Siedział dalej, popijając herbatę. Irene czuła na sobie jego wzrok i usilnie starała się skoncentrować na tym, co miała na talerzu. Czuła się coraz mniej komfortowo. I tak już panowało między nimi zbyt duże napięcie, a teraz sprawę pogorszyły wczorajsze wyznania jego stryja. W końcu milczenie stało się nie do zniesienia. Irene odłożyła widelec i spojrzała na Gideona.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała po prostu.

- Z czym?

Nie kryła zniecierpliwienia:

- Z tym, co powiedział wczoraj twój stryj. Czy ty też... czy nie zastanawiałeś się nad tym?

- Rozmawialiśmy wczoraj ze stryjem jeszcze długo - przyznał. - Już jakiś czas temu dowiedziałem się od gospodyni, że osobisty pokojowiec ojca wciąż mieszka w osadzie. Myślałem nawet, żeby z nim porozmawiać, ale... - Wzruszył ramionami. - Uznałem, że niewiele to da, i zwlekałem. Teraz jednak...

powinienem chyba dowiedzieć się tyle, ile tylko można. Stryj powiedział mi, że osobista pokojówka mojej matki również mieszka gdzieś w pobliżu. Zamierzam odwiedzić ich oboje i byłbym bardzo zobowiązany, gdybyś mogła mi towarzyszyć.

- Z chęcią - odparła bez namysłu Irene. - Czy nie wolałbyś, żeby wybrał się z tobą pan Aldenham?

- Nie mówiłem nic na ten temat Piersowi. Jesteśmy przyjaciółmi, lecz o takich sprawach nie rozmawiamy.

- Kiedy chciałbyś pojechać?

- Jeśli skończyłaś śniadanie, możemy od razu. Każę sprowadzić powóz.

Irene nawet przez moment nie zastanawiała się ani też nie zamierzała czekać na Francescę, aby zapytać, czy nie będzie jej potrzebna. Skinęła głową i poszła do pokoju po czepek, rękawiczki i lekką peliszkę, aby zarzucić ją na ramiona. Kiedy ponownie zeszła na dół, zastała powóz przed frontowymi drzwiami i Gideona stojącego w pogotowiu, by pomóc jej wsiąść.

Ledwie znalazła się z nim w powozie, znów poczuła dyskomfort. Szukała w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć, a co nie zabrzmiałoby sztucznie. Jednak była skupiona jedynie na bliskości Gideona. W końcu odezwała się niezręcznie:

- Bardzo wytrwale starałeś się poznać te wszystkie młode damy.

- Tak. - Spojrzał na nią i zaraz odwrócił wzrok do okna, jego twarz miała nieprzenikniony wyraz. - Z każdą z nich rozmawiałem i z każdą zatańczyłem.

- Widziałam.

- Mam nadzieję, że oceniłaś moje starania jako przyzwoite.

- Ależ tak - zapewniła zadowolona, że jej głos brzmi spokojnie. - Radziłeś sobie bardzo dobrze.

Ona też zaczęła wyglądać przez okno i żadne z nich nie przerwało milczenia, które zapadło po tym stwierdzeniu. Kilka minut później dotarli do

pierwszych domów osady. Zjechali z głównej drogi i kręta aleja doprowadziła ich do niewielkiego domu z muru pruskiego.

Pokojówka w schludnej szarej sukni i białym czepku otworzyła im drzwi i dygnawszy, wprowadziła do frontowego saloniku. Zostawiła ich tam i po chwili usłyszeli ją wołającą przez okno na tyłach domu:

- Panie Owenby, ma pan gości!

Nie czekali długo. W drzwiach pojawił się stary człowiek, jego spojrzenie padło na Gideona, potem na Irene. Nie był wysoki, ale mocno zbudowany, wciąż jeszcze krzepki, siwe włosy miał bardzo krótko przycięte. Był ubrany w szarą kurtkę, ciemne luźne spodnie i prostą koszulę bez kołnierzyka - strój wskazujący na to, że pracował w ogrodzie. Na jego czole wciąż perlily się kropelki potu. Skłonił głowę przed Gideonem.

- Milordzie.

- Pan Owenby? - zapytał Gideon.

- Proszę mi mówić Owenby. Tak zawsze zwracał się do mnie pan hrabia.

- Mój ojciec?

- Tak.

Gideon przedstawił Irene, a Owenby wskazał zapraszającym gestem na krzesła ustawione przy kominku.

- Proszę usiąść. Czy wolno mi zaproponować filiżankę herbaty? Może wody?

- Nie, dziękuję. Przyszliśmy zapytać o wydarzenia tej nocy, kiedy moja matka i ja... opuściliśmy Radbourne Park.

- Dobrze, proszę pana. W tę noc, kiedy doszło do porwania.

- Czy właśnie to się wydarzyło?

- Oczywiście, milordzie. - Rzucił spojrzenie na Irene. - Hrabia Radbourne otrzymał wiadomość z żądaniem oddania naszyjnika i wręczył mi go zapakowany w woreczek z aksamitu. Wziąłem go i zostawiłem pod ławką w

kościelnie, a potem poszedłem pod dąb. Czekałem, tyle że nikt pana nie przyprowadził.

- Owenby, nie ma sensu udawać - rzekł wprost Gideon. - Babcia poinformowała mnie, że ta historia z porwaniem to blef. Że ojciec wymyślił ją po to, by ukryć prawdę.

- Ach tak. A co dokładnie powiedziała?

- Przyszedłem po to, żeby usłyszeć twoją wersję wydarzeń - oświadczył stanowczo Gideon.

- Hrabia Radbourne wszedł do apartamentów żony i stwierdził, że jej nie ma. Pomyślał, że zeszła na dół, ale tam też jej nie znalazł. Z początku nie przejął się tym. Sprawdził, czy nie ma jej gdzieś w pobliżu domu, a potem, czy nie wybrała się na spacer po ogrodzie. Pytał służących, ale jej nie widzieli. Wreszcie zjawiała się guwernantka i odchodząc od zmysłów, zawodziła, że panicz zniknął. Wtedy już wszyscy domownicy zaczęli gorączkowe poszukiwania. Dopiero po jakimś czasie jego lordowska mość znalazł w gabinecie list, który żona mu zostawiła.

- Czy ty go widziałeś? - zapytał Gideon.

- Ja, panie? Nie. Jego lordowska mość nie miał zwyczaju pokazywania mi prywatnych listów. Poinformował mnie, że uciekła. Zabrała pana i odeszła z jakimś mężczyzną. - Wydął pogardliwie wargi. - Wcale mnie to nie zaskoczyło.

- Dlaczego nie? - zapytała Irene, zdumiona wzgardliwym tonem Owenby'ego.

Stary człowiek ledwie raczył na nią spojrzeć.

- Dobrze wiedziałem, jakiego rodzaju jest kobietą... błagam o wyrozumiałość, panie. Wszyscy to dostrzegali, z wyjątkiem jego lordowskiej mości.

Irene pomyślała, że rozbieżność opinii pokojowca i stryja Gideona o lady Selenie jest zadziwiająca. Zastanawiające było też to, że Owenby w ogóle ją wyraził - prawie nie zdarzało się, by oddany sługa pozwalał sobie na mówienie

źle o żonie chlebowodawcy, a już na pewno nie w obecności jego syna. Niechęć Owenby'ego do hrabiny musiała być głęboka.

- Co zrobił mój ojciec po przeczytaniu listu? - spytał Gideon.

- Posłał mnie w ślad za nimi - odparł Owenby. - Nie był człowiekiem, który pozwoliłby żonie tak sobie odejść, przynajmniej nie od razu. Nikogo nie poinformował o tym, co się zdarzyło. Wsiadłem na konia i pojechałem do wsi. Jego lordowska mość udał się w przeciwnym kierunku. - Wzruszył ramionami. - Nie spotkaliśmy nikogo, kto widziałby kobietę z dzieckiem, podróżujących w towarzystwie mężczyzny czy samych.

- Czy wzięła konie ze stajni? Jak uciekła?

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Pan hrabia wypytał koniuszego, ale ten zaprzeczył, by brakowało jakichś koni. Domyślam się, że zabrała dziecko i wymknęła się z domu do drogi, gdzie spotkała się z kochankiem. Pewnie czekał tam na nią z powozem lub końmi.

- Jak długo hrabia Cecil szukał żony?

- Nie szukał poza tym pierwszym rankiem. Uznał, że zrozumie swój błąd i wróci. Ale musiał coś powiedzieć służbie i sąsiadom, wymyślił więc bajeczkę o porwaniu. Założył, że nikt nie będzie zastanawiał się nad jej nieobecnością przez kilka dni. Tyle że pani hrabina nie wróciła. Nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości. Tydzień później, może więcej, posłał mnie w ślad za nią, ale na nic się to zdało. Ślad wystygł. Nigdzie jej nie widziano, a musiałem też wypytywać ostrożnie, żeby nikt się nie zorientował. Szukałem również w miastach portowych, pytałem w dokach. Nikt nie pamiętał kobiety z dzieckiem ani małżeństwa z dzieckiem o takim wyglądzie, jak opisywałem.

- I co potem?

- Wróciłem. A co jeszcze mogłem zrobić? Postarali się dobrze zatrzeć ślady. Nie było sposobu dowiedzieć się, gdzie się skierowali. Potem hrabia Radbourne najął kogoś, żeby szukał na kontynencie, ale też na nic nie natrafił. - Zacisnął usta. - Jego lordowska mość już nigdy potem nie wrócił do siebie.

- Pozostałeś na służbie u ojca?
- Oczywiście. Aż do śmierci. Podawałem mu lekarstwa, karmiłem, chociaż niewiele już mógł zjeść. Hrabia Cecil był dobrym człowiekiem. I dobrym panem.
- Niezbyt dobrym ojcem - zauważyła Irene.
- Z całym szacunkiem, panienko, ale nie znała go pani - zaprotestował Owenby, rzucając jej karcące spojrzenie. - Ani jej. Zniszczyła go. Zasługiwał na kogoś lepszego niż... - Zerknął na Gideona i powstrzymując się od wypowiedzenia obelżywego określenia, dokończył: - Ta kobieta.
- Wydawałoby się naturalne, że ojciec podjąłby większy wysiłek, aby odnaleźć syna - nie ustępowała Irene.
- Myślał, że będzie mu dobrze z matką - odparł Owenby. - Jak mógł przypuszczać, że zostawi dziecko w mieście, żeby radziło sobie samo?
- Skąd wiesz, że tak zrobiła?
- Jak to? Co pan ma na myśli?
- Skąd wiesz, że zostawiła mnie w Londynie?
- Tak przypuszczam. Tam pana znaleźli... Krążą pogłoski, że księżę znalazł pana w jakiejś otchłani hazardu i poznał, że to pan.
- Trochę ubarwione. Prawda jest taka, że żyłem w Londynie.
- A czy pamięta pan coś? - zapytał Owenby. - O swojej matce albo jak pan trafił do Londynu?
- Nie, nic. Bardzo chciałbym odkryć, co naprawdę się wydarzyło.
- Żałuję, że nie potrafię panu pomóc, milordzie. Powiedziałem wszystko, co wiem.
- Ojciec nigdy nie dostał od niej żadnej wiadomości? Żadnego listu? Czy ktoś ją jeszcze kiedyś widział?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Nic więcej nie zdołali wyciągnąć od Owenby'ego, choć Gideon zadał mu jeszcze kilka pytań. Uparcie odpowiadał tak samo: powiedział wszystko, co wie.

Lady Selena uciekła z kochankiem, zabierając ze sobą syna. W końcu Gideon skinął głową i pożegnał się, a potem on i Irene wyszli.

- Udzielał niezwykle zwięzłych odpowiedzi - zauważyła Irene, gdy znaleźli się w powozie i odjechali kawałek od domu pokojowca.

- Tak jakby pilnował się, aby nie wdawać się w szczegóły - dodał Gideon. - Odniosłem wrażenie, że wie dużo więcej, niż wyjawiał.

Rozdział szesnasty

Irene spojrzała na Gideona.

- To zabrzmiało prawie złowieszczo...

- Sam nie wiem. Może nic się za tym nie kryje, ale... Najwyraźniej Owenby ma złą opinię o mojej matce.

- Całkiem przeciwną niż lord Jasper.

- Właśnie. Która jest prawdziwa? - zastanawiał się Gideon. - Oddana matka, słodka, czarująca kobieta, jaką odmalował stryj, czy nielojalna, rozpustna ladacznica, jak twierdzi Owenby.

Irene impulsywnie położyła rękę na ramieniu Gideona, chcąc dodać mu otuchy.

- Prawda leży zapewne pośrodku. Sądzę jednak, że to lord Jasper ma więcej racji. Owenby bez wątpienia przesadza, powodowany oddaniem dla twojego ojca i lojalnością.

Gideon uśmiechnął się do Irene, nakrywając jej dłoń swoją dłonią.

- Dziękuję ci za twoją wielkoduszność, ale nie dotknęło mnie to, co mówił. Jakakolwiek była moja matka, zupełnie jej nie pamiętam. Wolałbym oczywiście, aby nie okazała się niegodziwą, wyrachowaną kobietą, ale jeśli taka ma być prawda, niczego to nie zmieni w moim życiu. Natomiast uderzyło mnie to, co mówił Owenby. Służył mojemu ojcu od czasu, gdy skończył on Eton i wrócił do domu. Na mocy zapisu w testamencie dostał pokaźną sumkę jako

wynagrodzenie za lata wiernej służby. Niemniej służba na ogół boi się jak ognia wyrażania źle o swoich pracodawcach. A ludzie, niezależnie od pozycji społecznej, zwykle unikają wypowiedania się źle o matce w obecności jej syna.

- Tak. Był niegrzeczny w stopniu, jakiego bym się po osobistym pokojowcu nie spodziewała - przyznała.

- Druga rzecz, która mnie uderzyła, to że nie okazał cienia radości na mój widok. - Spojrzał na nią. - Czy ty też odniosłaś takie wrażenie?

- Nie był wylewny - zgodziła się Irene. - Z drugiej strony, chyba nie należy do ludzi okazujących uczucia. Prawdopodobnie nie stykał się z tobą zbyt często, bo dzieci większość czasu spędzają w pokoju dziecięcym.

- To prawda. - Gideon skinął głową.

- Gdybyś dorastał w Radbourne Park, pewnie lepiej by cię pamiętał i zachował dla ciebie cieplejsze uczucia.

Gideon spojrzał na nią, kącki ust drgnęły mu w półuśmiechu.

- Irene, czy próbujesz łać balsam na moją zranioną duszę?

Uniosła brwi i powiedziała z przekąsem:

- Skoro tak martwi cię fakt, że nie okazał entuzjazmu na twój widok...

- Dziękuję za troskę. - Gideon skłonił głowę, a jego głos tym razem brzmiał poważnie.

Irene zrobiło się ciepło na sercu. Na moment znikł dystans, znów stali się sobie bliscy.

- Nie uraziły mnie jego manieri ani to, co powiedział - kontynuował. - Wydało mi się to tylko dziwne. Skoro był tak oddany mojemu ojcu, można było oczekiwać, że okaże ulgę czy odrobinę radości na wieść, że syn jego pana został po tylu latach odnaleziony, cały i w dobrym zdrowiu. Spodziewałbym się, że oddany stary sługa rodziny będzie bardziej... - Urwał i wzruszył ramionami.

- Och, paniczku Gideon, Bogu niech będą dzięki, że zwrócił nam pana po tylu latach. Coś takiego? - zasugerowała żartobliwie.

- Właśnie - odparł, uśmiechając się. - Pewnie nie zwróciłaś na to uwagi, ale ilekroć na mnie spojrzał, w jego wzroku widziałem cień lekceważenia. - Umilkł i po chwili zapytał: - Uważasz, że jestem przewrażliwiony? Uroiłem to sobie?

- Nie. Niewielu znam ludzi, którzy podchodziliby do siebie bardziej realistycznie niż ty - odparła Irene. - Nie zauważyłam, żeby traktował cię z wyjątkowym dystansem, ale nie śledziłam jego spojrzeń. Jeśli takie odniosłeś wrażenie, myślę, że miałaś do tego powód. - Zawahała się, zanim zdecydowała się zadać mu pytanie: - Ale co podejrzewasz? Że Owenby... ją zabił?

Na twarzy Gideona pojawił się wyraz przykrości.

- To chyba za daleko idąca sugestia.

- Odniosłam wrażenie, że... nienawidził jej z całego serca. Może odkrył jej związek z lordem Jasperem i postanowił uwolnić od niej twojego ojca. Mógł sfalszować ten list. A nawet... może hrabia Cecil dowiedział się o wszystkim i pomógł mu zatrzeć ślady. Może chciał go zachować jako pokojowca pomimo tego, co zrobił.

Dojechali do domu osobistej pokojówki lady Seleny i tam spotkało ich całkiem różne przyjęcie. Na widok Gideona twarz kobiety rozjaśniła się w uśmiechu.

- Milordzie! Och, mój Boże! - Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Gideona, a potem zmitygowała się i zaczerwieniona ze wstydu, dygnęła przed nim. - Hrabia Radbourne. Co za przyjemność pana widzieć, proszę, niech pan wejdzie, bardzo proszę.

Nancy Bonham mieszkała w małym, skromnie urządzonej domku. Zaprowadziła ich do dużego pokoju, pospiesznie podniosła koszyk z robótką i wetknęła go za sofę, jednocześnie gestem ręki zapraszając Gideona do zajęcia miejsca w wygodnym fotelu, stojącym koło kominka.

- Czy wolno mi zaproponować filiżankę herbaty? Taka jestem szczęśliwa, że pan przyszedł - mówiła, promieniejąc i ocierając łzę z kącika oka. - Proszę mi

wybaczyć. Nie wzruszam się tak łatwo, ale zobaczyć synka mojej pani... - Umilkła, połykając łzy.

- Ależ proszę nie przepraszać. Powinienem przyjść wcześniej. Nie pamiętam niczego z mojego życia, zanim mnie stąd zabrano.

- Nie pamięta pan matki? - Nancy była wyraźnie zaszokowana. - Och, mój Boże, to musi być dla pana okropne. Była taką miłą, dobrą kobietą. Prawdziwa dama. Tak bardzo pana kochała. Był pan dla niej wszystkim i jedyną pociechą w życiu. Niektóre damy nie poświęcają dzieciom wiele uwagi, zostawiając ich wychowanie niańkom i guwernantkom, ale nie moja pani. Ilekroć pan zachorował, czuwała przy pana łóżeczku. Zawsze przychodziła opatulić pana kołderką na noc i poczytać bajkę.

- Proszę mi więcej opowiedzieć o matce - poprosił Gideon.

Nancy wygłosiła długi pean na cześć lady Seleny, wychwalając jej temperament, wygląd i charakter.

- Odziedziczył pan po niej oczy. Też miała takie czysto zielone. Ludzie mówili, że przypomina pan hrabiego Radbourne'a, ale ja uważam, że raczej lady Selenę - wysoką, czarnowłosą. Elegancka, dobrze wychowana, subtelna, dama w każdym calu. Jego lordowska mość miał szczęście, że została jego żoną. To prawda, choć on nigdy tego nie przyznał. Bankesowie zawsze byli dumni, jego matka pochodziła z rodu Lilles, a wszyscy wiedzą, jacy oni są. Pańska matka była z Walbridge'ów, jej przodkowie osiedli w Norfolk tak dawno jak Bankesowie.

Opowiadała jeszcze przez jakiś czas o rodzinie lady Seleny i o swojej własnej, od lat pełniącej służbę u Walbridge'ów, a potem znów zaczęła wychwalać szlachetność swojej pani, przypominane sobie, co dobrego zrobiła dla niej samej i biedaków ze wsi. Kiedy umilkła na chwilę, Gideon zapytał pospiesznie:

- Czy możesz mi opowiedzieć o dniu, w którym znikła? Co wtedy się stało?

- Och, ten straszny dzień! - Nancy łzy napłynęły do oczu i wyjęła z kieszeni chusteczkę, żeby je osuszyć. - Nigdy bym się nie spodziewała... Od razu zobaczyłam, że jej nie ma, ledwie weszłam do sypialni. Łóżko było posłane, tak jak je zostawiłam poprzedniego wieczoru, i widać było, że w nim nie spała. Nie wiedziałam, co robić... - Nancy pochyliła głowę. - Nie chciałam mówić hrabiemu, żeby nie sprawić mojej pani kłopotów. On... - Spojrzała niepewnie na Gideona.

- Proszę, mów dalej - zachęcił łagodnie. - Nie ma znaczenia, co usłyszę o matce lub o ojcu. Nie mam o nich żadnych wspomnień, nie czuję się z nimi związany, bo ich nie znałem, więc nie zdążyły się między nami wykształcić takie więzy, jak między rodzicami a dzieckiem. Jednak chciałbym poznać prawdę.

- Pański ojciec był porywczym człowiekiem. Nie zawsze zachowującym maniery. Ona... nie była szczęśliwa.

- Powiedziałaś, że nie chciałaś narobić jej kłopotów - włączyła się do rozmowy Irene. - Dlaczego miałby być zły, zamiast martwić się, że znikła?

Dawna pokojówka poruszyła się niespokojnie na krześle.

- Była dobrą kobietą - oświadczyła. - Powinna pani to wiedzieć.

- Jestem pewna, że tak - zapewniła ją pospiesznie Irene. - Czy zdarzało się przed tym, że nie było jej rano w sypialni?

- Nie. - Nancy potrząsnęła przecząco głową, a potem dodała, ważąc słowa: - Czasami, zdarzyło się to raz czy dwa, nie było jej wcześniej w nocy w łóżku. Zawsze jednak rano zastawałam ją w sypialni.

Irene nie spuszczała wzroku z Nancy. Wiedziała, że pokojówka odpowiadałaby na pytania o swoją panią mniej niechętnie, gdyby nie obecność syna lady Seleny. Postanowiła przejąć inicjatywę, aby stworzyć starej kobiecie złudzenie, że nie rozmawia z Gideonem, tylko z nią.

- Czy spotykała się z kochankiem?

Nancy przygryzła nerwowo dolną wargę i splótła dłonie na kolanach.

- Tak, sędzę, że... to znaczy domyślałam się, że tak. Pewnego razu zasnęłam na krześle, czekając na nią, by pomóc jej się rozebrać na noc. Przebudziłam się, gdy weszła. Było około czwartej nad ranem. Jej twarz... promieniała szczęściem. Kiedyś przyszła z ogrodu, mając ramiona pełne kwiatów, nucąc i uśmiechając się do siebie. Bywały tygodnie, gdy widać było, że jest szczęśliwa. Zdarzały się też dni, gdy opanowywał ją smutek. Siedziała, wpatrując się w okno, łyzy kręciły się jej w oczach.

- Czy dowiedziałaś, kim on był?

- Nie. - Nancy potrząsnęła przecząco głową. - Nigdy ze mną o nim nie rozmawiała. Nie chciała mnie tym obarczać w obawie, że jego lordowska mość mógłby mnie wypytywać. Niepotrzebnie się martwiła, i tak nic bym mu nie powiedziała.

- Na pewno - zgodziła się Irene. - Tego ranka pomyślałaś, że nie wróciła jeszcze ze spotkania z kimś?

- Tak, chociaż wydawało mi się, że przestała z nim się widywać, i to od dłuższego czasu, ponieważ od dawna nie wyglądała radośnie jak kiedyś.

Irene nie wytrzymała, by nie rzucić znaczącego spojrzenia Gideonowi. Wszystko wskazywało na to, że Nancy odebrała sygnały świadczące o romansie jego matki z stryjem.

- Byłam zdziwiona i trochę zmartwiona - kontynuowała Nancy - ale bałam się niepokoić jego lordowską mość. - Westchnęła głęboko i dodała głosem pełnym żalu: - Och, jakże teraz żałuję, że od razu do niego nie poszłam! Może wtedy natrafiliby na ślad tego mężczyzny! Może znaleźliby pana i pańską matkę całych i zdrowych! - zwróciła się do Gideona.

- Nie obwiniaj się - uspokajała Irene. - To nie twoja wina. Zrobiłaś dokładnie to, co w tych okolicznościach powinnaś uczynić. Nawet gdybyś od razu poszła do hrabiego Cecila, i tak niewiele by to dało, bo najwyraźniej od ich odejścia minęło sporo czasu, skoro łóżko było nienaruszone. Mogli odjechać bardzo daleko.

- To prawda - zgodził się Gideon, jego głos brzmiał niezwykle łagodnie. - Nic nie mogłaś zrobić.

- Dziękuję panu, milordzie. - Nancy spojrzała na niego z wdzięcznością, pociągając nosem. Odchrząknęła, otarła oczy i opowiadała dalej: - Potem pojawiła się niańka, zbiegła po schodach, mówiąc coś ze zdenerwowaniem o paniczku. Jak się okazało, nie było go, gdy się obudziła. Zaczęła go wszędzie szukać. Hrabia Radbourne przyszedł do mnie i musiałam mu powiedzieć, że moja pani też znikła. Myślałam, że wpadnie we wściekłość, ponieważ nie powiadomiłam go wcześniej, ale nic takiego się nie zdarzyło. Nawet mnie nie zapytał, dlaczego nic nie mówiłam. Był przestraszony. - Wypowiedziała to słowo z lekkim zdziwieniem, jakby przeżywała tamten ranek na nowo. - Nigdy przedtem nie widziałam go w takim stanie. Był oschłym, stanowczym człowiekiem, a tego dnia ręce mu się trzęsły. Wtedy zrozumiałam, że jednak ją kochał, chociaż na swój sposób. Powiedział mi, że hrabina i panicz Gideon zostali porwani dla okupu. - Westchnęła ciężko. - Posłał Owenby'ego z okupem, ale nie oddali panicza. Wiedziałam, że moja pani nie żyje...

- Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że nie została porwana, że mogła uciec? - zapytała Irene.

- Tak, przyszło mi to do głowy - przyznała z poczuciem winy Nancy. - Wydało mi się dziwne, że porywacze weszli do domu, zabrali ją i panicza, nikogo nie budząc. Pomyślałam, że może postanowiła oszukać hrabiego, chociaż nie do końca wierzyłam, że zdobyłaby się na tak okrutny krok. Jednak była taka nieszczęśliwa! Może nie potrafiła dłużej wytrzymać i uciekła z tym mężczyzną, kimkolwiek on był. Zabrałaby panicza ze sobą, tego jestem pewna, bo nie zniosłaby rozstania z synem. No więc nie mówiąc nic panu hrabiemu, poszłam do jej apartamentu i sprawdziłam w garderobie, czy czegoś brakuje.

- I brakowało? - spytała Irene.

- Brakowało tylko sukni, którą nosiła poprzedniego wieczoru, i żadnej innej. Nie było także koszuli nocnej, którą położyłam na łóżku, i nie mogłam

znaleźć szlafroka. Wydawało mi się, że brakuje też jednej czy dwóch halek, ale tego nie mogłam być pewna, ponieważ miała ich dużo, a część zaniiosłam do pralni.

- Niewiele, jak na kogoś, kto zamierzał uciec - zauważyła Irene.

- Nie, proszę pani, lecz było to do niej podobne. Nie chciałyby zabrać niczego, co do niego należało. Uważałyby, że to nie w porządku.

- Nie brakowało niczego z biżuterii? Szczotki do włosów? Perfum?

- Właśnie dlatego doszłam do wniosku, że zabrano ją siłą. Mogła nie chcieć niczego, co było jego własnością, ale potrzebowała szczotki do włosów i lusterka. Jaki pożytek miałby mąż z jej perfum? Uznałam, że to musiała być prawda, została rzeczywiście porwana razem z synkiem. Porywacze zgarnęli koszulę nocną i szlafrok, bo leżały na wierzchu... - Nancy umilkła i zmarszczyła czoło.

- Coś jeszcze? - ponagliła ją Irene.

- Tylko to... zabrali mały stojący zegar.

- Zegar?

Nancy skinęła głową.

- Dziwne, prawda? Nikt by się nie spodziewał, że porywacze połakomią się akurat na zegar...

- Rzeczywiście - zgodziła się Irene.

- Nie jest też to rzecz, którą zabrałby ktoś uciekający z domu - dodał Gideon.

- To prawda, proszę pana, tyle że dla pani Seleny był czymś wyjątkowym. Należał do jej matki. Mały francuski zegar z połączanego brązu, można go było utrzymać w rękach. Stał na toaletce. Mogła chcieć go zabrać, poza tym nie dostała go od niego, był tylko jej i bardzo dla niej cenny. Matka osierociła ją w dzieciństwie... Potraktowałam to jako wskazówkę, że jednak uciekła... - Głos jej się załamał, przez chwilę starała się opanować, po czym podjęła: - Za wszelką cenę starałam się odsunąć od siebie myśl, że nie żyje... Że ktoś was porwał i

zabił... - Potrząsnęła głową. - Nadzieja to silne uczucie, każe wierzyć w coś, co nie jest możliwe, albo patrzeć na rzeczy inaczej, niż mają się w rzeczywistości. Równie prawdopodobne jest to, że któryś ze złoczyńców wziął zegar, bo był mały i poręczny, łatwo go było schować, aby potem sprzedać za niezły grosz.

Zamilkła po tych słowach i dopiero Irene przerwała milczenie, pytając:

- Czy jesteś pewna, że w tamtym czasie lady Selenie nie zdarzało się kłaść później do łóżka?

- O tak, milady, jestem - potwierdziła, kiwając głową Nancy. - Na długo przed porwaniem była bardzo smutna.

Nie miała im już więcej nic do przekazania, powtórzyła tylko kilka razy, jak bardzo cieszy się, widząc Gideona, i jak szczęśliwa byłaby pani hrabina, gdyby mogła wiedzieć, że jej syn żyje.

Wkrótce Irene i Gideon pożegnali się i wsiedli do powozu. Irene nie odzywała się, podejrzewając, że Gideon potrzebuje czasu, aby przemyśleć to, co usłyszał od Nancy. Odjechali spory kawałek od wsi, gdy w końcu Gideon przemówił:

- Słusznie mówiła o nadziei. Tak bardzo chcemy wierzyć, że wierzymy wbrew faktom. Obawiam się, że nigdy nie odkryjemy, co naprawdę się wydarzyło.

- Prawdopodobnie nie - zgodziła się Irene.

Pod wpływem impulsu pochyliła się lekko, zamierzając ująć jego dłoń, ale w ostatniej chwili zdołała się powstrzymać.

- Problem polega na tym, że jeśli mój stryj ma rację i matka nie uciekła z kochankiem, powstają trudne pytania.

- Co się stało z lady Seleną? - zapytała Irene, patrząc na niego badawczo.

- Właśnie. Czy ją zabito? Czy ktoś uprowadził ją z własnej sypialni?

- Przecież wiemy, że twój ojciec wymyślił historię o uprowadzeniu, więc ta teza upada. Powiedział swojemu pokojowemu, jeśli oczywiście wierzyć słowom Owenby'ego, że lady Selena zostawiła mu list, z którego wynikało, iż odchodzi i zabiera synka ze sobą.

- Tak, list, który tylko on czytał - zauważył Gideon. - Wprawdzie wspomniał o nim babci, ale z tego, co mówiła, nie odniosłem wrażenia, że go czytała, raczej tylko widziała, jak on nim wymachiwał.

- Przypuszczasz, że twój ojciec... zamordował żonę? - Głos Irene ścichł do szeptu, jakby obawiała się, że głośno wypowiedziane słowa uprawdopodobnią podejrzenie.

- Pokojówka wyraźnie się go bała. Nawet babka przyznała, że miał gwałtowne usposobienie. Wolałbym nie zastanawiać się nad tym, czy spłodził mnie morderca, ale jakie inne hipotezy można wysunąć, jeśli matka nie uciekła? Mamy wierzyć, że ktoś zakradł się do domu, porwał ją z sypialni i zabił? A przedtem zmusił do napisania listu, w którym powiadamia męża, że odchodzi?

- Rzeczywiście to dość nieprawdopodobne - przyznała Irene, a po chwili zastanowienia dodała: - Jeśli założyć, że zabił ją twój ojciec, to co z tobą? Jakim cudem znalazłeś się w Londynie zdany na samego siebie? To bezsensowne. Byłeś jego jedynym dzieckiem, dziedzicem. Nie wywiózłby cię do Londynu, aby tam porzucić.

- Arystokracja o nic innego nie troszczy się bardziej niż o zachowanie ciągłości rodu. Gdyby to Owenby ją zabił, mamy podobną sytuację. Nie wywiózłby mnie do Londynu. Któż inny mógłby to uczynić? Komu zależałoby na śmierci mojej matki i pozbyciu się mnie?

- Cóż... najbardziej podejrzany jest twój stryj - stwierdziła Irene. - On jeden odniósłby korzyść z twojego zniknięcia. Był zaraz po tobie następnym w kolejności do sukcesji. Skoro twój ojciec był tak załamany, jak to opisuje lady Pansy, lord Jasper mógł żywić uzasadnioną nadzieję, że jego brat nie zdecyduje się powtórnie ożenić.

- Wszystko prawda, ale są zasadnicze powody, aby obalić tę tezę. Stryj kochał moją matkę.

- To on tak twierdzi - zaproponowała Irene.

- No, no, ależ jesteś podejrzliwa. Zgoda, mamy tylko jego słowa na potwierdzenie, że tak było, jednak weź pod uwagę, że był w Indiach, gdy to się wydarzyło. Babka to potwierdziła.

- Mógł kogoś wynająć - dowodziła Irene. - Morderca miał pozbyć się was obojga, ale sumienie mu nie pozwoliło zabić dziecka, więc po prostu cię porzucił.

Gideon posłał jej przeciągłe spojrzenie.

- Masz przerażająco bujną wyobraźnię.

- Albo... jeśli o mnie chodzi, to bardzo prawdopodobna teoria... lady Teresa. Czy wiedziałeś, że ona i jej rodzina mieszkała w tej okolicy?

- Nie - zaprzeczył zdziwiony. - Czy nie była wtedy dzieckiem?

- Miała już piętnaście lat, jak sama powiedziała. Wiem, wiem... - kontynuowała Irene, niezrażona jego wątpliwościami - trochę była za młoda, ale nie można wykluczyć, że powzięła plan zostania hrabiną Radbourne, i postanowiła go zrealizować, eliminując ciebie i twoją matkę.

- Gdybym dzisiaj został zamordowany, z pewnością byłaby pierwszą podejrzaną. Jednak to zbyt nieprawdopodobne założenie, że w wieku piętnastu lat ukuła morderczą intrygę i w dodatku zdołała ją sama przeprowadzić. A jakim sposobem zawiozła mnie do Londynu?

- No dobrze, zgadzam się, że to karkołomny pomysł.

- Nie zapominaj o liście. Ktokolwiek był mordercą, musiał zmusić moją matkę do napisania listu. - Zamilkł na chwilę. - Może zresztą naprawdę było tak, jak ojciec i Owenby zrelacjonowali. Matka uciekła z kochankiem i zabrała mnie ze sobą. Może stryj Jasper nie chce w to wierzyć, bo nie potrafi znieść myśli, że wybrała innego mężczyznę. Zdradziła mojego ojca z jego bratem. Dlaczego nie

miałaby go zdradzić z kim innym? I na jakiej podstawie zakładamy, że nie chciała być z innym mężczyzną? Dlatego, że nie uciekła ze stryjem Jasperem?

- Może nie była już w stanie dłużej znosić męża - poddała Irene. - Myślałam o jeszcze innej ewentualności. Pokojówka powiedziała, że była bardzo smutna. Być może... - nie dokończyła.

- Targnęła się na swoje życie?

Irene skinęła głową.

- W takim razie po co byłoby to trzymać w sekrecie? Wymyślać niestworzone historie?

- Samobójstwo jest czymś potępianym. Przecież wiesz, że Kościół tego nie akceptuje.

- Nie wierzysz chyba w to, że lokalny pastor nie ugiąłby się przed moją rodziną. Mają zbyt duże wpływy. Nie mówiąc już o tym, że władze również przychyliłyby się do wersji nieszczęśliwego wypadku.

- Co nie zapobiegłoby skandalowi.

- To prawda. Niemniej nie wyobrażam sobie, aby poważyli się na to dla uniknięcia skandalu. Przede wszystkim, co z ciałem? - spytał wprost. - Gdyby nie opuściła domu z własnej woli, tylko została zamordowana lub targnęła się na życie, trzeba by było ukryć ciało.

- Tak... - Irene zadrżała, czując że nagle robi jej się słabo. - Rzeczywiście mało prawdopodobne, by posunęli się do ukrywania ciała.

- A co jeszcze możemy brać pod uwagę? Że oszalała i zamknęli ją w tajemnicy na strychu?

- Cała ta hipoteza jest raczej wątpliwa - zgodziła się Irene.

- Obawiam się, że stryj sformułował teorię bez pokrycia w rzeczywistości, opartą na tym, w co chce wierzyć - podsumował Gideon.

- Jednak oboje, i twój stryj, i Nancy, zgodnie twierdzili, że byłeś dla matki najważniejszy - podkreśliła Irene. - Cokolwiek z nią się stało, z pewnością cię nie porzuciła.

- Pod warunkiem, że właściwie ją ocenili. A Owenby? Według jego opinii to lady Selena była niegodziwa, a mój ojciec szlachetny. Zresztą, jakkolwiek było, nie ma to chyba znaczenia. Rodziców miałem niedoskonałych... Matka, niewierna żona, zdolna pozbawić własne dziecko rodzinnego domu i należnego mu dziedzictwa. Ojciec niedbający o to, by odszukać syna.

- Może wszystko to zdarzyło się dlatego, że twoi rodzice byli tylko ludźmi. Niedoskonałymi oraz słabymi. Może twoja matka kochała kogoś tak, że dla tej miłości zdolna była zranić innych.

- Rodzaj miłości opiewanej przez poetów. - Skrzywił się z pogardą. - Przynajmniej tego jednego błędu z całą pewnością nie popełnię.

- Tak myślę - zgodziła się, czując ukłucie w sercu i dodała: - Ani ty, ani ja.

Powóz wjechał w aleję prowadzącą do Radbourne Park, koła zaturkotały na mostku. Gideon spojrzał na dom widoczny w całym swoim ogromie i na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci. Wyciągnął rękę i zabębnił palcami w dach powozu. Pojazd zwolnił biegu i się zatrzymał.

- Chodź. - Gideon niecierpliwie zwrócił się do Irene. Otworzył drzwiczki, wysiadł i wyciągnął rękę, aby pomóc jej wysiąść. - Jest coś, co chciałbym ci pokazać.

Uniosła brwi, zdziwiona, ale przyjęła jego pomoc i wysiadła. Ruszył prowadzącą wzdłuż granicy lasu ścieżką, a ona zaintrygowana poszła za nim.

Rozdział siedemnasty

Szli w milczeniu około dwudziestu minut, cały czas prowadzącą pod lasem ścieżką, a potem przecinką wśród drzew, które w tym miejscu otaczały tył domu. Zbliżyli się do ruin twierdzy z czasów normandzkich, która strzegła ziem Bankesów na długo przed tym, nim został im nadany tytuł hrabiowski.

Irene dotarła tutaj podczas pierwszego spaceru po majątku i postanowiła, że któregoś dnia zwiedzi ruiny, ale nie miała okazji. Kilka dni temu przejechała z

całym towarzystwem konno opodal ruin i lady Calandra, czego można było się po niej spodziewać, zaproponowała, aby zrobić przystanek i je obejrzeć. Nie zatrzymali się jednak, ponieważ panna Surton, wzdrygając się, zaprotestowała przeciwko temu pomysłowi, twierdząc, że miejsce wygląda złowrogo, a Gideon prozaicznie wytłumaczył, że to zbyt niebezpieczne, bo budowla w każdej chwili grozi zawaleniem.

- Ruiny? - zapytała, rzucając na niego zdziwione spojrzenie. - To chcesz mi pokazać?

- Właściwie coś w wieży.

- Czy nie ostrzegałeś, że to niebezpieczne wchodzić do środka? - przypomniała mu.

- Dla panny Surton tak - odparł, uśmiechając się przelotnie.

Irene nie mogła powstrzymać śmiechu. Nie przyznałaby się, że brak zainteresowania Roweną Surton ze strony Gideona sprawił jej przyjemność.

Zaprowadził ją do wieży. W środku panował półmrok, ale w miarę jak wspinali się coraz wyżej, rozjaśniały go promienie słońca, wpadające przez otwory strzelnicze i wyrwy w kamiennych murach. Doszli na najwyższą kondygnację i Gideon otworzył ciężkie drewniane drzwi. Irene wstrzymała oddech ze zdziwienia na widok pomieszczenia, które za nimi zobaczyła.

W przeciwieństwie do całej wieży nie było tu śladu zaniedbania. Z zachowanej części dachu spływała ukośnie do południowej ściany, zrujnowanej i przez to znacznie niższej, ogromna płachta grubego żaglowego płótna. Po przeciwległej do południowej ściany części pomieszczenia znaczną część podłogi pokrywał dywan, ułożono na nim kilkanaście dużych, wyglądających na bardzo wygodne poduszek, stał tu też niski stół i niewielka biblioteczka. Na stole ustawiono lampę olejową, a na biblioteczce świece. W pobliżu ściany osłoniętej żaglowym płótnem znajdował się duży teleskop i stołek.

- Gideonie! - Irena rozglądała się wokół ze zdumieniem. - Nie miałam pojęcia...

- Nikt nie ma. - Podszedł do ściany, odwiązał zabezpieczający żaglowe płótno sznur i podciągnął go, odsłaniając niebo.

- Och, ależ tu pięknie! - zachwyciła się Irene widokiem, który rozciągnął się przed jej oczami. Podniosła głowę i spojrzała w na rozświetlone słońcem niebo. - To tutaj przychodzisz nocami! wykrzyknęła.

- Co? - zapytał zdziwiony.

- Widziałam cię raz czy dwa późnym wieczorem, jak szedłeś przez ogród, i zastanawiałam się, dokąd zmierzasz. - Po sekundzie wahania wyznała szczerze: - Myślałam, że wybierasz się na schadzkę.

- Tak? - Uniósł brwi. - A z kim to zamierzałem się spotkać? Z żoną któregoś z dzierżawców? Czy ze służącą?

- Nie potrafiłam znaleźć innego powodu, dla którego wymykasz się w nocy. Przecież nie wiedziałam, że jesteś astronomem.

- Nie sądzę, by można mnie tak nazwać - powiedział lekko rozbawiony Gideon, podchodząc do teleskopu i kładąc na nim dłoń. - Nigdy się tym nie interesowałem. Teleskop znalazłem w domu, prawdopodobnie dziadek go używał, a ja postanowiłem spróbować. Obraz nocnego nieba wydał mi się fascynujący, a potem objeżdżając majątek, odkryłem to miejsce. Kiedy zbadałem wieżę, doszedłem do wniosku, że nie trzeba wiele zachodu, aby stworzyć tu wspaniałe obserwatorium. - Spojrzał na rozciągający się z wieży widok. - Działa to na mnie uspokajająco. Rodzaj azylu. - Ścisząc głos, dodał: - Chętnie z niego korzystałem przez kilka ostatnich dni.

Irene spojrzała na niego przenikliwie, ale zaraz odwróciła wzrok.

- Zatem nie podobały ci się spotkania towarzyskie? - zapytała, starając się, aby jej głos brzmiał obojętnie.

- Na litość boską, Irene! Nie, nie podobały mi się. Niedobrze mi się robiło od tych przesłodzonych rozmów. Wszystko jest śliczne, urocze, przyjemne. Pytam o opinię na jakiś temat, na co spotyka mnie uśmiech, machnięcie

wachlarza albo: „Och, milordzie, nie wiem, a co pan myśli?”. Co to za odpowiedź! Wiem, co myślę, nie wiem, co ona.

Irene nie zdołała powstrzymać śmiechu. Spojrzał na nią ponuro.

- Łatwo ci się śmiać. Nie ty musiałaś to znosić. Myślisz, że nie zauważyłem, jak wyślizgiwałaś się, kiedy tylko nadarzała się okazja?

Nie powinna być zadowolona, słysząc, że nie przypadło mu do gustu uganianie się za młodymi pannami ani że zauważył, jak uciekła z naprędce zaaranżowanych tańców.

- Nie zostało to wszystko zorganizowane po to, żebym się dobrze bawiła - odparła i dodała, nie mogąc się powstrzymać, choć doskonale wiedziała, że źle robi: - Nawet nie poprosiłeś mnie do tańca.

Spojrzał na nią z błyskiem w oku.

- Aha, czyli miało to znaczenie. Ubodło cię?

- A dlatego mnie nie poprosiłeś? Chciałeś mnie dotknąć, ukarać?

- Nie poprosiłem cię - odparł, wymawiając z naciskiem słowa - bo nie zależy ci na tym, żeby zostać moją żoną. Pozbawiłaś mnie złudzeń co do tego. Musiałem więc skupić uwagę na tych, które są bardziej niż ty skłonne to zrobić.

Irene szukała kąśliwej odpowiedzi, ale nie przychodziło jej nic do głowy, co nie zabrzmiałoby głupio. Miał rację. Nie brała udziału w tym wyścigu, więc jaki sens było z nią tańczyć i rozmawiać. Rozsądnie skoncentrował się na ocenianiu innych kandydatek.

- Zapomniałam, że w twoim świecie nie ma miejsca na emocje.

Wyprostowała się, zadarła głowę i spojrzała na niego wyzywająco. Gideon dał krok w jej kierunku, a Irene pomyślała, że zaraz weźmie ją w objęcia i pocałuje, jak tamtego wieczoru. Poczwała, że robi się jej gorąco, piersi jej się naprężają. Wiedziała, że wystarczy, by jej dotknął, a ona się podda.

Odwróciła się gwałtownie i przeszła na środek pomieszczenia. Słowa wymknęły się jej, zanim pomyślała, co chce powiedzieć.

- Opowiedz mi o Dorze.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie i w końcu Irene odwróciła się, aby spojrzeć na Gideona.

- O co chodzi? - odezwał się. - Dlaczego pytasz o Dorę?

- Wypowiedziałeś to imię, broniąc jakiejś kobiety przed zakusami ze strony mojego ojca - wyjaśniła Irene. - Tamtej nocy, kiedy zobaczyłam ciebie i ojca w holu.

- Tak. Mówiłem ci o niej. Jest krupierką.

- Tylko tyle dla ciebie znaczy? To jedna z twoich pracownic?

- Nie - odparł powoli, bacznie wpatrując się w jej twarz. - Dlaczego mnie o nią wypytujesz? Kto z tobą rozmawiał o Dorze?

- Teresa. Przypomniałam sobie, że wymówiłeś to imię zaraz po tym, jak Teresa mi powiedziała. Pamiętam, jak ostrzegałeś ojca, by nie ważył się jej tknąć.

- Czy masz jakieś obiekcje co do Dory? - spytał. Jego głos zabrzmiał nieprzyjaźnie.

- Ja? - Poczula, jak serce w niej zamiera. Z pewnością nie pytałby w ten sposób, gdyby była tylko jego pracownicą. - Przecież nigdy jej nie spotkałam.

- W takim razie dlaczego ona cię interesuje?

- Czysta ciekawość - odrzekła Irene, siląc się na obojętność. - Zastanawiam się, czy powiesz o niej przyszłej żonie.

- Owszem, powiem. Wciąż jest częścią mojego życia i moja żona musi o tym wiedzieć.

- Czyli częścią ceny, jaką będzie musiała zapłacić za tytuł hrabiny, jest świadomość, że będziesz utrzymywał stosunki z długoletnią kochanką?

Przez dłuższą chwilę Gideon milczał. Wreszcie zapytał:

- Czy to Teresa poinformowała cię, że Dora jest moją kochanką?

- Tak. Słyszała, jak kłócisz się o nią ze swoją babką. Podobno powiedziałaś lady Radbourne, że nigdy nie zostawisz Dory.

- Dora nie jest moją kochanką - oznajmił stanowczo Gideon i westchnął ciężko. - Znam Dorę z dziecięcych lat. Była jeszcze jednym dzieckiem, które Jack zagarnął, by się nim wysługiwać. Trochę młodsza ode mnie, drobniejsza, słabsza. Zaprzyjaźniliśmy się, broniłem jej. Dzieliliśmy jedzenie i nędzne posłanie. Jest dla mnie jak siostra. Nigdy nie chciałem... Sama myśl o tym wydaje mi się niedorzeczna.

Irene na poły ze zdziwieniem, na poły z rozbawieniem spostrzegła, że Gideon zrobił zawstydzoną minę.

- Jest zaręczona z Piersem - wyjaśnił. - W jednym Teresa nie skłamała. Nigdy jej nie zostawię samej sobie, podobnie jak nie zdradzę Piersa - oznajmił, patrząc wyzywająco na Irene.

- To oczywiste - stwierdziła z szerokim uśmiechem. - Nikt tego od ciebie nie może żądać.

- Powinnaś to uświadomić lady Odellii i mojej babce.

- Podejrzewam, że w głębi ducha lady Odellia jest zachwycona twoją lojalnością.

- A sądzisz, że któraś z tych młodych kobiet byłaby zadowolona?

Irene zawahała się. Szczerze w to wątpiła. Co gorsza, musiała uczciwie przyznać, że wzmianka o jego ewentualnej przyszłej narzeczonej popsuka jej dobry nastrój.

- Jeśli ma być dobrą żoną dla ciebie, powinna - odparła.

Gideon bacznie jej się przyjrzał i Irene poczuła się niezręcznie.

- Powinniśmy już iść - zauważyła, odwracając głowę. - Inaczej spóźnimy się na kolację.

- Tak, dobrze.

Gideon opuścił płótno żaglowe, przymocował je i opuścili wieżę.

Najważniejsze wydarzenie tego tygodnia, czyli bal, został zaplanowany na następny wieczór, po czym goście mieli przebywać w majątku tylko jeden dzień i zacząć wyjeżdżać. Taka okazja towarzyska stwarzała wyjątkowe pole do

popisania się strojem i wyglądem. Irene była pewna, że dziewczęta dołożą starań, aby zaprezentować się jak najkorzystniej.

Spędziła blisko tydzień, obserwując, jak pięć młodych kobiet, z wyjątkiem Amandy Hurley, paple i uwodzi Gideona. Pomiedzy nią a Percym Surtonem, równie jak ona zapalonym miłośnikiem koni, wyraźnie zaczynała wytwarzać się zażyłość.

Co do samego balu... Cóż, Irene egoistycznie zdecydowała, że koniec z planowaniem i aranżowaniem sytuacji umożliwiających im flirtowanie, koniec z asystowaniem. Skupi się na tym, żeby i dla niej ten wieczór okazał się przyjemny. Niedługo opuści Radbourne Park, wkrótce ona i matka wrócą do domu, do brata i Maury oraz do niezbyt miłej rzeczywistości. Ubierze się w tę prześliczną balową suknię kupioną specjalnie na tę okazję, będzie tańczyć, rozmawiać, śmiać się. A jeśli Gideon znowu ją zignoruje, jego strata.

Następnego wieczoru odziana w suknię ze złocistego atłasu, z włosami upiętymi swobodnie, tak że jej twarz okalała burza jasnych loków, w których połyskiwały niewielkie złote ozdoby, z ramionami przesłoniętymi cienkim jak mgiełka szalem ze złocistego szyfonu, który niczego nie zakrywał, pogratulowała sobie trafnej decyzji. Miękki błyszczący materiał podkreślił jej złotobrzowe oczy i ocieplił karnację. Niedługo będzie znów wiodła życie starej panny, ale dzisiejszego wieczoru zabłyśnie.

Zeszła na dół razem z Francescą, która zapewniła przyjaciółkę, że na balu nie będzie piękniejszej od niej kobiety. Irene przyjęła te słowa z uśmiechem, sprawiły jej przyjemność. Było to niczym wobec gorąca, które ją oblało, gdy weszły do sali balowej, a Gideon odwrócił się i je zobaczył.

Nie spuszczał płomiennego spojrzenia z Irene przez dłuższą chwilę i dopiero, gdy któryś z jego dotychczasowych rozmówców dotknął jego ramienia, podjął przerwana rozmowę.

- Widzę - odezwała się stojąca obok niej Francesca - że reakcja Radbourne'a na twój widok była dokładnie taka, jaką zamierzałaś wywołać.

- Niczego nie planowałam - zaprotestowała Irene.

Francesca się roześmiała.

- Bardzo cię proszę, nie próbuj ze mną gierki.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O to jak wyglądasz. Włosy, suknia... Dołożyłaś starań, żeby świetnie się prezentować i rezultat jest znakomity. Wyglądasz niczym bogini. Złocistooka, skrząca się bogini. Na kim jeszcze innym chciałaś wywrzeć wrażenie? - Uniosła sceptycznie brew.

- Jeśli masz na myśli Radbourne'a - odrzekła Irene, czerwieniąc się lekko - zapewniam cię, że nie dbam o jego opinię.

- Ależ oczywiście - odparła Francesca, uśmiechając się z neodpartym wdziękiem. - Tak jak nie dostrzegłam w twoich oczach triumfu, gdy obejrzał się i nie ukrywał zachwytu.

- Nic podobnego!

- Właśnie, że tak.

Irene usiłowała dalej protestować, ale zdała sobie sprawę z tego, jakie to głupie. Tak, chciała zobaczyć ten wyraz na twarzy Gideona. Dlaczego? To rzeczywiście jest pytanie, na które musi sobie odpowiedzieć. I na drugie: dlaczego ten drobny sukces tak ją ucieszył?

Czy naprawdę chciała zaćmić te wszystkie młode kobiety? Żadnej z nich nie darzyła niechęcią i byłoby to doprawdy małostkowe pragnienie. To one były zainteresowane pozycją przyszłej hrabiny Radbourne.

Ledwie sformułowała tę myśl, musiała przyznać, że nie do końca jest wobec siebie uczciwa. Nie zamierzała zdobyć tytułu hrabiny, ale pragnęła za swój wygląd nagrody - i zobaczyła ją we wzroku Radbourne'a. Nie chciała wychodzić za mąż. Chciała Gideona.

- Jestem okropna - powiedziała cichym głosem.

- Niekoniecznie - odparła Francesca, wzruszając ramionami. - To ludzkie. Która kobieta nie tęskni za męskim uwielbieniem? Zwłaszcza mężczyzny, którego kocha.

- Mylisz się, całkiem się mylisz. Nie kocham Gideona. Przyznaję, czuję satysfakcję, że go zmusiłam, aby zwrócił na mnie uwagę. I choć to idiotyczne, obchodzi mnie, że obtańcowywał wszystkie kobiety oprócz mnie. To czysta głupota z mojej strony, wiem. Powinnam zrobić wszystko, żeby którąś z nich się zainteresował. Po to tu jestem i nad tym pracowałyśmy przez cały czas.

- Nie. Ja pracowałam nad tym, żebyś jak najczęściej przebywała w pobliżu niego i zdała sobie sprawę z tego, co do niego czujesz. Inne kobiety są tu na wypadek, gdybyś uparcie temu zaprzeczała albo gdyby on znużył się do tego stopnia bezowocnym pościgiem za tobą, że zainteresował się kim innym.

- Jak to?! - Irene spojrzała na nią z osłupieniem.

- Moja droga. - Francesca z uśmiechem ujęła ją pod ramię. - Zorientowałam się, co między wami się święci, tego pierwszego dnia na przejażdżce w parku, kiedy poszłaś z nim na przechadzkę. Dla każdego, a już na pewno dla każdego tak wprowi u go w rozpoznawaniu rodzącej się między ludźmi miłości jak ja, było jasne, że jesteście sobie przeinaczeni.

- Przeznaczni? - powtórzyła machinalnie Irene. - Oszalałaś? Przecież kłóciliśmy się całą drogę.

- Ważny był sposób, w jaki to robiliście. Spieraliście się, bo to drugie stanowiło wyzwanie dla idei, jakie pielęgowaliście w sobie. Każde z was założyło sobie jakąś drogę życiową i to drugie burzyło wasze wyobrażenia, nie pasowało do nich. Nic dziwnego, że byliście rozdrażnieni. Jednak wzajemne przyciąganie było widoczne na pierwszy rzut oka. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu.

- To wszystko... - Irene zatchnęła się. Pokazała dyskretnym ruchem ręki na salę balową - To wszystko to tylko intryga.

- Och nie, żadna intryga. Potrzebowałam pomocy. Twoja obecność była niezbędna. - Oczy Franceski błyszczały rozbawieniem.

W Irene gniew walczył z wesołością. Uśmiech Franceski był tak zaraźliwy, że po chwili Irene poddała się i roześmiała niefrasobliwie.

- Jesteś niemożliwa - powiedziała do przyjaciółki. - Mam nadzieję, że nie rozczarujesz się zbytnio jeśli twoje plany się nie ziszczą. Nie zamierzam poślubić hrabiego Radbourne'a.

- To rzeczywiście fatalnie. - Francesca nie sprawiała wrażenia zmartwionej. - Obawiam się, że to unieszczęśliwi hrabiego. Skoro serce ci mówi, że to nie ten... Nie przekonałaś się do niego. Doprowadzający do szału, tak zdaje się go określiłaś. Egoistyczny, irytujący...

- Nie! To znaczy... tak, właśnie taki jest. Mimo to me mogę powiedzieć, że go nie lubię. Nawet zaczęłam go cenić. Jest energicznym, odpowiedzialnym człowiekiem, a przy bliższym poznaniu odkrywasz jego bystry umysł. To wspaniały mężczyzna. Wszyscy, a zwłaszcza jego krewni, nie doceniają go.

- Nie? - zapytała Francesca.

- Nie - potwierdziła zdecydowanie Irene. - To niezwykle, że chce mieć do czynienia z rodziną. Mniej szlachetny człowiek już dawno kazałby zejść Im sobie z oczu.

- Skoro tak go cenisz, zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz go poślubić - oświadczyła Francesca.

- Wiesz, że nie zamierzam wychodzić za mąż.

- Zwykle tak się dzieje, że jeśli kobieta napotka na swojej drodze mężczyznę, który jej odpowiada, zmienia plany, a powody, dla których je poczyniła, stają się nieważne.

- Mam nadzieję, że ja nie należę do tak chwiejnych osób. Radbourne nie pragnie prawdziwego związku. Miłość do niego to strata czasu. W jego życiu nie ma miejsca na uczucie. Małżeństwo to dla niego tylko korzystny interes.

- Naprawdę? - Francesca zrobiła zdziwioną minę. - Tak uważasz? To, jak na ciebie patrzył, przeczy temu, że jest aż tak beznamiętny.

- Och nie jest beznamiętny - odparła Irene, czując, jak jej policzki oblewa rumieniem. - Jeśli nawet... bardzo śmiały... ale to jeszcze nie miłość.

- Wiele kobiet uważałoby, że łatwo przekształcić tę, jak mówisz, śmiałość w coś głębszego. Wierzą, że przy odrobinie wysiłku taki mężczyzna zacznie kochać kobietę, która darzy go uczuciem.

- Być może. To i tak nie ma znaczenia. Nie tęsknię za małżeństwem. Na pewno bardziej rozsądnie jest unikać bólu związanego z rozwianiem się fałszywych nadziei, niż wystawiać się na niego. Kochać kogoś, kto nie odwzajemnia twoich uczuć to musi być bolesne.

- Tak, to jest bolesne. - Cień smutku przemknął przez piękną twarz Franceski. - Cóż, Irene, jesteś osobą o niezwykle silnym charakterze. To imponujące. Mało która kobieta zdołałaby odrzucić to co ty. Nigdy więcej nie zobaczysz Gideona. Prowadzić znowu takie życie, jakie dotąd wiodłaś. Mało która zniosłaby myśl o samotności, smutku i bólu.

- Poradzę sobie.

- Tak, poradzisz sobie.

Irene zdecydowała, że czas zmienić temat rozmowy. Rozejrzała się wokół.

- Widzę nowych gości.

- Tak - potwierdziła Francesca. - To sąsiedzi z najbliższej okolicy, których lady Odelia uznała za godnych uczestnictwa w balu. Szlachcic z rodziną, pastor z żoną... Zaproszenie lady Odelii wystarczy, by zgromadzić tu wiele osób nawet na jedną noc. Zostaną rozmieszczeni, a raczej stłoczeni, w niezniszczonych pomieszczeniach w starym skrzydle.

- Niezbyt wygodnie.

- Nie, ale jak mi lady Odelia oznajmiła, i tak wystarczająco dobrze jak dla nich. - Francesca zrobiła wiele mówiącą minę i nagle, spojrzawszy na salę balową, zeszywniała. - A ona co tutaj robi? - powiedziała cicho do samej siebie.

- Kto? - Zaintrygowana Irene poszła za wzrokiem Franceski i zobaczyła niezwykle efektownie wyglądającą kobietę, która rozmawiała z lady Odelią i lady Pansy.

Była o kilka lat starsza od Franceski wciąż niezwykle piękna, chociaż musiała już skończyć trzydzieści pięć lat. Wysoka, o ponętnie zaokrąglonych kształtach, kasztanowych włosach i błękitnych oczach.

- Lady Swithington? - zapytała Irene ze zdziwieniem.

Lady Swithington była dwukrotnie zamężna, za każdym razem poślubiając o wiele od siebie starszego mężczyznę, i od dłuższego czasu nie bywała w londyńskim towarzystwie. Mieszkała z mężem w ich majątku w Walii, a po jego niedawnej śmierci pojawiła się nieoczekiwanie w środku głównego zimowego sezonu towarzyskiego.

- Tak, lady Daphne. - Francesca patrzyła na kobietę jeszcze przez moment, a potem odwróciła się z wymuszonym uśmiechem do Irene. - Pomyślałby ktoś, że tak szybko po śmierci lorda Swithingtona. - Urwała i dodała już ze swobodnym szerokim uśmiechem: - Właściwie należało się spodziewać, że Daphne nie będzie długo rozpaczać. Poza tym zawsze była związana z rodziną Lilles. Lady Odelia wręcz ją uwielbia.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby lady Odelia kogoś uwielbiała - stwierdziła Irene, ale nie kontynuowała tematu. Obserwowała Francescę dyskretnie rozglądającą się po sali balowej. Wzrok przyjaciółki padł na księcia Rochforda, który rozmawiał z siostrą.

- Muszę jeszcze dopilnować kilku spraw - stwierdziła z ożywieniem Francesca. - Wybacz mi, pójdę sprawdzić, jak radzą sobie nasze dziewczęta.

- Oczywiście. - Irene paliła ciekawość, ale byłoby niegrzecznie naciskać na przyjaciółkę.

Na odchodnym Francesca odwróciła się do niej i powiedziała:

- Może twierdzić, że nie pragnie miłości, ale zapewniam cię, moja droga, że szaleńczo pragnie ciebie.

Irene nie stała długo sama. Podszedł Piers i poprosił ją do tańca, a potem zabawiał ją chwilę, rozmawiając i przyglądając się gościom. Bal trwał w najlepsze i Irene tańczyła niemal ze wszystkimi mężczyznami, nawet z onieśmielającym ją księciem Rochfordem. Tylko jeden mężczyzna nie rozmawiał z nią i nie tańczył - jedyny, którego chciała mieć przy sobie.

Obserwował ją. Kilka razy napotkała jego wzrok. Pary krążyły po sali balowej w walcu, oni również, każde ze swoim partnerem, ale Irene wiedziała doskonale, w którym miejscu on się znajduje, i była pewna, że on też jest świadomy jej obecności. Mimo to nie prosił jej do tańca.

Zbliżała się północ, muzyka za parę chwil miała umilknąć, a goście udać się na kolację - czekały na nich stoły bogato zastawione różnymi smakołykami. Irene, niemal zrozpaczona, pomyślała, że Gideon do niej nie podejdzie, kiedy nagle spojrzawszy na salę balową, zobaczyła go idącego wprost do niej. Nie rozglądał się na boki, nie przystawał, by zamienić kilka słów, oczy miał utkwione w niej, jego zamiar był oczywisty.

- Irene. - Stanął tuż przed nią.

Skinęła głową, usilnie starając się wypowiedzieć słowa powitania tak, by zabrzmiały chłodno i grzecznie:

- Hrabio.

Gideon spojrzał wymownie na lorda Surtona, który przed chwilą rozmawiał z Irene, a ten od razu zrozumiał.

- Proszę mi wybaczyć... Muszę zapytać o... - Nie dokończył, skłonił się przed nią elegancko i odszedł.

- Zdaje się, że to mój taniec - powiedział Gideon.

- Tak? - Uniosła brew, poirytowana jego pewnością siebie. - Nie przypominam sobie, żebyś mnie prosił.

- Teraz cię proszę.

Zamierzała zaprotestować, ale pod jego palącym spojrzeniem obudziło się w niej pożądanie. Skinęła głową i przyjęła jego ramię. Poszli oboje na środek

sali balowej. Czuła pod dłonią jego naprężone i twarde mięśnie. Zadała sobie pytanie, czy Gideon zdaje sobie sprawę z emocji, jakie ją opanowały.

Odwróciła się, aby stanąć naprzeciwko niego, on ujął jej dłoń, druga ręka spoczęła na jej talii. Stali w tej pozycji przez dłużącą się niebezpiecznie chwilę, aż wreszcie smyczki zaczęły, a zaraz potem dołączyła cała orkiestra i rozległy się charakterystyczne tony walca. Zaczęli tańczyć.

Gideon się nie odzywał, Irene również milczała. Tak było dobrze, wystarczała sama przyjemność tańczenia z Gideonem i emocje, które w niej rozbudził. Nie potrzebowała zapewnień, aby wiedzieć, że czuł to samo, co ona. Kiedy melodia przebrzmiała, Irene bez słowa protestu pozwoliła się wyprowadzić na taras.

Stały tam i inne pary, rozkoszując się chłodnym wieczornym powietrzem. Irene uśmiechała się do nich, kiwając głową i trzepocząc wachlarzem jak pozostałe panie, pod pretekstem, że chłodzi rozpaloną twarz. Przeszli przez cały taras i w końcu Gideon, rzuciwszy okiem na pozostałych, skręcił za róg domu, pociągając Irene za sobą.

Położył dłonie na jej ramionach i zwrócił ją twarzą ku sobie.

- Jaka ty jesteś piękna. Oszło mi to.

- Tak? - Nie potrafiła ukryć uśmiechu satysfakcji. - Nie miałam o tym pojęcia. Nie rozmawiałeś ze mną przez cały wieczór.

- Robiłem, co tylko mogłem, żeby się powstrzymać. Przez cały tydzień dokładałem starań. Do diabła, Irene! - wybuchnął. - Myślałem... Miałem nadzieję, że zauważysz, iż cię unikam. Tańczyłem z tymi gąskami, modląc się w duchu, żebyś to spostrzegła, by to do ciebie dotarło. Najwyraźniej zazdrość jest ci obca. W każdym razie zazdrość o mnie. Powiedziałem sobie, że skoro tak wstrętna jest ci myśl o małżeństwie, muszę poszukać innego sposobu. - Patrzył na nią z rozgoryczeniem. - Okazało się to niemożliwe. Nie chcę żadnej innej.

Przyciągnął ją do siebie, pochylił głowę i jego gorące usta dotknęły jej warg. Pocałunek zaskoczył Irene gwałtownością i pasją, jęknęła cicho i wsunęła

dłonie pod frak Gideona. Drgnął lekko, jakby zdumiony i Irene chciała wysunąć dłonie, ale je przytrzymał.

- Nie - powiedział niewyraźnie. Zostaw. Nie masz pojęcia, jak marzyłem o tym, żebyś mnie dotknęła. - Zanurzył twarz w jej włosach, delikatnie pocałował płatek ucha, pokrył pocałunkami szyję. Nawet nie wiesz, jak ciężko było słuchać ich paplaniny i chichotów i mieć przed oczami twoją szyję, gdy unosisz głowę, by się roześmiać, albo myśleć o twoich piersiach, o materiale sukni, oblepiającej twoje nogi.

Dreszcz ją przeszedł, nie wiedziała, czy pod wpływem tych śmiałych słów, czy pieszczoty ust.

- Gideon...

Pocałował niewielkie zagłębienie u nasady jej szyi, przesunął wargi wyżej i Irene odchyliła głowę, odsłaniając delikatną skórę na pocałunki. Bezwolna, niemal omdlała, czuła pulsowanie krwi w całym ciele.

- Jakim cudem miałbym wybrać jedną z tych głupiutkich, nudnych dziewczątek, skoro jesteś tutaj. Naprawdę wierzyłaś, że bardziej mnie będą bawić chichoty i gadanina o niczym niż twoje zjadliwe uwagi? Spalam się dla ciebie. Każdej nocy leżę w łóżku, myśląc o tobie, czuję się bliski szaleństwa. Och, niejedną raz przychodziły mi na myśl błękitne oczy panny Surton, korciło mnie, żeby przesunąć dłonie po okrągłościach lady Flory. I co z tego? I tak myślę tylko o złotobrazowych oczach lśniących jak roztopiony metal. Pragnę przesuwać dłonie po twoich piersiach... biodrach... - Dłonie wędrowały w ślad za słowami, nakrywając wypukłość piersi, pieszcząc biodra. - Pragnę tylko ciebie - dokończył, całując kącik ust Irene.

Po chwili zaczął pieścić językiem jej wargi, wślizgując się między nie, otwierając je na pocałunek. Ogarnięta namiętnością, Irene zadrzała, zacisnęła dłonie na koszuli Gideona, przywarła do niego całym ciałem. Piersi ją bolały, wezbrane, nagle czułe na najlżejszy dotyk, pragnienie rozlewało się w niej gorącą falą.

Ujął w dłonie jej pośladki, usta powędrowały wzdłuż szyi na dekolt i pełne piersi.

- Wyjdź za mnie - szepnął z wargami tuż przy jej skórze. - Ulituj się nade mną i zostań moją żoną. - Podniósł głowę i spojrzał Irene w oczy. Twarz miał zmienioną, namiętne spojrzenie. - Chcę, żebyś spała w moim łóżku, była przy mnie w ciągu dnia. Chcę widzieć twoją twarz, zasypiając i budzić się, patrząc na nią.

- Gideonie... - Irene oddychała z trudem, nieprzytomna z emocji.

- Nie umiem przemawiać jak poeta - mówił. - Jestem zbyt bezpośredni, nieokrzesany. Nie potrafię pięknie mówić o miłości. Nie wiem, czy potrafię kochać, czy kiedykolwiek potrafiłem, lecz pragnę cię za żonę. Chcę dzielić z tobą życie, poznać cię tak, jak tylko mężczyzna związany z kobietą może ją poznać. Obiecuję cię chronić i dbać o ciebie. Nie skrzywdzę cię, przysięgam. Irene, wyjdź za mnie.

Te słowa ją wzruszyły, wciąż płonęła z pożądania i czuła się bezbronna, wystawiona na ciosy. Nie kocha jej, właśnie to przyznał. Jak mogła mieć nadzieję na szczęśliwe życie u boku męża, który jej nie kocha? Ale czy mogła wybrać życie bez niego?

- Gideonie, ja... nie wiem.

- Do diabła, Irene! - wykrzyknął. - Nie możesz chociaż raz w życiu powiedzieć „tak”?

- Muszę to przemyśleć. - Była dumna tego, że nie działa pochopnie, pod wpływem emocji. Ma teraz porzucić wszelką ostrożność?

- Na litość boską, przestań wreszcie myśleć!

Patrzyli na siebie, Irene była jak skamieniała, nie mogła się poruszyć ani odezwać. Gideon wypuścił ją z objęć, cofnął się o krok, a potem odwrócił się gwałtownym ruchem.

- Nie mogę tam wrócić. Idę do wieży.

Nie mówiąc ani słowa więcej, pokonał wielkimi krokami taras i zszedł po schodach do ogrodu.

Rozdział osiemnasty

Irene poszła za Gideonem aż do schodów, gdzie przystanęła, obserwując, jak znika w skrywających ogród ciemnościach. Zaciśnęła dłonie w pięści, ze wszystkich sił usiłując powstrzymać łzy. Czuła się pusta, jakby czegoś ją pozbawiono. Kocha Gideona. Żadne słowa, logiczne wnioski, długie myślenie tego nie zmieniają. Kiedy się w nim zakochała? Kiedy pragnienie, które w niej obudził już podczas ich pierwszego spotkania, przerodziło się w coś więcej?

Ostatnie, czego by chciała, to od niego odejść. Dotąd myślała, że najgorsze, co ją spotka, gdy odmówi Gideonowi, to powrót do domu brata i bratowej. Teraz zrozumiała, że czeka ją coś znacznie gorszego - będzie przez wszystkie lata, które jeszcze przed nią, żyła bez Gideona.

Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Czuła, że może zaufać Gideonowi. Nie skrzywdzi jej, nie będzie kontrolował, sprawował nad nią władzy - nie musi obawiać się z jego strony tego wszystkiego, co ją przerażało w małżeństwie. Te lęki nie miały zresztą tak naprawdę znaczenia i nie to powstrzymywało ją od podjęcia decyzji. Istotne było to, że obdarzyła go miłością, nie dostając jej w zamian.

Znalazła się na skraju przepaści. Jeśli go poślubi będzie do niego należała - ofiaruje mu miłość, całą siebie. A przecież on powiedział, że jej nie kocha więcej, że nie sądzi, by był zdolny do miłości. Ma się świadomie wystawić na takie emocjonalne ryzyko? Kochać, nawet jeśli nigdy nie otrzyma się w zamian podobnego uczucia?

Kiedy się nad tym zastanawiała, uderzyła ją nagle myśl, że jeśli nie ofiaruje Gideonowi miłości wystawi się na znacznie gorszy los. Że zwyczajnie stchórzy, jeśli nie zostanie jego żoną. Jedyne co może zrobić ze swoją miłością, to mu ją

dać W przeciwnym razie zaprzeczy samej sobie skaże się na jałowe życie w samotności, przesycone żalem i goryczą. I to tylko dlatego, że nie odważyła się na ostateczny krok.

Z cichym okrzykiem Irene pospiesznie zeszła po schodach tarasu. Uniosła suknię nad kostki, aby nie wstrzymywała jej w biegu, i ruszyła przez ogród tą samą ścieżką, którą podążył Gideon. Drogę rozświetlało jej tylko słabe światło księżycy i kiedy znalazła się w części ogrodu zarośniętej wysokimi drzewami i krzewami, musiała zwolnić kroku, nie widząc już niemal nic w ciemnościach.

Jednak dotarła do żywopłotu, wyznaczającego koniec ogrodu, i odszukała prowadzącą do ruin ścieżkę. Po prawej stronie rozpościerał się las, ciemny nieprzenikniony. W normalnych okolicznościach wystraszyłaby ją perspektywa samotnego wędrowania skrajem lasu w mrokach nocy, ale przecież chodziło o Gideona.

Szła więc dalej z tą jedną myślą w głowie i nagle zamajaczyły przed nią ruiny wieży. Serce zabiło jej mocniej, przyspieszyła kroku i niemal biegnąc, zaczęła nawoływać:

- Gideonie! Gideonie!

Dotarła do podstawy wieży i przystanęła przed zniszczonym wejściem. Oparła się ręką o mur z kamienia i odetchnęła głęboko. Nagle poczuła się dziwnie zawstydzona i tym razem powtórzyła jego imię ciszej, wahająco:

- Gideon?

Drewniane drzwi uderzyły o kamień, wysoko nad jej głową rozbłysło u szczytu schodów światło.

- Irene?

- Tak. - Serce biło jej w piersiach tak mocno, że pomyślała, iż Gideon musi to słyszeć nawet u szczytu wieży. - To ja.

- Irene!

Stopy zadudniły na kamiennych stopniach, zatrzymał się na ostatnim podeście schodów. W skąpym świetle lampy jego oczy były smoliście czarne, twarz czujna, napięta.

- Moja odpowiedź brzmi: tak - oznajmiła, nie mogąc opanować lekkiego drżenia głosu.

Pokonał ostatnie stopnie i już stał przy niej. Objął ją i zanurzył twarz w jej włosach.

- Irene, Irene... O mało nie oszalałem. Byłem skończonym głupcem... zachowałem się jak idiota, odchodząc w ten sposób, każąc ci wybierać. - Obsypał pocałunkami jej włosy i twarz, nie przestając mówić: - Miałem już wracać, odszukać cię, powiedzieć, że jestem durniem, że będę czekał tyle czasu, ile potrzebujesz na decyzję.

Irene roześmiała się z zadowoleniem.

- Nie musisz, bo jestem tutaj i zdecydowałam: wyjdę za ciebie.

- Zatem jesteśmy zgodni. - Wziął ją na ręce i zaczął wnosić po schodach. - Pierwszy raz w życiu i mam nadzieję ostatni.

- Sądzisz, że będziemy się kłócić? - spytała zdziwiona Irene. - Ależ mamy być jednością...

- Jeśli kiedyś przestaniesz się ze mną spierać, sam nie wiem, co zrobię. To będzie znaczyło tylko jedno: że coś jest nie tak... całkiem nie tak.

Zaniósł Irene do obserwatorium, które urządził w wieży, i zamknąwszy kopniakiem drzwi, usadowił na dywanie. Stał nad nią i patrzył przez dłuższą chwilę, a potem pochylił się, podniósł ją i ujął w dłonie jej twarz.

- Hrabina Radbourne, moja żona - powiedział, jakby chciał wypróbować, jak to zabrzmie.

- Jeszcze nie żona - przypomniała mu. Uniósł jej dłoń i całując kostki palców, przypomniał: - Złożyliśmy sobie przysięgę. Jesteśmy sobie przyrzeczeni. Jutro powiem babce, a potem wrócimy do Londynu i poproszę oficjalnie twojego brata o twoją rękę. Jediną odpowiedź, jaka mnie interesuje,

właśnie uzyskałem. - Odwrócił jej dłoń i ucałował wewnątrz. - Mam jedno życzenie - wyznał i pocałował jej dłoń znowu.

- Jakie?

- Żeby ślub odbył się jak najszybciej - odparł z łobuzerskim uśmiechem.

Przesunął pieszczotliwie koniuszkami palców po policzku Irene, cały czas podążając za nimi wzrokiem, po delikatnej skórze szyi, dekoltu, po wznórkach piersi.

Irene wstrzymała oddech.

- Jest pan bardzo niecierpliwy, milordzie - Spojrzała na niego spod rzęs, długo, przeciągle, złotobrzazowe oczy zapraszały, kusiły.

- Kiedy chodzi o ciebie, nie potrafię być cierpliwy.

Obrysował opuszkami linię dekoltu złocistej balowej sukni, a potem przyłożył otwartą dłoń do pełnej kobiecej piersi i przesunął ją w górę, do szyi, pieszcząc ją palcami.

- Chcę cię teraz - szepnął - i na zawsze.

Pochylił głowę, musnął lekko wargami usta Irene, powtarzał krótkie, lekkie pocałunki, a potem obwiodł koniuszkiem języka jej usta. Irene wzięła głęboki oddech zaskoczona intymnością pieszczoty i poczuła, jak Gideon uśmiecha się, zanim ją znów pocałował.

Tym razem był to długi, powolny pocałunek, wzbudzający w jej ciele fale przyjemności. Czowała, jak topnieje, omdlewa w jego objęciach i pochyliła się ku niemu, kładąc ręce na jego piersi, jakby szukała oparcia.

Gideon objął dłońmi jej talię, przytrzymując ją, jego usta natarczywie, z pasją wzbudzały w niej emocje. Kiedy w końcu uniósł głowę, Irene opadła bezwolnie na jego pierś, przytulając do niej policzek. Pochylił się i pocałował ją we włosy, wymawiając niewyraźnie jej imię.

- Jesteś taka piękna. Wyglądałaś dzisiaj wieczoru jak bogini. Złocista bogini. O niczym innym nie myślałem, tylko o tym, by móc cię pieścić.

Zsunął rękę po jej plecach na biodro i tak samo powoli i długo jak usta, pieścił jej ciało. Odwrócił ją tak, że pólleżała na nim, z ochotą poddając się intymnemu dotykowi, rozkoszując się nim. Objął ją ramieniem w talii, przytulając do siebie, druga ręka gładziła piersi, zsuwała się na brzuch.

Głaskał delikatnie jej ciało przez materiał sukni, i opuszki palców łagodnie drażniły naprężone sutki, dłoń ześlizgiwała się na dół, krążyła po brzuchu, aż zabłądziła między uda.

Irene wydała nieartykułowany okrzyk przestachu i zeszywniała lekko, ale jego palce nie znieruchomiały, poruszały się powoli dalej, dotykając lekko, drażniąc i rozpalając, i nie trwało długo, gdy rozluźniła się i z jej ust wymknęło się ciche westchnienie rozkoszy. Poczwała ciepło między udami. I nagle zdała sobie sprawę, że pragnie pełnego zespolenia z ukochanym.

Poruszyła się, otarła o jego ciało i sprawiło jej satysfakcję, gdy usłyszała niski, ochrypy jęk. Ten dowód pożądania wzmógł jej pragnienie i Irene zrozumiała, że z równą radością bierze, jak chce dawać. Odwróciła się twarzą do Gideona, położyła dłonie na jego ciele i zażądała impulsywnie:

- Pokaż mi, jak sprawiać ci przyjemność. Chcę ci ją dać.
- Wszystko od ciebie sprawi mi przyjemność - zapewnił ją i jęknął głucho, gdy jej palce ześliznęły się po jego spodniach.
- Lubię, kiedy tak robisz - powiedziała, prowadząc dłonie przez jego biodra na pośladki. - Czy ty też to lubisz? - spytała.

Drgnął, a Irene wystarczyło to za odpowiedź. Uśmiechnęła się i pieściła go dalej. Potem uniosła ręce i wyjęła szpilki z włosów.

- Powiedziałeś, że chciałbyś patrzeć, jak moje włosy opadają.
- Tak. - Oczy rozjarzyły mu się jeszcze bardziej.

Oddychał szybko, gwałtownie, podczas gdy Irene rozpuszczała włosy. Długie pasma wyślizgiwały się z jej rąk na ramiona. Gideon patrzył, a kiedy nie mógł dłużej wytrzymać, wyciągnął ręce i zanurzył je w wijących się lokach.

Pocałował ją znowu, mocniej, natarczywiej, ze wzrastającą pasją. Oderwał usta od jej warg i zaczął drżącymi palcami rozpinać jej suknię. Irene równie niezręcznie odpięła kilka guzików jego koszuli i wsunęła pod nią dłonie.

Gideon stał nieruchomo, położył ręce na jej barkach, jakby chciał się przytrzymać, a ona pieściła go skórę. Przygryzł dolną wargę, usiłując powstrzymać się od jęku, kiedy niewprawne palce zsuwały się po jego piersi i brzuchu. Głaskała go przez chwilę, a potem koniuszki palców obwiodły brodawki, ześliznęły się w dół, do brzucha i zatrzymały na pasie frakowych spodni.

- Zadajesz mi katusze... - powiedział niewyraźnie.

Irene podniosła głowę, zaniepokojona.

- Mam przestać? Czy to ci sprawia przykrość?

Potrząsnął głową, ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Tylko przyjemność, ale tak dużą, że aż bolesną. - Zdjął koszulę i odrzucił ją na bok. - Pozwól mi się pieścić.

Wsunął dłonie pod rozpięty na całej długości stanik sukni i zsunął ją powoli, aż opadła na podłogę. Irene stała przed nim, na poły rozebrana, tylko w cienkiej koszulce i halkach. Rozwiązał tasiemki i halki opadły, układając się miękko wokół jej stóp. Wpatrywał się w jej oczy, spuszczać czasem wzrok na swoje palce, rozwiązujące wstążki koszulki. Rozchylił ją nieco, a potem powoli zsunął cienki materiał, patrząc na sterczące różowe sutki.

Irene nie przypuszczała, że pełen pożądania wzrok mężczyzny, wpatrującego się w jej nagie ciało, tak ją pobudzi. Gideon delikatnie obrysował palcami sutki, zataczając kółeczka, pieścił je dalej, aż stwardniały jeszcze bardziej. Irene nigdy by nie pomyślała o sobie, że może tak reagować na czyjś dotyk - drżąca z przyjemności i pragnienia, pełna wyczekiwania, nie czując obawy.

Gideon nakrył dłońmi jej piersi, nie przestając kciukiem pieścić stwardniałych brodawek. Pochylił głowę, ucałował sutek, a potem otoczył go

wargami i zaczął drażnić językiem. Pod Irene ugięły się kolana i przez głowę przemknęła jej niewyraźna myśl, że jak to dobrze, iż podtrzymał ją w talii.

Wydało się jej, że niewidzialna nić łączy piersi ze wszystkimi nerwami w ciele, wzbudzając przyjemność. Całe ciało zaczęło pulsować, gorąco rozlewało się coraz intensywniej, pragnienie rosło.

Wsunęła palce we włosy Gideona, skoncentrowana na coraz silniejszych doznaniach. Jęknęła cicho, gdy oderwał usta od jej piersi. Z bijącym przyspieszonym rytmem sercem czekała, czy wznowi pieszczotę. Po chwili jego wargi zaczęły pieścić drugą pierś, budząc ją do życia, przeciągając przyjemność.

Wziął ją na ręce i zaniósł do poduszek piętujących się pod ścianą. Postawił ją na nogi i zaczął rozwiązywać wstążki pantalonów, ostatniej części garderoby, którą Irene miała na sobie. Cienki materiał się zsunął i stała przed nim całkiem naga, pończochy nie skrywały jej przed jego wzrokiem, podkreślając prowokacyjnie jej nagość.

Oczy miał pociemniałe, rozszerzone namiętnością, rysy twarzy zmienione. Dama powinna się poczuć zażenowana widokiem nieskrywanego po-żądania, przemknęło Irene przez głowę, ale nie dbała o to. Pragnienie tak jasno wypisane na jego twarzy tylko podnosiło przyjemność, którą czuła.

Gideon przesunął dłońmi po jej plecach, talii, biodrach i ukląkł przed nią na jedno kolano, zrolował jedną po drugiej pończochy. Oparł jej stopę sobie na udzie i ściągnął pończochę razem z balowymi pantofelkami. Położyła dłoń na jego barku, żeby utrzymać równowagę, i poczuła, jak rozgrzana jest jego skóra.

Ucałował wewnątrz jej uda tuż nad kolanem, potem powtórzył te wszystkie czynności z drugą nogą. Uniósł ramiona i delikatnie pociągnął Irene na poduszki. Leżąc na plecach, patrzyła, jak wstaje i pospiesznie zdejmuje ubranie, odrzucając bezceremonialnym kopnięciem drogie wieczorowe buty i ściągając jednym ruchem spodnie, bieliznę i skarpety.

Wspaniale wyglądał nagi - silny i muskularny, choć z obawą zobaczyła namacalny dowód jego pożądania. Jak to będzie, pomyślała, jednocześnie pragnąc, by się stało.

Ułożył się obok niej, podparty na łokciu. Patrzył na nią, głaszcząc, drażniąc miejsca, o których by nie pomyślała, że są tak wrażliwe na dotknięcie, aż jego dłoń zawędrowała na brzuch, a potem niżej i wśliznęła się między jej uda.

Irene zadrżała, odetchnęła głęboko, urywanie i zamknęła oczy. Wychowano ja starannie, wpajano jej skromność i wiedziała, że powinna poczuć zażenowanie, ale nic nie mogła poradzić na to, że czuła tylko przyjemność - ogromną, głęboką, jakiej sobie dotąd nawet nie wyobrażała. Gideon dotykał najbardziej intymnego miejsca jej ciała.

- Gideonie... - wyszeptała drżącym głosem i wyraźnie słychać było w nim pragnienie.

- Jeszcze nie teraz - powiedział cicho, pochylając się, by pocałować jej wargi. - Pozwól, żebym ci to ułatwił.

- Pragnę cię. - Spojrzała mu prosto w oczy nieprzytomnym wzrokiem.

Zareagował na te słowa jak na pieszczotę.

- Wiem, wiem. Nie wyobrażasz sobie, co ja czuję, gdy to widzę. Poczekaj, pozwól sobie pomóc.

Znów zaczął całować jej piersi, drażnić brodawki językiem i wargami, a potem, nie przestając, wsunął dłoń między jej uda, głaszcząc i drażniąc. Irene poruszyła biodrami, wbiła pięty w poduszki i zaczęła bezwiednie poruszać się pod jego dłonią. Mruknął coś nieartykułowanie, z zachwytem, wsunął dłoń pod jej pośladki i powoli wśliznął się w nią.

Irene zachnęła się, przeszył ją krótki ból i zeszywniała. Gideon czekał nieruchomo, aż stopniowo zaczęła się rozluźniać i oplotła go nogami.

Z każdym jego powolnym ruchem coś w niej narastało, aż wreszcie z urywanym westchnieniem podjęła wspólny rytm, czekając na coś, czego nie umiałaby nazwać. Ale poczuła to - rozkosz ogarniającą całe jej ciało, zalewającą

ją falą, w której się zatraciła. Poprzez wstrząsające jej ciałem dreszcze rozkoszy usłyszała, jak Gideon wykrzykuje jej imię.

Opadł na nią, a Irene objęła go ramionami, oszołomiona i zaszokowana własnymi odczuciami.

Cokolwiek się między nimi działo, pomyślała na wpeł przytomnie, będzie ją kochał czy nie, znalazła swoje miejsce na ziemi.

Rozdział dziewiętnasty

Irene zeszła rano na śniadanie, obawiając się nieco, jak zareaguje na widok Gideona. Poprzedniej nocy wrócili do domu objęci. Niewiele mówili, oboje szczęśliwi i wyciszeni, przystawali tylko czasem, aby się pocałować. Musieli poczekać, aż wszyscy pójdą spać, i dopiero wtedy Irene wśliznęła się przez tylne drzwi i przekradła do swojego pokoju. Zmęczona i uszczęśliwiona, położyła się natychmiast do łóżka i napawając się ich tajemnicą, zasnęła. Gideon odczekał kilkanaście minut, zanim wszedł, nie kryjąc się zbytnio ze swoją obecnością.

Rankiem Irena zaczęła się zastanawiać, jakiej sytuacji musi stawić czoło. Bardzo prawdopodobne, że ktoś... i z pewnością wcale niejeden ktoś... zwrócił uwagę na nieobecność jej i Gideona przez resztę wieczoru. A jeśli zrobi do tego aluzję? Co ona ma odpowiedzieć? Nie może się zaczerwienić albo zacząć jąkać, bo wtedy od razu stanie się oczywiste, że popełniła jakieś głupstwo.

Bardziej zresztą obawiała się tego, że gdy spojrzy na Gideona, dla wszystkich obecnych stanie się jasne, co do niego czuje i co zrobili. W głębi duszy czaiła się potworna myśl, że on na jej widok pożałuje tego, co się stało, że kiedy wczoraj się rozstali, on z miejsca zaczął się zastanawiać, co go podkusiło, żeby proponować jej małżeństwo.

Weszła do jadalni, zobaczyła go siedzącego już za stołem i wszystkie wątpliwości zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Podniósł na

nią wzrok i choć nie uśmiechnął się, błysk namiętności w jego oczach powiedział jej więcej niż słowa.

- Lady Irene - powitał ją, wstając i wysuwając dla niej krzesło. - Mam nadzieję, że spała pani dobrze mimo zmęczenia tańcami. - Spojrzał na nią, w zielonych oczach zatańczyły iskierki.

- Dziękuję, hrabio. Spędziłam bardzo przyjemny wieczór - powiedziała, odwzajemniając jego filuterne spojrzenie, i usiadła na krześle. - To z pewnością sprawa tutejszego powietrza.

- Zawsze uważałam, że wiejskie powietrze jest zdrowe - poparła ją lady Salisbridge. - Moich dziewcząt - dodała z pobłażliwym uśmiechem - nie można dzisiaj spędzić z łóżek. Nic dziwnego, tak lubią tańczyć...

- Bal był cudowny - przyznała pani Surton. - Tacy doskonali muzycy, piękne kwiaty. Nie sposób przecenić pani talentów, lady Radbourne, zorganizować taką wspaniałą rozrywkę na wsi.

Pozostali goście przyłączyli się do pochwał, a obie hrabiny dziękowały, uśmiechając się z wdziękiem, Irene rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Francesce, a przyjaciółka odwzajemniła się jej dyskretnym mrugnięciem oka.

Irene spojrzała na lady Odelię, a stara dama skinęła jej majestatycznie głową i uśmiechnęła się w taki sposób, jakby wiedziała o ich planach. Być może Gideon zdążył już ją poinformować, pomyślała Irene i zrobiło jej się ciepło na sercu. Opuściła wzrok na talerz, aby ukryć uśmiech.

Kiedy pochwały i powtarzane w kółko te same przymiotniki na określenie balu przebrzmiały, Francesca odezwała się swobodnym tonem:

- Teraz pozostaje już tylko kwestia, co chcemy dzisiaj robić.

Panna Surton się roześmiała.

- Właśnie - powiedziała. - Co będziemy dzisiaj robić? Bardzo zabawnie było grać w tenisa, prawda?

- Zwłaszcza gdy serwowałaś, Ro - odezwał się jej brat Percy.

- No wiesz! - Spojrzała na niego karcąco. - Ty oczywiście zaproponowałbyś znów jazdę konną...

- To doskonała propozycja - pospieszyła z zapewnieniem panna Hurley.

- Ale dokąd mielibyśmy się udać? - zapytała Callie. - Objechaliśmy cały majątek.

Lord Hurley, jego córka i Percy Surton wyglądali na rozbawionych faktem, że ktoś może nie uznać jazdy konnej za atrakcję samą w sobie.

- W pobliżu rzeki, niezbyt daleko stąd, są jaskinie - odezwał się Gideon. - Nie widziałem ich dotąd, ale podobno są interesujące.

- Jaskinie! - zachnęła się lady Teresa. - Nie możemy tam pójść. To zbyt niebezpieczne.

- Nonsens - oburzyła się lady Odelia. - Nieraz tam byłam w młodych latach. Pamiętasz, Pansy? Nic wam tam nie grozi, chyba że ktoś się odłączy i zgubi.

- Hrabia Cecil nie pozwalał tam chodzić - oznajmiła lady Teresa.

- Rzeczywiście nie życzył sobie, aby ktokolwiek tam się włóczył - zgodziła się lady Odelia. - Nie słyszałam jednak, żeby były niebezpieczne ani by coś złego się tam wydarzyło, prawda, Pansy?

- Nie, kochanie - odparła lady Pansy i zwróciła się uprzejmie do Teresy: - Sądzę, że Cecil bardzo chronił ciebie i Timmy'ego. A co do jaskiń, nie chciał, aby zbyt wielu ludzi po nich chodziło. Uważał, że to je zniszczy. Są warte obejrzenia. Niezwykłe.

- To rzeczywiście brzmi zachęcająco - orzekł Pierś, czemu ochno przytaknęli młodszy goście.

- Cook z pewnością zdoła przygotować kilka piknikowych koszy - dodała Francesca, rzucając znaczące spojrzenie Irene.

Wiedziała, że powinna zająć się przygotowaniem koszy z jedzeniem, razem z gospodynią i kucharzem. Podzieliły się z Francescą obowiązkami tak, że to Irene przypadł nadzór nad kuchnią podczas całego tygodniowego pobytu gości. Natychmiast po śniadaniu poszła do kuchni omówić tę kwestię.

Gospodyni, pani Jeffries, wyraźnie polubiła Irene, choć właściwie nie było po temu powodu. Jak Irene podejrzewała głównie dlatego, że lady Teresa i lady Pansy, choć z różnych powodów, niedostatecznie wypełniały obowiązki pani domu. Gospodyni coraz częściej w ciągu minionego tygodnia zwracała się do Irene z pytaniami i nawet wszytkowiedzący Horroughs zasięgnął kilka razy jej opinii, gdy zdarzyło mu się nie być pewnym, jak postąpić wobec gości.

Dzisiaj jednak wydało się Irene, że uśmiech, jakim przywitała ją gospodyni, był szczególnie promienny, a ton, jakim zapewniała, że kosze z jedzeniem zostaną przygotowane i zaniezione do jaskiń punktualnie na pierwszą po południu, bardziej uważający niż zwykle. Irene podchwyciła też kilka ukradkowych spojrzeń służących, raz czy dwa zauważyła wymianę porozumiewawczych uśmiechów.

Czy to możliwe, by służba dowiedziała się o jej zaręczynach z Gideonem? Wydawało się to nieprawdopodobne, skoro zdarzyło się ledwie wczoraj. Z drugiej strony, służba zawsze pierwsza wszystko wiedziała. Gideon musiał powiedzieć babce lub ciotecznej babce, a w pobliżu mogła się znaleźć jakaś pokojówka.

Irene udawała oczywiście, że nie zauważa niczego, ale gdy skończyły dyskusję na temat zawartości koszy, poszła do swojego pokoju, aby się przebrać. Kiedy spojrzała na siebie w lustrze, zdejmując poranną suknię, zrozumiała, że ani służący, ani lady Odelia nie musieli niczego słyszeć - wystarczyło na nią popatrzeć, aby zgadnąć. Nie miała pojęcia, schodząc na śniadanie, że wygląda na aż tak szczęśliwą i że nie zdoła tego ukryć. Policzki miała zaróżowione, oczy błyszczące, kąciki ust uniesione, jakby tylko czekała, żeby się roześmiać.

Przyglądała się sobie, odwracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę i próbując przybrać bardziej niewzruszoną minę, a w ostateczności chociaż nieprzeniknioną, ale szybko poddała się, wybuchając śmiechem.

Jakie to miało znaczenie, czy ktoś rozpozna, że jest zakochana po uszy? Jedyne, co się liczyło, to jej przyszłe życie z Gideonem. Chciała, aby zaczęło się jak najprędzej.

Na razie jednak trzeba było dołączyć do gości; podobał się jej pomysł zwiedzania jaskiń w towarzystwie Gideona. Przebrała się więc szybko w amazonkę, przypięła szpilkami kapelusik, zsuwając go na bok głowy tak, aby ozdabiające go czarne pióro opadało na twarz. Czarne wysokie skórzane buty i czarne skórzane rękawiczki dopełniły stroju. Stanęła raz jeszcze przed lustrem i z zadowoleniem przyjrzała się swojemu odbiciu. Moda nakazująca nosić suknie z wysoko podniesionym stanem nie obowiązywała w przypadku stroju do jazdy konnej. Dobrze dopasowany stanik amazonki podkreślał jej figurę, a ciepły brązowy kolor dobrze pasował do włosów i cery. Co tam, pomyślała, wychodząc z pokoju, dzisiaj wyglądałabym promiennie nawet w łachmanach.

Irene przez całą drogę do jaskiń jechała konno między Francescą a Calandrą, a Gideon towarzyszył innym dziewczętom i mężczyznom. Nie byłoby to właściwe, gdyby nagle odłączył od całej partii, aby okazać, kogo naprawdę darzy względami.

Prowadzeni przez stajennego przecięli łąkę i dojechali do rzeki, kierując się następnie wzdłuż jej brzegu do widocznych w oddali wzgórz, szlakiem prowadzącym z dala od wsi i traktu wiodącego do Londynu. Droga stopniowo się zwężała, a grunt po jej bokach wznosił, aż wjechali w niewielki wąwóz o stromych skałach z wapienia. Wreszcie koniuszy zatrzymał się, aby porozmawiać z Gideonem, wskazał ręką na krzaki u podstawy jednej ze ścian wąwozu.

Irene osłoniła dłonią oczy i dostrzegła poza płataniną liści i gałęzi ciemniejsze miejsce. Wszyscy zsiadli z koni i poszli lekko pod górę po dnie wąwozu do wejścia do jaskiń. W białej skale wyglądało jak czarna dziura i choć z jednej strony zasłaniał je wielki głaz, było dość miejsca, by naraz przeszło dwoje ludzi.

Panowie zostali wyposażeni w lampy olejowe, które teraz zapalili, i cała grupa weszła do jaskini. Francesca i Irene zamykały pochód, a Rochford uprzecznie oświetlał im drogę.

Nie uszli zbyt daleko od wejścia, gdy panna Hurley, czego nikt by się po niej nie spodziewał, poczuła się zdenerwowana panującymi ciemnościami, szczupłością miejsca i wielkością skały znajdującej się nad ich głowami. Zatrzymała się i stwierdziła, że dalej nie pójdzie. Francesca, stłumiwszy westchnienie, ofiarowała się, że zostanie z nią na zewnątrz, a Percy Surton, rzuciwszy pożegnalne, tęskne spojrzenie na korytarz, ciemniejący poza rozświetlającym mrok światłem lamp, pospieszył z zapewnieniem, że chętnie dotrzyma damom towarzystwa.

Reszta osób ruszyła naprzód dość wąskim korytarzem, który w miarę jak szli, rozszerzał się nieco, aby otworzyć na dużą pieczarę. Zatrzymali się tutaj, tworząc luźną grupkę. Irene patrzyła z zachwytem.

Pieczara była na tyle duża, że światło lamp nie docierało do jej ścian, widzieli wokół baśniowo ukształtowane formacje skalne, wyrastające z podłogi lub zwisające z sufitu, wilgotne i lśniące lekko w świetle lamp.

Pan Strethwick, przyjaciel księcia, ciekawy jaskiń, nieśmiały mężczyzna, który nie zamienił z nikim słowa podczas całej drogi, teraz rozkwitł i opowiadał o stalaktytach i stalagmitach, objaśniając, jak się ukształtowały, nazywając rodzaje skał i minerałów. Irene słuchała jednym uchem, całkowicie pochłonięta pięknem tego miejsca.

W czasie gdy pan Strethwick mówił, stajenny wrócił do koni i przyniósł kilka długich pochodni. Umocował je na ziemi i zapalił, oświetlając lepiej całą jaskinię, tak że mogli ruszyć dalej, zabierając ze sobą lampy. Księżę doradził, żeby trzymać się w zwartej grupie i nie odłączać, aby zwiedzać na własną rękę, i nikt z nim oczywiście nie dyskutował nie tylko dlatego, że cieszył się autorytetem. Irene była zadowolona, że może iść z innymi, zwłaszcza gdy Gideon został nieco w tyle i szedł obok niej.

Było na co popatrzeć. W miarę jak się posuwali, otwierały się przed nimi kolejne korytarze i niewielkie groty, odsłaniając ciekawie uformowane skały. Niektóre przypominały zastygłe fale morza, inne przedziwne draperie złożone z warstw skały i ziemi. Podekscytowani goście pokazywali sobie poszczególne formacje i puszczając wodze fantazji, porównywali je do klęczącego rycerza, to znów do trującego grzyba. W końcu głód zaczął im doskwierać i wyszli na powierzchnię, gdzie czekał już na nich przygotowany posiłek.

Irene chciała podejść do Franceski, ale Gideon zatrzymał ją, obejmując w talii.

- Nie, zostań - poprosił.

Spojrzała na niego z uśmiechem, skinęła głową i usiadła obok na skale. Wybrał dobrze, jak stwierdziła. Szeroką półkę skalną, na której usadowiło się całe towarzystwo, przedzierał w pewnym miejscu niewielki nawis skalny. Siedzieli po jednej jego stronie, a reszta kompanii po drugiej, co zapewniało im odrobinę prywatności, a jednocześnie wszyscy mogli ich widzieć, nie było zatem w tym nic nieodpowiedniego.

Gawędzili, jedząc, o jaskiniach, ale prawdziwa rozmowa między nimi polegała na wymianie spojrzeń i uśmiechów i Irene z przyjemnością patrzyła, jak łagodnieją rysy jego twarzy, gdy na nią patrzy. Kiedy sięgała pamięcią do tych chwil na skale, nie przypominała sobie dokładnie, o czym rozmawiali,

Doskonale pamiętała uczucia spokoju, radości i bezpieczeństwa, jakie ją wtedy ogarnęły. Później, myślała, siedząc obok Gideona, może będzie się martwić, że zbyt pochopnie powiedziała „tak”. Będzie się zastanawiać, czy dobrze być żoną hrabiego, wiedząc, że ceni ją jako przyjaciela i pragnie, ale nie kocha. Na strachy jest przeznaczona noc, gdy przyjdą łązy z obawy, że nigdy jej nie pokocha, i naprawdę nie jest zdolny do miłości, podczas gdy ona oddała mu serce.

Teraz jej to nie obchodzi. Syciła się jego spojrzeniem, przypominała sobie, jak jego usta wędrowały po jej ciele. To, co teraz czuje, wystarczy. Zauważyła

uważny wzrok Franceski, którym obrzuciła ich podczas posiłku - i nie ona jedna. Stryj Gideona zmierzył ich badawczym spojrzeniem, i to kilka razy.

Kiedy się posilili, większość towarzystwa wyraziła życzenie, by powrócić do jaskiń, czemu ochoczo przyklasnął przyjaciel księcia Rochforda, pan Strethwick, który choć wszystko było przepyszne, najwyraźniej nie potrafił delektować się jedzeniem przed tak pięknymi widokami w grotach.

Obie panny Salisbridge zdecydowały, że bardziej odpowiada im spędzenie popołudnia na słońcu w pobliżu rzeki niż powrót w ciemne, wilgotne wnętrza jaskiń, co dla Franceski i Percy'ego Surtona oznaczało zwolnienie z obowiązku dotrzymania towarzystwa pannie Hurley. Skorzystali z tego skwapliwie i weszli wraz z pozostałymi do pierwszej grotki.

Poruszali się teraz szybciej, już znając drogę, ale Irene z Gideonem zostawali z lekka w tyle, jakby nie mogli nadążyć za główną grupą. W pewnym momencie Irene poczuła, że Gideon ujmuje ją za rękę, i odwróciła się do niego, zdziwiona. Pokazał głową na boczny korytarz, unosząc lampę, aby go oświetlić. Odciągnął ją na bok, a ona poszła bez protestu. Gideon rozejrzał się badawczo wokoło, a potem weszli w korytarz.

Przykryła dłonią usta, tłumiąc śmiech, i skoncentrowała się na tym, by nie narobić hałasu, co zaalarmowałoby resztę towarzystwa. Kiedy wydało się im, że oddalili się już dostatecznie, Gideon przytulił Irene i pocałował.

- Tęskniłem za tym cały dzień - wyznał, odstawiając lampę na dno jaskini.

- Uznasz, że jestem bezwstydną, jeśli powiem, że ja też? - zapytała, patrząc na niego filuternie.

- O tak, jesteś, niebiosom niech będą za to dzięki - odparł z uśmiechem i pocałował ją znowu.

Potem przygarnął ją do piersi i stali tak dłuższą chwilę, objęci, nic nie mówiąc. Wreszcie zanurzył twarz w jej lokach i szepnął wprost do ucha:

- A może natrafimy na jakąś małą, odosobnioną grotę...

Irene zachichotała, po czym powiedziała:

- Przestań, bo zaczynam reagować nerwowo jak panna Surton.

- O Boże... - odparł grobowym głosem Gideon. Spojrzał jej prosto w oczy i pocałował, tym razem długo, namiętnie.

Wypuścił ją z objęć, uniósł z ciężkim westchnieniem lampę i ruszyli dalej korytarzem, trzymając się za ręce, ciesząc swoją bliskością i pięknem jaskiń.

- Powiedziałem babce i lady Odelii, że przyjęłaś moje oświadczyzny. Nie muszę dodawać, że były zachwycone.

- Obawiam się, że Teresa nie będzie - zauważyła Irene.

- Na szczęście nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie - odparł, wzruszając ramionami. Nie będzie ci przeszkadzało, że mieszka w Radbourne Park? Może się przeprowadzić do któregoś z naszych domów, jeśli tak wolisz.

- Nie, zdołam znieść jej obecność - zapewniła niefrasobliwym tonem Irene.

- Nie chciałabym pozbawiać Timothy'ego domu. Należy do rodziny i wiem, że za nim przepadasz.

- To prawda, ale jeszcze bardziej przepadam za tobą - stwierdził z uśmiechem.

- Miło to słyszeć. Prędzej niż później przekonamy się, jak jest naprawdę - mówiła lekkim tonem. - Bo widzisz, ktoś mi kiedyś zarzucił, że trudno ze mną wytrzymać.

- Z tobą? - zapytał z udawanym zdumieniem, w oczach tańczyły mu iskierki. - Któż to ośmielił się coś podobnego twierdzić?

Rzuciła mu wymowne spojrzenie, a on pochylił głowę i pocałował ją w usta, a potem obsypał pocałunkami jej oczy i policzki.

- Lubię cię taką, jaka jesteś - podkreślił. - Pełna słodczy osoba doprowadziłaby mnie do szaleństwa w dwa tygodnie.

- W takim razie postaram się zrobić, co w mojej mocy, aby utrzymać cię przy zdrowych zmysłach - odcięła się, a potem spoważniała i dodała już serio: - Gideonie, jest coś, o co chcę cię prosić.

Spojrzał na Irene, zaskoczony zmianą tonu.

- O co?

- Chciałabym, żeby matka mieszkała tutaj. Nie jest zbyt szczęśliwa, przebywając z moją bratową. Nigdy się nie poskarżyła, ale ja wiem, że tak jest i...

- Ależ oczywiście. - Nie pozwolił jej dokończyć. Puścił jej dłoń, by objąć ją wolną ręką. - I tak zakładałem, że z nami zamieszka. Nie musiałaś o to prosić.

- Dziękuję.

- Dałbym ci wszystko, bylebyś tylko patrzyła na mnie w ten sposób.

Kładąc rękę na pośladek Irene, przyciągnął ją do siebie bliżej. Przeszedł ją dreszcz pożądania, położyła dłonie na jego torsie, szukając guzika, by go odpiąć i wsunąć rękę pod jego koszulę. Przez głowę przemknęło jej, jakby to było, gdyby teraz rzeczywiście pociągnął ją do jakiegoś odległego kąta jaskini.

Ich pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne i Gideon z brzękiem postawił lampę na ziemi. Objął Irene ciaśniej i przytulając mocniej do siebie, uniósł lekko. Jego usta pieściły jej szyję, wtulił twarz w jej piersi. Po chwili z jękiem uwolnił ją i biorąc głęboki oddech cofnął się o krok.

- Wodzisz mnie na pokuszenie - powiedział ochryple. - Mam tylko jedną prośbę: żeby nasz ślub odbył się bardzo, ale to bardzo szybko.

- Zgadzam się - odparła Irene, wygładzając spódnicę amazonki. - Tymczasem może dołączymy do reszty, zanim wybuchnie skandal.

- Tak, masz rację.

Podniósł lampę i poszli z powrotem, ale po kilku zakrętach Gideon przystanął i rozejrzał się wkoło.

- Zdaje się, że przyszliśmy inną drogą.

Irene także wydawało się od jakiegoś czasu, że idą nie tam, gdzie trzeba.

- Zgubiliśmy się? - spytała.

- Chyba nie, ale powinniśmy znaczyć drogę. Zawrócili do miejsca, gdzie korytarz się zwężał.

Po kilku minutach otworzyła się przed nimi duża grotą, choć nie tak jak pierwsza, którą zobaczyli, wchodząc do jaskiń. Była wysoko sklepiona i Irene widziała, że znaleźli się w niej pierwszy raz.

- Zgubiliśmy się! - wykrzyknęła z lekkim przestraszeniem.

- Nie bój się. Znajdziemy drogę powrotną, zapewniam cię. - Gideon wniósł lampę i rozejrzał się po jaskini. - Bardzo interesujące miejsce. Zobacz, ile kolejnych jaskiń się otwiera.

Irene spojrzała na ciemniejący otwór - wejście do następnej groty oświetlone kręgiem światła - i powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz się w nie zagłębiać.

- Nie, ale któregoś dnia na pewno wrócę, by zbadać je bliżej.

Przesunął lampę, oświetlając kolejne miejsce w grocie i zobaczyli tuż koło nich ślepią ścianę. Gideon zastygł z lampą uniesioną wysoko w dłoni.

- Dziwne...

- Co takiego?

Podszedł bliżej do ściany, oświetlając ją dokładnie.

- Sama zobacz. Wygląda inaczej niż wszystkie. Irene zbliżyła się, zaciekawiona, choć czuła się dość niepewnie.

- Wydaje się, jakby ktoś zbudował tu mur.

- Właśnie. - Postawił lampę na ziemi i przykucnął. - Nie jak pozostałe, lite ściany. - Przesunął palcem po kamieniach, zdrapując ziemię. - Wygląda to tak, jakby ktoś ustawił kamienne bloki i zasmarował wszystko ziemią. U góry wymyła się pod wpływem wilgoci.

Irene zmarszczyła czoło, pochylając się, by przeciągnąć palcem po powierzchni.

- Masz rację. Ktoś wznosił tu mur z kamieni. Po co?

- Nie wiem, ale to dziwne.

Zaokrąglił lekko dłoń i używając jej jak skrobaka, zebrał z powierzchni kamieni więcej ziemi, odsłaniając je.

- Tu się to kończy - powiedział. - Na szerokość nie ma więcej niż dwie stopy. Zamierzam się przekonać, co jest za tym murem - stwierdził zdecydowanie.

Pracował obiema dłońmi, usiłując wydłubać pierwszy kamień. Obluzował go w końcu i usunął ze zgrzytliwym dźwiękiem. Dalej praca poszła znacznie szybciej. Irene wyciągnęła z kieszeni rękawiczki do konnej jazdy, włożyła je i uklękła, żeby mu pomóc. Wyjmowali kolejne kamienie i otwór się powiększał. W środku było ciemno, choć oko wykol. Irene poczuła dziwny, odstręczający zapach.

Dlaczego ktoś chciał zamaskować wejście do groty? Może był tam jakiś niebezpieczny uskok, grożący temu, kto postawi nogę, śmiertelnym upadkiem? Do jaskiń nie wchodziło często, a właściwie prawie wcale. Z tego, co mówiła Teresa, Cecil Radbourne uważał, że przebywanie w nich jest niebezpieczne. Inni prawdopodobnie podzielali jego zdanie, ale Irene nie widziała ku temu powodu. Na pewno zagrożenie nie płynęło z ich ukształtowania. Może wykorzystywali je przestępcy do... no właśnie, do czego? Zamurowali tu skarby? Może przemytnicy... ale tak daleko od morza? Więc złodzieje. Gromadzili tu skradzione przedmioty, a potem ukryli je. Tylko po co? - zadała sobie pytanie Irene.

Co takiego warte było zaciągnięcia przez stromy wąwóz i potem przez jaskinie do tego zapomnianego przez ludzi miejsca? Musiałoby to być coś, co opłaciłoby się ukrywać przez dłuższy czas. Większość kradzionych dóbr była warta tyle, ile paser chciał za nie zapłacić. Ani sreber, ani biżuterii złodziej nie kradnie po to, by je przechowywać. Poza tym znajdowali się na wsi - ile kosztowności można było tutaj ukraść?

Gideon pracował coraz szybciej i wkrótce otwór powiększył się na tyle, że mógł unieść lampę i oświetlić przestrzeń poza murem. Oboje wetknęli głowy w otwór.

Lampa rozświetliła ciemność zaledwie na kilka stop, ale to wystarczyło, żeby zorientowali się że mają przed sobą niewielką grotę, przypominającą norę zwierzęcia. Ktoś niewysoki mógłby się w niej wyprostować, była głęboka najwyżej na sześć do ośmiu stóp. W półmroku, jakieś cztery stopy od wejścia, dostrzegli podłużny, długi na pięć stóp kształt, owinięty białawym cienkim materiałem. Nie było wątpliwości. To była ludzka postać.

Rozdział dwudziesty

Irene patrzyła, nie mogąc wydobyć żadnego dźwięku ze ściśniętego gardła. Usiadła na piętach i spojrzała na Gideona.

- Selena - szepnął oszołomiony.

- O mój Boże... - Wstrząśnięta Irene przyłożyła dłonie do policzków. Zdała sobie sprawę z tego, że drży.

Gideon wypowiedział na głos to, co przyszło jej do głowy. Odrzucił resztę kamieni, odsłaniając wejście.

- Tego nie wiemy. - Irene położyła dłoń na jego ramieniu.

- A kto jeszcze mógłby to być?

- Nie powinniśmy ruszać ciała. Ktoś mógłby je...

- Zidentyfikować? - dokończył. - Tak, masz rację. Nie powinniśmy jej... Dotykać ciała. Jednak muszę ją zobaczyć.

Włożył lampę do środka i sam wpełzł. Irene poszła jego śladem.

- Nie powinnaś tego robić. To nie jest widok dla damy - zauważył Gideon.

- Muszę - odparła krótko. - Ty chcesz zobaczyć, tak?

Skinął głową i nie przekonywał jej dłużej. Kiedy znaleźli się blisko szczątków, podniósł lampę wyżej. W jej świetle ujrzeli ciało kobiety, owinięte w ciemny, przegniły materiał. Głowę i ramiona spowijał cienki białawy materiał, poznaczony brązowymi i żółtawymi plamami. Pod muślinem rysowała się

wysuszona czaszka, kilka kosmyków włosów wciąż do niej przylegało. Irene poczuła się słabo, jakby miała zemdleć. Odsunęła się od ciała i zamknęła oczy.

- Dobrze się czujesz?

Głos Gideona zabrzmiał tuż przy jej uchu, otworzyła oczy i napotkała jego zatroskany wzrok.

- Nie powinnaś na to patrzeć. Może wyjdiesz?

- Nie, wszystko w porządku - skłamała, bo wciąż czuła lekkie mdłości. Wprawdzie nigdy nie widziała czegoś tak makabrycznego, ale nie zostawi Gideona tutaj samego nad szczątkami kobiety, która - przeczuwali to oboje - była jego matką.

- Czy to rzeczywiście ona? - spytała, wciąż oddychając głęboko.

- Nie wiem, lecz kto inny mógłby być? - Gideon westchnął, ściskając lekko dłoń Irene. - Musimy sprowadzić pomoc. Stryj jest jedyną osobą, która może rozpoznać ciało.

Irene skinęła głową, a potem położyła dłoń na ramieniu Gideona i zapytała z troską:

- Tak, dobrze, ale... jak się czujesz?

Uśmiechnął się smutno, uniósł jej dłoń i ucałował kostki palców.

- Upłynęło dużo czasu. Przynajmniej wiem, że mnie nie porzuciła. - Oparł na chwilę czoło o jej czoło. - Chodźmy - powiedział. - Znajdźmy resztę towarzystwa.

Wydostali się z ciasnego pomieszczenia i z ulgą stanęli wyprostowani w grocie. Irene rozejrzała się wokół.

- Potrafimy znaleźć drogę powrotną?

- Tak, chociaż może to trochę potrwać. Musimy znaczyć szlak, aby mieć pewność, którądy już szliśmy.

- Mam wstążki we włosach i rękawiczki.

- Ja zegarek i łańcuszek do zegarka. Spinki do mankietów. Damy sobie radę.

Zaczęli więc znaczyć trasę, zostawiając rzeczy na każdym zakręcie, ale nie uszli daleko, gdy do ich uszu dobiegły słabo słyszalne ludzkie głosy. Zatrzymali się, nasłuchując, a potem Gideon zaczął nawoływać. Jego głos rozbrzmiewał echem w jaskini. Po chwili usłyszeli męski głos:

- Radbourne? I inny:
- Gideon?
- Piers! - wykrzyknął Gideon. - Tutaj!

Nawoływania trwały jeszcze przez chwilę, czasem głosy słabły, ale zaraz się przybliżyły i w końcu dostrzegli słaby poblask światła i trzech mężczyzn, wyłaniających się zza zakrętu korytarza: Piersa, stryja Gideona, a zaraz za nimi księcia Rochforda.

Twarz lorda Jaspera nosiła ślady silnego zatroskania, Piers był zdenerwowany, a księżę niewzruszony jak zwykle.

- Bogu dzięki! Śmiertelnie nas wystraszyłeś, człowieku! - wybuchnął Piers, podchodząc do Gideona oraz Irene. - Gdzie byliście?

- Zgubiliśmy się, a potem... natknęliśmy się na coś.

Rochford obrzucił badawczym spojrzeniem Gideona, a potem Irene i w tym momencie zdała sobie sprawę, jak oboje wyglądają. Brudni, rozczochrani po usuwaniu kamieni gołymi rękami i wczołgiwaniu się do niskiej jaskini na rękach i kolanach.

- Pokaż nam - odezwał się Rochford.

Ruszyli z powrotem, zabierając po drodze przedmioty, którymi znaczyli drogę, aż wreszcie stanęli przed grotą. Irene patrzyła, jak trzech mężczyzn pochylają się nad wejściem i zagląдают do środka. Piers z głośnym syknięciem wciągnął powietrze, a lord Jasper gwałtownie zbladł. Popatrzył pytająco na bratanka, który powiedział:

- Tylko ty możesz to stwierdzić.

Lord Jasper spojrzał na wejście do groty, a wyraz jego twarzy był tak przejmujący, że Irene odwróciła wzrok. Skinął głową i wczołgał się do środka,

za nim Gideon. Piers obserwował ich obu, zaszokowany i zaintrygowany, książkę zwrócił się do Irene:

- Selena?

- Tego się obawiamy.

Piers spojrzał z zaciekawionym, ale najwyraźniej uznał, że nie pora na pytania, gdyż się nie odezwał usłyszeli stłumiony jęk, a potem lord Jasper powiedział:

- To szlafrok... Jest owinięta w szlafrok... Ja... nie wiem, czy to jej. Pomóż mi. - Ujął materiał, a Gideon pospieszył pomóc mu go odwinąć. Rozpadł się pod ich palcami częściowo na kawałki, częściowo w pył. - O Boże... - Głos mu się załamał. - Jej obrączka. I ta szpilka, prezent ode mnie. To Selena...

- Lady Irene - odezwał się Rochford - odprowadzę panią do pozostałych pań. Panie Aldenham, gdyby zechciał pan tu pozostać, pošlę stajennego do majątku, aby natychmiast przyprowadzi furgon. Lady Francesca i lady Irene pojedą z resztą towarzystwa do domu, a ja wrócę wam pomóc kiedy tylko upewnię się, że wszyscy odjechali.

- Poczekam - powiedział Piers, kiwając głową

- Czy dobrze się pani czuje? - zapytał Rochford towarzysząc Irene w drodze powrotnej z jaskini.

- Tak. Ja... Widok był potworny, ale... - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się blado. - Każdy panu powie, że nie jestem delikatną kobietą.

- Bogu dzięki. Niezbyt chętnie podjąłbym się niesienia nieprzytomnej damy przez te wszystkie korytarze. Albo prowadzenia rozhisteryzowanej.

Uśmiechnął się do niej i Irene zaskoczyło, jak rozjaśniła się jego przystojna twarz, zyskując ciepły wyraz, którego zwykle jej brakowało.

- Tak, wyobrażam sobie, że mogłoby to być trudne - zgodziła się, a potem dodała z westchnieniem: - Boję się, że Gideon bardzo to przeżyje. Ledwie poradził sobie z myślą, że matka uciekła, a tu dowiaduje się, że została zamordowana... - Urwała, a po chwili zapytała: - Chyba w grę nie wchodzi nic innego niż morderstwo?

- Nie wydaje mi się - odparł Rochford. - Ciotka Odelia opowiedziała mi historię o ucieczce lady Seleny z jakimś nieznanym mężczyzną. Można założyć, że lady Selena napisała list informujący, że ucieka, a potem zabiła się, ale trudno zrozumieć, z jakiego właściwie powodu chciała, aby wszyscy uwierzyli w jej ucieczkę. Jeszcze trudniej przyjąć, że zabiła się, a potem owinęła sobie głowę halką.

- To prawda, poza tym... jej głowa wygląda, jakby została rozbita... Fatalna sprawa. Dobrze, że Cecil nie żyje. Proces byłby tragedią.

Myśli pan, że to ojciec Gideona ją zabił?

- To on czytał list lady Seleny. I tylko on, jak to zrozumiałem z opowieści moich ciotecznych babek. Zakładam, że on albo jego osobisty pokojowiec. Możliwe, że polecił mu to zrobić. Owenby był mu całkowicie oddany.

- Ale dlaczego zabrano Gideona? - spytała Irene.

- To przekracza moją zdolność rozumienia - przyznał Rochford. - O, przed nami pierwsza jaskinia.

- Zna pan te jaskinie?

- Nie. - Spojrzał na nią zdumiony. - Nigdy przedtem tu nie byłem.

- Jakim sposobem z taką łatwością odnajduje pan drogę powrotną?

- Od momentu, gdy zaczęliśmy podejrzewać, że pani i Gideon odłączyliście się, co i tak nastąpiło po dłuższym czasie, niż można by się spodziewać po świeżo zaręczonej parze - uśmiechnął się przelotnie - zacząłem znaczyć drogę, by mieć pewność, że wszyscy się nie zgubimy.

- Ach tak. - Irene przypomniała sobie uwagi Franceski na temat księcia. Zaczynała ją rozumieć.

- Milady! - Stajenny, czekający z Percym Surtonem przy wejściu do głównej jaskini, wyprostował się gwałtownie na ich widok. - Wasza Wysokość.

- Lady Irene ma się znakomicie - uspokoił go Rochford. - Zabłądzili z hrabią Radbourne'em, ale ich odnaleźliśmy. Potrzebuję twojej pomocy, Barnes, za chwilę powiem, o co chodzi. Panie Surton, czy mogę ufać, że pod pańską

opieką damy wróćą bezpiecznie do domu? Obawiam się, że lady Irene powinna znaleźć się tam jak najszybciej. Jest nieco wytrącona z równowagi tym, co się zdarzyło. - Odwrócił się do Irene i powiedział ledwie dosłyszalnie: - Proszę przynajmniej spróbować...

Irene przyłożyła dłoń do piersi.

- Panie Surton, nie wiem, jak panu dziękować. Czuję się nieco słabo.

Zaaferowany Percy Surton, natychmiast pospieszył ofiarować jej ramię i poprowadził do korytarza biegnącego do wylotu jaskiń. Książę zwrócił się przyciszonym głosem do stajennego. Na twarzy Barnes'a pojawił się wyraz zdumienia, ale nie pytając o nic, skłonił głowę i pospiesznie wyszedł, by wykonać rozkazy księcia.

Ledwie Irene i Percy Surton wynurzyli się z jaskini, podeszła do nich Francesca.

- Dobrze się czujesz? Czy coś złego się zdarzyło? Gdzie pozostali?

- Obawiam się, że musimy skrócić dzisiejszą wycieczkę - powiedział książę, wychodząc z korytarza zaraz za nimi. - Lady Irene czuje się dobrze, choć jest odrobinę zmęczona. Lady Haughston, czy mogłaby pani ze mną porozmawiać?

Irene patrzyła, jak odchodzą na bok i książę pochyła się nad Francescą, zwracając się do niej z powagą. Dotknął uspokajająco jej ramienia i natychmiast cofnął rękę. Skłonił się przed nią kurtuazyjnie, odwrócił i wszedł z powrotem do jaskini, a Francesca podeszła pospiesznie do Irene.

- Och, co za... sama nie wiem, jak to określić. Czy naprawdę dobrze się czujesz, kochanie?

- Tak, ale musimy pojechać jak najszybciej ze wszystkimi do domu i wymyślić, czym ich zająć, tak żebyśmy nie musiały tłumaczyć, co się stało.

- Już ja coś zorganizuję.

Francesca zgromadziła wszystkich w zwartą grupkę, nie szczędząc przy tym pochwał Percy'emu Surtonowi za to, że okazał się tak pomocny, i wyrażając

obawy co do stanu nerwów Irene. Zapewniła gości, że dołoży starań, aby wypełnić resztę popołudnia czymś przyjemnym - może partią krykieta na trawniku przed domem?

Towarzystwo zgodziło się entuzjastycznie. Wprawdzie na rozegranie partii krykieta zostało niewiele czasu, ale Francesca zdołała przekonać gości, by jednak ją zorganizować, a potem zręcznie pobudziła ambicję Percy'ego Surtona, powierzając mu obowiązek dopilnowania, żeby przedsięwzięcie doszło do skutku. Zwolnione z obowiązku asystowania gościom Francesca i Irene, wydawszy szybko polecenia kamerdynerowi, udały się do biblioteki. Lady Odelia i lady Pansy przysły niemal natychmiast, po chwili zjawiała się również wyraźnie poirytowana lady Teresa. Pierwsza odezwała się oczywiście lady Odelia.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego kazałaś Horroughsowi nas tu sprowadzić? - Nagle twarz jej się zmieniła. - Czy coś się stało Gideonowi?

- Nie, hrabia ma się dobrze - zapewniła ją pospiesznie Francesca i rzuciła znaczące spojrzenie na przyjaciółkę.

Irene skinęła głową i zaczęła mówić:

- Chodzi o to, że znaleźliśmy dziś w jaskiniach... Proszę wybaczyć, lady Radbourne - zwróciła się do Pansy - ale obawiam się, że nie ma innej możliwości, jak powiedzieć to wprost. Znaleźliśmy ludzkie szczątki. Pani syn, Jasper, je zidentyfikował. To lady Selena.

Zapadła przejmująca cisza, nawet lady Odelia milczała w osłupieniu. Po dłuższej chwili padły pytania, ale Irene nie potrafiła udzielić na nie odpowiedzi. Niespokojne czekały więc na powrót mężczyzn.

Irene podskoczyła na krześle, kiedy w końcu dobiegł je z holu odgłos kroków. Drzwi otwarły się i do biblioteki weszli lord Jasper, książę Rochford i Gideon. Irene spojrzała na Gideona. Trzymał w dłoniach coś zawiniętego w szmatkę.

- Jasper? - odezwała się lady Pansy, wstając z krzesła. Dłonie jej drżały, spłotła je przed sobą. Nagle się postarzała, wyglądała na tyle lat, ile miała w rzeczywistości. - Czy to... Czy to rzeczywiście Selena?

Z ponurą miną skinął głową.

- Tak, jestem pewien. Znaleźliśmy szpilkę, którą zawsze nosiła, i obrączkę.

- Co się stało? - zapytała lady Pansy, wyglądając na kompletnie dezorientowaną.

- Czy chodziła po jaskiniach? - Lady Odelia usiłowała podsunąć jakieś sensowne rozwiązanie. - Spadła albo może...

- Została zamordowana. - Gideon uciął jej spekulacje, a potem dodał, patrząc na babkę: - Mój ojciec ją zamordował.

Lady Pansy usiadła ciężko, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Nie! To niemożliwe. Ktoś musiał... musiał ją wykraść. Z jej pokoju i zaciągnął ją tam... i...

- Została zabita w domu - przerwał jej bezlitośnie Gideon. - Znaleźliśmy to w kącie jaskini.

Odwinął szmatkę. Stryj Jasper odwrócił wzrok, jakby nie był w stanie znieść tego widoku. Irene spojrzała na przedmiot spoczywający na dłoni Gideona: zegar z połączanego brązu na postumencie z białego marmuru. Rzeczywiście był bardzo mały, ledwie na cztery cale szeroki i dwa razy taki na wysokość. Widniały na nim brązowe plamy, takie same jak na szmatce, w którą był zawinięty.

Lady Pansy krzyknęła przeraźliwie na widok zegara i przyłożyła dłonie do twarzy.

- Nie! To niemożliwe!

- To jej zegar, prawda? - spytał Gideon. - Pokojówka powiedziała nam, że należał do matki lady Seleny. Trzymała go na toalecie, prawda? Zmiażdżono jej nim głowę.

Pansy ponownie krzyknęła, a potem zaczęła szlochać z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Dosyć - powiedział lord Jasper, wciąż omijając wzrokiem zegar. - Należał do Seleny, już ci to wyjaśniłem. Nie torturuj matki, nie wiedziała, co się wydarzyło.

- Oczywiście! - wykrzyknęła lady Odelia, wyraźnie zdenerwowana. - Nikt z nas nie wiedział. Jakiś szaleniec musiał się tutaj wdrzeć i...

- Rzeczywiście dość! - rzekł szorstko Gideon. - Dość kłamstw! Zabił ją mój ojciec. A ja zamierzam odkryć, jak do tego doszło. - Odwrócił się i wyszedł szybkim krokiem z biblioteki.

Patrzyli za nim w milczeniu, ciszę przerywał tylko szloch lady Pansy.

- Dokąd on, u diabła, poszedł? - zapytał Rochford takim tonem, jakby nie oczekiwał odpowiedzi.

- Do Owenby'ego - odparł stryj Jasper. - Idę za nim.

- Nie, zostań z matką. - Rochford ujął go za ramię i zmusił, by przystanął. Pokazał wymownym ruchem głowy na obie siostry, przytulone do siebie, szukające pociechy. - Ja pójdę.

- Nic wiesz dokąd - zaprotestował Jasper.

- Ja wiem. - Irene mszyła w kierunku drzwi. - Pokażę.

Stajenni natychmiast przystąpili do wykonywania poleceń Rochforda i w mgnieniu oka osiodłali dwa wierzchowce. Gideon zyskał nad nimi przewagę, ponieważ jak ich poinformowali stajenni, nie zdążyli rozsiodłać jeszcze konia, na którym wrócił do domu z jaskiń. Jak im kiedyś powiedziała lady Odelia, Gideon nie był zbyt wprawnym jeźdźcem, podczas gdy Irene jeździła konno od dziecka, a księżę wręcz wyglądał, jakby urodził się na koniu. Poza tym dostali wypoczęte ogiery i zdecydowali się pojechać skrótem przez łąki, gdzie trzeba było pokonać ogrodzenia i żywopłoty, ale w krótkim czasie można było dotrzeć do wschodniego krańca miasteczka.

Wjechali galopem na główną drogę akurat w momencie, gdy Gideon zeskoczył z konia i zmierzał wielkimi krokami do domu osobistego pokojowca swojego ojca. Rochford i Irene zsiadli pospiesznie z koni, przywiązali niedbale cugle do płotu i podążyli jego śladem.

Drzwi otwarły się gwałtownie, ledwie przed nimi stanęli, i wybiegła z nich służąca, krzyząc wniebogłosy. Gdy zobaczyła Rochforda, złapała go za rękawy, zawodząc:

- Powstrzymajcie go! Proszę, proszę! On go zabije!

Księżę strząsnął dłonie dziewczyny i wszedł przez drzwi, niewzruszony jak zwykle. Nawet łoskot, który rozległ się w głębi domu, nie zdołał go wyprowadzić z równowagi, szedł dalej, kierując się wprost do źródła hałasu.

Znaleźli Gideona w kuchni, dokąd zapędził się, ścigając pokojowca ojca. Najwyraźniej Owenby chciał umknąć przez kuchenne drzwi, ale Gideon zdążył go dopaść. Sługa stał wciśnięty w ścianę, minę miał przerażoną. Gideon, z pogrzebachem w ręce, stał pośrodku kuchni, skąd w każdej chwili mógł zablokować Owenby'emu drogę ucieczki w każdym kierunku.

- Nie zaprzeczaj! - krzyknął Gideon w chwili, gdy weszli do kuchni. Uderzył pogrzebachem w stół, odłupując szczapę drewna i wzbudzając szczere przerażenie w lokaju. - Wiem, że ją zabił! On albo ty! Który z was?

- Ja... ja... - Owenby uniósł ręce nerwowym gestem do gardła, a potem opuścił je i przyłożył do ściany.

- Mów! - Gideon znów uderzył pogrzebachem w stół.

- Przestań! - krzyknęła ostro Irene. - Nic ci nie powie, dopóki odbiera mu rozum ze strachu.

Gideon obejrzał się.

- Irene, Rochford - powiedział zdziwiony - Takie licho was tu przyniosło?

- Miałam pozwolić, żebyś zabił służącego ojca w przyływie furii? - odparła Irene. - Nie uśmiecha mi się spędzanie nocy poślubnej na składaniu ci wizyty w więzieniu.

- Nie zamierzam go zabić.

- Oczywiście, że nie - poparł go Rochford.

Podszedł i wyjął mu z dłoni pogrzebacz. Gideon rzucił mu zirytowane spojrzenie, a potem utkwiał wzrok w przerażonym pokojowcu.

- Mogę cię udusić gołymi rękami. Wierz mi gotowy jestem to zrobić, jeśli nie zaczniesz mówić' i to szybko. Nie wychowałem się na dżentelmena - ostrzegł.

- Jestem pewien, że... Owenby, prawda? - wtrącił spokojnym głosem Rochford - dobrowolnie opowie nam, co się stało z lady Seleną. Czy tak, Owenby?

- Nic nie zrobiłem! - wykrzyknął łamiącym się ze strachu głosem lokaj. - Nie zabiłem hrabiny Radbourne! Przysięgam!

- O to cię nie podejrzewam - stwierdził ponuro Gideon - Ojciec ją zabił. Chcę, żebyś mi wyjawiał co się wydarzyło.

- Nie wiem - odparł ze złością Owenby, a kiedy Gideon zacisnął pięści i dał krok w jego kierunku wykrzyknął: - Przysięgam na Boga, że nie wiem. Nie widziałem, jak to się stało. Hrabia Cecil powiedział mi... Usłyszałem łoskot, a potem podniesione głosy. Czekałem w przedpokoju, żeby pomóc panu się rozebrać, i słyszałem, jak się kłóca.

- O co? - spytała Irene.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Tylko coś o jakichś listach, które miał pan. A potem, kiedy tam wszedłem, zauważyłem, że w kominku dopalały się jakieś papiery. Może jego lordowska mość wrzucił te listy do ognia, a ona próbowała je wyjąć, przy kominku leżał pogrzebacz, a podłoga była zabrudzona sadzą i węglem.

- Co dalej? Wszedłeś, kiedy usłyszałeś ten łoskot? - zapytał Gideon.

- Nie, proszę pana. Nie od razu. Nie taka była moja rola. To była sprawa między mężem a żoną. Jego lordowska mość mógł zabić, kiedy opanowała go furia.

- Czyli wolałeś nic nie robić? - Gideon wykrzywił się szyderczo.

- Tak. Czekalem... Robilem, co do mnie nalezalo - odparl obronnym tonem Owenby.

- Kiedy wszedles do pokoju? - zapytal Rochford, uprzedzajac wybuch Gideona.

- Po tym, jak krzyknela... To znaczy... najpierw uslyszalem, jak oboje wrzeszcza i pan mowil, ze nigdy nie pozwoli jej odejsc, a potem ona cos jak „nie!” czy „odejdz!”, a moze imie pana, nie pamietam. I wtedy rozlegl sie ten krzyk i gluchy odglas... i znowu... Nie wiedzialem, co robic, wiec podszedlem do drzwi, a wtedy pan otworzyl je gwaltownie i kiedy zobaczyl, ze stoję, wciagnal mnie do srodka. - Zawahal sie, przenoszac spojrzenie z Gideona na Rochforda, ale w koncu podjal swoja opowiec. - Lezala na podlodze. Krzeslo bylo przewroczone, to pewnie wtedy uslyszalem loskot. Lady Selena lezala na podlodze, na boku, calkiem bezwladnie. Jej glowa... byla cala we krwi... duzo krwi... Nie mialem watpliwosci, ze nie zyje. - Dreszcz go przeszedl. - Oczy miala otwarte, patrzyly prosto na mnie...

- Uderzyl ja zegarem?

- Tak - potwierdzil Owenby. - To nie byl duzy zegar. Musial go zlapac i uderzyc ja w glowe. A kiedy upadla... mysle, ze uderzyl ja jeszcze kilka razy... - Nagle wyprostowal sie i skrzyzowawszy rece na piersi, spojrzal wyzywajaco na Gideona. - To nie byla jego wina!

- Nie?! - wybuchnal Gideon. - Zakatowal ja na smierc!

- Bo go do tego doprowadzila - odparl Owenby. - Oszalal z zazdrosci. Wiedzial, ze sypia z jego bratem. A tak, ja tez wiedzialem. Wystarczylo widziec, jak na siebie patrzyli.

- Ale lorda Jaspera wtedy tam nie bylo - zauwazyła Irene. - Kilka miesiecy wczesniej wstapil do wojska.

- To te listy. Musial je do niej pisac, a kiedy hrabia Cecil je znalazl, wpadl w furię.

- Za to ją zabił? - spytał z niedowierzaniem Rochford.

- Nie chciał - odparł z naciskiem Owenby. - Powiedział mi: „Owenby, nie wiem, jak to się stało. Wziąłem to i...” Nie chciał tego. Stracił głowę.

- Najwyraźniej nie na długo - zauważył sarkastycznie Gideon. - Odzyskał zdolność myślenia natychmiast, skoro zaplanował, jak ukryć morderstwo.

- Większość z tego ja wymyśliłem - powiedział nie bez dumy Owenby. - Poradziłem, by pan udawał, że żona uciekła. Nie chciał, bo mówił, że to wywoła skandal. Zaproponowałem, żeby upozorować porwanie. Zdjąłem z łóżka szlafrok i owinąłem jej ciało, a głowę dwiema halkami. Wziąłem jeszcze parę halek i wyczyściłem palenisko z krwi. Owinąłem zegar jej koszulą i znieśliśmy ją na dół.

- Niesłiście ją do jaskiń? - spytał z niedowierzaniem Rochford. - Całą drogę, po nocy?

- Nie, milordzie - odparł Owenby. - Wtedy nie było czasu. Zaniósłem ją do ruin, zostawiłem tam ciało i przywaliłem wejście kamieniami. Wróciłem i zabrałem chłopca. Zawiozłem go... zawiozłem do tego człowieka, którego znałem.

- Do Londynu? - spytał Gideon. - Zawiozłeś mnie do Londynu?

- Nie, tylko do Chipping Camden. Mieszkał tam mężczyzna, który zabierał niechciane dzieciaki. Nie patyczkował się z nimi, jak trzeba było, dawał po głowie, a potem odstawiał do gangu.

Owenby nie patrzył na Gideona, jakby miało mu to pomóc odciąć się od tego, co zrobił, i zanegować związek między dzieckiem, które skazał na niepewny los, a stojącym przed nim dorosłym mężczyzną.

- Potem wróciłem i przeprowadziliśmy nasz plan. Hrabia zachowywał się tak, jakby porwano mu żonę i dziecko. Udał, że daje mi naszyjnik, żebym zawiózł go porywaczom. Zamiast tego pojechałem do ruin, zabrałem ciało i zawiozłem do jaskiń. Zamurowałem wejście, żeby nikt nie natknął się na nie przez przypadek. Hrabia zabraniał tam chodzić, twierdził, że to niebezpieczne.

Wszyscy troje patrzyli na niego w milczeniu. Irene była wstrząśnięta rzeczowym tonem, jakim Owenby zrelacjonował całe wydarzenie. Spojrzała na Gideona. Wyglądał, jakby powietrze z niego uszło. Gniew wyparował, na twarzy malował się ogromny smutek i głęboki żal.

- Przecież to nie ma najmniejszego sensu - zaprotestowała. - Dlaczego hrabia Cecil miał ci pozwolić zabrać Gideona? Dlaczego miałby pozbywać się syna? Jedyne dziedzica!

- Chłopak go zobaczył. Pewnie przebudziły go podniesione głosy. Pokój dziecięcy był niedaleko apartamentów lady Seleny. Przyszedł i natknął się na hrabiego Cecila akurat wtedy, gdy uderzył żonę. Też zaczął wrzeszczeć... Hrabia uderzył go, żeby się uciszył. Bał się, że obudzi cały dom. Kiedy wszedłem, chłopak był nieprzytomny, a jak wróciłem z ruin, spał. Chyba hrabia dał mu laudanum. Zdecydowaliśmy, że nie może zostać w domu ani dnia dłużej, bo mógłby komuś opowiedzieć, co widział.

- Przecież to jego syn! - powtórzyła uparcie Irene.

- Też miał o kogo dbać! - Pokojowiec spojrzał niemal nienawistnie na Gideona. - Nie była mu wierna od dnia, gdy ją poślubił. Jego brat nie był pierwszy, tylko ostatni. Miała kochanków na pęczki. - Ze spojrzenia Owenby'ego biła nieskrywana nienawiść. - Uważa się pan za Bóg wie kogo, co? Jest pan nikim, słyszy mnie pan? A na pewno nie synem hrabiego.

Rozdział dwudziesty pierwszy

- To ma sens - stwierdził spokojnie Gideon.

- Co ma sens? - spytała zaskoczona Irene.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od czasu, gdy wyruszyli z powrotem do Radbourne Park. Rochford taktownie wyprzedził ich i jechał w pewnym oddaleniu, dając im możliwość swobodnej rozmowy na temat sensacyjnych wiadomości, które przekazał pokojowiec. Początkowo Gideon był

pogrążony w ponurym milczeniu, a Irene nie niepokoiła go pytaniami. Porozmawia z nią, kiedy będzie czuł taką potrzebę, uznała. Niemniej nie spodziewała się, że powie coś takiego.

- Dlaczego tak uważasz? Ja nie widzę niczego sensownego w całej tej historii.

- Nie jestem synem hrabiego Cecila.

- Wnioskujesz to ze słów lokaja, a on niekoniecznie wie wszystko. Raczej tylko tyle, ile powiedział mu jego chlebodawca. Nie mamy żadnych dowodów, że to wszystko prawda. Nawet hrabia nie mógł być całkowicie pewien tego, że nie jesteś jego synem. Lord Jasper opisał lady Selenę inaczej, nie jako żądną uciech rozpustnicę, a kobietę nieszczęśliwą w małżeństwie. Pamiętaj, że hrabia mógł opowiadać o niej niestworzone rzeczy, aby usprawiedliwić swoje niegodziwe postępowanie. Zamordował ją i może szukał wymówki, aby we własnych oczach czuć się mniej grzesznym.

- Ale to ma sens - powtórzył uparcie Gideon, odwracając głowę, by spojrzeć na Irene. Nie potrafiliśmy znaleźć rozwiązania, bo wydawało nam się niemożliwe, aby ktoś pozbywał się własnego dziecka. Zwłaszcza jedyne dziecko. Właśnie na tej podstawie odrzuciliśmy możliwość, że to ojciec zabił matkę. Byłoby znacznie łatwiej wyzuc mnie z dziedzictwa, gdyby wiedział, że nie jestem jego synem.

- Pozbył się ciebie z egoistycznych powodów, dlatego, że chciał chronić samego siebie - dowodziła Irene. - Z tchórzostwa. Zresztą gdyby rzeczywiście uważał, że nie jesteś jego synem, wydziedziczyłby cię lata temu, oskarżając żonę o zdradę i żądając rozwodu.

- Tylko że wywołałoby to piramidalny skandal, czego rodzina za wszelką cenę starała się uniknąć. Co więcej, wystawiłby się na pośmiewisko, wołał więc udawać, że jestem jego synem. Natomiast gdy nadarzyła się okazja, aby mnie się pozbyć, natychmiast ją wykorzystał. Szczerze wątpię, że posunąłby się do tego, gdybym był jego synem. Miałem raptem cztery lata. Mógł łatwo

powstrzymać mnie od opowiadania, co zobaczyłem, a po jakimś czasie bym o tym zapomniał, tak jak zapomniałem o wszystkim, co dotyczyło dzieciństwa spędzonego tutaj.

- Lady Odelia zdecydowanie twierdzi, że jesteś podobny do Lillesów.

- Tak? - Skrzywił się ironicznie. - Mam ciemne włosy, owszem, ale zielone oczy. Nie sądzę, by ktoś wziął mnie i księcia Rochforda za braci. On jest wyższy i szczuplejszy.

- Nie jesteś jego bratem. Jesteście kuzynami. To wszystko.

- Przypominasz sobie, co powiedziała pokojówka? Że jestem podobny do matki? Że wszyscy uważali mnie za podobnego do Bankesów, a według niej wdałem się w matkę? Lady Selena również miała czarne włosy. Co do znamienia, to po nikim go nie odziedziczyłem. Świadczy tylko o tym, że to rzeczywiście ja byłem tym chłopcem, którego uważano za porwanego. Nie świadczy o tym, że jestem z Bankesów czy Lillesów.

- Jak na razie nie ma żadnych dowodów, że nie jesteś - zaproponowała Irene.

- Czy ty tego nie widzisz? - spytał znużonym tonem. - Teraz rozumiem, dlaczego tak silnie czułem, że nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi. Nie jestem szlachetnie urodzonym, najprawdopodobniej w moich żyłach płynie domieszka krwi któregoś lokaja albo dzierżawcy ze wsi, a zresztą Bóg wie kogo. Nie jestem hrabią Radbourne'em i nie zamierzam go udawać.

- O czym ty mówisz? Chcesz zrzec się tytułu?

- Ten tytuł należy się Timothy'emu - orzekł Gideon. - Nie chcę pozbawiać go jego praw. Uważasz mnie za człowieka zdolnego do takiego postępuku?

- Nie. Uważam cię za człowieka tak pogardzającego arystokracją, że gotów jesteś zaprzeczyć, że do niej należysz.

- Bo nie należę - upierał się.

- Tego nie wiesz.

- Byłem o tym przekonany od momentu, gdy Rochford pierwszy raz się ze mną skontaktował.

- Jakim sposobem? Skąd możesz to wiedzieć?

- Bo tak czuję.

- Przecież to nie wystarcza! - wykrzyknęła wzburzona Irene. - To nie jest wiedza.

Gideon ściągnął cugle, zatrzymując konia. Dotarli blisko rezydencji, widzieli ją dobrze, górowała nad ogrodem, okna połyskiwały w zachodzącym słońcu. Zsiadł z konia i pomógł zejść z siodła Irene, a potem podszedł do niskiego kamiennego muru i patrzył dłuższy czas na rozległy dom, zanim odwrócił się, by powiedzieć:

- Ja to wiem. Nie jestem hrabią. Rochford jest takiego rodzaju osobą, że czujesz to od razu. Stoją za nim pokolenia.

- I mój ojciec był takiego rodzaju osobą - powiedziała Irene, podchodząc do Gideona.

- Dlaczego to mówisz?

- Tylko dlatego, że nie wszyscy szlachetnie urodzeni są tacy jak Rochford. Różnią się wzrostem, tuszą i charakterem. Cecil był hrabią i nie zawahał się zabić żony.

- Zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy są porządnymi ludźmi i Bóg mi świadkiem, mam szczerą nadzieję, że jestem lepszy niż ojciec, chciałem powiedzieć, hrabia Cecil. Jednak nie należę do tej grupy. Nie brakuje mi pewności siebie, ostatecznie to, co przedsięwziąłem, zakończyło się sukcesem. Ale brakuje mi cechy, którą ma każdy szlachetnie urodzony, także twój ojciec. Przekonania, że przyszło się na ten świat po to, aby zajmować uprzywilejowaną pozycję.

- Ja tę cechę nazwałabym arogancją - stwierdziła zgryźliwie Irene. - Nie sądzę, że ktoś się z tym rodzi. Raczej jest to kwestia wychowania. Jesteś, kim jesteś, niezależnie od tego, kim był twój ojciec.

- To nie fair w stosunku do Timothy'ego. To on jest synem hrabiego Cecila i on powinien zostać hrabią Radbourne'em, nie ja. I zostałby, gdyby Rochford mnie nie odszukał. Muszę odrzucić tytuł.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedziała Irene, biorąc Gideona za rękę.

- Nieczęsto mi się to zarzuca - zażartował. Puścił jej dłoń i cofnął się o krok. - Nie będę hrabią i nigdy nie dowiem się, kim był mój ojciec. Ja... - Urwał, a po chwili zaczął mówić pospiesznie, z poważną twarzą. - Nie mogę wymagać, byś dotrzymała obietnicy. Na szczęście zaręczyn nie ogłosiliśmy oficjalnie i poza osobami z rodziny nikt nie wie, tak że nie musisz się obawiać, że cień padnie na twoje nazwisko.

Irene poczuła, jak serce w niej zamiera. Patrzyła na Gideona, usiłując powstrzymać napływające Izy. W końcu się odezwała:

- Proszę? Już nie chcesz ze mną się ożenić?

- Ależ nie! - zaprzeczył. - Chcę cię za żonę, ale byłbym nikczemnikiem, domagając się od ciebie dotrzymania słowa, skoro nie jestem w stanie zapewnić ci życia, jakie przyrzekłem. Nie będziesz hrabiną, a tylko żoną człowieka prowadzącego interesy, a wiem, jak niewiele bogactwo znaczy w porównaniu z tytułem i rodziną.

- Ach tak. - Irene poczuła, jak ogarnia ją gniew. Podeszła i wymierzyła Gideonowi mocny policzek.

- Co, do diabła... - Przyłożył palce do policzka.

- Jak śmiesz sugerować, że ja... po tym, co ci powiedziałam, kiedy... Po ostatniej nocy! - płątała się z wściekłością. - Myślisz, że wyznaczam cenę za moją miłość? Że oddałam ci rękę za tytuł? Wcale nie dbam o twój tytuł! I o twoje bogactwa! Było mi wszystko jedno, czy jesteś hrabią, czy śmieciarzem, gdy do ciebie przysłam. Zrobiłam to, bo cię kocham!

Dosiadła konia i popędziła, zostawiając osłupiałego Gideona.

Dojechała do domu galopem, nie zwracając uwagi na to, że Gideon wykrzykuje jej imię. Słyszała stukot kopyt jego konia, ale była lepszym

jeźdźcem, więc pierwsza dopadła stajni. Zeskoczyła z wierzchowca, nie czekając na pomoc stajennego, rzuciła mu cugle i pobiegła do domu. Ledwie mogła oddychać z gniewu. Nie chciała czekać na Gideona ani z nim rozmawiać. Miała nadzieję, że uda jej się schronić w pokoju, zanim wybuchnie płaczem.

Wbiegła na schody, ale nie zdążyła wejść do swojego pokoju. Lord Jasper, słysząc kroki, wyszedł z niewielkiego prywatnego saloniku, przylegającego do apartamentów matki.

- Lady Irene... Gdzie jest Gideon? Czy on...

- Wszystko w porządku - odparła, nie wdając się w szczegóły. - Zechce mi pan wybaczyć... - Odwróciła się, zamierzając pójść wreszcie do siebie, ale na schodach zadudniły kroki i stanął przed nimi Gideon.

- Irene!

- Bogu dzięki, Gideon! - wykrzyknął Jasper, rysy mu się wygładziły. - Nic ci się nie stało.

Gideon spojrzał na stryja, potem na Irene, na twarzy miał wypisane rozgoryczenie i zawód.

- Przykro mi, że was zmartwiłem.

- Rochford opowiedział nam, co się wydarzyło u Owenby'ego. Twoja babka i lady Odelia są w salonie. Proszę, porozmawiaj z nami.

- Zostawię panów, tak żebyście mogli państwo porozmawiać swobodnie - wtrąciła Irene, podejmując kolejną próbę wycofania się.

- Nie! - Gideon chwycił ją za ramię. - Pójdiesz z nami.

- Proszę?! - zawołała oburzona.

- Błagam, nie wylewaj na mnie żółci akurat teraz - poprosił Gideon. - Obiecuję, że dam ci tę możliwość za kilka minut. Najpierw muszę parę rzeczy ustalić i wolałbym nie dobijać się do zamkniętego pokoju, gdybyś nie chciała stawić mi czoła.

- Nie stawić ci czoła? - powtórzyła z przekąsem Irene, unosząc wymownie brwi. - Sądzisz, że się ciebie obawiam?

Lekki uśmieszek przemknął przez jego wargi i zaraz znikł.

- O nie, nie sędzę. Dlatego odważyłem się to powiedzieć. Proszę, chodź ze mną. Wyznam im wszystko, a potem dokończymy.

Irene poddała się i poszła z nimi do salonu, gdzie zastali lady Odelię i lady Pansy. Babka Gideona siedziała wciśnięta w róg sofy, wyglądała na wyczerpaną, miała w dłoni chusteczkę, przykładając ją od czasu do czasu do oczu.

- Och, Gideonie - powiedziała płacząco na jego widok. - To nie może być prawda. Ten straszny człowiek kłamał, ja to wiem.

- Lord Jasper powiedział mi, że Rochford powtórzył wam, co mówił Owenby. Czy także to o... - zawahał się przez moment - wątpliwym ojcostwie?

Oczy lady Odellii zaokrągliły się niemal komicznie, jej siostra przestała płakać i spytała zdezorientowana:

- O twoim ojcostwie? Nie rozumiem...

- O czym ty mówisz? - zapytał lord Jasper, marszcząc czoło. - Księżę powiedział tylko, że Owenby przyznał się do ukrycia ciała Seleny po tym, jak ją zabił twój ojciec. Co jeszcze usłyszałeś?

- Że lord Cecil nie był moim ojcem - odparł Gideon. - Przykro mi. Nie chciałbym pogłębiać stresu, ale właśnie to powiedział i sędzę, że to prawda.

- Nie, nie! - zawołała lady Pansy. - To nieprawda. Krążyły takie plotki. Selena długo czekała, ale w końcu urodził się syn. To oczywiste, że syn Cecila. Zresztą każdy, kto ma oczy, widzi podobieństwo.

- Tak, to prawda, masz wygląd Lillesów - dodała lady Odelia, a w jej głosie dźwięczała dawna pewność siebie. - Spójrz tylko na Rochforda, na twojego stryja.

Irene, wypełniając automatycznie polecenie starej damy, skierowała wzrok na lorda Jaspera. Zesztywniała, oczy jej się zwięziły. Lord Jasper patrzył na Gideona wzrokiem pełnym żalu i bólu, tak przejmującym, że aż chwytającym za serce. Irene z trudem przeniosła spojrzenie na Gideona.

- Oczywiście! - wykrzyknęła, zanim zdążyła pomyśleć o konsekwencjach.
Jak mogła dotąd tego nie zauważyć!

Wszyscy obecni w salonie utkwili w niej oczy i Irene się zaczerwieniła.

- Ja... ja... bardzo przepraszam... Gideon...

- Tak? - Patrzył na nią zaniepokojony. - Czy masz coś ważnego do powiedzenia?

- Myślę... - Odchrząknęła. - Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

- Oczywiście, ale najpierw muszę powiedzieć to, z czym tu przyszedłem.

- Ale... poczekaj.

- Wydaje mi się, że wiem, co twoja przyszła żona chce powiedzieć - odezwał się lord Jasper. - Zdaje się, że właśnie zrozumiała, dlaczego jesteś podobny do Lillesów i Bankesów jednocześnie. Spójrz na mnie, a zobaczysz, jak będziesz wyglądał za jakieś dwadzieścia parę lat. Owenby miał rację, twierdząc że Cecil nie był twoim ojcem. Ja nim jestem,

- Ty nim jesteś... - powtórzył bezwiednie zdumiony Gideon.

- Tak. Chciałem ci to wyznać wiele razy, odkąd do nas wróciłeś. Zorientowałem się jednak, co o nas wszystkich sądzisz. Bałem się, że jeszcze bardziej będziesz nami pogardzał, a zwłaszcza mną. Uciekłem i zostawiłem cię z nim. Oboje was zostawiłem. Byłem głupcem i tchórzem. Przysięgam, że nie zrobiłbym tego, gdyby przez głowę przemknął mi cień podejrzenia, do czego był zdolny. Owszem, nie przepadał za tobą, bo wiedział, że nie jesteś jego dzieckiem. Pewnie podejrzewał, że ja jestem ojcem. Ślepy zobaczyłby, że byłem w niej zakochany po uszy od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem.

- Jasper! - Lady Pansy patrzyła z przerażeniem na syna. - Co ty mówisz? Jak mogłeś? Zdradziłeś brata!

- To cię najbardziej przeraża? Że kochałem żonę Cecila? - spytał Jasper ze zdumieniem. - Zamordował Selenę. Był porywczym, nieokrzesanym brutalem. Nie potrafił docenić, jaką wspaniałą ma żonę. Zdradzał ją od pierwszych dni małżeństwa, ale jej wymyślał ordynarnie, czasem posuwając się do rękoczynów,

jeśli przypadkiem uśmiechnęła się do innego mężczyzny. Kochała go, poślubiając, a on to zniszczył. Nigdy nie wzięłaby sobie kochanka, gdyby dbał o nią choć odrobinę. Utrzymał ją stałą kochankę w Londynie, a Selena musiała siedzieć tutaj, w samotności, żeby nikt nie zwrócił na nią uwagi. Kiedy był na wsi, nie przepuszczał służącym z gospody, a w Londynie prostytutkom portowym; żeby zaznać odmiany, odwiedzał przybytki uciechy na barkach rzecznych w Bath. Na Selenę wrzeszczał, jeśli zatańczyła z pastorem albo skinęła głową miejscowemu lekarzowi w odpowiedzi na jego powitanie.

Lord Jasper odwrócił się, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Po chwili mówił dalej, zwracając się bezpośrednio do Gideona:

- Twoja matka była dobrą, porządną kobietą. Ani niegodziwą, ani rozpustną. Nie sądź jej, błagam. Była wierna mojemu bratu przez długie sześć lat. To ja się za nią uganiałem. Nie szukałaby u mnie pociechy, gdyby mąż nie złamał jej serca o ten jeden raz za wiele. Gnębiły ją wyrzuty sumienia, nienawidziła tego, że musimy oszukiwać, i po kilku miesiącach powiedziała mi, że dłużej tego nie zniesie.

Zamilkł na chwilę, jakby rozpamiętując przeszłość, a potem podjął na nowo:

- Podróżowałem, studiowałem, robiłem wszystko, by o niej nie myśleć. Przyjechałem do domu ponownie, gdy miałeś trzy latka. Matka napisała do mnie o twoich urodzinach, ale nie zdawałem sobie sprawy, że nie jesteś synem Cecila, dopóki Selene nie wyjawiała mi tego zaraz po moim przyjeździe. To wtedy zacząłem ją błagać, żeby go opuściła, zabrała ciebie i odeszła ze mną. Nie chciała. Powiedziała, że nie oderwie cię od Cecila, ponieważ to by oznaczało pozbawienie cię sukcesji. Przez jakiś czas próbowaliśmy cieszyć się okruchami szczęścia, ale w końcu nie mogłem znieść tego, że ona jest żoną Cecila. Dlatego stchórzyłem po raz drugi. Teraz znasz całą prawdę dokończył ponuro.

- Mój Boże... - Gideon przyglądał się lordowi Jasperowi. - Zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że mi wybaczasz.

- Wybaczam ci - odparł Gideon. - Cieszę się, że taka jest prawda. - Uśmiechnął się przewrotnie. - Dobrze wiedzieć, kto jest moim ojcem i że nie jest nim morderca.

Jasper westchnął z ulgą.

- Bogu dzięki, już myślałem, że stracę cię na zawsze.

- W takim razie wszystko jasne - stwierdziła lady Odelia. - Skandaliczne, to prawda, ale nikt nie musi się dowiedzieć. Myślę, że najlepsze rozwiązanie, to trzymać się historii Cecila o porwaniu. Nie kto inny, tylko porywacze ją zamordowali i ukryli ciało w jaskini. I jakież to piękny akt sprawiedliwości się dokonał, powiedzą wszyscy, że jej cudem odszukany syn znalazł jej szczątki i zapewnił jej doczesny spokój - dokończyła ironicznie, wyraźnie wracając do formy.

- Nie, to jeszcze nie wszystko - powściągnął ją stanowczo Gideon. - Pozostaje pytanie, co z Timothyem. Nie jestem synem hrabiego, tylko lorda Jaspera, i to z nieprawego łóża.

- Nikt o tym nie wie - przypomniała mu cioteczna babka z naciskiem. - Poza tym trudno to udowodnić, prawda? Cecil uznawał cię za syna. Zostałeś urodzony przez pozostającą z nim w związku małżeńskim kobietę. Nie widzę powodu, by zmieniać porządek sukcesji.

- Nie mogę pozbawiać Timothy'ego tego, co mu się słusznie należy - argumentował Gideon. - Jest jedynym rzeczywistym synem Cecila. To on powinien odziedziczyć majątek i tytuł, nie ja.

- Nie ma żadnych wątpliwości, że jest z Lillesów. Uparty jak jego pradziadek - orzekła lady Odelia.

- Tak - przyznała Pansy, kiwając głową - bardzo przypomina naszego ojca. Odelio, ale nie o to teraz chodzi.

- A o co? Mamy pozwolić, żeby Teresa rządziła domem? Timothy jest dobrym dzieckiem i może wyrośnie na sensownego człowieka, chociaż przy

takiej matce trudno to sobie wyobrazić. Nie przypomina w żadnym stopniu nikogo z Lillesów ani nawet z Bankesów.

- Dlatego, że nie płynie w nim krew Lillesów ani Bankesów - oświadczył Jasper. - Wystarczy na niego spojrzeć. Nie mam pojęcia, kim był ojciec Timothy'ego, ale z pewnością nie mój brat. Cecil był bezpłodny.

- Jasper! To tylko plotki okrutnych ludzi - sprzeciwiła się wzburzona lady Pansy. - Jak możesz to powtarzać!

- Nie tylko plotki, matko, i dobrze o tym wiesz. Taka była prawda. Selena przez sześć lat nie zachodziła w ciążę. Jedyne dziecko z jej związku z Cecilem było moje. Cecil wiedział, ale był zbyt dumny, aby to przyznać. Jak myślisz, dlaczego zaakceptował Gideona? Bo wiedział, że nie może mieć dzieci, więc bratanek, mój syn, wydawał mu się najbliższym ideału rozwiązaniem. Dlaczego tak długo czekał z powtórny małżeństwem? Wcale nie z miłości do Seleny, a już na pewno nie łudził się, że ona żyje. Wiedział, że nie jest zdolny spłodzić potomka, i nie chciał, aby stało się to oczywiste. Miał tyle kochanek, czy którekolwiek dała mu dziecko? Znałaś jego reputację pod tym względem, wszyscy ją znaliśmy. Czy kiedykolwiek dziwka z tawerny albo jakaś służąca zapukała do tych drzwi, twierdząc, że trzyma jego dziecko w ramionach? Nie mam pojęcia, jak Teresa zdołała go skłonić do ślubu, ale upłynęło trochę czasu, zanim zaszła w ciążę. Bez wątplenia jest mniej naiwna, niż była Selena, i nie dała wiary jego zapewnieniom, że to jej wina. Znalazła wyjście i innego mężczyznę, który zapewnił jej potomka, tak jak tego potrzebowała.

- Jak możesz tak mówić? - Pansy popatrzyła z wyrzutem na syna. - Nie masz szacunku dla zmarłych? Dla rodziny?

- Nie mam szacunku dla mordercy - odparł buntowniczo Jasper. - Jestem zmęczony tymi wszystkimi sekretami. Przechodziliśmy w dzieciństwie świnkę, ja i Cecil. Miałem sześć lat, nic mi się nie stało. On dwanaście. Wyzdrowiał, lecz stał się bezpłodny.

Starsza hrabina Radbourne znów zaczęła płakać, na co jej siostra zareagowała ostro.

- Cicho, Pansy. Wiedzieliśmy, że to łajdak, zanim wyszło na jaw, że zamordował Selenę i oddał dziecko złodziejom. Na twoim miejscu otarłabym łzy i pomyślała o krzywdzie, jaką wyrządziłaś Gideonowi i Jasperowi, milcząc przez te wszystkie lata.

- Ale przecież ja nie widziałam!

- Bardzo starałaś się o to, żeby nie wiedzieć - sprostowała lady Odelia, a widząc, że oczy siostry wypełniają się łzami, dodała: - Tylko nie zaczynaj znowu, błagam. - Zerwała się na równe nogi, jakby po tej wymianie zdań z siostrą odzyskała dawny wigor. - Gideon, teraz już wiesz. Może cię to nie cieszy, ale to twoja rodzina. Najlepsze, co możesz zrobić dla Timothy'ego, to dać Teresie dom w mieście, a chłopca zostawić tutaj. Zaręczam ci, że będzie całkowicie szczęśliwa, mogąc korzystać z uroków życia i nie będzie jej przeszkadzało, że Timothy dorasta na wsi. Nie wątpię, że postarasz się, aby skorzystał na tym jak najwięcej. Przy odrobinie szczęścia da sobie radę lepiej niż jego matka i... kto tam był jego ojcem. Co do ciebie, obawiam się, że nie masz wyjścia i musisz nauczyć się żyć z tą świadomością, że jesteś hrabią.

- Postaram się dołożyć starań - zapewnił ją ironicznie Gideon.

Jasper podszedł do niego, pragnąc z nim porozmawiać, a Irene skorzystała z tego, aby wymknąć się z salonu.

- Wybacz - powiedział Gideon do swojego świeżo odzyskanego ojca - chciałbym z tobą omówić wiele rzeczy, ale mam do załatwienia sprawę niecierpiącą zwłoki.

Wyszedł pospiesznie do holu, spodziewając się, że będzie musiał dobijać się do drzwi sypialni Irene, tymczasem czekała na niego na podeście schodów. Nie była już zła, na jej twarzy malował się wyraz ogromnego znużenia i Gideon pomyślał, że napędza go to większym smutkiem niż jej wybuchy wściekłości.

- Irene, proszę - powiedział, podchodząc do niej z wyciągniętą ręką - porozmawiaj ze mną, pozwól mi wyjaśnić.

- Dobrze, ale chodźmy do ogrodu. Nie chcę, by moje osobiste życie było przedmiotem plotek.

Zeszli po schodach do holu, a potem przez taras ruszyli do ogrodu i dotarli do ustronnego zakątka, gdzie stała ławka. Irene odwróciła się twarzą do Gideona.

- Przepraszam, że cię uderzyłam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Oczywiście, że tak, jeśli ty wybaczysz mi, że byłem skończonym głupcem.

- Obawiam się, że nic nie możesz na to poradzić.

- Zawsze mogę na ciebie liczyć, co? Niczego nie ułatwiasz.

- Nie ma czym się martwić, ciebie to już nie dotyczy, prawda?

- Jak najbardziej dotyczy, skoro zamierzam cię poślubić.

Zrobiła niechętną minę, wzruszając ramionami.

- W takim razie obawiam się, że twoje zamiary spalą na panewce.

- Czy to prawda, że mnie kochasz?

- Nie zwykłam kłamać. Tak, kocham cię, ale nie wyjdę za ciebie za mąż.

- Nawet gdybym został śmieciarzem? - zapytał i kąciki ust drgnęły mu w uśmiechu.

- Nie prowokuj mnie! Ofiarowałam ci miłość, a ty mi co? Pieniądze... tytuł... i...

- I miłość - wpadł Irene w słowo Gideon, biorąc ją w ramiona. Patrzył jej prosto w twarz, mówiąc: - Ofiaruję ci moją miłość. Pierwszą, jedyną i na zawsze. Wszystko, co mam, należy do ciebie. Bez ciebie to wszystko nic nie jest dla mnie warte. W chwili, gdy ujrzałem cię, celującą we mnie z pistoletu, z rozjarzonymi gniewem złotobrazowymi oczami, zapadłaś mi w pamięć i w serce.

- Ale... - Nagle Irene zadrżała, jakby całkowicie wyczerpały ją emocje dzisiejszego dnia. - Powiedziałeś... - Łzy napłynęły jej do oczu, poczuła się jednocześnie głupio i radośnie.

- Powiedziałem, że zwalniam cię z przysięgi, ponieważ nie mógłbym dotrzymać obietnic. Co nie znaczy, że bym się z tym pogodził. Miałem nadzieję, że zareagujesz tak, jak zareagowałaś. - Potarł ręką policzek. - Chociaż nie spodziewałem się, że aż tak gwałtownie. Dałem ci możliwość wyboru w pełni świadomie, kiedy już wiedziałaś wszystko.

- Proszę, nie stwarzaj mi więcej takich możliwości - poprosiła Irene, ni to ze szlochem, ni to ze śmiechem.

- Nigdy - zapewnił solennie, przygarniając ją do piersi. - Za nic w świecie nie dam ci następnej szansy, żebyś ode mnie odeszła. Jesteś moja i nie chcę cię stracić.

Irene objęła Gideona w pasie i przyłożyła policzek do jego torsu, sycąc się jego siłą, ciepłem i zapachem. Po chwili oderwała głowę i spojrzała na niego badawczo.

- Wczoraj w nocy stwierdziłeś, że nie potrafisz mnie kochać, że nie jesteś zdolny...

- Nagadałem wystarczająco wiele idiotyzmów - przerwał jej. - Wmawiałem sobie, że cię nie kocham. Że to pożądanie, przyjaźń, uwielbienie, i co tam jeszcze. Dzisiejszego popołudnia, kiedy patrzyłem na stryja, na mojego ojca, pochylonego nad szczątkami matki, złamanego bólem... Miał łzy w oczach, choć ona nie żyje już od tylu lat. Zrozumiałem, że czułbym tak samo, gdyby mi ciebie zabrano. Dwadzieścia, trzydzieści lat, całe moje życie tęskniłbym za tobą. Zrozumiałem, że cię kocham.

- Gideonie! - Irene wspięła się na palce, by go pocałować. - Ja też cię kocham.

Kiedy się od siebie oderwali, spojrzali na nią wyraźnie szczęśliwy.

- Powinniśmy zdać się na ciocię Odelię, zamiast sami próbować cokolwiek wyjaśniać.

- Myślę, że to dobry pomysł.

- A co myślisz o tym, żebym polecił służbie przynieść nam kolację do wieży? Obawiam się, że nie jestem w tak dobrej formie, aby biesiadować z naszymi gośćmi.

- Wiesz co? - Rozpromieniła się. - Ja też nie czuję się zbyt dobrze.

- Czyli jesteśmy zgodni? To już chyba drugi raz.

- I ostatni.

Irene się roześmiała.

- To wymaga uczczenia.

Pocałowali się, a potem objęli ramionami i poszli do ruin.

Epilog

Powszechnie przyznawano, że ślub hrabiego Radbourne'a z lady Irene Wyngate był wydarzeniem sezonu. Wesele nie należało do najwspanialszych, ponieważ przygotowywano je z niezwykajnym pośpiechem. Nie szczędzono jednak wydatków, a poza tym od lat nie pamiętano ślubu tak owianego nimbem tajemniczości.

Przez dwa miesiące, które upłynęły od ogłoszenia zaręczyn do dnia ślubu w listopadzie, Londyn dosłownie huczał od plotek. Roztrząsano kwestię zaginionego dziedzica, który nieoczekiwanie powrócił na łono rodziny; porwania, które ponoć nie miało nic wspólnego z porwaniem; przerażającego, przejmującego dreszczem zgrozy odkrycia szczątków dawno zmarłej matki hrabiego - i to podczas podejmowania gości, co już samo w sobie wydawało się niewyobrażalne i nie powinno się wydarzyć. Poruszano także inne kwestie, dotyczące jakichś tajemnych, mrocznych wydarzeń, ale o tym rozmawiano wyłącznie szeptem, wymieniając znaczące spojrzenia.

Krążyły pogłoski, jakoby miało to być małżeństwo z miłości. O ile pana młodego znało zaledwie kilka osób, co dodatkowo podsycalo aureę tajemniczości, o tyle pannę młodą - wielu. Toteż nagminnie podawano w wątpliwość, że mogłaby zakochać się od pierwszego wejrzenia, podobnie jak wydawało się niemożliwe, by można było się w niej zakochać.

Jednak żadna z osób, które otrzymały zaproszenie na ślub, nie odważyłaby się zaprzeczyć, że tych dwoje połączyło uczucie. Było to wyraźnie wypisane na ich twarzach, gdy wypowiadali słowa małżeńskiej przysięgi. A kiedy zaczęli pierwszy taniec na weselu, nawet zatwardziałych cyników ogarnęło wzruszenie.

Lady Francesca Haughston stała przy ścianie, obserwując ich z niekłamana przyjemnością, niekoniecznie dlatego, że w podziękowanie za doprowadzenie do zaręczyn lady Odelia podarowała jej wspaniałą srebrną paterę, której sprzedaż mogła zapewnić środki na przeżycie zimy. Francesca szczerze polubiła oboje, Irene i Gideona, w ciągu tych dwóch tygodni, które spędziła w ich towarzystwie. Radość sprawiała jej myśl, że będą kochającym się małżeństwem.

Muzyka umilkła i świeżo poślubiona para podeszła do Franceski. Irene z uśmiechem wyciągnęła do niej na powitanie obie ręce.

- Tak się cieszę, że cię widzę!

Była lekko zarumieniona, promienna. Uosobienie pięknej panny młodej, uznała Francesca. Gideon musiał myśleć tak samo, bo patrzył na żonę z rozanielonym, niemal gamoniowatym wyrazem twarzy.

- Lady Haughston. - Oderwał wzrok od Irene tylko na krótko, aby skłonić się przed Francescą.

- Życzę wam obojgu wiele szczęścia powiedziała - chociaż jest dla mnie oczywiste, że niepotrzebne wam moje życzenia. Radość aż od was bije.

- Nie mogę się powstrzymać, by jej nie okazywać - odparł Gideon, unosząc dłoń żony i całując kostki jej palców. - Jestem prawdziwym szczęściarzem. - Spojrzał na Francescę. - Wiem, że pani powinienem dziękować.

- Ja tylko stworzyłam okazję. To pan ją zdobył.

- Mimo zaciętego oporu - dodał Gideon.

- Nonsens. Po prostu działałam zgodnie z logiką - zaprzeczyła Irene.

- Ach, więc to kwestia logiki?

- Oczywiście. Nie chciałam wychodzić za mąż, co dość rozsądne, zważywszy, na jakie małżeństwo patrzyłam. A potem uznałam, że jeszcze rozsądniej będzie zgodzić się na twoją propozycję. Widzisz, jakie to logiczne? - Rzuciła mężowi zalotne spojrzenie.

- Tak? - spytał Gideon. - Błagam cię, wytłumacz mi dlaczego.

- Każdy ci to powie. Nie ma sensu walczyć z miłością.

- Moja bardzo logiczna, inteligentna żona - powiedział, biorąc ją w ramiona.

- Gideonie! - Irene oswobodziła się z jego ramion. - Patrzą na nas.

Pochylił się i zaproponował:

- W takim razie sugeruję, byśmy natychmiast usunęli się im sprzed oczu.

Sklonił się przed Francescą, Irene kiwnęła jej głową z uśmiechem i poszli oboje przez tłum gości. Francesca patrzyła za nimi, jak przystają, by przyjmować życzenia.

- Taka urocza para - odezwał się ktoś za nią. Francesca odwróciła się i zobaczyła lady Bainbridge, stojącą tuż przy niej z jak zwykle nieodłączną siostrą, panią Fennelton. Uśmiechnęła się do obu dość chłodno.

- Musi pani być z siebie dumna, milady - dodała pani Fennelton. - Wszyscy mówią, że to pani dzieło.

- Dziękuję - powiedziała Francesca. - Nie sądzę jednak, bym wiele zrobiła. Po prostu przedstawiłam ich sobie.

- Powiedzmy - rozległ się z tyłu męski głos i wszystkie trzy zwróciły w tym kierunku głowy.

Księżę Rochford podszedł do nich, a obie siostry powitały go afektowanymi uśmiechami, zeszywniałe z wrażenia, że przemówiła do nich tak

wysoko postawiona osoba. Książę odwzajemnił się im swobodnym uśmiechem i zwrócił do Franceski:

- Lady Haughston jest zbyt skromna. Poza tym to już jej drugi triumf w tym roku. Przedstawiła również swojego brata, wicehrabiego Leighton, jego przyszłej żonie.

- Ach tak, prawda - zgodziła się lady Bainbridge. - Ich ślub odbył się pod koniec sezonu. Czy dobrze mi mówiono, że czeka ich radosne wydarzenie?

- Tak - potwierdziła z cokolwiek wymuszonym uśmiechem Francesca. - Rodzina złożyła stosowne oświadczenie.

- Ach, jak to cudownie - odezwała się pani Fennelton, niezrażona nieco chłodnym tonem Franceski. - Pani rzeczywiście potrafi zdziałać cuda, lady Haughston. Powiedziała mi to niedawno lady Fornbridge, bo ja sama nie miałam pojęcia o pani zdolnościach.

- Być może Wasza Wysokość - wtrąciła jej siostra z fałszywym uśmiechem - powinien poprosić o pomoc lady Haughston. Niektórzy twierdzą, że już zbyt długo Wasza Wysokość jest kawalerem...

Francesca zeszywniała i rzuciła przelotne spojrzenie na księcia.

- Tak twierdzą? - Rochford spojrzał na Francescę i powiedział swobodnym tonem: - Obawiam się, że lady Haughston nie będzie chciała wziąć mnie pod swoje skrzydła. Zbyt dobrze zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo nie nadaję się na męża. Czy tak, milady?

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, zanim Francesca, roześmiewszy się lekko, zwróciła się do obu kobiet:

- Ależ oczywiście. Wszyscy wiedzą, że książę Rochford jest zdeklarowanym kawalerem. A teraz, zechcą mi państwo wybaczyć...? - Obdarzyła je zdawkowym uśmiechem i odeszła.

Książę odwrócił się i spoglądał na oddalającą się Francescę z czymś na kształt żalu.